

Wybór pism

(Apologia)

tłum. Artur Rapaport

Wstęp. Ksenofont i jego pisma

I

Tło historyczne. Gdy mówimy o kulturze greckiej, literaturze historycznej lub filozoficznej, wymowie, poezji scenicznej, a nawet o dziejach Hellady, zapominamy właściwie o Grekach, a mamy na myśli Ateńczyków. Używamy wyrazu „grecki” zamiast „ateński”, czasem odwrotnie — ale do błędu nie poczuwamy się nigdy: Grecja przyjęła plony pracy ateńskiego ducha, więc grecka kultura jest kulturą ateńską. Tak silnie skojarzyło się to w naszej myśli, że i dla wieków późniejszych brak nam uświadomienia sobie, iż Ateny stały się małą miasteczką uniwersytecką, nie mogącą iść w porównanie z Aleksandrią lub z Bizancjum, nie uprzytomniamy sobie, że ściśle biorąc, historia Grecji to historia nie Aten i stosunku reszty świata do Aten. Był czas, kiedy nikt nie mógł przewidzieć, iż z tuzinów organizmów państwowych greckich i setek mniejszych państweczek Ateny właśnie staną na czołowym stanowisku; był czas, kiedy tego nie przypuszczał nie tylko mieszkaniec Miletu, Efezu, Syrakuz, Argos, Koryntu, Ajginy, Teb, ale także żaden Ateńczyk o tym nie śnił. Kto myśli o Atenach jako o najsilniejszym — obok Lacedemonu i symmachii peloponeskiej — państwie wśród rojowiska państweczek greckich, ten popełnia anachronizm, gdyż tylko od pewnego okresu Ateny odgrywają taką rolę w świecie helleńskim; ale anachronizm ten popełniano od dawna, popełniali go sami Ateńczycy, kiedy mówili o Atenach; nie zdawali sobie sprawy z tego, że Ateny Temistoklesa i Peryklesa inne mają znaczenie w stosunkach międzypaństwowych greckich niż jeden wiek lub choćby pół wieku temu.

Także i twierdzenie: literacki język grecki to język attycki, nie do wszystkich czasów da się zastosować. Nie Aten imię rozgłośnie było w helleńskim świecie, kiedy piśmiennictwo helleńskie bujnie zaczęło się krzewić. Nie po attycku były pisane najwspanialsze dzieła poezji lub imponujące prozaiczne dzieła. Joński w swych głównych zrębach jest dialekt Homera i całej epopei i poezji dydaktycznej, joński język elegii i jambów, i piosenek Anakreonta, po jońsku piszą filozofowie, historycy i lekarze. Któż mógł przewidzieć, że jońszczyzna ustąpi kiedyś swego szaczonego miejsca siostrzanemu dialektowi attyckiemu?

Krwawiły się Ateny i dławiły w wewnętrznych walkach politycznych i tarciach społecznych, aż znalazły formę rządu odpowiednią dla swej umysłowości, a zbawienną dla swego rozwoju, sprawiedliwą politycznie i społecznie — mianowicie demokratyczną konstytucję Solona. Nie zachwiały podstawami Solońskich reform rządu Pizystrata i Pizystratydów; przeciwnie, miasto szybko zaczęło się podnosić w świetności zewnętrznej i sile, a z upadkiem tyranii (510 przed Chr.) rozwój ten zahamować się nie da. Formy życia politycznego są ustalone i po wykreślonych torach może się prawnie i zgodnie z ustawą doksztalcać ustrój państwowy; z zachowaniem pewnych form prawnych można radykalną nawet demokrację odmienić, można iść naprzód i w tył, na lewo lub na prawo, wola większości stanowi o wszystkim, zbyteczne są

namacalne argumenty pałki i noża. Znakiem, iż Ateny są już pewną potęgą w macierzystym kraju, jest to, że nie tylko do Sparty, ale i do Aten zwracają się o pomoc pobratymcy Jończycy, powstający przeciw monarsze perskiemu. Toteż wnet przeciwko Atenom i Sparcie kieruje się wyprawa perska.

W r. 490 Ateńczycy sami, bez pomocy Spartan, biją Persów na polach Maratonu: z tą chwilą moralnie stanęli w świecie greckim na tym poziomie, na jakim odtąd przywykliśmy ich widzieć. Już nikt w świecie całym nie będzie porównywał Aten z wyspą Ajginą lub z Tebami. Szacunek mają Ateńczycy nawet u Sparty, której hegemonię uznają wszyscy Grecy, z Atenami włącznie. Jeszcze przed trzecią wyprawą perską zaczynają budować flotę, łamią Ajginę, a podczas trzeciej wojny perskiej mają już flotę większą (147 trier) niż wszyscy inni Grecy razem.

Po przepędzeniu wroga zakładają Jończycy Związek Morski pod przewodnictwem Aten, który wkrótce — bo za Peryklesa — zmieni się w panowanie Aten nad równouprawnionymi dawniej członkami; miasto-państwo Ateny zmienia się w morskie mocarstwo. Zepchnięta z hegemonii Sparta nie ścierpi tego, nie będą zadowoleni nowi poddani a dawniejsi sprzymierzeńcy Aten, zaczną się tarcia i przyjdzie do straszliwej wojny o hegemonię między ateńskim mocarstwem morskim a lądową potęgą Peloponezu. Sytuacja mocno zagadkowa: Spartan pobitych na lądzie świat jeszcze nie widział, zwyciężyć Ateny na morzu jest fizycznym nieprawdopodobieństwem.

Młodość Ksenofonta. Właśnie rozpoczynała się owa straszna wojna, kiedy Ksenofont ujrzał światło dzienne (około r. 430–427 przed Chr.). Toteż dzieciństwo jego nie mogło być bardzo miłe, choć czasy nie dały mu się we znaki tak jak innym, bo pochodził z bogatej rodziny. U swego ojca, Gryllosa (z demosu Erchia), miał sposobność nauczyć się jazdy konnej, bawić się sportem, zwłaszcza polowaniem, nasłuchać się opowieści o służbie w konnicy i przypatrzeć się hodowli koni; zamknięty w ciasnej okolicy tęsknił do życia pełnego przygód. Zapatrywania polityczne, wśród jakich wyrastał, niezbyt były prawomyślne. Nieraz słyszał zjadliwe uwagi nad formą rządu, która nie mądrym ludziom, lecz głupiej większości powierza ster nawy państwowej; słyszał skargi na olbrzymie ciężary, przysgniatające barki bogaczy bez żadnego wynagrodzenia ich za ofiary ponoszone dla państwa, skoro równy głos ma ten, kto nic nie daje na wspólne potrzeby, jak i ten, kto trierę na wojnę własnym kosztem wystawi. Wojna prowadzona przez dziesiątki lat uczyła potępiać zachłanny i nienasycony imperializm demokracji, godzącej na wolność bliźnich Hellenów i ich prawo stanowienia o sobie samych. Z podziwem mówiono tu o spartańskiej dyscyplinie, konsekwencji, powadze, czci dla instytucji przodków, która nie pozwalała gonić za jakimiś majakami dlatego tylko, że nowe, i losu państwa i obywateli nie kładła w ręce zawodowego lub przygodnego gębacza na zgromadzeniu ludowym. Lepiej było dawnymi czasy za takiej konstytucji, jaka obowiązywała ojców: był porządek, powaga, sprawiedliwość — i cześć boska. W tej czci wychował się Ksenofont i religijność pozostała mu na całe życie. Nie trapiły go żadne wątpliwości w tym względzie, myśli filozofów na ten temat nie pociągały jego uwagi, był pobożny głęboko, a nawet ostentacyjnie, czym zresztą nie różnił się od ogółu swych rodaków. Bo pobożność Ateńczyków, bez względu na stan i wykształcenie, była wielka, czasem fanatyczna; zarzutem bezbożności można tu było łatwo doprowadzić do upadku przeciwnika, choćby nawet cieszył się zaufaniem i sympatią tłumu.

W wojnie peloponeskiej Ksenofont z powodu młodego wieku nie brał udziału; co najwyżej w ostatnim jej okresie mógł służyć w jeździe, ale to mało prawdopodobne, gdyż nic o tym nie słyszymy. Obdarzony umysłem żywym, łatwo chwytającym myśli, ale nie twórczym,

ciekawie śledził bliźnich swoich, gdyż interesowały go jednostki ludzkie, zwłaszcza oryginały; próbował zrozumieć i scharakteryzować różne osoby, tęsknił do szerszego towarzystwa i czynnego życia, miał niejedno do powiedzenia i umiał to powiedzieć — a tymczasem z tymi, z którymi obcował, trudno było mówić o tym, a z takimi arystokratami jak Platon i jego krewni towarzysko nie stał na równi. Z Platonem poznał się w gronie uczniów Sokratesa, ale czuł niechęć do młodego arystokraty, który w najniesprawiedliwszy sposób — tak się Ksenofontowi zdawało — ignorował jego dobrą wolę i zdolności.

Sokrates umiał zainteresować i przywiązać do siebie pięknego i młodego Ksenofonta. Sokrates zajmował się filozofią ludzką, nie przyrodą, a i dla Ksenofonta człowiek był przedmiotem żywego zainteresowania. Jednak całej głębi filozofa Ksenofont nie rozumiał: widział, że ten człowiek zastanawia się nad zagadnieniami z zakresu etyki, że zachęca słowem i przykładem do pielęgnowania cnoty, ale nie widział w nim tego, który rzuca podwaliny pod naukę — w naszym tego słowa znaczeniu — tworzy metodę naukową i stanowić będzie raz na zawsze epokę w rozwoju myśli ludzkiej. Co prawda, nikt z wielbicieli mistrza tego nie rozumiał; jedynie Platon poszedł drogą nauki; dzięki pielęgnowaniu tych zarodków, które mu w duszę zasiał Sokrates, stał się rodzicem naukowego myślenia, a pośrednio tych wspaniałych wyników nauki, jakie dziś posiadamy.

Między sofistami, nieuznającymi obiektywnej prawdy, a Sokratesem widzi Ksenofont różnicę natury rzeczowej i moralnej, a tymczasem była jeszcze jedna wielka różnica: w metodzie. Weźmy przykład: Jeśli w towarzystwie rozmowa zeszała na temat, czy krokodyl jest szkodliwy, czy pożyteczny, to Protagoras z Abdery powiedziałby, że oba zdania są prawdziwe: krokodyl jest szkodliwy, bo porywa ludzi i bydło, krokodyl jest pożyteczny, bo pożerając padlinę, oddaje ważne usługi sanitarne. — Za pozwoleniem — rzekłby Sokrates — musimy ustalić, nad czym właściwie debatujemy. Co to jest krokodyl? Wiemy wszyscy. Dobrze. Co to znaczy: pożyteczny? Jeśli wszyscy określimy to pojęcie jednakowo, np. pożyteczne jest to, co służy dla dobra człowieka bez czynienia komukolwiek dotkliwej szkody, to wszyscy muszą przyjąć prawdziwość jednego tylko z tamtych zdań, a nie obu. Prawda obiektywna jest dla człowieka możliwa do poznania, tylko trzeba wiedzieć, jak się zabrać do tego. Każde pojęcie należy ściśle określić, posługując się nagromadzonymi przykładami, a nie wychodzić od żadnego jako już znanego, bo tak przemycia się różne błędy i nieścisłości. — Metoda wskazana nie tylko dla etyki naukowej, ale i dla matematyki, której wielbicielem był Platon. Na tę stronę działalności Sokratesa i na najdalsze jej konsekwencje nikt prócz Platona nie zwrócił uwagi, ale powszechny pokłask znalazło zdanie, że „nikt nie błądzi dobrowolnie, ale z niewiedzy”. Zdanie to jest mylne, gdyż nie docenia znaczenia życia uczuciowego w duszy ludzkiej, ale Grekom wydawało się słuszne. Sokrates powiedział to, co każdy Grek czuł. Wszak już poeta Homer mówił o zbrodniarce Klitajmnestrze, iż „zna się na smutnych rzeczach”, a ludożerca Cyklop „zna się na niesprawiedliwości”, tak jakby zbrodnia była wynikiem wiedzy o złu, a nie złej woli.

Zresztą znajomość Ksenofonta z Sokratesem nie mogła trwać długo ani nie mogła wyrzucić na duszy jego tak głębokich skutków, żeby nadać jej piętno na całe życie. Ostatnie lata wojny peloponeskiej wywoływały zbyt wiele napięcia sił i nerwów u Ateńczyków, by kogoś, dla którego praktyka i człowiek zawsze znaczyły więcej niż teoria i przyroda, stać było jeszcze na żywy i głęboki interes dla rozważań filozoficznych, choćby nie tykały zagadnień przyrodniczych. Przecież na r. 406 przypada szalony wysiłek Aten, uwięźnięcie zwycięstwem u wysp Arginuz, na r. 405 klęska nad Ajgospotamoj, na r. 404 oblężenie Aten. Podniecenie umysłów sprawiały: restytucja demokracji po zamachu oligarchicznym z r. 411, odwołanie Alkibiadesa i jego powrót w r. 408, złożenie z urzędu wodzów-zwycięzców z bitwy u wysp

Arginuz, proces wodzów, wybory nowych strategów, podnoszenie głowy przez oligarchię — aż wreszcie po upadku Aten stanęło na czele rządu trzydziestu tyranów i Sokratesowi zakazano przestawać z młodzieżą. O ile by Ksenofont jeszcze służył wojskowo w ostatnich latach wojny, to tym mniej miałby czasu i sposobności na przestawanie z filozofem. Niezmącona niczym sposobność mogła być dopiero po restytucji demokracji i amnestii udzielonej stronnikom rządów trzydziestu, ale Ksenofont wnet po upadku Kritiasa i towarzyszy, bo już w r. 402, wyjechał z Aten na zawsze i nie był nawet świadkiem ostatnich chwil życia swego mistrza, skazanego na śmierć niesprawiedliwym wyrokiem sądu ateńskiego (wiosną r. 399).

Ksenofont żołnierzem-tułaczem. Za rządów trzydziestu tyranów nie znajdował się Ksenofont w opozycji; przeciwnie, jest prawie pewne, że służył za ich panowania w jeździe. Nie bardzo to była zaszczytna służba dla człowieka, którego zdolności wojskowe, wymowa i ambicja uprawniały do najpiękniejszych nadziei na przyszłość. Prawda, że jego ideał polityczny nie pokrywał się z panującymi w Atenach przekonaniem, ale to tym bardziej mogło skłaniać młodego człowieka do służenia ojczyźnie cenną radą i dzielnym czynem. Jednakowoż upadek trzydziestu tyranów nie otworzył mu pola działania; kariery wojskowej nie mógł się spodziewać, bo Ateny, wyczerpane długą wojną, musiały leczyć swoje rany. Nie miał więc sposobności zyskania sławy i zaufania w swe zdolności wojskowe, ani nadziei, że kiedyś, wzrósłszy w lata i doświadczenie, zostanie strategiem. Ani na Zgromadzeniu Ludowym — choć to mniej sympatyczna droga — nie mógł występować i w ten sposób dać się poznać ludowi jako dzielny patriota i tęga głowa. Nie zapomniano mu służby u trzydziestu tyranów; przed prześladowaniem broniło go prawo amnestii, ale wszelka kariera była dlań zamknięta raz na zawsze. Nie powierzono by mu urzędu wybieralnego, bo demokraci nie mieli do niego zaufania; stanowiska urzędników losowanych nie dostałby także, bo odpadłby przy dokimazji, tj. przy badaniu, czy wylosowana jednostka nadaje się do pełnienia swego urzędu. Na razie więc demokracja nie chciała go znać; dobre i to, że zostawiano go w spokoju; ale gdyby się był znalazł zręczny i bezczelny sykofanta i zaskarżył go o jakiś pozór niepolityczny, kto wie, jaki wyrok wydałby sąd. Sytuacja była nieznośna.

Z przykrej zadumy nad tym położeniem wyrwał go list przyjaciela, Proksenosa z Beocji, który wstąpił w służbę królewicza perskiego Cyrusa, naczelnego wodza królewskich sił zbrojnych, tak zwanego Kastolskiego Okręgu, i satrapy Lidii, Frygii Wielkiej i Kapadocji. Przyjaciół wzywał do pójścia za swym przykładem i ofiarowywał swą protekcję. Służba u hojnego królewicza, przypominającego nie tylko imieniem, lecz i przedsiębiorczością swojego sławnego przodka, założyciela wielkości perskiej, rokowała najwspanialsze nadzieje — pobyt w ojczyźnie w najlepszym razie mógł obiecywać wolność od sekatur. Wybór wydawał się nietrudny. Ksenofont jednak, chcąc przynajmniej przed sobą samym mieć usprawiedliwienie, że poszedł za zdaniem człowieka starszego i doświadczonego, zwrócił się do Sokratesa z prośbą o radę. Sokrates nie mógł dać takiej rady, jakiej sobie młodzieniec życzył, bo sprawa była znacznie trudniejsza, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało. Cyrus pomagał Lacedemończykom podczas wojny peloponeskiej, był zatem wrogiem Aten; iść w służbę wroga własnej ojczyzny było czynem wysoce niepatriotycznym. Wprawdzie od dwudziestu kilku miesięcy trwał pokój ze Spartą, a nawet przymierze; Spartanie, dawni nieprzyjaciele, byli teraz sprzymierzeńcami; formalnie biorąc, nie można nic zarzucić obywatelowi, który zaciąga się w szeregi przyjaciela sprzymierzeńców swego państwa. Ale gdyby sprawa kiedyś przyszła przed sąd w formie oskarżenia o zdradę, sędziowie przysięgli nie bawiliby się w prawnicze wywody — to pewna. Odradzać uczniowi mistrz nie mógł także: co do jego filozoficznej przyszłości nie miał żadnych złudzeń i widział, w jakim kierunku idzie prawdziwe jego uzdolnienie. Odesłał go więc do innego doradcy, którego

autorytet Ksenofont razem ze swymi rodakami uznawał bez zastrzeżeń — do wyroczni delfickiej. Jeśli ta odradzi, Ksenofont bez szemrania posłucha; jeśli doradzi, nie ma się co obawiać przykrych następstw: świadkami stwierdzona wyrocznia delficka będzie miała w sądzie swą wagę.

Pobożny Ksenofont, który pragnął za wszelką cenę pojechać na daleki, ciekawy, złote nadzieje rokujący Wschód, zabrał się wcale chytrze do pytania swego boga. Nie spytał, czy lepiej jechać, czy zostać, ale — nie wspominając o celu podróży — zapytał tylko: któremu bóstwu ma ofiarować, by podróż zamierzoną skutecznie i wrócić szczęśliwie.

Wszechwiedzący bóg widocznie nie miał nic przeciw tej podróży, bo wymienił niebian, którym należało złożyć ofiary. Bardzo zadowolony z siebie, zaczął się Ksenofont przygotowywać do odjazdu. Sokrates nie odradzał, ale mocno był nierad z postawionego bogu pytania; był to wprawdzie wybieg często w Grecji stosowany, ale zdaniem mistrza nie należało samemu rozstrzygać, że wypada jechać, tylko o to właśnie wyroczni spytać.

Z początkiem r. 401 lub z końcem 402 był Ksenofont już w Sardes u Cyrusa i wziął udział w wyprawie tegoż przeciw jego starszemu bratu, Artakerksesowi II, którego królewicz chciał strącić z tronu. W jesieni 401 r. przed Chr. przyszło do bitwy opodal Babilonu (pod Kunaksą); wojsko królewskie zostało pobite, ale młody pretendent do tronu padł w boju. Król perski łaskawie przebaczył swym poddanym, którzy walczyli u boku Cyrusa, ale Greków postanowił zniszczyć, by nikomu z Europejczyków na przyszłość nie wpadło na myśl wyprawiać się przeciw królowi perskiemu. W zdradliwy sposób wymordowali Persowie zaproszonych na rozmowę wodzów i setników greckich. Zagłada byłaby spotkała zaciężne wojska greckie w samym środku olbrzymiego państwa perskiego, gdyby nie śmiałe wystąpienie Ksenofonta, który przemową swą pozyskał zaufanie wojska. Wybrany jednym z wodzów, nadludzkim wysiłkiem woli i myśli, radząc, rozkazując, świecąc przykładem, organizując, wśród walk z wrogiem, z trudnościami drogi, brakiem żywności, mrozem, rozpaczą i zwątpieniem doprowadził żołnierzy do brzegów Morza Czarnego, zamieszkałych przez Greków.

Nie skończyły się tu cierpienia Greków. Spartanie, którzy wówczas sprawowali rządy wszędzie, gdzie tylko istniało miasto greckie niepodległe — mieli przecież hegemonię po pobiciu Aten — dokuczali wojsku greckiemu i pracowali nad jego rozsypką, bądź to ze względu na bezpieczeństwo i spokój owych okolic, bądź to dla udowodnienia zwycięskiemu królowi, że Sparta nic nie wiedziała o buncie Cyrusa i nie popierała go; a może także z brudnych egoistycznych powodów spartańscy dygnitarze tak działali: chcieli pokazać i dać odczuć swą władzę, i otrzymać zapłatę za swe usługi od granicznych satrapów perskich. Ksenofont z częścią żołnierzy, przeprawiwszy się pod Bizancjum na stronę europejską, wstąpił w służbę króla trackiego Seutesa (mimo że właściwie zamierzał wrócić do Aten). Doznali tu jednak pewnego zawodu, toteż wszyscy z ochotą zaciągnęli się w służbę Sparty, która tymczasem wydała wojnę Persji. Ksenofont odprowadził wojsko do Azji i oddał je wodzowi spartańskiemu, Tybronowi, a sam wybierał się do ojczyzny. Nie wykonał jednak tego zamiaru i został przy wojsku spartańskim, a w 396 r., kiedy naczelne dowództwo objął sam król Agesilaos, dostał się do jego boku i stał się jego przyjacielem i wielbicielem w nie mniejszym stopniu jak dawniej Sokratesa.

Dlaczego Ksenofont nie wrócił do ojczyzny? Może dowiedział się od znajomych w jeździe attyckiej, wysłanej do Azji na pomoc Sparcie, co zaszło z Sokratesem podczas jego nieobecności. Obrzydła mu nagle utęskniona ojczyzna; do miasta, które miało na sumieniu śmierć ukochanego mistrza, nie miał powodu śpieszyć, a może i obawiał się wrócić. Agesilaosa umiłował Ksenofont i uwielbiał go. Zawsze żywił podziw dla spartańskiej

karności, nie lękał się władzy i nie wietrzył absolutyzmu i tyranii, jak jego demokratyczni rodacy; dzięki swym doświadczeniom był zwolennikiem konstytucyjnej monarchii, a wzorem takiego monarchy był dlań Agesilaos. Szedł w ślady króla Sparty, nie dbał, jaka będzie jego własna dola i jak ułoży swój stosunek do ojczyzny. Natomiast król spartański chętnie korzystał z doświadczenia Ksenofonta, który poza znajomością Persów i ich sposobu wojowania przedstawiał w sobie ogromną wartość attyckiej kultury i tych walorów, jakie daje wykształcenie samodzielnej myśli w przeciwstawieniu do tępej tresury, strupieszalej rutyny i leniwego wleczenia się drogą tradycyjnych zwyczajów i nałogów. Możemy się domyślać, że Agesilaos oceniał dobrze Ksenofonta, ale wiemy, że Ksenofont ani nie przeczuwał znaczenia i wartości ateńskiej kultury, którą wyróżniał się w otoczeniu króla.

Jeżeli Ksenofont wraz z 10.000 Greków, bez żadnej przewodniej idei, a tylko dla ocalenia życia, zdołał się wyratować z centrum państwa perskiego i dojść aż do najdalszych jego krańców, coź by zdziałała armia licząca więcej niż 10.000 hoplitów, z odpowiednią ilością lekkozbrojnych i kawalerii, która wyprawiałaby się do Azji z pięknie brzmiącym hasłem, że zrzuci jarzmo perskie z jęczących pod nim Greków małoazjatyckich, że skruszy kajdany krępujące Egipt, kolebkę ludzkiej kultury, uwolni Syrię, uniezależni Pamfilię, Cylicję, Karię itd. Było to jasne dla króla perskiego. Niewątpliwie, po zdobyczach Agesilaosa nie miałby później Aleksander Wielki co zdobywać, gdyby Artakserkses nie był w porę zapobiegł katastrofie. Już Agesilaos zajął był Sardes, już państwo perskie trzęsło się w posadach, gdy Persom udało się podburzyć przeciw Sparcie jej nieprzyjaciół w Grecji. Za podszeptem Persji przysłała do skutku koalicja Teb, Argos, Koryntu i Aten, i wybuchła tzw. wojna koryncka (395–387). Spartanie, poniosłszy klęskę w bitwie pod Haliartos w 395 r., w której padł Lizander, odwołali Agesilaosa z Azji. Ten niezwłocznie usłuchał wezwania, wrócił do Europy, a gdy pod Koroneją w Beocji zastąpili mu drogę Ateńczycy wraz ze sprzymierzeńcami, przełamał ich zwycięsko (394) i ruszył dalej na Peloponez. Osiem lat blisko wlokła się wojna; militarnie bezsilna Persja kierowała wypadkami, a wreszcie podyktowała pokój (tzw. pokój królewski albo Antalkidasa).

Po krótkim szczęściu znowu tułaczka. Od bitwy pod Koroneją jest Ksenofont ubogim wygnańcem, zdanym na łaskę Sparty, gdyż Ateńczycy za udział w bitwie przeciw własnej ojczyźnie skazali go na wygnanie, z czym łączyła się konfiskata majątku. Ksenofont nie odstępował od boku Agesilaosa w Sparcie, pod koniec wojny nawet prawdopodobnie tu się ożenił. Prawa obywatelstwa Spartanie mu nie dali, bo pod tym względem byli bardzo ekskluzywni, ale obdarzyli go posiadłością wiejską w Skilluncie (w Elidzie), niedaleko Olimpii, sławnej siedziby igrzysk panhelleńskich. Przybył tu Ksenofont z żoną Filezją i dwoma synkami, Gryllosem i Diodorem. Żył spokojnie i szczęśliwie na łonie rodziny; żaden grecki pisarz prozaiczny z czasów przedchrystusowych nie umie tak ciepło i serdecznie mówić o żonie, jak Ksenofont. Polowanie, uprawa roli, hodowla koni, przyjmowanie gości, wypełniały mu czas; czytał zapewne i starał się dowiedzieć, co się stało z dawnymi jego znajomymi, którzy rozproszyli się po świecie.

Ale zaskoczył go niespodziany cios. W 372 r. ponieśli Lacedemończycy klęskę w bitwie pod Leuktrami w Beocji. Hegemonia przeszła na Beotów, Peloponez powstał przeciw Sparcie, Ksenofont z rodziną musiał uciekać ze Skilluntu i po dłuższej tułaczce osiadł w Koryncie. Sparta weszła teraz w przymierze z Atenami. Odwołano wygnanie Ksenofonta, pewno i synów jego przyjęto w poczet obywateli ateńskich; ale Ksenofont do Aten nie wrócił. Jedynie synów tam wysłał, by służyli w ateńskiej konnicy. Iściło się teraz jego marzenie, przymierze dobrowolne Sparty i Aten — tej sile nikt się na świecie nie oprze. Niestety, w jakich warunkach dokonało się to zjednoczenie! Staruszek Ksenofont musiał być mocno

przygnębiony: inaczej wyobrażał sobie zgodę Sparty i Aten; to nie były świetne i sławne Ateny, nie był to potężny i wojenny Lacedemon. Niewiele pomogło to przymierze przeciw Beocji. W 362 r. pobił Epaminondas pod Mantineją w Arkadii zjednoczone siły ateńskie i spartańskie, choć sam padł na polu bitwy. Sparta straciła wszelkie znaczenie, nie tylko w Grecji, ale i w Peloponezie. Teby nie umiały po śmierci Epaminondasa godnie piastować tego, co odebrały Lacedemonczykom, Ateny już nie były dawnymi Atenami. Z bólem serca patrzył sędziwy Ksenofont na bezład i wewnętrzne szarpanie się Grecji. Pod Mantineją padł syn jego, Gryllos, a nie było nawet tej pociechy, że śmiercią swą okupił jakąś korzyść dla swej ściślejszej ojczyzny czy całej Hellady. Wkrótce potem umarł Agesilaos. Od czasu zamieszkania w Koryncie szukał Ksenofont pociechy dla siebie i upustu dla swej energii w pracy literackiej. Po stracie drogich osób jeszcze usilniej poświęcił się piśmiennictwu. Umarł w Koryncie, wkrótce po r. 355, w podeszłym wieku, bo liczył z górą lat siedemdziesiąt.

II

Pisma Ksenofonta. Gdy Ksenofont wystąpił jako pisarz, piśmiennictwo attyckie dawno już się rozwinęło, językiem literackim, w całej Grecji zrozumiałym, od dawna był dialekt attycki. Jeszcze za młodości lat Ksenofonta czytano w Atenach mowy Antyfonta Ramnuzyjskiego; wcześniej jeszcze, kiedy był chłopcem, krążyła z rąk do rąk broszura nieznanego oligarchicznego autora, pt. Ustrój ateński. Historia Tukidydesa była pierwszym wielkim dziełem historycznym, pisanym nie po jońsku. Ksenofont nie torował więc drogi ani też nie doskonalili początków prozy attyckiej, bo jego występ przypada na czasy, kiedy najpotężniejsi attyccy pisarze i styliści większą część swych dzieł już byli napisali. Znany już był w szerokim świecie filozof Platon, mówcy Lizjasz i Isokrates.

Pisma Ksenofonta powstały w przeciągu krótkiego czasu; nie widać w nich żadnego rozwoju indywidualności autora, poglądów lub stylu, ale za to wiele podobieństw w myślach, a nawet dłuższych, dosłownych powtarzań się. Zachowały się wszystkie pisma Ksenofonta, dostały się między nie także nieautentyczne, przez pomyłkę (Ustrój ateński) lub świadome fałszerstwa (Listy). Dzisiejszy stan nauki nie pozwala na ściśle określenie dat ich powstania; nawet co do tego, czy pisał w Skilluncie jeszcze, czy dopiero w Koryncie, różnią się w swych zdaniach uczeni. Tyle tylko można z pewnością powiedzieć, że ostatnim dziełem Ksenofonta jest małe pismo O dochodach z r. 355, i to jest ostatnia data z jego życia. Do ostatnich lat należą też Dzieje Grecji (Hellenika), Cyropedia i Agesilaos, prawdopodobnie zaś do dzieł najwcześniejszych należy Anabaza, która przedstawia wyprawę Cyrusa i odwrót zaciężnych Greków, a odznacza się nadzwyczajną świeżością i żywością opowiadania. Ale i to najwcześniejsze dzieło przypada na czas po bitwie pod Leuktrami (r. 371), gdyż Ksenofont wyraźnie (VI 6, 9) tłumaczy czytelnikowi znaczenie Lacedemonczyków słowami, że w czasie wyprawy Cyrusa hegemonię w Grecji posiadali Spartanie. A więc w chwili, kiedy autor to pisze, hegemonię tę Spartanie stracili. Z pism odnoszących się do Sokratesa naturalne jest przyjąć Wspomnienia o Sokratesie za wcześniejsze niż Ekonomik, a ponieważ Ekonomik czyni aluzję do Anabazy, mielibyśmy porządek taki: Anabaza, Wspomnienia o Sokratesie, Ekonomik itd.

**Anabaza*.* Anabaza nie jest pisana w formie pamiętnika, lecz mówi o Ksenofoncie w trzeciej osobie. Nie była ona jedynym przedstawieniem wyprawy Cyrusowej i przygód greckich żołnierzy, starających się wrócić do ojczyzny. Napisał taką anabazę Sofajnetos ze Stymfalos, jeden z wodzów tej sławnej wyprawy, a Ksenofont, dotknięty tym, że zasługi jego

około ocalenia Greków nie były dostatecznie uwydatnione, wydał pod pseudonimem Temistogenesa z Syrakuz własną Anabazę, w której wymierzył sobie pełną sprawiedliwość. Dzieło to jest najdoskonalszym utworem Ksenofonta, znalazło wielu wielbicieli dla jego talentu, a czar i urok opowieści zyskał dla autora wiarę; nie zastanawiano się nad pytaniem, czy przedstawienie nie jest tendencyjne, a wiarę tę i podziw przeniesiono i na inne dzieła Ksenofonta, choćby były mniej godne podziwu i nie miały pretensji do tego, aby uchodzić za historycznie wiarogodne.

Wspomnienia o Sokratesie (Pamiętniki, Memorabilia).

Ksenofont pilnie rozczytywał się w książkach odnoszących się do ukochanego mistrza Sokratesa. Literatura o nim była duża; postać Sokratesa, idealizowana, stała się niemal przedmiotem mitu. Pisał o nim nie tylko Platon, ale i inni uczniowie, jak Antystenes i Ajschines, lecz w dialogach, jakie rzekomo wiodł mistrz ze swymi uczniami, widział Ksenofont wiele niedokładności i złośliwości skierowanej przeciw pewnym jednostkom. Przecież to była najwidoczniejsza złośliwość, że Platon nigdzie ani jednej wzmianki o Ksenofoncie nie uczynił. Natomiast bardzo mu się musiało podobać, że Ajschines w dialogu pt. *Aspazja* przedstawia rozprawy Ksenofonta i jego małżonki z Aspazją, żoną Peryklesa (więc chyba Ksenofont już jako niemowlę był żonaty!). Przedstawienie Sokratesa u Platona pewnie go nie zadowalało; przecież Sokrates wiecznie tam przemyśliwa nad czymś, mędrkuje, wątpi, zapędza w kozi róg przyzwoitych ludzi swymi pytaniami — to chyba nie było żadną obroną człowieka skazanego na śmierć za bezbożność i za przejście się zasadami mędrkujących filozofów ku zgorszeniu starszych i demoralizacji młodzieży. A w końcu wpadła mu w ręce książeczka sofisty Polikratesa, napisana po r. 390, pt. *Oskarżenie Sokratesa*, w której autor, wkładając mowę w usta Anytosa, najpoważniejszego z oskarżycieli Sokratesa, stawia rozmaite zarzuty filozofowi oskarżonemu przed sądem. Jest to jakby reakcja na platońską *Obronę Sokratesa* i tendencje sokratyków, pragnących otoczyć swego mistrza jakąś aureolą świętości i męczeństwa. Dziełko Polikratesa oburzyło Ksenofonta: nie mógł ścierpieć takiej obrazy pamięci ukochanego nauczyciela i chwycił za pióro w obronie jego przeciw atakowi, który już dawno był wymierzony i dawno a dobrze został odparty. Ale Ksenofont spodziewał się, że obroni go lepiej i skuteczniej: Ateńczycy nie mieli już do niego urazy od czasu odwołania banicji, a w świecie znaczył coś głos Ksenofonta, nie kręckiego i mędrkującego sofisty, ale szczerego i sławnego żołnierza...

Zaczyna od obrony Sokratesa przeciwko sądowemu oskarżeniu i wedle punktów jego zbija zarzuty bezbożności i psucia młodzieży, zbija dalej zarzuty Polikratesa, a po tych dwóch rozdziałach pierwszej księgi stara się podać rozmowy, jakie Sokrates prowadził z innymi, jak ich doskonalił i umoralniał, jakie miał zdrowe zasady i jak niczym a niczym nie różnił się od powszechnie przyjętych przekonań. Ksiąg tych razem jest cztery; nie widać tu żadnej rozsądnej dyspozycji, układ jest raczej chaotyczny, zresztą od książki zatytułowanej *Wspomnienia* nie powinno się wymagać ścisłego układu. Występujący tu Sokrates to z pewnością nie historyczny Sokrates, ale Ksenofontowy. Wygłasza on zasady nieraz może sprzeczne z poglądami historycznego Sokratesa (np. o pobożności) lub mówi o rzeczach, na których Ksenofont z pewnością więcej się rozumiał aniżeli Sokrates, mianowicie filozof udziela swych uwag o kawalerii rotmistrzowi, o wojsku i karności wodzowi.

W ogóle książka cała jest literacką fikcją, a nie wspomnieniami o historycznej wartości, fikcją literacką nawet tam, gdzie Sokrates występuje w świetle takim, w jakim zwykliśmy go widzieć, np. kiedy uczy syna wdzięczności dla matki albo bratu Platona wybija z głowy przekonanie, że już w tak młodym wieku jest tęgim politykiem. Prawda, że niejeden szczegół może być historyczny, ale z tego nie wynika, by całą książkę można było traktować jako historyczne źródło. Ksenofont świadomie traktował rzecz jako literacką i przeciwstawiał

innym literackim rzeczom o Sokratesie, nikogo w błąd nie chciał wprowadzić i wiedział, że nikogo obznajomionego z literaturą w błąd nie wprowadzi. Zresztą, jeśli chodzi o treść nauki Sokratesa, a nie o historyczność poszczególnych rozmów, to w tym starał się nie zmyślać; ale z konieczności, nie ze złej woli, włożył własne przekonania w usta Sokratesa i wyidealizował go na swój sposób; że zaś nie miał polotu i tej głębi ducha co Platon, więc mistrza strywializował i spowszechnił. A zatem spór, czy myśliciel-poeta Platon, czy też „historyk” Ksenofont zasługuje więcej na wiarę przy przedstawieniu Sokratesa, jest zupełnie bezprzedmiotowy. Do jakiego stopnia byli sokratycy pobłażliwi dla historycznych nieścisłości, świadczy wyżej wspomniana Ajschinesowa Aspazja lub Platonowy Meneksenos, w którym Sokrates i Aspazja rozmawiają ze sobą jako żyjący jeszcze w r. 386, a więc w trzynastcie lat po śmierci Sokratesa; Aspazja, która zrodziła Peryklesowi syna około 445 r. i przeżywszy męża (Perykles zm. w 429), wyszła za mąż po raz drugi za jego przyjaciela, Lizyklesa, umarła jeszcze w czasie wojny peloponeskiej, a więc przed śmiercią Sokratesa.

Niektórzy sądzą, że dwa pierwsze ustępy Wspomnień, zawierające obronę Sokratesa, wyszły znacznie wcześniej niż reszta pamiętników. Jest to możliwe, ale trzeba pamiętać, że między pierwszą księgą a ostatnią jest odstęp czasu nieduży. Te same mylne zapatrywania na proces wodzów z bitwy u wysp Arginuz (r. 406) spotykamy tu i tam, kiedy tymczasem w Hellenikach sprawa jest przedstawiona zgodnie z historyczną prawdą. Więc podczas pisania Wspomnień nie miał Ksenofont jeszcze materiałów do pierwszej księgi swojej historii i pisanie dziejów nie przerywało mu pracy nad pamiętnikami. Trudno jednak przypuścić, by Wspomnienia, po ogłoszeniu pierwszych dwóch rozdziałów, zaczynały się od zdań: „Chcę opisać, jak on...” — więc bez imienia Sokratesa. A jaki tytuł miałyby oba te rozdziały, ogłoszone osobno? Najprostsza przyjąć, że oba rozdziały wyszły razem z resztą Wspomnień, jako wstęp do nich; co najwyżej można by uważać, że wydane zostały naprzód trzy księgi: księga trzecia, zawierająca rozmowy treści militarnej, politycznej, zawodowej, kończyła się wezwaniem Sokratesa do wstrzemięźliwości podczas uczt. Księga czwarta, stanowiąca niejako streszczone sprawozdanie z działalności i nauki Sokratesa, kończąca się opisem procesu, mogła ukazać się później.

Apologia (Obrona) Sokratesa. Podczas procesu Sokratesa nie był Ksenofont obecny w Atenach; o ostatnich chwilach mistrza swego dowiadywał się z pism sokratyków, a szczególnie z Platona. Wczytując się wielokrotnie w różne Obrony Sokratesa, rozumiał coraz mniej, dlaczego Sokrates nie obronił się skutecznie. Pamiętniki swoje o nim rozpoczął od słów, że dziwi go, jak Ateńczycy mogli dać się przekonać oskarżycielom, że Sokrates zasłużył na karę śmierci. Wczytawszy się jednak głębiej w Apologię Platonową i inne, jakie miał w rękach, zrozumiał: doszedł do przekonania, iż Sokrates przeprowadził swą obronę tak, że wyrok skazujący był tylko prostą konsekwencją jego dumnego sposobu przemawiania wobec sędziów i obraźliwego tonu, na jaki sobie podczas obrony pozwalał. Nie tylko sędziów nie prosił i nie poniżył się przed wysokim trybunałem, ale nawet zarzutów oskarżycieli nie raczył zbijać faktami i świadkami, co by mu było przyszło z największą łatwością. Teraz Ksenofont pytał samego siebie ze zdumieniem, dlaczego Sokrates tak postąpił. Odpowiedzi na to szukał na próżno w różnych apologiach Sokratesa. Gdyby był głębiej myślącym człowiekiem, wystarczyłby mu Platon ze zdaniem, że dla człowieka szlachetnego dyrektywą działania jest nie obawa śmierci, lecz sprawiedliwość — szlachetny człowiek nie ma tyle czelności, by ważyć się na każdy czyn i każde słowo, byle uniknąć śmierci. Więc Sokrates obawiał się takiego kroku lub słowa, które by nie było odpowiednie jego godności, ale śmierci się nie lękał. Nie krępował się w mowie: jeśli sędziom to nie wystarczało, cóż go to mogło obchodzić — on czynił swoje. Ksenofont, nie znalazłszy w żadnej apologii należytego — jego zdaniem — uzasadnienia Sokratesowego stanowiska, postanowił wypełnić tę

dotkliwą lukę piśmiennictwa sokratycznego; przy sposobności miał zamiar sprostować niejedno z Platonowej Obrony. Wydał więc sam niewielką Apologię Sokratesa, w której przede wszystkim uzasadnia ów dumny i nieugięty sposób przemawiania. Jako utylitarysta domyśla się, iż Sokrates uważał, jakoby lepiej dlań było umrzeć niż żyć, i dlatego w swej obronie sądowej postępował tak, że proces zakończył się wyrokiem śmierci. Innymi słowy: sąd był tym narzędziem, przy pomocy którego Sokrates popełnił samobójstwo — w młodszych wiekach byłby postąpił inaczej.

Szczególnie trudne jest zagadnienie stosunku Apologii do IV księgi Wspomnień o Sokratesie. I tu bowiem spotykamy uwagi o obronie Sokratesa przed sądem, tak samo jak w Apologii, i to nie tylko te same myśli, ale i te same zdania, słowo w słowo. Jeżeli IV księga Wspomnień była napisana wcześniej, to po co pisał Ksenofont jeszcze Apologię i przepisywał sam siebie? Wzmianka o śmierci Sokratesa była wcale dobrym zakończeniem dzieła o jego życiu i nauce. Jeśli zaś Apologia wyszła wcześniej, po co autor przepisywał z niej dosłownie ustępy do nowego dzieła? Najprostszym wyjściem wydało się wielu uczonym uznać Apologię za nieautentyczną, ale to jest raczej wykręcanie się z trudności, a nie ich wyjaśnienie. Kto by omawiane piśmiennictwo sfalszował, musiałby mieć tak gruntowną znajomość psychologii Ksenofonta, jakiej nie spotykamy nawet u starożytnych fałszerzy, którzy podrobili listy Ksenofonta, twór niewątpliwie nieautentyczny, oparty na mylnych wiadomościach, jakich o Ksenofoncie ówczesne podręczniki literackie dostarczały. Ten, kto by miał podrobić Apologię, musiałby być Ksenofonta poznać na wskroś, i to nie z nauki o nim, lecz z samodzielnego wczytania się w jego pisma, przejrzenie do głębi jego duszy i sposób myślenia, nie dając się oczarować stylowi i dobrej opinii autora, a tego trudu i poznania owocem miałyby być maluchna książeczka. Wszystko to jest mało prawdopodobne. Przepisywanie siebie samego nie jest dowodem przeciw autentyczności, bo Ksenofont przepisuje siebie częściej, np. Agesilaos ma duże ustępy z Hellenik, przepisane dosłownie. Agesilaosowi także zarzucano nieautentyczność, ale pisarze starożytni, jak Nepos i Plutarch, stwierdzają autentyczność tego dzieła.

Dziś zatem większość uczonych nie odmawia autorstwa Ksenofontowi. Po ukończeniu III księgi Wspomnień, rozważając zalety Sokratesa, coraz mniej rozumiał powody skazania go na śmierć, zresztą przyznaje się do tego na początku Wspomnień. Rozpoczął na nowo wczytywać się w różne apologie i zrozumiał: wina leżała w samym Sokratesie, niejasne tylko było, dlaczego on tak postąpił, by wywołać wyrok skazujący. Autor nasz postanowił to rozpatrzyć i uzupełnić braki Platona. By harmonii dziełka, rozpoczynającego się od oświadczenia, iż nie rozumie powodów skazania Sokratesa, nie psuć ustępem stwierdzającym, że powód śmierci Sokratesa jest już dlań zrozumiały, by przeciwstawić się Platonowi nie tylko zawartością nowej książeczki, ale i tytułem, wydał swą pracę osobno, pt. Apologia Sokratesa. Kiedy później postanowił zakończyć swe prace o Sokratesie księgą IV, dodał ustęp przepisany z Apologii, gdyż wtedy wydawało mu się, że znalazł godne zakończenie dzieła, zatytułowanego: Wspomnienia o Sokratesie.

Sympozjon. W III księdze Wspomnień wzywa Sokrates do wstrzeźliwości podczas uczt. Przy tym nasunęło się Ksenofontowi na myśl, że właściwie powinien wystąpić przeciw Platonowemu dziełu pt. Uczta (Sympozjon) — w którym Sokrates nie jest wcale apostołem wstrzeźliwości — i poprawić to, co u Platona jest nieodpowiednie. Grecki wyraz sympozjon nie odpowiada polskiemu wyrażeniu „biesiada” lub „uczta”. Jest to raczej druga część uczy, poświęcona picu i zabawianiu się rozmową, śpiewami, improwizowaniem, a więc pracą intelektualną, do jakiej wzywać uczestników dzisiejszej uczy, cierpiących na niedorozwój mózgu lub przepracowanie, brakłoby nam odwagi. Dlatego lepiej zachować w

tytuł grecki wyraz sympozjon niż zastępować go polskim, który by wprowadzał pewne zamieszanie pojęć. Platonskie Sympozjon jest — myślał Ksenofont — za mało zgodne z przebiegiem rzeczywistych biesiad, Sokrates schodzi tam na plan dalszy, nie moralizuje, lecz wygłasza jakieś filozoficzne, dla przeciętnego czytelnika niezrozumiałe wywody. Pod względem moralnym Sympozjon Platona jest wprost szkodliwe, a wobec Sokratesa oszczerce. Przecież pijany Alkibjades, przedstawiony tam wcale sympatycznie, Sokrates nie potępia rozwielnionego w Grecji zwyczaju kochania się w pięknych młodzieńcach zamiast w osobach płci żeńskiej, a pod względem wytrzymałości w pijaństwie przewyższa wszystkich: pije noc całą, a gdy innych sen zмага, on idzie nad ranem bez zawrotu głowy do swych zwykłych zajęć. — Ksenofont postanowił napisać lepsze Sympozjon, nie mniej ładne jak Platona; chciał mistrza swego pokazać w roli wesołej wprawdzie i pogodnej, ale zawsze moralizującego i uszlachetniającego swoje otoczenie. I tak, dzięki rywalizacji z Platonem, udało się Ksenofontowi urocze dziełko, najpiękniejsza i najlepsza rzecz jego obok Anabazy, choć naturalnie wspaniałego dzieła Platona zaćmić nie może ani porównania z nim nie wytrzymuje. Nie walczył tu Ksenofont z formą i materiałem, jak we Wspomnieniach, więc udało mu się nawet zgrabnie całość ugrupować, podczas gdy w innych dziełach dyspozycja mniej mu się udaje; zużytkował tu wszystko, czego nauczył się z lektury Platona, Antystenesa i innych, i spożytkował swe odczytanie w poezji i wspomnienia swoje, i rozmowy z towarzyszami, uczniami Sokratesa.

Uczta odbyła się rychło po pokoju Nikiasza (r. 420 przed Chr.); gospodarzem jest Kallias, syn Hipponika; przyjmuje gości z racji uroczystego święcenia zwycięstwa, jakie odniósł podczas panatenajskich igrzysk umiłowany przez niego Autolikos, syn Lykona. Przed oczyma staje nam uczta grecka, pieczeniarsko-wesoła, który żyje z tego, że zjawia się na biesiadach nieproszony, sympozjon, czyli picie w drugiej połowie biesiady, zabawianie gości sztuczkami kuglarskimi i przedstawieniem mimicznym; słyszymy rozmowę gości i mowę Sokratesa. To wszystko opowiada nam autor jako naoczny świadek, co naturalnie jest fikcją, gdyż Ksenofont w czasie tej uczty nie miałby jeszcze lat dziesięciu, jak to już niektórzy starożytni zauważyli. Poczytywać Sympozjon Ksenofontowe za dokument o znaczeniu historycznym byłoby naiwnością. — Jeżeli Ksenofontowi w Anabazie dyspozycja się udała, to dlatego, że opowiada po kolei fakty; jeśli w Sympozjon nie spotykamy chaotyczności, to dlatego, że Ksenofont niejedną ucztę widział i że miał już poprzednika w Platonie. Udatnie kreśli nastroje, zręcznie przechodzi z jednej myśli do drugiej: Wesołek naśladuje komicznie produkcje dzieci syrakuzńskiego kuglarza; uwagi Sokratesa na temat widzianych produkcji; po ponownej próbie zabawienia gości produkcją artystów zachęca Sokrates gości, by zabawiali się rozmową, i każdy ma na dany temat coś powiedzieć. Z tego wynika żartobliwy spór Sokratesa i Krytobula o to, kto z nich piękniejszy; wyrok wygłaszają dzieci produkujące się kuglarskimi sztuczkami. Wnet i Syrakuzńczyk złośliwie przycina Sokratesowi, obrażony, że skutkiem jego wtrącenia się przestał być razem z dziećmi swymi tym, co zabawiał całe towarzystwo. Sokrates, człowiek głębokiego serca, nie obraża się, łagodzi Syrakuzńczyka i skłania go, by urządził z dziećmi przedstawienie dla gości, mniej niebezpieczne i denerwujące niż dotychczasowe popisy. Gdy Syrakuzńczyk czyni przygotowania, wygłasza Sokrates mowę o miłości — metoda Homera: podczas gdy Hektor idzie do miasta, odbywa się pojedynek Glaukosa i Diomedesa (Iliada ks. VI) — z aluzjami do Platona i cytatami z niego. Kończy wszystko mimiczne przedstawienie wesela Bakchosa i Ariadny, niejako hymn na cześć miłości małżeńskiej.

Dawniej sądzono, że to raczej filozof Platon opierał się w przedstawieniu swej uczty na historyku Ksenofontcie, który dał sprawozdanie z rzeczywistej biesiady, jaka odbyła się u Kalliasa. Platon miał wziąć od Ksenofonta pomysł i pewne motywy, uszlachetnił je, i w ten

sposób tłumaczy się wzajemna zależność obu dzieł od siebie. Dziś jednak, kiedy widzimy, że „historyczność” Ksenofonta w sokratycznych dialogach nie jest wielka, kiedy pisma jego datujemy na czas późniejszy niż r. 371 (Platona Sympozjon pochodzi z lat 381–378), a spotykamy pewne wspólne zdania, które lepiej się objaśniają jako cytaty z Platona lub aluzje do Platonowych myśli u Ksenofonta niż na odwrót, lub niż cytaty ze wspólnego źródła, albo też i powiedzenia wskazujące bitwę pod Leuktrami jako wypadek minionej doby — uznajemy za nieprawdopodobne, by myśliciel-poeta Platon zapożyczał się w swych twórczych pomysłach od Ksenofonta, któremu zawsze lub prawie zawsze ktoś inny poddawał pomysły.

Hieron. Ksenofont wiele rozmyślał nad organizacją państwa, sztuką rządzenia, wojskowością itp. tematami, które na owe czasy były mocno aktualne i wywoływały całą powódź pism i pisemek, dziś niezachowanych. Od upadku potęgi lacedemońskiego państwa, którego ustrój powszechnie był uznany jako najlepszy, kwestia ta stawała się ciekawsza i pilniejsza. Ksenofont czytał owe pisma, znał rozprawę wygnanego ze Sparty króla Pauzanasza, Lizandrowego przeciwnika, czytał broszurkę Tybrona, Lizandrowego zwolennika i byłego wodza w wojnie z perskimi satrapami w 399 r., studiował ogromne dzieło Platona pt. *Rzeczpospolita*, i postanowił dać możliwość rodakom skorzystania z bogatego zasobu swoich doświadczeń. Najlepiej by było, gdyby — w myśl Platona, że filozofowie powinni rządzić światem — przyjął go na doradcę swego jakiś potężny władca grecki, przy jego radach wprowadził pewnego rodzaju oświecony militarny absolutyzm i dał światu wzór rządów. Platon próbował stać się takim doradcą dla Dionizjosa I w Syrakuzach, ale bezskutecznie. Syn tegoż i następca od r. 367, Dionizjos II, wzywał do siebie Platona, ale na razie mędrzec wahał się. Udał się do niego dopiero w 361 r., lecz tymczasem różni filozofowie śpieszyli na dwór syrakusański. Przybył sofista, niejaki Poliksenos, przeciwnik platońskiej nauki o ideach, przybył sokratyk, Arystyp z Cyreny i miły Ksenofontowi Ajschines z Aten, który zabawił w Syrakuzach aż do 356 r. Rad byłby przybył tam i Ksenofont; uważał, że sam byłby odpowiedniejszym doradcą dla tyrana niż którykolwiek z wymienionych, i nie możemy zaprzeczyć, że słusznie. Był wodzem i żołnierzem, gospodarzem i sportowcem, i znanym sokratykiem, który miał już za sobą pisma filozoficznej treści. Starał się więc zwrócić na siebie uwagę Dionizjosa dziełkiem pt. *Hieron*. — Tyran syrakusański Hieron i poeta Symonides z Keos zastanawiają się, czy szczęśliwsze życie tyrana, czy prywatnego człowieka. Życie tyrana odmalowane ciemnymi barwami — jednakowoż tak mądry człowiek jak Symonides umie podać niejedną radę, która by się tyranowi przydała i mogła los jego poprawić. — Jednak Dionizjos nie chciał korzystać z dalszych rad autora; całe dziełko musiało mu się wydawać nietaktownym atakiem na zmarłego ojca.

Cyropedia (Wychowanie Cyrusa). Doświadczenia Ksenofonta nie miały przecież zginąć z nim razem. Umyślił napisać wielkie dzieło i przedstawić, jak wychowuje się władca, który w trudnych warunkach wojennych umie rządzić państwem złożonym z różnojęzycznych elementów i różnych kultur. Tak powstało dzieło pt. *Wychowanie Cyrusa (Cyropedia)* — powieść tendencyjna, nie praca historyczna — w którym autor przedstawia wychowanie Cyrusa, jego żywot i wojny, nie licząc się skrupulatnie z historią, lecz zmieniając fakta dla moralizującego przykładu. Nie dba też o anachronizmy, gdyż nie pisze historii, lecz kreśli obraz państwa idealnego. Persów idealizuje, ale na końcu swego dzieła (ostatni ustęp ks. VIII) stwierdza, że dzisiejsi Persowie daleko odbiegli od swych przodków. Dzieło to mieści obok opisów bitew lub zwyczajów zajmujące nowelistyczne opowiadania; jest pierwszym „klasycznym dziełem teoretyczno-wojskowym” i jedyną zachowaną powieścią historyczną. Prócz Platońskiej *Rzeczypospolitej* i Ktezjasza *Dziejów Persji*, którego wpływowi — zdaje się — zawdzięczają swe powstanie takie ustępy jak o Pantei, wpłynęły na autora dzieła

Antystenesa (niezachowane), mianowicie powieść wychowawcza Herakles i drugie dzieło, pt. Cyrus, które zapewne pouczało, jak trudy i prace zdobyły dla perskiego królewicza panowanie nad Azją. Ostatni ustęp z Cyropedii, zawierający porównanie dawnej Persji z dzisiejszą, uważa się za nieautentyczny, ale bez wystarczającej racji. Taki ustęp musiał się cisnąć pod pióro Ksenofontowi, przedstawiającemu idealne postaci starożytnych Persów, tak różne od współczesnych, znanych jemu i rodakom. Dzieło zostało ukończone po r. 361.

Dzieje Grecji (Hellenika). Jako autor Anabazy czuł się Ksenofont może powołany do pisania historii. Znał i podziwiał Tukidydesa historię wojny peloponeskiej, urwaną na roku 411. Postanowił zatem kontynuować ją i objąć okres dziejów helleńskich od r. 411 aż do bitwy pod Mantineją. W dwóch pierwszych księgach kończy wątek urwany przez Tukidydesa, od księgi III do VII opowiada dzieje lat od końca wojny peloponeskiej do r. 362. Učení uważają, że te dwie części wyszły osobno, w znacznych odstępach czasu; ale wobec tego, że nawet I księga Hellenik — jak to widać z opowiadania o procesie wodzów z bitwy u wysp Arginuz — powstała po Wspomnieniach (w latach sześćdziesiątych), nie ma powodu nie wierzyć, że wszystkie księgi uplanował autor jako jedną całość po r. 362.

Autor stoi znacznie niżej od Tukidydesa. Czasami jest tak zwięzły i niejasny, że przypuszczano, iż mamy do czynienia ze streszczeniem dzieła Ksenofontowego, a nie z oryginalnym dziełem. Jednak przypuszczenie to jest niesłuszne: widzimy staranność kompozycji w niejednym szczególe, opuszczenie jakiejś rzeczy, by ją w innym związku w artystyczniejszej całości uzupełnić. Tak np. zamiast wyliczać zbrodnie i opisywać gwałty trzydziestu tyranów, wkłada to wszystko w usta Teramenesa, który swą mową piętnuje rządy Kritiasa i towarzyszy; w ten sposób mamy starannie opracowany kontrast Teramenesa i Kritiasa i słyszymy dwie piękne, zręczne, dobrze charakteryzujące mowy. Tak artystycznie nikt nie streszcza. — Ale autor nie zawsze dobrze zdaje sobie sprawę z tego, co należy opuścić, a co napisać, niejednokrotnie uważa za powszechnie znane to, co wie tylko on lub co wiedzieć mogą tylko współcześni; coś postanawia opowiedzieć później, w innym związku, i w natłoku zdarzeń zapomina o tym. Dyspozycji zrobić nie umie. Niejedną ważną rzecz pominie, a zatrzyma się nad inną, bo go interesuje osobiście. Ważne bitwy (np. Kidzykos) krótko zbyte, fortele wojenne omawiane szeroko. Niemiłe fakta i osoby (Epaminondas i Pelopidas) umie przemilczeć. Barwnie opowiada to, czego sam był świadkiem. Słowem, jest to raczej pamiętnik historyczny aniżeli historia w stylu Tukidydesa, którego naśladować usiłuje. Mimo wszystko dzieło ma wagę ogromną, gdyż jest to jedyne zachowane opowiadanie ciągłe o zdarzeniach tego okresu, podane przez współczesnego pisarza. Miłość prawdy u autora jest wielka. Co najwyżej pozwoli sobie coś przemilczeć, na kłamstwo nie waży się nigdy.

Agesilaos. Po śmierci Agesilaosa w 360 r. napisał Ksenofont pochwałę zmarłego króla na wzór Isokratesowego Euagorasa (pochwały Euagorasa, króla Cypru). Jest to jedyne dziełko Ksenofonta, w którym autor świadomie używa ozdób retorycznych. Korzysta tu ze swoich Hellenik i przepisuje całe ustępy. Mówi o życiu króla, potem o jego charakterze, wyliczając rozmaite jego zalety. Ostatni rozdział podaje w formie rekapitulacji pięknymi zdaniem jeszcze raz charakterystykę Agesilaosa. Ten dodatek dziwił uczonych; przypuszczano, że ustęp ów pochodzi od kogoś, co wydał pismo po śmierci Ksenofonta, i twierdzono, że pomniejsze pisma Ksenofonta wyszły wszystkie po jego śmierci. Jednak to nieprawdopodobne: rzeczy aktualne (a takimi są drobne pisma Ksenofonta) pisze się na to, by je wydać natychmiast, a nie na to, by leżały pod kluczem. Jeżeli Ksenofont pisał tę rzecz w 360 lub 359 r., to mógł ją jeszcze sam ogłosić, bo zmarł dopiero w cztery czy pięć lat później.

Dziwnego w tym ustępie nic nie ma; grupować materiału Ksenofont nie umie, ale w Agesilaosie dyspozycja jeszcze nie najgorsza.

Inne pisma Ksenofonta. W III księdze Wspomnień mówił Sokrates o wojsku, na którym Ksenofont rozumiał się więcej niż jego mistrz. Dlaczego nie mówił o gospodarstwie? Oto gospodarstwu poświęcił nasz autor osobny, ładny dialog, w którym pod względem sztuki współzawodniczy z Platońskimi dialogami. Sokrates rozmawia o gospodarstwie z Krytobulem, podając źródło swej wiedzy w tym zakresie, mianowicie młodego Ischomachosa, który opowiedział Sokratesowi, jakie gospodarskie nauki dawał swej świeżo poślubionej żonie. Piękny ten dialog zatytułowany jest Ekonomik.

Doświadczenia swoje z zakresu hodowli koni i służby w konnicy podał do wiadomości współobywatelom w pisemku O jeździe konnej (Peri hippikes) i Wskazówki dla dowódcy jazdy (Hipparchikos). Ponieważ Tebanie powodzenia swe zawdzięczali w znacznej mierze beockiej udyscyplinowanej jeździe (jazda uważa się za coś wyższego od pieszego żołnierza; tak było i w starożytności; z trudnością dawała się ująć w karby dyscypliny, nawet w XIX w.), był to temat aktualny i pewnie nieraz poruszany. Sam Ksenofont wspomina o niejakiem Symonie, autorze książki O sztuce jeżdżenia konno. — Hipparchik ukazał się na krótko przed bitwą pod Mantineją. Drobne pismo O jeździe konnej wyszło nieco później.

W Wychowaniu Cyrusa wspomina Ksenofont o polowaniu. Sportowi temu poświęcił także osobną książeczkę, mieszczącą pochwałę polowania i praktyczne wskazówki tresowania psów. Jest to Kynegetyk (O polowaniu), przez wielu uczonych uważany za nieautentyczny i znacznie późniejszy. Ale któż by na autora takiego dziełka nadawał się lepiej niż Ksenofont?

Ustrój lacedemoński podnosi zalety ustaw Likurga i chwali tryb życia Spartan. Uczeń datują to pisemko na rok 378 przed Chr., ale bardziej prawdopodobne, że należy do późniejszych dzieł i nie powstało przed r. 371. Ma wiele punktów stycznych z Cyropedią. Również i tu ostatni rozdział mówi, że Spartanie w życiu odbiegli od swych przodków.

O dochodach, ostatnie pismo Ksenofonta, podaje rady dla Ateńczyków, dążących do poprawy finansów państwa.

Nieautentyczne z pewnością są Listy i Ustrój ateński, najstarsze prozaiczne pismo attyckie.

III

Charakterystyka Ksenofonta. Z tego, co wyżej powiedziano, rysuje się wyraźna charakterystyka Ksenofonta. Jest to coś jak nasz Pasek — umysł nie wybitny, ni twórczy, nie orzeł latający górnymi szlakami, jednak człowiek wykształcony — średnio wprawdzie, ale porządnie — doskonały żołnierz, orientujący się i zaradny oficer, znakomity gawędziarz, władający wcale dobrze językiem w mowie, a piórem w piśmie. Zawołany gospodarz; zręczny jeździec i zamiłowany myśliwy; chciwy zysku czasem aż do nagany, jednak nie opuszczający drogi prawa; nie plami ust kłamstwem, ale umiejętnie czasem, pod pozorem naiwności, pomija pewne fakta lub grupuje je tak, że czytelnik nabiera takiego przekonania, jakie dla Ksenofonta jest pożądane. Szczególnie często niewygodne dla siebie rzeczy przemilcza. Wynikają z tego czasem dla dzieła nawet pewne walory artystyczne, mianowicie prostolinijność opowiadania.

Zmysł artystyczny ma dość duży: układa wszystko w harmonijną całość i tworzy ładne ustępy, jednak z większymi kompozycjami nie umie dać sobie rady. Można z nich wyłuskać zręcznie skonstruowane ustępy (np. proces wodzów, panowanie trzydziestu tyranów), ale bogatszego materiału, na wzór Tukidydesa czy Platona, ułożyć i zgrupować autor nie potrafi. W filozofii jest słaby, w historii, pominąwszy sprawy wojskowe i charakterystykę znanych sobie osób, również nie bardzo znakomity, a także i nie bardzo obiektywny. Zrównoważony i spokojny, bez pokus i walk duchowych, zadowolony z siebie, bez rozległych horyzontów myślowych, jest doskonałym przykładem attyckiej prostoty, miary i harmonii.

Styl jego prosty, niewyszukany, stał się wzorem dla późniejszych pokoleń, i po dziś dzień dzieła jego służą do wprowadzania uczniów w świat piśmiennictwa greckiego. Nie był to czysty attycyzm, bo niejeden obcy wyraz wkraść się w wiersze pisarza, który przed trzydziestym rokiem życia opuścił Ateny i nigdy do nich nie wrócił. Ale i to dla późniejszych Greków miało swój urok; podobała im się ta miara w języku literackim, upstrzonym z rzadka wyrazami nieliterackimi, więcej niż nieznośny puryzm językowy. Dla dobrych mów, rozsianych w historycznych dziełach Ksenofonta, studiowali go pilnie późniejsi retorowie, i naśladowali nawet. Dzięki temu zachowały się wszystkie dzieła Ksenofonta. Kiedy języka literackiego muszą się Grecy uczyć, gdyż żywy język odbiegł od literatury dawnych czasów zbyt daleko, podziwia się i naśladuje Ksenofonta za jego łatwość i prostotę. Odnosi się to do takich pisarzy greckich, jak np. mówca Dion z Prusy (za Flawiuszów i Trajana), Arian (II wiek po Chr.), autor Wyprawy Aleksandra Wielkiego, pisanej na wzór Wyprawy Cyrusa. Podziwiają go też dla treści i formy Rzymianie, a szczególnie Cycero, który nawet przełożył Ekonomik na język łaciński i często Ksenofonta cytuje.

Dziś podziw ten osłabł — choć do XIX wieku cieszył się Ksenofont szczególnym uznaniem; zwłaszcza w Niemczech w epoce oświecenia miał gorących wielbicieli (Wieland). Ksenofont nie budzi w naszych dniach zainteresowania ni wśród publiczności czytającej, ni wśród uczonych. Szkoła tak potrafiła go obrzydzić, że mało kto wraca później do lektury tego autora, choć on na to stanowczo zasługuje. Dziś nie ma nawet większego opracowania Ksenofonta, nikt się nim specjalnie zająć nie chce; prof. Stanisław Witkowski należy dziś do tych nielicznych uczonych w Europie, którzy pracują nad zbyt niesłusznie zaniedbanym autorem.

Jeżeli chcemy sprawiedliwie ocenić Ksenofonta, musimy wziąć pod rozwagę, że jest to pisarz wcale wysokiej miary, ale wobec takich olbrzymów myśli jak Platon i Arystoteles lub mistrzów słowa jak Isokrates (a nawet Lizjasz) — niknie. Platon, Isokrates, Arystoteles ignorują Ksenofonta; stać ich na to. Twórczość jego szła w szerokie sfery, dla których tamci autorowie byli mniej dostępni. Nie świadczy to wcale ujemnie o Ksenofoncie, przeciwnie, stanowi to najwyższą chlubę kultury i literatury owego wieku, jeśli pisarze tak znaczni jak Ksenofont należą do autorów przeciętnych, skazanych na zaspakajanie literackich potrzeb szerszych warstw społeczeństwa. Gdy twórczość grecka zaczęła jałowić, nasz autor wnet wybił się na czoło piśmiennictwa helleńskiego. Olbrzymów bardziej podziwiano, ale byli oni mniej popularni.

Ksenofont w Polsce. Pierwsze wydanie Ksenofonta w druku pojawiło się we Florencji w 1516 r. (Juntina), drugie w Wenecji 1525 (Aldina). W tym wieku pojawiły się liczniejsze wydania i tłumaczenia łacińskie; między tłumaczami był Filip Melanchton, który utrzymywał stosunki z Polakami, zwolennikami Lutra. Było nawet tłumaczenie łacińskie Włocha, Franciszka Filelfo, które wyszło drukiem w Mediolanie na wiele lat przed wydaniem Ksenofonta w oryginale, mianowicie już w 1476 r. — Takich tłumaczeń było więcej. Istniały też tłumaczenia rękopiśmienne, starsze od Filelfowego, np. przekład Cyropedii (De vita Cyri), którego dokonał we Florencji Poggio w 1466 r. Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie posiada ten rękopis (nr. 482). Pod koniec XVI w. (w r. 1590) wydał swój przekład Caselius, filolog halmstadzki (w Brunszwiku), który utrzymywał stosunki z Janem Zamoyskim. Toteż możliwe, że Ksenofont był w Polsce znany już w wieku złotym, a później także, zwłaszcza wśród różnowierców. Rzecz ta wymaga zbadania, na razie jednak zdaje się, że wpływ Ksenofonta u nas był bardzo mały.

Wpływ ten idzie w trzech kierunkach: Ksenofont jest albo źródłem naukowym dla zagadnień historycznych i geograficznych, albo pisarzem filozoficzno-moralnym (działającym głównie przez Cyropedię i ustęp ze Wspomnień o Sokratesie opowiadający historię o Herkulesie na rozstajnych drogach), albo też pisarzem praktycznym, dla ziemianina i żołnierza nieobojętnym. Tak np. jest Ksenofont źródłem dla geografii starożytnej i w XVI wieku dla Strykowskiego, i w XIX dla Lelewela. Strykowski czytał Ksenofonta w przekładzie łacińskim; cytuje Anabazę (Historia de reditu), Cyropedię (Institutio Cyri) i nawet Hellenika (choć przy nich trochę bałamuci, bo podaje, że Lizander poraził Alkibiadesa). Jeżeli spotykamy u Strykowskiego powołanie się na Ksenofonta, musimy zważać, czy nie ma on na myśli książki pod tytułem Xenophon, liber de aequivocis. Możliwe, że czytał ustępy z Hellenik Jan Karol Chodkiewicz. Wyraża się on raz w liście słowami: „lepiej w kąt powrócić, niż podniósłszy żagle, za jednym przeciwnym wiatrem się cofać”. Obraz wzięty z żeglugi zawdzięczać może hetman lekturze mowy Kritiasa z Hellenik. Istniały wypisy z Ksenofonta i właśnie z Hellenik mowy Kritiasa i Teramenesa były przedrukowane. Poważnym źródłem jest Ksenofont dla księdza Franciszka Paprockiego, autora książki pt. Wojny znaczniejsze..., w Wilnie 1763. Paprocki daje Cyropedii pierwszeństwo przed Herodotem nawet, bo Ksenofont dlań to „pilniejszy i niepłochy Dziejopis”. Przy opisie bitwy nad Ajgospotamą posługuje się Paprocki (lub jego źródło) obok Ksenofonta także Plutarcha życiorysem Lizandra (i pewnie historią Diodora z Sycylii). Zresztą znaleźć ślady wpływu wymienionych dzieł Ksenofonta jest bardzo trudno. Tak np. trzeba by dopiero wykazywać znajomość Anabazy u Żółkiewskiego, bo ani z listów, ani z opisu wojny moskiewskiej nie widać, żeby znał Wyprawę Cyrusa (co przypuszcza Wacław Sobieski w opracowaniu Pamiętników o wojnie moskiewskiej).

Jeżeli Rej w Żywocie pisze: „Bo nie piszą Cycero, Seneka, Plato, Eurypides, Sokrates, Solon, Xenofon, Diogenes, albo oni inszy a sławni wielkich cnót i rozumów ludzie”, to możemy być pewni, że Ksenofonta zna tylko ze słyszenia, nie czytał go nawet w przekładzie, wyjąwszy może Cyropedię lub wyjątki z niej, bo wspomina o Pantei. Natomiast u innych powinniśmy oczekiwać znajomości przynajmniej Cyropedii, tak chwalonej przez Cycerona i znanej pierwszym humanistom, którzy przybyli z Włoch do Polski. Zna ją, zdaje się, Kallimach, przybyły do Polski w 1470 r., a więc przed drukiem przekładu Filelfa; cytuje ją, czasem fałszywie rozumiejąc, autor (jakiś Włoch) traktatu humanistyczno-pedagogicznego z 1502 r., pt. O wychowaniu królewicza, który Elżbieta, matka Jagiellonów, posyła swemu synowi, Władysławowi, królowi Węgier i Czech, spodziewającemu się przyjscia na świat syna i następcy tronu. Z późniejszych znają to dzieło i cytują (tytuł podają: Paedia Cyri) Łukasz Górnicki i Bartosz Paprocki (Pamięć nierządu w Polsce, przez dwie fakcye uczynionego w r.

1587, którego skutki co dalej to gorsze..., wydana 1588; przedrukowana pt. Bartosza Paprockiego Dwie broszury polityczne). Ksenofontowe opowiadanie o tym, jaki użytek robił Cyrus ze skarbów, streszcza dobrze kasztelan krakowski, książę Jerzy Zbaraski. Powołaniem się na Cyropedię popiera swe zasady pedagogiczne jeszcze Grzegorz Piramowicz.

Ale więcej niż Cyropedia znana jest w Polsce historia o Herkulesie na rozstajnych drogach, choć nie zawsze może pochodzi wprost z Ksenofonta. Czasem pośredniczy tu Cycero (*De officiis* I 118) lub jakieś źródło średniowieczne. Tak np. Paweł z Krosna (zm. około 1517 r.), rozpoczynając wykład i wyjaśnienia Paradoksów Cycerona (nie na Uniwersytecie Krakowskim), wzywa młodzież do zajmowania się filozofią, przytaczając opowieść o Herkulesie na rozstajnych drogach, którą zaczyna słowami: *Hercules ille, ut est apud Socraticum Xenophontem, cum primum pubescere coepisset...* Nie wiadomo, czy czytał przekład Ksenofonta, czy cytuje z drugiej ręki (mowa ta spoczywa w rękopisie wrocławskim). W bardzo ciekawy sposób wyzyskał tę opowieść Jan Szczęsny Herburt, i dziełko swe w rękopisie posłał Kasprowi Miaskowskiemu. Oto Herburt, wzięty do niewoli w bitwie pod Guzowem, musi siedzieć w tarasie (w więzieniu); tu staje przed nim Fortuna, „pani, posiadająca twarz coraz odmienną, teraz błysnie oczyma, teraz tak zawrze oczy jako ślepa, a sama się ustawicznie chwieje, bo na jakiejś gałce skrzydlatej stoi — u jednej ręki palce złote a dłoń żelazna; u drugiej przeciwnym obyczajem. Szata zaś ze czterech płatów złożona, dwa bardzo cudne, dwa bardzo szpetne... Pod szatą zaś haftowanie w te słowa: »śmiech, płacz, bogactwo, nędza, zwycięstwo, śmierć«”. Herburt zaraz poznał, że to Fortuna. Ta robi mu wyrzuty, że w życiu nie jej służył, tylko cnocie, „owej stoickiej babie sprośnej, że szedł na oślep za oną babą, zamiast trzymać się zasad Fortuny, które brzmią: „brać co się nawinie”, „rwać gdzie co możesz”, „mykaj Tomku, kiedy na pomku”; twierdzi, że słusznie „pisorym o nieprzyjaciółce napisał: »Fraszka cnota, powiedział Brutus porażony«” (*Treny Kochanowskiego*), itd. Herkules (Herburt) usprawiedliwia swe postępowanie wychowaniem odebrany w domu rodzicielskim, naukami starca ze Stagiry (Arystotelesa). Fortuna kończy przestrogą: „Zawierając te nasze plotki, tak ci powiadam, chcesz się mieć teraz dobrze, nie trzeba być cnotliwym: inaczej jeśli uczynisz, mnie nie winuj”. Po tej rozmowie Fortuna wypadła jako wichur najprędzy. — Kasper Miaskowski odpowiedział na to wierszem pt. *Herkules niecierpliwy*, drukowanym w *Zbiorze rytmów* w Krakowie 1612. Herburt zapraszał Miaskowskiego, by drukował w jego drukarni w Dobromilu, i ten wiersz w 1612 r. przedrukował, pt. *Herkules słowieński* (tym Herkulesem — Herburt), by dać wzór, jak druk ma wyglądać. Ale następne wydanie Miaskowskiego wyszło w Poznaniu 1622 bez zastosowania poprawek Herburt. — Dzikszą formę przybrał ten motyw w dziełku: *Herkules abo zdrowa Rada y wczesna przestroga wspaniałey Słowiańskiej młodzi*. Przez Prokopa Wereszczakę, studenta akademiei krakowskiej... (Kraków 1632). Gdy Bóg chciał całe plemię ludzkie za grzechy wytracić, błagali go zatrwożeni niebianie o litość. Szczególnie Herkules znalazł posłuchanie życziwe u Boga. Przedstawia młodzieży, co sam uczynił za żywota, zanim został do nieba wzięty, i uczy ją, jak ma postępować w jego ślady, ćwiczyć się w cnotach i męstwie, gardzić sprośnością i lenistwem. Maciejowski zapewnia, że jest to naśladowanie Herkulesa Miaskowskiego. Co do tego autora, mimo że studiował w Krakowie, wątpliwe, czy czytał Ksenofonta. W Krakowie wykładano Ksenofonta tylko raz, w 1536 r.; wyjaśniał go niejaki Valerianus Pernus z Krakowa, magister i doktor filozofii, promowany w Paryżu. — Natomiast jeśli Simon Simonides daje skierowanemu do Tomasza Zamoyskiego wierszowi tytuł *Hercules Prodiceus*, nie powinniśmy wątpić, że zna Ksenofonta w oryginale. — Należałoby zbadać, czy w przedstawieniach szkolnych scenicznych w kolegiach jezuickich widać wpływ Ksenofonta, jeśli spotykamy alegorię o Herkulesie na rozstajnych drogach (np. w kolegium w Kaliszu, *Hercules in bivio*, 1586, prozą). Jezuici wprawdzie uczą nieco po grecku, ale Ksenofont do kanonu ich lektury nie należy. W każdym razie znał Ksenofonta (i

to może w oryginale) Maciej Kazimierz Sarbiewski, ów sławny poeta, jeśli można tak wnioskować z rękopisu jego, zawierającego wypiski z wielu autorów klasycznych (m.in. i z Ksenofonta), zachowanego w Krakowie, w Bibliotece Czartoryskich (nr. 1405). Na rękopisie inną ręką zaznaczono, że to spisał własnoręcznie Sarbiewski.

Być może, że i Agesilaos był w Polsce znany. Piotr Boratyński na sejmie piotrkowskim 1548 daje Zygmuntowi Augustowi za wzór Agesilaosa, który „dla dobra narodu w kondycję sług się podał jako... pismo świadczy”. Pismo może nie oznacza Neposa.

W Uniwersytecie Krakowskim wykładano Ksenofonta tylko raz, ale w Zamościu według programu Jana Zamoyskiego brano w Akademii (ostateczny akt fundacyjny w 1600 r.) regularnie Ksenofontowy Ekonomik w oryginale, w związku z Arystotelesa nauką o gospodarstwie. Pod wpływem Zamoyskiego w tej połaci kraju cieszy się to dziełko wielką powagą. I tak Piotr Myszkowski, starosta lubelski, pisząc w 1602 r. instrukcję dla syna, każe go uczyć ekonomii na podstawie Arystotelesa i Ksenofonta. Na Ksenofoncie pewnie spocznie większy nacisk, choć Arystoteles wymieniony na pierwszym miejscu, bo poprzednio zastrzegł się pan starosta, by Arystotelesem syna nie przemęczać.

Nie ma oczywiście nic dziwnego, jeśli spotykamy znajomość Ekonomiku u takiego autora jak np. Jan Seklucjan (protestant), w książce *Oeconomia albo Gospodarstwo* (w Królewcu 1546). W tej Ekonomii, jak i w innych, wielką rolę odgrywa małżeństwo, ale wpływ to nie Ksenofonta, lecz raczej Pisma Świętego. Interes jest głównie religijny, na kompozycję, na treść Ksenofont nie ma wpływu, i raz tylko jest u Seklucjana cytowany (cytatów z Pisma jest znacznie więcej), a mianowicie: „Xenofon pisze w swej Ekonomji, że niektóry król swego mędrca pilno pytał, jakoby swego konia najlepiej utuczyć miał; na to mu ten to mędrzec odpowiedział, żeby k'temu nic lepszego nad pańskie oko nie wiedział, to jest, iżby pan żadnemu czeladnikowi nie wierzył, ale sam często konia doglądał”. Jest to cytat z Ksenofonta *Oeconomia* (12 koniec): król perski, otrzymawszy dobrego konia, chciał go w krótkim czasie utuczyć. Pytał więc pewnego człowieka, znającego się podobno na koniach, co konia najszybciej tuczy. Ten miał odpowiedzieć: oko pańskie.

I w XIX wieku znalazł Ekonomik swego wielbiciela: August Cieszkowski uważał go za „prawdziwy klejnot naukowy, którego wartości dotąd nie dosyć uznano, prawie nawet mało domyślano się”, i rozpoczął „rozprawę nad nim” w swej młodości, ale zamiaru nie wykonał.

W książeczkach z zakresu myślistwa i hodowli koni wpływu Ksenofonta nie widzimy, a czasem nawet nie dostrzegamy znajomości tego autora. Tak np. Jan Ostroróg, wojewoda poznański, autor książki pt. *Myślistwo z ogary* (Kraków 1608, 1618 itd., aż do 1902), rzeczowo bardzo instruktywny, Ksenofonta nie zna wcale, bo tam, gdzie się w poglądach różni, nie polemizuje i w ogóle żadnego ze starożytnych nie cytuje. Jaka szkoda, że nikt w złotym wieku drobnych pisemek Ksenofonta nie przełożył! Głodne takich utworów społeczeństwo byłoby wdzięcznie tę pracę rozchwyciło. Ostroroga uwagi, zanim je drukiem wydał, chętnie przepisywano. Tak samo jak książeczka *O polowaniu*, byłyby znalazły chętnych czytelników rozprawy *O jeździe konnej* i *Przewodnik dla dowódcy jazdy*, ale i one nie znalazły nikogo, kto by je na pożytek i przyjemność ogółu szlacheckiego spolszczył.

I tych rozprawek wpływ jest mały. Dorohostajskiego Krzysztofa, marszałka wielkiego litewskiego (który, kształcony w Strassburgu, pewnie umiał po grecku, a przynajmniej czytał Ksenofonta w przekładzie), dziełko *Hippica*, to jest *Księga o koniach*, potrzebna i krotochwilna młodości zabawa (Kraków 1603) pod względem układu i dyspozycji nie stoi na

wysokości Ksenofonta, ale rzeczowy jej poziom bardzo wysoki; autor zna nowożytną (włoską) literaturę przedmiotu i ilustruje swe wywody drzeworytami. Wykształcenie w klasycznych autorach ogromne; najczęściej może cytowany Wergiliusz (*Georgica*), z własnym, wcale zgrabnym przekładem. Ksenofont na układ rzeczy nie wywarł wpływu, ale autor zna go i nawet raz cytuje gdy mówi o stajni, „w której za najprzedniejszą okoliczność, wybadywacz subtelny Xenophon, a miłośnik rzeczy wszytkich ochędożnych, pożądam mieć puklerz argolicki, zbroję attycką, hełm robotą wymyślną beotycką i konia epidajryckiego, pisze in Hippico et Hipparcho w księgach przynależących hetmanom, rycerskim ludziom i mistrzom końskim, mieć chce, aby stajnia jako najbliższej oka pańskiego zbudowana była, dla częstego koni oglądywania i nawiedzania”. Coś tu pobałamucone: o stajni mówi to Ksenofont w *Hippice* IV, 1, o hełmie beockim XII, 3, ale o reszcie szczegółów nie ma tam wzmianki (ani w *Hipparchiku*).

Przekłady na język polski. Wiek złoty ni wieki następne w Polsce nie zdobyły się na przekład Ksenofonta na język łaciński lub polski. A i w XIX w. niewielu znalazł tłumaczy. Posiadamy następujące zupełne przekłady jego pism:

Słowo o wyprawie wojennej Cyrusa, po grecku *Anabazys*, przełożył C. C. Mrongovius, Gdańsk, bez r. w. — *Anabaza* (Wyprawa Cyrusa), przełożył i opracował dr Artur **Rapaport**, z wstępem prof. St. Witkowskiego, Kraków 1924 (Biblioteka Narodowa, seria II, nr 31).

Ekonomik przełożył Antoni **Bronikowski**, Poznań 1857.

O dochodach Ateńskich, przełożył Antoni **Bronikowski** („Czas”, Dodatek miesięczny, tom XI, rok III, Kraków 1858, str. 3–22).

Cynegetyk czyli *Łowiectwo*, „przekładał z greckiego i ofiarował na gwiazdkę r. P. 1859, druhowi, myśliwemu i współmiłośnikowi literatury helleńskiej, Lucjanowi Siemieńskiemu” Antoni **Bronikowski** („Czas”, Dodatek miesięczny, tom XVII, rok V. Kraków 1860, str. 19–58).

Tenże Bronikowski przełożył: *Hippika* i *Hipparch* czyli *Jazda konna* i *Naczelnik jazdy*, Ostrów 1860, i *Wspomnienia o Sokratesie* (Ostrów i Wrocław 1868). — *Memorabilia* są tłumaczone po raz drugi: *Wspomnienia o Sokratesie* przełożył z greckiego Emilian **Konopczyński** (Biblioteka filozoficzna, pod redakcją Henryka Struvego, Warszawa 1896. Kasa im. Mianowskiego).

Nieautentyczny *Ustrój ateński* przełożył Józef **Wierzbicki** (*Rzecz o ustawie ateńskiej*, przypisywana Xenofontowi, Nowy Sącz 1895).

Przekład Konopczyńskiego jest gładki, przekłady Bronikowskiego wprawdzie dosłowne, ale ciężkie i bez pomocy greckiego oryginału niezrozumiałe. Za najlepszy uważa ks. Pawlicki *Ekonomik*, ale naszym zdaniem najlepiej udały się mu *O dochodach* i *Cynegetyk*, potem dopiero *Hippika*; te czytają się wcale gładko. *Hippika* i *Hipparch* poświęcone są hrabiemu Augustowi Cieszkowskiemu. Ze słów tłumacza we wstępie widać, że głęboko odczuwał obojętność społeczeństwa dla Ksenofonta i dla przekładów w ogóle.

Bibliografia

Najlepsze i najnowsze opracowanie Ksenofonta przynosi prof. Stanisław *Witkowski* we wstępie do przekładu Anabazy (j. w., Biblioteka Narodowa, seria II, nr 31). Rozwija on swe myśli szerzej w II tomie dzieła pt. Historiografia grecka (Kraków 1926, str. 29–233).

Piękny, ale w duchu dawnych poglądów jest ustęp o Ksenofoncie w ks. Stefana Pawlickiego Historii filozofii greckiej (t. II, Kraków 1917).

Teksty

Najlepsze na razie teksty znajdują się w lipskich wydaniach Teubnera: Scripta minora fasc. I (ed. Thalheim); Institutio Cyri (Hug); Commentarii (Gilbert); Historia Graeca (Keller). Również dobre są oksfordzkie wydania Marchanta.

Wydania objaśnione u Teubnera w Lipsku: Agesilaos (erklärt v. Güthling); Kyropädie (Breitenbach-Büchschütz); Griechische Geschichte (Büchschütz); Memorabilien (R. Kühner). U Weidmanna w Berlinie: Kyropädie (Hertlein-Nitsche); Hellenika (Breitenbach); Memorabilien (Breitenbach-Mücke).

Sympozjon

21

I. Moim zdaniem nie tylko poważne czynności ludzi znakomitych zasługują na pamięć, lecz także i ich zachowanie się podczas zabawy. Do tego przekonania doprowadziło mnie zdarzenie, którego sam byłem naocznym świadkiem, i chciałbym je przedstawić. Mianowicie odbywały się wyścigi konne w czasie Wielkich Panatenajów i Kallias, syn Hipponika, wprowadził na widownię między publiczność młodocianego Autolika, którego właśnie był wielbicielem; Autolikos poprzednio odniósł zwycięstwo w pankrationie. Gdy się wyścigi skończyły, zabierał się Kallias do odejścia z Autolikiem i jego ojcem do domu w Pireusie, a towarzyszył mu także i Nikerat. Spostrzegłszy zaś razem stojących Sokratesa, Krytobula, Hermogenesa, Antystenesa i Charmidesa, polecił komuś odprowadzić Autolika wraz z towarzyszami, sam natomiast przystąpił do otaczających Sokratesa i powiedział:

— Doskonale się złożyło, że was spotykam, albowiem zamierzam ugościć Autolika i jego ojca. Myślę więc, że dla mnie wystawność mej uczty większym zajaśniałaby przepychem, jeśliby mej izbie dodali blasku raczej ludzie tak pięknem wewnętrznym zdobni jak wy niż strategowie, rotmistrze lub inni władzy łakomi dygnitarze.

A na to Sokrates rzekł:

— Że ty też zawsze żartujesz z nas i z góry patrzysz na nas, samouków niejako w dziedzinie filozofii, co własną pracą mozolą się nad zdobyciem mądrości, podczas gdy ty za nią grube Protagorasowi zapłaciłeś pieniądze, i Gorgiaszowi, i Prodykosowi, i wielu innym.

A Kallias:

— Prawda — rzeczy — przedtem tailem się przed wami ze swą mądrością, choć miałem niejedno do powiedzenia, ale teraz, jeśli będziecie u mnie, na co liczę z pewnością, pokażę wam, com wart.

Sokrates i jego towarzysze zrazu, dziękując za zaproszenie, jak to wypadało, nie obiecywali, że przyjdą na ucztę; ale kiedy było widoczne, iż bardzo wzięłyby to sobie do serca, gdyby odmówili, poszli z nim razem.

Następnie wszyscy goście weszli do jego domu, jedni skropieni olejkami, którymi się namaścili po uprzednich ćwiczeniach gimnastycznych, inni także wykapani.

Otóż Autolikos usiadł obok ojca, inni usadowili się jak wypadało. I wnet każdy, kto by tylko zwrócił uwagę na to, co się działo, musiał przyjść do przekonania, że piękność jest z natury rzeczy czymś królewskim, zwłaszcza gdy się łączy u kogoś z wstydlivością i skromnym zachowaniem, tak jak wtedy u Autolika. Podobnie jak światło, co się wśród nocy pokaże, ściąga na siebie oczy wszystkich, tak też wtedy piękność Autolika pociągała ku sobie z początku wzrok wszystkich, a potem już nie było nikogo z patrzących, na którego nie wywierałby głębokiego wrażenia. Poczęli coraz więcej milknąć, a niektórzy swą zewnętrzną postawą dawali w pewnej mierze do zrozumienia, co się w ich duszy dzieje.

W ogóle, jak się zdaje, warto patrzeć na każdego, w kogo jakiś bóg wstąpi. Ale u takich oczy przejmują grozą, głos ich budzi lęk, a ruchy, jak powiadają, są znacznie gwałtowniejsze. Tylko u tych, w których wstąpi pełen skromności Eros, jaśniejają oczy życzliwszym blaskiem, głos brzmi łagodniej, a zewnętrzne zachowanie się nabiera cech szlachetniejszych. Tak też

dzięki Erosowi było wtedy i z Kalliasem, i ściągał na siebie zasłużoną uwagę tych, co byli wtajemniczeni w misteria tego boga.

Ucztowali więc wśród głębokiego milczenia, jakby im to jakaś wyższa moc nakazała. Wtem wesolek Filip, zakołatawszy w drzwi, kazał odźwiernemu oznajmić, kim jest i dlaczego chce, aby go wpuszczono; powiedział, że przychodzi najzupełniej zaopatrzony we wszystko, czego tylko potrzeba do uczutowania na cudzy koszt, a chłopaka jego gniecie duży ciężar, gdyż dźwiga wielkie „nic” i nie jadł dziś jeszcze śniadania. Otóż Kallias, usłyszawszy to, rzekł:

— Ale przecież, panowie, byłoby to brzydko pożałować mu dachu; niech więc wejdzie.

Równocześnie rzucił okiem na Autolika, widocznie chcąc zauważyć, jak mu się podobał żart wesółka. Ten zaś, stanąwszy w izbie przeznaczonej dla mężczyzn, w której właśnie uczta się odbywała, przemówił:

— Że jestem wesółkiem, o tym wiecie wszyscy, a przyszedłem ochotnie w tym przekonaniu, iż większą budzi wesołość przyjsie na ucztę bez zaproszenia, aniżeli jeśli się przyjdzie zaproszonym.

— Siadaj więc — powiedział Kallias — bo jak widzisz, wszyscy obecni są pełni powagi, wesołości natomiast, być może, nieco im braknie.

W czasie uczty wnet Filip usiłował coś wesołego powiedzieć, aby przecie spełnić ten cel, dla którego go za każdym razem na uczty zapraszano. Ale kiedy nie udało mu się wywołać wesołości, widać było, że się martwi. Za chwilę znowu chciał coś wesołego powiedzieć, ale kiedy i tym razem nie zaśmiali się z jego dowcipu, przestał nagle jeść i oparł się o wezgielowie, zasłoniwszy sobie oblicze.

— A cóż to takiego, Filipie? — spytał Kallias. — Ból cię zdjął jakiś, czy co?

— Oj, na Zeusa, Kalliasie, i to wielki — odpowiedział. — Bo kiedy śmiech zniknął spośród ludzi, nie mam już co robić. Przedtem bowiem zapraszano mnie na uczty, bym bawił gości, rozśmieszając ich moimi dowcipami, a teraz po cóż mnie ktoś zaprosi? Bo poważnym nie mógłbym się stać, prędzej może nieśmiertelnym, a przecie w nadziei, że odpłacę się wzajemnym zaproszeniem, nikt mnie nie zaprosi, gdyż wszyscy wiedzą, że w ogóle nawet nie jest w zwyczaju do mego domu przynosić coś do jedzenia.

Mówiąc te słowa, równocześnie otarł głośno nos i po głosie jego było wyraźnie poznać, że płacze. Więc wszyscy zaczęli go pocieszać, że znowu śmiać się będą kiedyś, innym razem, i prosili, by jadł, Krytobulos zaś nawet roześmiał się głośno z jego biadania. A gdy ten usłyszał śmiech, odsłonił się i nakazawszy swej duszy, by dobrej była otuchy, bo nie zbraknie na przyszłość uczt, zabrał się na nowo do jedzenia.

II. Kiedy usunięto stoły i kiedy po wylaniu bogom wina na ofiarę i odśpiewaniu peanu mieli pić, przyszedł do nich jakiś Syrakuzańczyk z dobrą fletnistką i tancerką, z takich, co to różne dziwne sztuki pokazują, i z ładnym chłopakiem, który doskonale grał na cytrze i tańczył. Otóż Syrakuzańczyk pokazywał tę ich sztukę jakby na przedstawieniu kuglarskim i brał za to pieniądze. Skoro im fletnistka zagrała na flecie, a chłopak na cytrze i oboje dostatecznie, jak się zdawało, zabawili gości, zaczął Sokrates:

— Na Zeusa, Kalliasie, znakomicie nas raczysz, gdyż nie tylko zastawiłeś przed nami ucztę wyższą ponad wszelkie pochwały, ale i starasz się o rozkosz dla wzroku i słuchu.

A ten na to:

— To może jeszcze ktoś nam pachnidła przyniesie, abyśmy się i miłą wonią raczyli.

— Nigdy w świecie — rzekł Sokrates. — Bo jak inna szata jest piękna dla mężczyzny, a inna dla kobiety, tak też i woń inna przystoi mężczyźnie, a inna kobiecie. Albowiem żaden mężczyzna nie naciera się pachnidłami ze względu na drugiego męża; kobiety zaś, a zwłaszcza młode mężatki, jak na przykład żona naszego Nikerata i Krytobula — po co one właściwie tych pachnideł potrzebują? Przecież i tak pachną. Tymczasem woń oliwy, którą się nacieramy w sali gimnastycznej, jest dla kobiet znacznie miłsza niż woń pachnideł, a jej brak jest znacznie przykrejszy. Namaściwszy się pachnidłami, w tejże chwili i wolny, i niewolnik jednakowo wonieją. Woń zaś pochodząca z trudów wolnego człowieka wymaga przede wszystkim zajęć szlachetnych, i to przez długi czas, jeżeli ma być miła i godna wolno urodzonego.

A Lykon powiedział:

— To może dobre dla młodych, ale jaka woń przystoi nam, którzy się już nie gimnastykujemy?

— Szlachectwa duszy, na Zeusa — odrzekł Sokrates.

— A skąd by można wziąć coś takiego do nacierania?

— Na Zeusa, z pewnością nie od kramarzy handlujących olejkami.

— Ale skąd?

— Otóż Teognis — rzekł Sokrates — powiada:

Z dobrym przestając, sam dobrym się staniesz, a jeśli ze złymi
Złączysz się, spaczysz wnet ten nawet rozum, co masz.

Na to Lykon:

— Słyszysz to, synu?

— O na Zeusa — odpowiedział Sokrates — i trzyma się tego. Przynajmniej, gdy chciał odnieść zwycięstwo w pankrationie. Teraz znowu będzie przestawał z tym, kogo po rozwadze z tobą uzna za najzdolniejszego do uszlachetniania duszy.

Wtedy to wielu zaczęło mówić, i ktoś z nich powiedział: „Gdzież znajdzie nauczyciela takiej rzeczy?”. Ktoś inny odezwał się, że tego nawet nie można uczyć, a jeszcze inny, że tego można się nauczyć tak samo, jak czegoś innego.

Na to Sokrates:

— W takim razie, kiedy to jest sporne, odłóżmy to na kiedy indziej, a teraz załatwmy sprawy bieżące. Widzę bowiem, że tancerka stoi w pogotowiu i ktoś jej przynosi obręcze.

W tej chwili druga dziewczyna zaczęła grać jej na flecie, a ktoś, kto stał obok tancerki, podawał jej obręcze, jedną po drugiej, aż do dwunastu. Ona zaś brała je i w tańcu rzucała wirowym ruchem do góry, obliczając, jak wysoko musi rzucić, by je do taktu chwycić.

Wtedy Sokrates zauważył:

— Z wielu przykładów, a także z tego, co ta dziewczyna robi, wynika, że wrodzone zdolności kobiety niczym nie są niższe od męskich, brak jej tylko większej siły. Toteż kto z was ma żonę, niech ją z pełną wiarą w skutek uczy wszelakiej wiedzy, jakiej by tylko sobie dla swej małżonki życzył.

Na to Antystenes:

— To czemuż, Sokratesie, kiedy jesteś tego zdania, nie wychowujesz Ksantypy, lecz żyjesz z kobietą najnieznośniejszą z wszystkich, jakie tylko są i — spodziewam się — jakie były i będą.

— Bo widzę — odpowiedział Sokrates — że i ujeżdżacze nie najpotulniejsze konie nabywają, lecz ogniste rumaki, w przekonaniu, iż jeśli te potrafią ujarzmić, to innymi posługiwać się będą z łatwością. Tak i ja, chcąc żyć w towarzystwie ludzkim, taką sobie wziąłem żonę w tej myśli, że jeśli z nią wytrzymam, to już z wszystkimi ludźmi bez najmniejszej trudności będę mógł przestawać.

I zdawało się, że w sedno trafił tymi słowami.

Następnie przyniesiono koło, gęsto w obwodzie najeżone mieczami. Tancerka skoczyła do środka i wyskoczyła, za każdym razem wywracając koziołka, tak że widzowie byli w obawie, by się jej coś nie stało, ale ona odważnie to robiła i z poczuciem zupełnego bezpieczeństwa.

Sokrates, zwróciwszy się do Antystenesa, powiedział:

— Spodziewam się, że przynajmniej ci, co patrzą na to widowisko, nie będą zaprzeczali, że odwagi można nauczyć, kiedy ta dziewczyna, choć jest kobietą, tak śmiało rzuca się na miecze.

— Czyż — odrzekł Antystenes — nie byłoby najlepiej dla tego Syrakuzańczyka pokazać obywatelom swą tancerkę i zapowiedzieć, że za dobrą zapłatę swą nauką wszystkich Ateńczyków doprowadzi do tego, że odważnie wprost na groty włóczni pójdą?

A Filip:

— Na Zeusa, ja doprawdy z całą przyjemnością przypatrywałbym się, jakby to uczył się wywracać koziołki wśród mieczy Pejzander, ten głośny mówca i mąż stanu, co dzisiaj w pole na bój iść nie chce, gdyż nie może patrzeć na ostrze włóczni.

Teraz chłopak rozpoczął taniec. A Sokrates rzekł:

— Widzieliście, jak ten ładny chłopak, wykonując figury tańca, wydaje się jeszcze ładniejszy niż podczas spoczynku.

— Zdaje się, że ty chwalisz nauczyciela tańców — rzekł na to Charmides.

— Tak, na Zeusa — powiedział Sokrates — albowiem jeszcze coś zauważyłem, mianowicie, iż podczas tańca żadna część ciała nie była beczynna, lecz równocześnie szyja, nogi i ręce były w ruchu; tak właśnie powinien tańczyć ten, co chce mieć na przyszłość piękniejszą postawę ciała. Co do mnie, to wielką miałbym ochotę, Syrakuzańczyku, nauczyć się tych figur od ciebie.

— A cóż ci z tego przyjdzie? — spytał tenże.

— Tańczyć będę, na Zeusa.

Wtedy wszyscy rozśmiali się. A Sokrates z obliczem zupełnie poważnym rzekł:

— Śmiejecie się ze mnie? Czy może dlatego, że chcę dzięki takim ćwiczeniom być zdrowszy, mieć lepszy apetyt i przyjemniejszy sen? Czy dlatego, że pragnę takich ćwiczeń, w których całe ciało, równocześnie pracując, zachowuje równowagę w rozwoju, gdy tymczasem szybkobiegacze grubieją w nogach, a w barkach marnieją, a szermierze na kulaki dostają grube barki, a nogi cienkie? A może z tego się śmiejecie, że nie trzeba mi będzie szukać towarzysza do ćwiczeń ani w mym wieku rozdziewać się przed tłumem, lecz że mi wystarczy komnata, w której siedem sof się mieści, tak jak temu chłopakowi wystarczyła, by się porządnie spocić, że w zimie będę się ćwiczyć w domu, a znowu w czasie skwaru w cieniu? A może to w was śmiech budzi, że chcę brzuch mój, nad miarę rozrosły, przywieść do skromniejszych rozmiarów? Chyba nie wiecie, że ten oto Charmides niedawno zastał mnie raniutko tańczącego.

— Na Zeusa — potwierdził Charmides — i z początku zląkłem się, czyś nie oszalał. Ale gdy usłyszałem od ciebie coś podobnego jak teraz, sam, przyszedłszy do domu... nie tańczyłem, bom się tego nigdy nie uczył, ale przynajmniej gestykulowałem; to bowiem umiałem.

— Na Zeusa — odezwał się Filip — jak to widać, masz nogi i barki w takiej równowadze, że nawet przed komisarzem targowym wyszedłbyś bezkarnie, jeślibyś obie połowy ciała, niejako dwa bochenki chleba, kazał odważyć i porównać górną i dolną w stosunku do siebie.

A wtedy Kallias:

— Zawołaj i mnie także, Sokratesie, kiedy będziesz chciał uczyć się tańczyć, bym mógł stawać z tobą do pary i razem się uczyć.

— W takim razie — rzekł Filip — niechże i mnie zagra na flecie, bo i ja chcę tańczyć.

Wstał i po kolei naśladował taniec chłopca i dziewczyny. A ponieważ przedtem chwalono chłopca, że w figurach tańca wydawał się ładniejszy jeszcze, niż był w istocie, starał się teraz ze swej strony, by każda część ciała, którą ruszy, wyglądała znacznie śmieszniej niż w rzeczywistości. A ponieważ dziewczyna, wyginając się wstecz, naśladowała koła, ów tak samo... pochylając się wprzód, usiłował naśladować koła. Wreszcie, ponieważ chwalono

chłopca za to, że w tańcu ćwiczy całe ciało, kazał fletnistce przyspieszyć rytmu i równocześnie zaczął wyrzucać nogami, rękami i głową. Zmęczony się, usiadł i rzekł:

— Oto dowód, że i mój taniec jest doskonałym ćwiczeniem: jestem mianowicie spragniony. Niech mi chłopak naleje dużą czarę.

— Na Zeusa — rzecze Kallias — i nam, bo i myśmy spragnieni ze śmiechu.

— I ja dodam: pijmy — rzekł znowu Sokrates — bo w istocie wino, orzeźwiając duszę, usypia troski, tak jak czarodziejskie ziele mandragory usypia ludzi, a budzi radość jak oliwa płomień. Tylko że moim zdaniem dzieje się z ludźmi przy piciu na ucztach to, co z roślinami na glebie. Albowiem i one nie mogą się wyprostować, gdy je niebo zbyt obficie napoi, ani poddawać się pod muskające tchnienia wiatrów. Jednak jeżeli tylko tyle piją, ile im służy, rosną prosto w górę, rozkwitają, i wreszcie wydają owoce. Tak i my, jeżeli wlejemy w siebie za wiele napoju, w tej chwili ciało i myśl odmówią nam posłuszeństwa i nie będziemy mogli odetchnąć, a cóż dopiero mówić. Jeśli zaś usługujący chłopacy gęsto z małych kieliszków nas będą rosili — że wyrażę się manierą Gorgiasza — dojdziemy do żartobliwszego nastroju, nie gwałtem przymuszeni do pijaństwa, lecz tylko ulegając niejako sile łagodnej namowy.

Wszyscy na to się zgodzili, tylko Filip dodał, że podczaszy powinien naśladować dobrego woźnicę, mianowicie szybciej puchary pędzić w krąg. Tak też czynili ci, co nalewali wina.

III. Wtedy chłopiec, nastroiwszy lirę według fletu, zagrał i zaśpiewał. Pochwalili go wszyscy, a Charmides nawet powiedział:

— Ależ mnie się zdaje, że to, co Sokrates powiedział o winie, odnosi się także do tego połączenia młodzieńczej piękności tych dzieci i ich głosu: usypia troski, a budzi miłość.

Wtedy znowu zabrał głos Sokrates:

— Te dzieci, jak się pokazuje, potrafią nas bawić. Czyż to nie wstyd, że my tu razem zebrani, którzy, jak myślę, uważamy się za znacznie lepszych od nich, nie usiłujemy nawet znaleźć sami między sobą jakiejś pożytecznej lub choćby tylko miłej zabawy?

Na to odezwało się kilku:

— A więc ty nam podaj jakiś temat, przy którym byśmy najlepiej mogli się bawić.

— Dla mnie — odrzekł — byłoby najprzyjemniej zażądać od Kalliasa spełnienia obietnicy. Przyszedł przecież popisać się dowodami swojej mądrości, jeżeli przyjdziemy na ucztę.

— Owszem — rzekł Kallias — ale niech każdy z was także wystąpi przed nami z tym, co ma najlepszego.

— Ależ nikt ci nie odmawia, każdy chętnie podzieli się tym dobrem, które uważa za zdobycz swej wiedzy.

— W takim razie ja wam powiem, na jakiej wiedzy zasadzam swą dumę. Mianowicie potrafię — tak mi się zdaje — ludzi zmieniać na lepszych.

— Czy przez nauczanie jakiegoś rzemiosła, czy też przez uszlachetnianie duszy? — spytał Antystenes.

— Czyż szlachectwem duszy sprawiedliwość?

— Na Zeusa — odrzekł Antystenes — najniewątплиwszym. Bo odwaga i mądrość czasem wydają się szkodliwe dla przyjaciół lub państwa, a sprawiedliwość ani w jednym wypadku nie styka się z niesprawiedliwością.

— Otóż kiedy każdy z was powie, jaką pożyteczną umiejętność posiada, wtedy i ja chętnie objaśnię, przy pomocy jakiej sztuki to skuteczniām. Ty więc, Nikeracie, powiedz znowu, jaką wiedzę się szczycisz?

A ten odpowiedział:

— Mój ojciec, troszcząc się o moje dobre wychowanie i chcąc, bym wyrósł na dzielnego człowieka, zmusił mnie do wyuczenia się na pamięć wszystkich poezji Homera. I teraz mógłbym wygłosić z pamięci całą Iliadę i Odyseję.

— Ale tego nie wiesz — rzekł Antystenes — że wszyscy rapsodowie umieją na pamięć te poematy.

— Jakżebym nie wiedział, gdy słyszę ich prawie codziennie.

— A widziałeś ludzi głupszych niż rapsodowie?

— Nie, na Zeusa, przynajmniej zdaje mi się, że nie.

— Bo to jest jasne — Sokrates na to — że głębszej myśli poety nie rozumieją. Z tobą zaś rzecz się ma zgoła inaczej, nie darmo zapłaciłeś tyle pieniędzy Stezymbrotowi i Anaksymandrowi, nic dziwnego, że nie pominąłeś żadnej cennej wiadomości. A ty, Krytobulu, czym się szczycisz najbardziej?

— Pięknością — odrzekł.

— A czy i ty chcesz twierdzić, że swą pięknnością potrafisz nas zmienić na lepszych?

— Jeślibym nie potrafił, toby się widocznie pokazało, że jestem do niczego.

— A cóż ty, czymże się szczycisz, Antystenesie?

— Bogactwem — odrzekł.

Wtedy Hermogenes spytał, czy ma wiele pieniędzy.

— Ani obola — odparł tamten — mogę to stwierdzić przysięgą.

— Ale nabyłeś wiele ziemi?

— Może by wystarczyło jej dla tego oto Autolika, gdyby chciał nazbierać trochę piasku przed zapasami.

— Należałoby i ciebie posłuchać: cóż ty, Charmidesie? Czym się szczycisz?

— Ja znowu — odpowiedział — szczycę się ubóstwem.

— Na Zeusa — rzekł Sokrates — to bardzo miła rzecz. To najmniej budzi zazdrości, najmniej o to wiedzie się spory, nie ucieknie ci, choćbyś nie pilnował, a wzmoże się wielce, choćbyś je zaniedbywał.

— A ty wreszcie — rzecze Kallias — czymże ty się szczycisz, Sokratesie?

A ten, ułożywszy oblicze w poważnie uroczyste rysy, powiedział:

— Rajfurzeniem.

Gdy się roześmiali, zauważył:

— Wy się śmiejecie, a ja wiem, że wiele bym mógł zarobić pieniędzy, gdybym chciał robić użytek ze swej sztuki.

— Co do ciebie — rzekł Lykon do Filipa — jasne jest, że szczycisz się swą zdolnością wywoływania wesołości.

— Przynajmniej sędzę, że z większą słuszością niż aktor Kallipides, co tak się tym pyszni, że potrafi ludzi pobudzić do płaczu w teatrze.

— A może ty teraz nam powiesz, Lykonie — rzekł Antystenes — z czego jesteś dumny?

A ten na to:

— Czyż nie wiecie wszyscy, że z tego oto syna?

— On znowu — powiedział ktoś — ze swego zwycięstwa; to jest całkiem jasne.

Ten zarumienił się i rzekł:

— Ja? Na Zeusa, nie, tym się nie szczycę.

Gdy wszyscy z radości, że usłyszeli głos jego, podnieśli nań oczy, spytał ktoś:

— Ale przecież czymże się szczycisz?

— Ojcem — odpowiedział tenże i równocześnie oparł się o niego.

Zobaczywszy to, Kallias rzekł:

— Czy wiesz, Lykonie, że jesteś najbogatszym człowiekiem w świecie?

— Nie, na Zeusa, tego nie wiem.

— Jak to, czyż nie widzisz tego, że nie przyjąłbyś nawet skarbów króla perskiego w zamian za swego syna?

— Muszę przyznać jak złodziej schwytany na gorącym uczynku: Tak, jestem najbogatszy w świecie.

— Ty zaś, Hermogenesie — rzecze Nikerat — czym najbardziej się szczycisz?

— Przyjaciół cnotą i potęgą można, i tym, że tacy to przyjaciele o mnie dbają.

Wtedy wszyscy popatrzyli na niego, a kilku równocześnie spytało, czyby i im tych przyjaciół nie wymienił.

— Z chęcią — odpowiedział.

IV. Teraz zabrał głos Sokrates:

— Jeszcze każdy powinien wykazać, że to, co podał, jest rzeczywiście czymś bardzo cennym.

Na to Kallias:

— Może mnie naprzód posłuchacie. Kiedy wy spieracie się o to, czym jest właściwie sprawiedliwość, ja tymczasem czynię ludzi sprawiedliwymi.

Sokrates spytał:

— Jakże to, mój drogi?

— Dając pieniądze; tak jest, na Zeusa.

Wtem Antystenes wstał i spytał go, zręcznie zdążając do zbiccia takiego wywodu:

— Czy ludzie, mój Kalliasie, mają poczucie sprawiedliwości, twym zdaniem, w duszy czy w sakiewce?

— W duszy — odrzekł.

— W takim razie ty duszę czynisz sprawiedliwszą, jeśli do sakiewki wkładasz pieniądze?

— Oczywiście.

— A to jak?

— Bo nikt nie zechce ważyć się na niebezpieczne zbrodnie, kiedy wie, że ma za co kupić, czego mu do życia trzeba.

— A czy ci oddają, co wezmą?

— Na Zeusa, to nie.

— Więc może coś innego, zamiast pieniędzy wdzięczność ci swą ofiarują?

— Na Zeusa, nawet i tego nie. Niektórzy nawet odnoszą się do mnie bardziej wrogo niż przedtem, nim coś dostali.

— To bardzo dziwne — rzekł Antystenes, podnosząc oczy na niego z przekonaniem, że udało mu się zbić jego zapatrywanie — że potrafisz ich uczynić sprawiedliwszymi wobec innych tylko, nie wobec ciebie.

— A cóż w tym dziwnego? — odparł Kallias. — Nie widziałeś tylu cieśli i budowniczych, którzy innym ludziom budują mieszkania, a sobie nie mogą, i dlatego mieszkają w najętych? Tylko nie przejmuj się tym zbytnio, sofisto, że ktoś twoje wywody zbija.

— Tak, tak, na Zeusa — rzecze Sokrates — niech się nie przejmuję, bo i wieszczkowie, jak to mówią, wszystkim przepowiadają przyszłość, a swojej własnej nie przewidują.

Otóż na tym się ta rozmowa skończyła. Następnie zaczął Nikerat:

— Posłuchajcie też, jaką moglibyście odnieść korzyść z mojego towarzystwa. To chyba wiecie, że Homer, ten wielki mędrzec, w poematach swoich dotyka prawie wszystkich zakresów ludzkiej działalności. Jeśli zatem kto z was chce stać się gospodarzem, mówcą, wodzem lub podobnym do Achillesa, Ajasa, Nestora lub Odyseusza, niech się do mnie umizga. Bo ja się na tym wszystkim rozumiem.

— A czy także — spytał Antystenes — rozumiesz się na sztuce królowania? Pamiętasz przecie, że Homer chwalił Agamemnona, iż dobry to król, a zarazem wojownik z oszczepem obyty.

— Tak jest, na Zeusa, a także wiem, że woźnica powinien zawrócić blisko mety:

Przechył się trochę, powiada, na wozie wspaniale rzeźbionym
W lewą stronę, a konia pamiętaj zacinać prawego
Batem, i krzycz po imieniu, a lejce mu poddaj rękoma —

a oprócz tego jeszcze niejedno wiem, możecie się w tej chwili o tym przekonać. Homer mianowicie gdzieś tam powiada: przysmakiem przy trunku cebula. Jeśli więc ktoś przyniesie cebuli, to przynajmniej tę korzyść ze mnie będziecie mieli, że picie będzie wam lepiej smakowało.

Na to Charmides:

— Panowie, Nikerat chce trącić zapachem cebuli, gdy przyjdzie do domu, by żona była przekonana, że nikomu przez myśl nawet nie przeszło pocałować go.

A Sokrates:

— Na Zeusa, ale narażamy się jeszcze na inne śmieszne podejrzenie. Rzeczywiście, na przysmak wygląda cebula, jako że nie tylko potrawom, ale i napojom dodaje smaku. A jeśli ją będziemy gryzli i po uczcie, to może jeszcze ktoś powiedzieć, żeśmy przyszli do Kalliasa pofolgować rozpuście brzucha.

— Nigdy w świecie — rzekł Kallias — albowiem i temu, co na walkę rusza, służy, jeżeli zagryzie cebulą, podobnie jak niektórzy czosnkiem żywią koguty przed walką. Ale raczej nad tym przemyślimy, jakby całować kogoś, a nie walczyć.

Na tym mniej więcej urwała się ta rozmowa.

— A może teraz ja powiem, czemu jestem dumny ze swej piękności — odezwał się Krytobul.

— Mów — odpowiedziano.

— Jeżeli nie jestem piękny, jak to sam o sobie mniemam, to wam słusznie należałaby się kara za oszustwo, gdyż ciągle powtarzacie, że jestem piękny, i stwierdzacie to przysięgą, choć jej od was nikt nie wymaga. Ale i ja sam w to wierzę, boście przecie ze wszech miar uczciwi ludzie. Jeśli zaś w istocie jestem piękny i takie samo na was wywieram wrażenie, jak ktoś, moim zdaniem, piękny na mnie, to przysięgam na wszystkich bogów, że piękności nie dałbym nawet za władzę króla perskiego. Albowiem teraz z większą rozkoszą patrzę na Klejniasa niż na wszystko inne, co się pięknem zwie u ludzi. Wolałbym być ślepym na wszystko, niż tęsknić za jednego Klejniasa widokiem, gniewam się na noc i sen za to, że go widzieć nie mogę, dla dnia i słońca czuję wdzięczność bez granic za to, że mi nań patrzeć pozwalają. A godzi się nam, pięknym, także i tym się szczycić, że kiedy silny przez pracę, odważny przez niebezpieczeństwo, mądry przez namowę do celu dochodzi, to piękny nawet bez żadnego wysiłku wszystko przeprowadzi. Mnie przynajmniej, choć wiem, że majątek to miła rzecz, milej by było Klejniasowi swe mienie oddać, niż brać cudze od kogoś innego; milej by mi było służyć w niewoli, niż zaliczać się do wolnych, byleby tylko Klejnias chciał być moim panem. Praca dla niego byłaby mi łatwiejsza niż odpoczynek, niebezpieczeństwo w jego obronie słodsze niż bez troskie życie. Toteż, Kalliasie, jeżeli ty się szczycisz, że możesz ludzi czynić sprawiedliwszymi, niż byli, ja mam moc większą od ciebie, by ich prowadzić na wyżynę każdej cnoty. Bo my, piękni, możemy tchnąć w naszych wielbicieli hojniejszą szczodrość, jeśli chodzi o pieniądze, potężniejszą miłość trudów i sławy, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, a nawet wrażliwsze poczucie wstydu i większą moc panowania nad sobą, bo najwięcej poszanowania i wstydu mają przed tymi, których najbardziej pożądają. Bardzo niemądrze postępują ci, co nie wybierają pięknych wodzami. Ja przynajmniej za Klejniasem poszedłbym w ogień, a wiem, że i wy za mną. Więc rzuć, Sokratesie, wątpliwości, czy moja piękność jakąś korzyść ludziom przyniesie. A nawet nie należy mniej cenić piękności, że niby zbyt szybko przekwita. Bo nie tylko chłopak może być piękny, ale także i młodzian, i mężczyzna w sile wieku, i starzec. Na talloforów wybiera się dla Ateny pięknych starców — widocznie piękność to przymiot, który każdemu wiekowi towarzyszyć może. A jeśli prawdą jest, że przyjemność stanowi uzyskać od kogoś z dobrej woli, czego się pragnie, to z pewnością i teraz, choćbym nie rzekł ni słowa, prędzej bym ja skłonił tego chłopca i dziewczynę do pocałowania mnie niż ty, Sokratesie, długą mądrą mową.

— Jak to? — przerwał Sokrates. — Czy ta głośna przechwałka ma znaczyć, żeś niby piękniejszy niż ja?

— Na Zeusa, tak — odrzekł Krytobul. — Chyba że byłbym najbrzydszym ze wszystkich sylenów w dramacie satyrowym (Sokrates przypadkowo był w samej rzeczy do nich podobny).

— Dobrze — powiedział Sokrates. — Pamiętaj, że musimy dać rozsądzić nasz spór o piękność, gdy się wyczerpie cała rozmowa, a niech nas rozsądzi nie Aleksander, syn Priama, lecz właśnie ci, których ty podejrzewasz, że pożądają twojego pocałunku.

— A nie poruczyłbyś sądu Klejniasowi?

— Znowu! Czy ty nigdy nie przestaniesz myśleć o Klejniasie?

— Jeślibym nie wspominał, czy sądzisz, że mniej bym o nim myślał? Mam tak żywy obraz jego w duszy, że gdybym był rzeźbiarzem lub malarzem, na podstawie tego obrazu mógłbym go z nie mniejszym podobieństwem przedstawić, niż gdyby siedział przed moimi oczyma. Nie wiesz o tym?

A Sokrates rzekł:

— Dlaczegoż, jeśli masz tak wierny obraz jego w duszy, robisz mi tyle kłopotu i ciągniesz mnie tam, gdzie go się spodziewasz zobaczyć?

— Bo sam widok jego uradować zdoła, Sokratesie; obraz w duszy pociechy nie daje, lecz tęsknotę budzi.

Tu Hermogenes zauważył:

— Muszę powiedzieć, iż nie pochwalam tego, Sokratesie, że ty tak obojętnie patrzysz na szal miłosny Krytobula.

— Czy ci się zdaje — rzekł Sokrates — że ten jego stan pochodzi dopiero z tego czasu, w którym zaczął przestawać ze mną?

— A z jakiego?

— Widzisz przecie, że jemu mlecznobiały meszek wzdłuż uszu w dół pełza, a Klejniasowi już wstecz ku czaszce się wspina. Skutkiem tego razem chodzili do tych samych szkół, i wtedy to tak silnym rozgorzał płomieniem. Gdy to ojciec jego zauważył, oddał mi go, myśląc, że może przecie coś poradzę. I rzeczywiście znacznie już z nim lepiej. Przedtem bowiem jak ci, co Gorgony widzą, jakby skamieniały patrzył za nim, jakby skamieniały nigdzie od niego nie odstąpił. Natomiast teraz spostrzegłem nawet, że mruga. Choć, na bogów, panowie, zdaje mi się — tak mówiąc między nami — że on nawet „pokochał” Klejniasa (jak dzieci całowanie nazywają); a nic goręcej płomienia miłości nie podsyci, jak pocałunek, gdyż jest nienasycony i słodkie budzi nadzieje. A może także dlatego tak ogromnej czci zażywa, że spośród wszystkich rzeczy na świecie tylko zetknięcie dwu ust taką samą ma nazwę, jak i kochanie się dusz. Kto chce zatem miarkować się, musi wstrzymać się od całowania pięknych.

Wtem odezwał się Charmides:

— Ale czemuż to, Sokratesie, nas, swoich przyjaciół, tak odstraszasz od pięknych, kiedy ty sam — widziałem na własne oczy, zaklinam się na Apollona — w szkółce elementarnej tuliłeś swą głowę do głowy Krytobula i obnażone swe barki do jego nagich barków, gdyście czegoś obaj szukali w tej samej książce.

— Ach — rzekł Sokrates — to dlatego ja dłużej niż przez pięć dni odczuwałem swędzenie w barku, jakby mnie był jakiś zwierz ukąsił, i miałem wrażenie, jakby mnie coś w sercu łaskotało. Ale teraz... to, Krytobulu, wobec tylu świadków zapowiadam ci, abys mnie nie dotykał więcej, aż zapuścisz na brodzie tak długie włosy, jak na głowie.

Tak to oni na przemian, to żartem, to poważnie, mówili.

— A teraz twoja kolej, Charmidesie — zawołał Kallias. — Czemu to szcycisz się swym ubóstwem?

— Ogólnie się na to zgadzają — powiedział — że lepiej jest być odważnym, niż drzeć ze strachu, i wolnym być raczej niż w niewoli, i przyjmować raczej umizgi, niż umizgać się, i mieć raczej zaufanie ojczyzny, niż spotykać się z niedowierzaniem. Nieprawdaż? Otóż ja, mieszkając w tym państwie, obawiałem się, kiedy jeszcze byłem bogaty, by się jaki włamywacz nie podkopał do mego domu i nie zabrał mego majątku, dybiąc w dodatku jeszcze na moje zdrowie lub życie. A potem umizgiwałem się do sykofantów, w tym słusznym przeświadczeniu, że więcej złego mogę od nich doznać, niż im wyrządzić. I państwo ciągle obarczało mnie nowymi ciężarami, a nie wolno mi było nigdzie indziej zamieszkać. Teraz zaś, kiedym zagraniczne posiadłości stracił, a z ateńskich nie mam dochodów, gdy urządzenie domowe sprzedane, wyciągam się w słodkim śnie, cieszę się zaufaniem państwa, nie spotykam się z groźbami, lecz już grozę innym, jestem wolny i mogę według upodobania mieszkać w kraju lub zagranicą. Wstają już przede mną ze swych siedzeń i ustępują mi z drogi bogaci. Dziś jestem panem i królem, a wtedy widocznie byłem tylko niewolnikiem; wtedy ja podatek składałem ludowi, dziś państwo mi jest lenne i musi mnie żywić. Za przestawanie z Sokratesem, kiedy jeszcze byłem bogaty, lżyli mnie. Dziś, kiedym ubogi, to już nic nikomu na tym nie zależy. I jeszcze coś: kiedy wiele miałem, ciągle coś traciłem, to z winy państwa, to przypadku. Teraz zaś nic nie tracę, bo nawet nie mam z czego, a tylko mogę się spodziewać zysku.

— Nieprawdaż — rzecze Kallias — nie życzysz sobie nigdy bogactwa, a jeśli ci się coś dobrego przyśni, składasz ofiary bogom chroniącym, by się to nie spełniło?

— Na Zeusa, tego doprawdy nie czynię, lecz z ochoczą odwagą mężnie trwam na stanowisku, jeśli się spodziewam, że coś mogę zyskać.

— A teraz — rzekł Sokrates — ty znowu powiedz nam, Antystenesie, jakże to, tak mało posiadając, jesteś dumny z bogactwa?

— Bo uważam, że ludzie nie mają bogactw, czy tam ubóstwa, w domu, ale w swych duszach. Widzę bowiem, że wielu zwyczajnych obywateli mimo wielkiego majątku, jaki posiadają, czuje się tak ubogimi, iż na każdy trud i na każde niebezpieczeństwo się ważą, byleby tylko jeszcze więcej zyskać. A wiem, że z dwóch braci, co jednakowe działy w spadku otrzymali, jeden ma pod dostatkiem na swe potrzeby, i ponad to, drugiego dręczy brak wszystkiego. A nawet niektórzy tyrani tak łakną bogactw, że popełniają straszniejsze czyny niż najwięksi biedacy. Bo z niedostatku oczywiście jedni kradną, inni dokonywają włamań, a jeszcze inni

prowadzą handel ludźmi. Natomiast niektórzy tyrani całe rody tępią, ludzi gromadami mordują, często nawet całe miasta dla zysku zaprzędają w niewolę. To doprawdy ciężka choroba, i bardzo się nad nimi lituję. To zupełnie, moim zdaniem, przypomina stan chorobliwy człowieka, który siedzi przy suto zastawionym stole, je i je, i nigdy nie może się nasycić. Ja tymczasem majątku mam tyle, że sam nie umiem go znaleźć. Mimo to starczy mi, by jeść aż do chwili, kiedy nie będę odczuwał głodu, i pić, aż ugaszę pragnienie, i odziać się mogę zupełnie nie gorzej niż nasz bogaty Kallias, tak że poza domem na równi z nim nie marznę. A kiedy jestem w domu, to, zdaniem moim, szatami znakomicie broniącymi przed zimnem są ściany, a grubą narzutką wierzchnią powała i dach, a już łoże to mam tak wygodne, że zbudzić mnie nie lada praca. A jeśli ciało moje musi czasem zaspokoić potrzeby Afrodyty, do tego stopnia wystarcza mi to, co się znajdzie pod ręką, że każda, do której przystąpię, obsypuje mnie pieścizotami, gdyż nie ma nikogo na świecie, któremu by przyszła ochota zbliżenia się do niej. I to wszystko wydaje mi się tak przyjemne, że nie życzyłbym sobie z tych czynności większej rozkoszy, owszem, nawet mniejszej. Tak dalece za wielkie wydają mi się te rozkosze, większe znacznie niż trzeba. A za najlepszą stronę mojego bogactwa uważam tę okoliczność, że na wypadek gdyby mi ktoś zabrał nawet to, co teraz posiadam, nie widzę żadnego zajęcia tak złego, żeby mi nie mogło dać dostatecznego utrzymania. Bo kiedy zechcę się uraczyć, nie kupuję na rynku drogich rzeczy — to byłoby zanadto kosztowne; moją klucznicą pożądanie i głód. A różnica, i to niemała, jeśli chodzi o rozkosz, zaczekać, aż się pożąda, a potem spożywać, niż mieć coś cennego nawet, ale bez pragnienia; jak na przykład teraz piję to thazyjskie wino — ot, bo się tak przypadkiem złożyło. No i jest rzeczą naturalną, że sprawiedliwsi są ci, co prostoty w życiu pragną, a nie wzbogacenia się. Bo komu najzupełniej wystarczy to, co ma, ten najmniej pożąda cudzego. A warto pamiętać, że takie bogactwo budzi hojność w ludziach. Albowiem tu obecny Sokrates, od którego je nabyłem, nie odliczał mi go ani nie odważał, lecz dawał tyle, ile mogłem unieść. I ja dziś nikomu nie żałuję ani się przed przyjaciółmi nie kryję z dostatkiem, ale kto tylko chce, każdemu sypię hojnie bogactwa z mej duszy. A już najmilszy nabytek mego całego bogactwa to wolny czas, którego, jak widzicie, mam pod dostatkiem, tak że starczy na to, żeby patrzeć na coś, jeśli jest godne oglądania, i słuchać, jeśli coś warto posłyszeć, a przede wszystkim, co najwięcej cenię, mogę swój wolny czas całymi dniami spędzać z Sokratesem. I on nie dla tych jest z usługowym szacunkiem, co najwięcej pieniędzy płacą, lecz z tym stale przestaje, kto mu się podoba.

Tak mówił Antystenes. Gdy skończył, Kallias rzekł:

— W istocie, na Herę, zazdroścę ci bogactwa, a zwłaszcza tego, że państwo ze swoimi nakazami nie postępuje z tobą jak z niewolnikiem, a ludzie nie mają do ciebie żalu, jeśli im nie dasz pożyczki.

— Na Zeusa — przerwał Nikerat — nie zazdrość! Przyjdę ja do niego po pożyczkę: prosić o taki sposób, żeby mi już niczego nie było trzeba od nikogo. Niestety, nie mogę się odzwyczaić od pragnienia jak największych skarbów; tak to nauczyłem się rachować u Homera według liczby i wagi:

Siedm dam ognia językiem jeszcze nie tkniętych trójnogów,
Dziesięć złota talentów i miednic lśniących dwadzieścia,
Koni rączych dwanaście.

Kto wie, może dlatego uważają mnie niektórzy za wielkiego chciwca.

Wtedy roześmiali się wszyscy z jego — jak myśleli — szczerego wyznania, sądzeni bowiem, że mówi prawdę.

Nagle ktoś powiedział:

— Teraz z tobą sprawa, Hermogenesie, wymień swoich przyjaciół; musisz wykazać, że wielką mają potęgę i dbają o ciebie, inaczej nie byłoby słuszne szczycić się nimi.

Hermogenes:

— Jest rzeczą powszechnie znaną, że i Hellenowie, i barbarzyńcy wierzą, iż dla bogów nie ma tajemnicy ani teraźniejszość, ani przyszłość. Nieprawdaż? Przynajmniej wszystkie państwa i wszystkie ludy za pośrednictwem mantyki pytają bogów, co wolno, a czego nie wolno czynić. I to przecież także jest całkiem jasne, że wierzymy, iż bogowie mogą obdarzać łaską lub zsyłać nieszczęścia; wszyscy przynajmniej proszą bogów o łaskę i o obronę przed nieszczęściem. Otóż ci tak wszechwiedzący i tak wszechmocni bogowie z życzliwej przyjaźni tak dalece o mnie dbają, że nigdy, dniem i nocą, nie mogę ujść uwagi ich troskliwego oka, dokądkolwiek pójdę, do jakiegokolwiek czynności się zabiorę. Dzięki temu, że wiedzą naprzód, jaki obrót weźmie każda sprawa w przyszłości, dają mi znać przez swoich gońców, co wolno czynić, a co nie, śląc mi głosy, sny i ptaki. Jeśli tych gońców słucham, nigdy potem tego nie żałuję, ale za nieposłuszeństwo już spotkała mnie swego czasu kara.

Na to rzekł Sokrates:

— Prawda, prawda, w to wszystko chętnie wierzymy, ale o tym chciałbym się dowiedzieć, jaką to czią zyskałeś sobie w bogach takich przyjaciół.

— Na Zeusa — odrzekł Hermogenes — to całkiem proste. Mianowicie wielbię ich, co nie jest dla mnie połączone z żadnymi kosztami, z ich darów własnych im znowu przynoszę ofiary, wyrażam się, o ile mogę, w sposób nie obrażający bogów i nigdy nie powiem świadomie kłamstwa, kiedy ich wezwę na świadków.

— Na Zeusa — zauważył Sokrates — jeśli za to masz w nich takich przyjaciół, to i bogowie widocznie mają pociechę z szlachetnej duszy.

Taki to był przebieg tej poważnej mowy.

A kiedy przyszła kolej na Filipa, pytali go, co takiego widzi w rzemiośle wesołka, że się nim szczyci.

— Czy może nie warto? — spytał. — Przecież wszyscy wiedzą, iż jestem wesołkiem, i ochnie mnie zapraszają, gdy tylko co dobrego im się przytrafi; a jeśli ich co złego napotka, uciekają bez oglądania się, w obawie, że mogliby się roześmiać wbrew własnej woli.

Na to Nikerat:

— Na Zeusa, całkiem słusznie się szczycisz. Bo mnie z daleka omijają ci przyjaciele, którym się dobrze powodzi; tylko ci, którym coś złego się stało, powołują się na pokrewieństwo, snując dalekie genealogiczne wywody, i nie mogą znieść rozłąki ze mną.

— Już dobrze — rzekł Charmides. — Ale teraz ty, Syrakuzańczyku, powiedz, z czego jesteś dumny. Pewnie z chłopca?

— Broń boże — odpowiedział — wcale nie. Przeciwnie nawet, mocno się obawiam o niego. Bo, jak widzę, niektórzy czyhają na jego zgubę.

— Na Heraklesa! — zawołał Sokrates, usłyszawszy to. — Czymże według ich zdania ten chłopiec ich skrzywdził, że chcą go zabić?

— Ależ nie zabić — odpowiedział — tylko namówić, by spał z nimi razem.

— A ty, jak się zdaje, uważasz, że w tym byłaby jego zguba.

— I to do cna.

— A sam nie śpisz z nim razem?

— Oczywiście śpię co nocy, i to przez całą noc.

— Na Herę — rzekł Sokrates — toż to wielkie szczęście, że jedynie twa skóra nie grozi zgubą współśpiącym. Skutkiem tego możesz się szczycić nie czymś innym, tylko właśnie swą skórą.

— Ależ, na Zeusa — rzekł — tym się nie szczycę.

— Ale czym?

— Głupcami, na Zeusa. Ci bowiem, oglądając moje kuglarskie sztuki, pozwalają mi zarobić na kawałek chleba.

— Dlatego to ja — odezwał się Filip — słyszałem niedawno, jak w modlitwie zwracałeś się do bogów z prośbą, by wszędzie, gdzie staniesz, było w plony tłusto, a w rozumy pusto.

— Dobrze, dobrze — rzekł Kallias. — A teraz ty, Sokratesie, co masz do powiedzenia na poparcie twego zdania, że słusznie byś się mógł szczycić tą przez ciebie wymienioną sztuką, co tak smutną ma sławę.

— Musimy naprzód — rzekł Sokrates — stwierdzić, na czym polega zadanie rajfura; więc na każde moje pytanie odpowiadajcie bez wahania, byśmy wiedzieli, jak daleko sięga zgodność naszych zapatrywań. Czy to wam odpowiada?

— Tak jest — powiedzieli wszyscy, i raz powiedziawszy „tak jest”, stale w dalszym ciągu tę samą dawali odpowiedź.

— Czyż nie należy do zadania dobrego rajfura postarać się, by osoba, którą stręczy — może to być on lub ona — podobała się tym, z którymi by miała przestawać?

— Tak jest.

— Czyż nie przyczynia się do tego, by się podobać — jako jeden ze szczegółów — przystojny i odpowiedni sposób ubierania się i uczesania?

— Tak jest.

— Prawda, że można tymi samymi oczyma spoglądać przyjaźnie na kogoś i wrogo?

— Tak jest.

— Co dalej: czy można tym samym głosem mówić pokornie i śmiało?

— Tak jest.

— Dalej, niektóre słowa mogą budzić nienawiść, inne przyjaźń. Nieprawdaż?

— Tak jest.

— Zatem dobry rajfur tylko tak będzie kształcił, jeśli o te szczegóły chodzi, by można się *podobać*?

— Tak jest.

— A czy lepszy ten, co postara się wzbudzić upodobanie dla swego wychowanka u jednego człowieka, czy może ten, co u wielu?

Tu podzielili się na dwie grupy. Jedni mówili: „Pewnie, że ten, co u jak największej liczby”, drudzy: „Tak jest”.

— W takim razie i na to zgoda: kto by potrafił tak kogoś ułożyć, by podobał się całemu państwu, ten byłby już doskonałym rajfurem?

— Na Zeusa, toż to jasne — rzekli wszyscy.

— Czyż nie słusznie szczyliłby się swą sztuką i brał wielką zapłatę ten, kto by potrafił swoich wychowanków tak urobić?

Gdy wszyscy się na to zgodzili, mówił dalej:

— Otóż takim mistrzem jest moim zdaniem ten oto... Antystenes.

A Antystenes zawołał:

— Mnie, Sokratesie, oddajesz swą sztukę?

— Tak, na Zeusa — odrzekł — gdyż widzę, żeś już i jej towarzyszkę dostatecznie opanował.

— Mianowicie?

— Sztukę przywodzenia.

A ten, bardzo obrażony, zapytał:

— Znasz takie moje postęпки?

— Wiem — odpowiedział Sokrates — żeś naszego Kalliasa przywiódł do mędrca Prodykosa, kiedyś zauważył, że miłuje filozofię, a tamten potrzebuje pieniędzy; już nie mówię o Hippiaszu z Elidy, od którego nauczył się sztuki pamiętania. Od tego to czasu jest znacznie kochliwszy, bo teraz, zobaczywszy coś ładnego, nie może już nigdy zapomnieć. Nawet wobec mnie niedawno chwaliłeś tego przybysza z Heraklei, a potem zaznajomiłeś mnie z nim, kiedyś swymi pochwałami wywołał u mnie pragnienie poznania go. Ajschylosa zaś z Fliuntu i mnie, chwając nas jednego przed drugim, doprowadziłeś do takiego zakochania się swymi mowami, żeśmy się tropili wzajemnie, aby się spotkać. Widząc więc, że ty takie rzeczy potrafisz, uważam cię za dobrego przywódciciela. Kto bowiem zdoła zrozumieć, że ci a ci są dla siebie samych pożyteczni, i potrafi ich do tego doprowadzić, by pragnęli obcować z sobą, to ten potrafi i państwa do przyjaźni między sobą doprowadzić i małżeństwa szczęśliwe kojarzyć. Mieć takiego człowieka, co to za skarb dla państw, przyjaciół i sprzymierzeńców! A ty tak się obraziłeś, kiedy cię nazwałem dobrym przywódcicielem, jakbyś usłyszał ode mnie jakąś obelgę.

— Ale na Zeusa — odrzekł — już się nie czuję obrażony. Jeżeli bowiem to potrafię, to moja dusza będzie już zupełnie przepełniona bogactwami.

Tak to zakończyły się te w krąg idące mowy.

V. Tu Kallias spytał:

— Jak to, to ty, Krytobulu, nie stajesz do zawodów o piękność z Sokratesem?

— Na Zeusa — zawołał Sokrates — być może, że widzi, jaki mir ma rajfur u sędziów.

— A przecież — odparł Krytobul — nie uchylam się. Daj więc dowód, jeśli mądrość twą stać na to, żeś piękniejszy ode mnie.

— Niech no ktoś lampę bliżej przysunie — rzekł Sokrates. — A teraz wzywam cię — ciągnął dalej — naprzód do przesłuchania w sprawie naszego sporu prawnego. Więc odpowiadaj.

— Pytaj więc.

— Czy piękność twym zdaniem jest cechą wyłącznie ludzką, czy posiada ją i coś innego?

— Moim... na Zeusa, posiadają ją i konie, i krowy, i wiele nieżywotnych przedmiotów — odpowiedział. — Przynajmniej wiem, że może być i piękna tarcza, i miecz, i włócznia.

— Jakżeż te wszystkie rzeczy, nie mając nic ze sobą wspólnego, mogą być piękne?

— Jeśli są tak wykonane, że nadają się do tego zadania, dla którego je nabywamy, lub jeśli z natury odpowiadają naszym potrzebom, to i te rzeczy — powiedział Krytobul — są piękne.

— Czy wiesz, w jakim celu potrzeba nam oczu?

— Oczywiście, by widzieć.

— W takim razie to już moje oczy byłyby piękniejsze niż twoje.

— A to czemu?

— Albowiem twoje oczy widzą tylko prosto przed sobą, a moje i z boku, na ukos, dzięki temu, że są tak wyłupiaste.

— Czy ty twierdzisz, że rak ma najpiękniejsze oczy ze wszystkich stworzeń?

— Z całą stanowczością — rzekł Sokrates — bo i co do siły są przez naturę doskonale wyposażone.

— Już dobrze. A czyj nos piękniejszy, twój czy mój?

— Ja myślę, że mój, jeśli bogowie dali nam nosy w tym celu, by wachać. Gdyż twoje nozdrza są zwrócone ku ziemi, tymczasem moje są rozwarte na wszystkie strony, skutkiem czego mogą przyjmować zewsząd dochodzące wonie.

— Więc perkaty nos piękniejszy od prostego? Jakże to?

— Bo nie stawia przed oczyma żadnej zasłony, lecz pozwala im widzieć do woli, nos zaś wysoki jakby na przekór buduje między oczyma przegradzającą ścianę.

— W takim razie — rzekł Krytobul — jeśli chodzi o usta, poddaję się; jeżeli bowiem są stworzone do odgryzania, to potrafisz odgryźć znacznie większy kęs niż ja.

— A ponieważ mam grube wargi, to bardziej miękkie można na nich wyciskać pocałunki niż na twoich.

— Jak się zdaje, to ja wedle twych słów mam jeszcze brzydsze usta niż osioł.

— A czyż nie stanowi dowodu, że jestem piękniejszy niż ty, ta okoliczność, że i najady, boginie przecież, rodzą sylenów, podobniejszych do mnie niż do ciebie?

— Ale niech oddają głosy, bo już nie mam sposobu ci się sprzeciwić. Niech wiem jak najprędzej, jaka kara czy grzywna mnie czeka. Tylko jedno jeszcze: niech oddają swe głosy tajnie, gdyż obawiam się, by mnie nie zgłębiło zupełnie twoje i Antystenesa bogactwo.

Otóż chłopiec i dziewczyna tajnie oddawali swoje głosy, a tymczasem Sokrates polecał przysunąć lampę bliżej do Krytobula, by zapobiec pomyłce sędziów, i występował za tym, by zwycięzcy dostały się od sędziów nie wstążki, lecz przepaski z pocałunków. A kiedy głosy wszystkie wypadły na korzyść Krytobula, westchnął Sokrates:

— Och, niejednakowe twoje pieniądze i Kalliasa. Jego pieniądze potęgują poczucie sprawiedliwości, a twoje, jak to najczęściej bywa, zabijają je nawet u tych, co w sądzie lub w zawodach wydają wyroki.

VI. Wtedy jedni wzywali Krytobula, by kazał sobie wypłacić nagrodę za zwycięstwo w postaci pocałunków, inni kazali prosić pana tych dzieci o pozwolenie, inni znowu inne rzucali żarty. A Hermogenes nawet wtedy milczał. Więc Sokrates odezwał się, zwracając się do niego po imieniu:

— Hermogenesie, mógłbyś nam powiedzieć, co to jest psotliwy nastrój przy winie?

— Jeśli się pytasz o to, czym jest, nie wiem, ale mogę powiedzieć, czym mi się wydaje.

— O to właśnie chodzi.

— Moim zdaniem psotliwy nastrój przy winie to znaczy psuć zebrany nastrój.

— Czy więc wiesz, że i ty psujesz nam nastrój swym milczeniem?

— Czy także podczas tego, gdy mówicie?

— Nie, ale w czasie przerwy.

— Czyście nie zauważyli, że między wasze mowy nie można by wcisnąć włosa, a coś dopiero słowo wtrącić?

Na to Sokrates zawołał:

— O Kalliasie, nie możesz przyjść z pomocą człowiekowi, którego tak się zawstydzą zbijaniem jego wywodów?

— Owszem — odpowiedział — kiedy flet się odezwie, będziemy wszyscy milczeli.

A Hermogenes rzekł:

— Czy chcecie, bym przy akompaniamencie fletu do was mówił, podobnie jak aktor Nikostrat wygłaszał swoje tetrametry przy wtórze fletu.

— Przebóg — na to Sokrates — zrób tak, Hermogenesie. Bo jak śpiew przy wtórze fletu nabiera słodyczy, tak i twoją mowę tony osłodzą, zwłaszcza jeżeli wzorem fletnistki poprzesz swe słowa wymownymi ruchami.

— Lecz jakaż ma być muzyka — wtrącił Kallias — jeśli Antystenes kogoś zawstydzi, zbijając jego wywody?

— Takiemu — odpowiedział Antystenes — co się tak daje zawstydząć, należy się wygwizdanie.

Gdy Syrakuzańczyk widział, że nie dbają o jego popisy, lecz sami rozmową się bawią, z zazdrości odezwał się do Sokratesa:

— Czy to ty, Sokratesie, jesteś tym, co go zwą przydomkiem „rozmyślający”?

— Czyż to nie lepiej, niż żeby mnie zwano bezmyślnym?

— Gdybyś tylko nie budził mniemania, że rozmyślasz nad tym, co na niebie.

— Czy jest coś ważniejszego na niebie niż bogowie?

— Ale nie o nich, na Zeusa, chodzi ci, jak mówią, lecz o sprawy najbłahsze, co jest objawem największej opaczności.

— To i w takim razie chodzi mi o bogów. Opatrzność bowiem nas wspiera, i deszczem darząc z nieba, i światłem. Jeżeli zaś mój dowcip jest niesmaczny, to twoja wina, gdyż zawzięłeś się mnie dręczyć.

— Ale zostaw to i powiedz mi, ile stóp pchlich jesteś ode mnie oddalony? Przecie, jak mówią, takimi pomiarami się zajmujesz.

Tu zwrócił się Antystenes do Filipa ze słowami:

— Ty jesteś mistrzem w wynajdywaniu podobieństw. Czy ten człowiek nie wydaje ci się podobny do takiego, który usiłuje szydzić z kogoś?

— Na Zeusa, i to nie tylko do takiego, ale i do wielu innych.

— Mimo to — rzekł Sokrates — nie dopatruj się podobieństw, byś i ty nie wyglądał na szydercę.

— Ależ jeżeli będę szukał podobieństw między nim a przyzwoitymi, a nawet najznakomitszymi ludźmi, to raczej nie będę już tym samym wyglądał na szydercę.

— Jeśli go pod każdym względem będziesz mienić lepszym, już tym samym wyglądasz na szydercę.

— Więc wolałbyś, bym go porównywał z gorszymi?

— Ani z gorszymi.

— Z nikim?

— W ogóle nie porównuj go z nikim.

— Ależ nie wiem, jak przy przestrzeganiu milczenia mam postępować, by zachowanie moje było godne uczyty.

— To bardzo łatwo: przemilczeć to, czego lepiej nie mówić.

W ten sposób ten psotliwy nastrój przy winie przygasł.

VII. Tymczasem jedni kazali mu szukać podobieństw i robić porównania, a drudzy wzbraniali. W czasie wrzawy Sokrates znowu zabrał głos:

— Może byśmy teraz właśnie coś razem zaśpiewali, kiedy już wszyscy pragniemy mówić.

I zaraz po tych słowach zaczął pierwszy nucić jakąś piosenkę.

Właśnie w tej chwili, gdy przestali śpiewać, przyniesiono tancerce krążek garncarski, na którym miała pokazywać sztuki. I tu Sokrates odezwał się do Syrakuzańczyka:

— Zdaje się, że naprawdę zasługuję na przezwisko „rozmyślający”, jak ty powiadasz. Przynajmniej teraz zastanawiam się nad tym, jakby najłatwiejszym dla twego chłopaka i tej dziewczyny sposobem urządzić dla nas jak najmiłsze widowisko. Wiem, że jest to i twoim życzeniem. Bo moim zdaniem wywracanie kozłów wśród mieczy jest popisem niebezpiecznym, a całkiem nieodpowiednim dla uczt. Prawda, pisać i czytać, wirując na krążku, to może cudowna rzecz, ale nie mogę się dorożumieć, co za przyjemność z tego dla kogokolwiek. Ani też nie jest przyjemniej patrzeć na młodych i pięknych ludzi, gdy wykręcają ciało i wyginają się w kształt koła, niż gdy zachowują się spokojnie. Zresztą cudowne rzeczy, jeśli ich ktoś pragnie, nie są znowu tak bardzo rzadkie. Podziwiać można pierwszy lepszy szczegół, na przykład czemu lampa blaskiem płomienia oświećta izbę, a blacha przy lampie mimo swego blasku światła nie daje, lecz tylko odzwierciedla w sobie inne rzeczy; czemu oliwa, choć jest płynem, podsyca płomień, a woda go gasi, właśnie dlatego, że jest płynem. Ale i takie rozważanie to nieodpowiedni sprzymierzeniec dla wina. Może by tańczyli do taktów fletu w takich postawach, jak malują Charyty, Hory i Nimfy. Ta czynność, myślę, szłaby im łatwiej i dodałoby uczcie większego wdzięku.

— Na Zeusa — zawołał Syrakuzańczyk — słuszne twe słowa, Sokratesie! Już ja dam wam takie widowisko, że będziecie zadowoleni z zabawy.

VIII. Po tych słowach Syrakuzańczyk wyszedł i począł robić swoje przygotowania, natomiast Sokrates podniósł znowu coś nowego:

— Czyż to jest słuszne, przyjaciele, zapomnieć o obecności wielkiego boga, co wiekiem równy jest odwiecznym niebianom, a z postaci wygląda jak najmłodszy, obejmującego swą wielkością wszystko, a obierającego sobie przybytek w duszy człowieka? Toż to Eros, do którego orszaku my wszyscy należymy. Albowiem ja nie umiałbym wymienić chwili, w której bym nie miłował kogoś, Charmides, ten oto, ma wielu wielbicieli, a zdarza się, że i on kogoś pożąda, a nawet Krytobul, choć sam jest teraz przedmiotem miłości, już innych pożąda. Ależ i sam Nikerat, jak słyszę, miłuje własną żonę i wzajemną się cieszy miłością. Hermogenes zaś — któż z nas o tym nie wie — usycha z miłości do szlachectwa duszy; nie wchodźmy w to, co to jest takiego. Może nie widzicie powagi w jego brwiach, spokoju w oku, miary w słowach, łagodności w głosie, pogody w usposobieniu? Nie patrzy na nas, ludzi, z góry, choć ma najdosłojniejszych przyjaciół w bogach. Tylko ty, Antystenesie, nikogo nie miłujesz?

— Och, na bogów — odpowiedział ów — i to całym żarem uczucia, ciebie.

Na to Sokrates z żartobliwym uśmiechem, niejako drożąc się, rzekł:

— Dajże mi teraz pokój, czyż nie widzisz, że mam coś innego do roboty?

A Antystenes:

— Jakżeż wyraźnie ty ciągle jedno i to samo czynisz, ty, swój własny rajfurze: raz wymawiasz się wewnętrznym głosem bóstwa i nie chcesz ze mną mówić, innym razem znowu masz myśl czymś innym zajęta.

Sokrates na to:

— Na bogów, Antystenesie, tylko mnie nie zamęcz. Wszystkie twoje inne dzikie porywy znoszę i będę znosił jak przyjaciel. Tylko tę miłość twoją starajmy się pokrywać tajemnicą, tym bardziej, że odnosi się do mej przystojności, a nie do duszy. Że zaś ty, Kalliasie, miłujesz Autolika, o tym wie całe miasto, a jak sądzę, i niejeden obcy. Bo i waszych obu ojców imiona są znane, i wy sami uwagę na siebie zwracacie. Zawsze byłem pełen podziwu dla twego charakteru, ale teraz jeszcze więcej, bo widzę, że nie kochasz się w lubieżnym rozpustniku czy w zniewieściałym wśród wygod chłopców, lecz w takim, co przed wszystkimi składa dowody siły, wytrwałości, męstwa i pomiarkowania. Pożądanie takich zalet jest świadectwem dla charakteru wielbiciela.

Czy jest jedna Afrodyta, czy dwie, Niebiańska i Gminna, nie wiem, i Zeus przecież jeden, jak wierzymy, ma wiele przydomków. Tylko tyle wiem, że dla obu są oddzielne ołtarze i świątynie, i ofiary składa się Gminnej z mniejszą powagą, a świętsze i czystsze Niebiańskiej. Można by więc przypuścić, że Gminna zsła umiłowanie ciała, a Niebiańska duszy, przyjaźni i pięknych czynów. Taka to miłość, myślę, ciebie opanowała, Kalliasie. Naprowadza mnie na to szlachectwo duszy umiłowanego i ta okoliczność, że z nim razem i ojca zapraszasz na spotkanie, bo szlachetny i dobry wielbiciel nie ma nic do zatajania przed ojcem.

— Na Herę — przerwał Hermogenes — w ogóle bardzo cię podziwiam, Sokratesie, a już najwięcej teraz, kiedy prawisz tak miłe rzeczy Kalliasowi, a zarazem jednym tchem dajesz nauki, jaki być powinien.

— Na Zeusa — rzekł Sokrates — by się jeszcze więcej z tego radował, udowodnię mu, że miłość duszy jest znacznie lepsza niż miłość ciała. Mianowicie wszyscy wiemy, że obcowanie z kimś bez przyjaźni nie jest nawet godne wzmianki. Po przyjacielsku zaś miłować, to znaczy, uwielbiając czyjś charakter, ulegać z własnej woli słodkiej konieczności, bo wielu z tych, którzy pożądają ciała, nienawidzi charakteru kochanka i gani go. A nawet jeśli będą kochać jedno i drugie, to przecież młodzieńczej piękności pączek wnet przekwitnie, a z jej zanikiem i miłość zwiędnąć musi, gdy tymczasem dusza im dłuższy czas zdąża ku doskonałości, tym godniejsza się staje miłowania. I pamiętać trzeba, że w krynicy piękności kryje się przesyt na dnie, tak że takiego samego uczucia przesytu dozna się przy kochanku, co przy potrawach, którymi się ktoś opycha. A duszy miłowanie, dlatego że święte, jest i bardziej nienasycone, choć bynajmniej nie jest skutkiem tego, jak mylnie sądzą, pozbawione rozkoszy miłosnej. Przeciwnie, tu oczywiście spełniają się słowa modlitwy, w której błagamy: daj nam, bogini, rozkosz miłosną w słowach i czynie. Że dusza skromna i szlachetna, w pełnej piękności ciała rozkwitająca, władcza wśród rówieśników i życzliwość pełna, wielbi i miłuje kochanka, na to chyba nie trzeba dowodu. Udowodnię tylko, że taki wielbiciel cieszy się wzajemnością kochanka. Po pierwsze bowiem, jakżeby mógł ktoś nienawidzić istoty, o której wie, że w jego piękność i dobroć wierzy. A dalej widziałby, że raczej dba o jego chlubę niż o swoją przyjemność, a prócz tego miałby pełne zaufanie, że miłość nie zmaleje, choćby przekwitł lub skutkiem cierpienia piękność utracił. Czyż nie muszą koniecznie przy takiej wspólnej miłości patrzeć na siebie wzajemnie z rozkoszą, życzliwie rozmawiać, ufać i budzić zaufanie, troszczyć się o siebie wzajemnie, wspólnie radować się szczęściem, a smucić się, gdyby ich zawód spotkał? Radosne ich współzycie, gdy są zdrowi, a jeszcze bardziej nierozzerwalny ich

związek, gdy jedno z dwojga zachoruje; a za nieobecny troskliwa myśl wytrwałej dąży niż za obecnym. Czyż to nie są miłosne rozkosze? Dzięki nim właśnie miłują przyjaźń i żyją w przyjaźni do późnej starości.

A takiego, co lgnie do ciała, dlaczegóż by miał miłowany chłopak wzajemnie miłować? Może dlatego, że sobie rozkosz gotuje upragnioną, a chłopcu hańbę niemałą? A może dlatego, że dla osiągnięcia swoich zamiarów oddała od niego jego domowników? Prawda, gwałtu nie zadaje, tylko namowy używa, ale właśnie za to zasługuje na większą jeszcze nienawiść. Bo kto gwałci, ten własnej duszy podłość odsłania, kto namową uwodzi, psuje duszę cudzą. Ale jeśli już ktoś swą piękność młodocianą za pieniądze sprzedaje, to czemuż by miał więcej uczucia żywić dla kupującego niż kramarz czy przekupień jarmarczny? Chyba nie będzie go za to miłował, że on, młody, utrzymuje stosunek z niemłodym, rozkwitły pięknnością z takim, co już dawno przekwitł, obojętny z zakochanym. Bo chłopak nie dzieli z mężczyzną rozkoszy Afrodyty tak jak niewiasta, lecz na trzeźwo przypatruje się pijanemu żądzą. Cóż więc dziwnego, jeśli skutkiem tego rodzi się w nim nawet pogarda dla wielbiciela.

Przy głębszym namyśle każdy też może się przekonać, że nic złego nie wynikło z kochania tych, co miłują charakter, a z bezwstydných stosunków niejedna się obraza bogów poczęła. A teraz wyjaśnię, że nie jest rzeczą godną człowieka wolno urodzonego przestawać z takim, co bardziej kocha ciało niż duszę. Kto bowiem wychowuje kogoś tak, by umiał i mówić, i działać jak należy, słusznie może się spotkać z taką czią, jaką Achilles oddawał Chironowi i Fojniksowi; natomiast z tym, co ciała pragnie, bez żadnej uchyby można by się obejść jak z żebrakiem. Ciągłe bowiem naprzykrza się, błagając i żebrząc to o pocałunek, to o jakąś inną namacalną łaskę. Jeśli używam zbyt śmiałych wyrażen, nie dziwcie się, gdyż wino mnie podnieca i podżega stały mój towarzysz Eros, bym nie obwijał w bawełnę, gdy ruszam na przeciwnika jego, drugiego Erosa. Mnie ten, co na piękność zwraca uwagę, wydaje się podobny do takiego, co sobie kawał pola wynajął i oczywiście nie stara się o to, by było jak najwięcej warte, lecz by sam jak najwięcej plonów zebrał. Kto przyjaźni raczej pragnie, podobny jest do takiego, co ma własną rolę; zewsząd znosi, co może, i stara się podnieść wartość umiłowanego.

A także u miłowanych chłopaków tak samo. Kto wie, że użyczając swej piękności, zyska władzę nad wielbicielem, ten prawdopodobnie i pod innym względem będzie dopuszczał się lekkomyślnych czynów. A ten, co zrozumie, że przyjaźń uleci, o ile nie będzie starał się o czystość i szlachetność duszy, więcej, rozumie się, będzie się troszczył o cnotę. A już największą korzyścią dla takiego, co dąży do zyskania w miłowanym chłopaku dobrego przyjaciela, jest konieczność przestrzegania cnoty samemu. Bo jakże możesz tego, co z tobą przestaje, wykierować na dobrego człowieka, jeśli sam się dopuszczasz nagannych czynów; jakżeż bezwstydný i wyuzdany mógłby doprowadzić umiłowanego do skromności i panowania nad sobą.

Pragnąłbym ci, Kalliasie, także z mitologii przytoczyć przykłady na to, iż nie tylko ludzie, ale i bogowie, i bohaterowie znacznie wyżej stawiają przyjaźń niż rozkosz cielesną. Choć w tylu śmiertelnych pięknościach Zeus się kochał, przecież te, co mu się oddały, zostały nadal śmiertelne. Nieśmiertelnością tylko tych obdarzał, których piękne dusze podziwiał: do nich należą Herakles i Dioskurowie, a wymienia się jeszcze innych. Ośmielam się zaś twierdzić, że i Ganimeda Zeus porwał na Olimp nie z powodu piękności ciała, ale duszy. Dowodem na to jego imię. Przecież jest gdzieś u Homera:

gánytaj de t'akúuon,

co znaczy: raduje się, słysząc. A jeszcze gdzieś indziej:

pykiná fresi *médea* eidós,

a to znowu znaczy: rad mądrych w sercu świadomy.

Zatem, jak świadczy z dwóch tych części złożone imię Gany-med, nie z powodu wdzięków ciała, lecz dla głębi swych myśli zażywa takiej czci u niebian. A także, Nikeracie, Homer opiewa, jak Achilles nie za chłopaka miłowanego, tylko za druha tak sławnej dokonywa zemsty. I Orestes i Pylades, i Tezeusz i Pejritoos, i wielu innych najdzielniejszych półbogów, nie dlatego dostąpili rozgłosu w hymnach, że razem spali, lecz dlatego, że się podziwiali wzajemnie i wspólnie okazali najpiękniejszych czynów. A i nowoczesnych wielkich czynów dokonali — każdy łatwo może się przekonać — w żądzy sławy ci raczej, co nie unikają trudów i niebezpieczeństw, a nie ci, co wolą przyjemność niż sławę. Co prawda, powiada wielbiciel poety Agatona, Pauzaniasz, w obronie tych, co w wyuzdania błocie się tarzają, że najpotężniejszą byłaby siła zbrojna złożona z kochanków i wielbicieli: ci niby wstydziłiby się jeden drugiego opuszczać w potrzebie. Dziwaczne rozumowanie: więc przywykli do lekceważenia nagany i do bezwstydu, przed sobą wzajemnie wstydzić się właśnie będą jakiegoś postępu? Na dowód przytaczał, że Tebanie i Elejczycy są tego samego zdania. Przynajmniej kochanków stawiają obok siebie w szeregu, mimo że śpią z nimi. Ale to nie żaden dowód, gdyż nie ma tu podobieństwa: u nich jest to ustawowe, a u nas uchodzi za wielką hańbę. Przeciwnie, mnie się wydaje, że stawiają kochanków obok siebie z niedowierzania, czy sami sobie pozostawieni spełniliby powinność dzielnego męża. Lacedemończycy zaś żywią przekonanie, że jeśli ktoś pożąda kogoś cielesnie, to już nigdy pod żadnym względem doskonałości nie osiągnie. Otóż oni miłowanych na tak znakomicie dzielnych ludzi wyprowadzają, że nawet między obcymi, choćby stali w szeregach nie tego samego państwa, co wielbiciele, tak samo wstydzą się porzucać swych towarzyszy. Gdyż nie Bezwstyd, lecz Wstyd za bóstwo uznają.

Zdaje mi się zresztą, że wszyscy zgodzilibyśmy się na me słowa, jeślibyśmy postawili pytanie tak: komu byśmy powierzyli raczej majątek czy dzieci w opiekę, czy dary — kochanemu za piękność ciała czy za zalety duszy? Przypuszczam, że nawet ten, kto rozkosz czerpie z piękności kochanego, raczej powierzyłby temu, co pięknnością duszy urok wywiera.

A ty, Kalliasie, wdzięczność winienesz bogom, moim zdaniem, za to, że cię miłością do Autolika natchnęli. Bo że jest zamiłowany w sławie, to jasne: przecież by być ogłoszonym zwycięzcą w pankrationie, naraził się na niejednen trud i ból. A o ile by jeszcze wierzył, że zaletami doskonałego męża nie tylko sobie i ojcu chlubę przyniesie, ale i potrafi wspomóc przyjaciół, rozszerzyć granice ojczyzny, stawiając pomniki zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi, być na oczach i ustach wszystkich, Hellenów i barbarzyńców, to czyż mógłby — powiedz sam — nie otaczać największą czcią tego, po którym by się spodziewał najwydatniejszej pomocy w tym kierunku? Jeśli więc chcesz mu się podobać, musisz pomyśleć nad tym, dzięki jakiej to umiejętności zdołał Temistokles wywalczyć wolność Helladzie i dzięki jakiej wiedzy uchodził Perykles za najtęższego doradcę swej ojczyzny, musisz zwrócić na to uwagę, jaką to nauką przygotował się Solon do nadania państwu tak znakomitych praw, wybadać, dzięki jakim ćwiczeniom Lacedemończycy za najlepszych wodzów uchodzą; przecież najznaczej si z nich do ciebie zajeżdżają, jako że z całym ich państwem łączą cię związki gościnności. A

wiedz, że to tylko od twojej woli zależy, by państwo powierzyło ci rządy. Posiadasz bowiem najistotniejsze warunki: jesteś eupatrydą, kapłanem bogów Erechteusowych, którzy się na barbarzyńców z Iakchosem wyprawili, i teraz na uroczystości wyglądasz na najdosłojniejszego ze wszystkich, którzy kiedykolwiek istnieli, dla oka przedstawiasz najdoskonalszą postawę w całym mieście, a mocen jesteś przetrwać trudy i mozoły. Nie dziwcie się, jeśli wam się wydaje, że jak na rozmowę przy kieliszku, zbyt poważne snułem wywody. Bo zawsze razem ze wszystkimi obywatelami jestem szczerym wielbicielem z natury dobrych i gorąco do cnoty dążących.

Autolikos, podczas gdy inni omawiali te słowa, spoglądał na Kalliasa, a ten, rzucając okiem na Autolika, odezwał się:

— Może to więc ty, Sokratesie, jako rajfur, zechcesz mnie stręczyć państwu, abym się zajmował polityką i miał uznanie u obywateli?

— Będziesz je miał, na Zeusa — odparł Sokrates — jeżeli tylko zobaczą, że nie pozornie, ale istotnie troszczysz się o cnotę. Kłamliwą bowiem sławę wnet próba w nic rozwiewa, a prawdziwa tężyzna męska, o ile bóg łaski nie odmówi, podczas działania zawsze zdobywa sobie za towarzyszkę coraz jaśniejszą sławę.

IX. Na tym się ta rozmowa skończyła. Autolikos zaczął wstawać, by pójść na przechadzkę, bo była to jego wyznaczona godzina. A ojciec jego, Lykon, wychodząc z nim razem, odwrócił się i rzekł:

— Na Herę, Sokratesie, moim zdaniem ty posiadasz prawdziwe szlachectwo duszy.

W tej chwili wniesiono do sali wysokie krzesło z poręczami, a zaraz wszedł Syrakuzańczyk i powiedział:

— Panowie, Ariadna wejdzie do małżeńskiej komnaty, swej i Dionizosa, wnet przyjdzie Dionizos do niej, podpiwszy sobie nieco na bankiecie bogów, i będą igrali ze sobą.

Naprzód weszła Ariadna, przystrojona jak panna młoda, i siadła na krześle. Gdy się jeszcze nie ukazywał Dionizos, zabrzmiała na flecie melodia bakchiczna. Wtedy to dopiero odczuli podziw dla tego, co uczył tańców. W tejże chwili Ariadna, chwyciwszy uchem melodię, taki przybrała zewnętrzny wyraz, iż każdy mógł poznać, że się zachwyciła. Wprawdzie nie wyszła Bakchosowi naprzeciw ani nie wstała, lecz widać było, ile ją ten spokój kosztuje. Ale kiedy ujrzał ją Dionizos, z wyrazem największej miłości posunął się do niej tanecznym krokiem i usiadłszy na jej kolanach, objął ją ramionami i ucałował. Ona wyglądała, jakby się wstydziła, a przecież z miłością odpowiadała na jego uściski uściskami.

Biesiadnicy poczęli klaskać i raz po raz podnosić okrzyki. Gdy zaś Dionizos wstał, a razem z nim i Ariadna, warto było patrzeć na tę grupę dwojga, ściskających się i całujących. Wszyscy więc przypatrywali się w podniosłym wzruszeniu, widząc, że Dionizos w istocie jest piękny, a Ariadna młodością uroczą, i że nie na żarty się całują, ale naprawdę usta do ust przyciskają. Słyszeli do tego, jak Dionizos pytał Ariadnę, czy go kocha, a ona przysięgała tak gorąco, że nie tylko sam Dionizos, ale i wszyscy obecni mogli powtórzyć przysięgę, iż ten chłopiec i dziewczyna kochają się wzajemnie. Wyglądało to nie jakby ich ktoś nauczył odgrywać tę rolę, lecz jakby tylko pozwolił na to, czego od dawna pragnęli. W końcu widzieli biesiadnicy, jak odchodzili, idąc niby do łóża, spleceni w uściskach.

Wtedy nieżonaci przysięgli, że się ożenią, żonaci zaś, dosiadłszy koni, odjeżdżali do swoich żon, aby się z nimi jak najszybciej spotkać. Sokrates zaś i ci, co zostali, razem z Kalliasem wyszli na przechadzkę, za Lykonem i jego synem. Taki to był koniec owej uczty.

Obrona Sokratesa przed sędziami

...Warto wspomnieć także o tym, jak Sokrates, pozwany do sądu, przedstawiał sobie w myśli obronę swą i koniec swego życia. Pisali o tym, co prawda, i inni, i wszyscy utrafili w podniosłą dumę jego przemowy, z czego i wynika, że Sokrates rzeczywiście w taki sposób swą mowę wygłosił. Ale jego przekonania, iż korzystniejsza dlań byłaby śmierć niż życie, nie podkreślili jasno; toteż jego podniosłą dumą tchnąca mowa wydaje się zbyt nierozsądna. Tymczasem Hermogenes, syn Hipponika, jego towarzysz, podał o nim takie wiadomości, że owa dumna mowa zdaje się zupełnie odpowiadać jego sposobowi myślenia. Widząc bowiem, że rozprawia raczej o wszystkim innym niż o czekającym go procesie, miał do niego powiedzieć:

— Czy przecież nie wypadałoby, Sokratesie, zastanowić ci się nad przyszłą obroną?

Ten zrazu odpowiedział:

— Czyż ci się nie wydaje, że ja całe swe życie spędziłem na przygotowaniu obrony?

Następnie tamten spytał:

— Jakże to?

— Nie mam dotychczas za sobą żadnego niesprawiedliwego postępku, a to właśnie uważam za najstaranniejsze i najchwalebniejsze przygotowanie obrony.

— Ależ patrz na ateńskie sądy — rzekł tamten znowu. — Jak często niewinnych skazywali na śmierć, sprowadzeni na manowce słowami oskarżycieli, a jak często uwalniali winowajców, którzy swymi słowami litość u nich wzbudzili lub mile ich po sercu głaskali?

— Na Zeusa, dwa razy już spróbowałem zastanowić się nad obroną, ale wzbrania mi tego wewnętrzny głos bóstwa.

— Dziwy prawisz.

— Dziwne ci się wydaje, jeżeli bóg także jest tego zdania, że lepiej by dla mnie było już umrzeć? Nie wieszże, iż do tej pory nie przyznałem nikomu z ludzi, że lepiej niż ja przeżył swój wiek? Wiedziałem bowiem, że cały swój żywot przeżył zbożnie i sprawiedliwie, a ta świadomość jest chyba najśłodszym uczuciem. Sam się za to mocno ceniłem i ciągle się przekonywałem, że takie samo zdanie mają o mnie ci, co ze mną obcuja. Teraz zaś, jeśli jeszcze doczekam się bardziej podeszłego wieku, trzeba będzie, wiem o tym, płacić daninę starości, i wzrok mieć gorszy, i słuch słabszy, i pojętność mniejszą, i pamięć nie służyłaby mi

nawet w tym, czego się nauczyłem. A jeśli spostrzegę, że ze mną coraz gorzej, jeżeli sam się zacznę łajać, to jakąż jeszcze mogę mieć przyjemność z takiego życia?

— Może nawet — tak miał mówić dalej — i bóg z życzliwości darzy mnie łaskawie końcem, nie tylko pożądanym ze względu na mój wiek, ale bardzo łatwym. Jeśli bowiem spotka mnie teraz wyrok potępiający, to będę, rzecz jasna, mógł umrzeć śmiercią uznaną za najłatwiejszą przez tych, co się tym zajmowali, śmiercią nieprzyczyniającą przyjaciom kłopotów, a budzącą ogromną tęsknotę za zmarłym. Bo kiedy ktoś pozostawi po sobie w myśli obecnych pamięć niekojarzącą się z żadnym brzydkim lub wstrętnym wspomnieniem, a uwiędnie w zupełnym zdrowiu ciała i z duszą umiejącą zdobyć się na jasną pogodę, to musi budzić tęsknotę po sobie. Czyż może być inaczej? Słusznie więc — tak miał mówić — sprzeciwili się bogowie memu zastanawianiu się nad mową, kiedyście sądzili, że trzeba szukać środków obrony na wszelki sposób. Albowiem gdyby mi się nawet obrona udała, cóż bym zyskał? Rzecz jasna, zamiast zakończyć życie już teraz, zgotowałbym sobie śmierć z wyczerpania bolesną chorobą lub starością, na którą zwalają się wszelkie uciążliwości, choć i tak jest zupełnie ogołocona z przyjemnych uczuć. Klnę się na Zeusa, Hermogenesie, że się nawet o to starać się nie będę, tylko wszystkie te dobra w życiu, jakie spotkały mnie ze strony bogów i ludzi, wyliczę, a i swoje zdanie o sobie powiem otwarcie. A jeśli tą szczerością zrażę sobie sędziów, to wolę umrzeć, niż niewolniczo uniżoną prośbą o chwilę życia jeszcze zyskać zamiast śmierci znacznie gorszy żywot.

Z takim przekonaniem poszedł do sądu, a kiedy oskarżyciele podnieśli zarzut, iż nie uznaje tych bogów, których uznaje państwo, a wprowadza inne, nowe bóstwa i psuje młodzież, wystąpił z takimi słowami:

— Ale ja, panowie, przede wszystkim dziwię się Meletosowi, na jakiej właściwie podstawie powiada, że nie uznaję bogów przez państwo uznawanych. Bo oprócz innych ludzi, którzy się przypadkiem na mnie natknęli, także i Meletos mógłby być, oczywiście gdyby chciał, zauważyć, że składam ofiary i podczas wspólnych uroczystości, i przy publicznych ołtarzach. A dalej, czyż to jest wprowadzaniem nowych bóstw, jeśli ja mówię, że objawia mi się głos boga z nakazem, co czynić należy? A ci, co zasięgają wróżby w ten sposób, że korzystają z krzyku ptactwa lub słów ludzkich, przecież także kierują się takim głosem. A czy ktoś zaprzeczy, że pioruny są głosem i w dodatku najwyższą wyrocznią? A pytyjska na trójnogu kapłanka czyż nie obwieszcza przyszłości głosem pochodzącym od boga? Stwierdzam więc, że do boga należy znajomość przyszłości z góry i objawianie jej, komu zechce, i tak samo jak ja wszyscy i sądzą, i mówią. Tylko oni wyrażają się, że ptaki, głosy, znaki, wieszczkowie przepowiadają przyszłość, ja zaś wyrażam się, że czyni to bóstwo, i jestem przekonany, że wyrażam się w sposób zgodniejszy z prawdą i pobożniejszy niż ci, co ptakom moc boską przypisują. A że nie kłamię, mówiąc o bogu, mam na to jeszcze i taki dowód. Mianowicie nieraz wyjawiałem przyjaciom rady boga i nigdy moje słowa nie okazały się kłamstwem.

Kiedy sędziowie, słysząc to, zaczęli szemrać, jedni z niedowierzania, a drudzy z zazdrości, że cieszy się większą łaską bogów niż oni, rzekł Sokrates znowu:

— Posłuchajcież teraz, by z większym jeszcze niedowierzaniem przyjęli ci z was, co mają do tego ochotę, moje twierdzenie, że bóstwa darzą mnie szacunkiem. Albowiem kiedyś w Delfach w przytomności wielu świadków odpowiedział bóg na pytanie Chajrefonta, że nie ma między ludźmi człeka szlachetniejszego ani sprawiedliwszego, ani rozsądniejszego niż ja.

Kiedy, oczywiście, na takie słowa sędziowie głośniejszy jeszcze pomruk podnieśli, odezwał się Sokrates znowu:

— Ależ, panowie, o wiele zaszczytniejszą dał bóg odpowiedź prawodawcy lacedemońskiemu, Likurgowi, niż mnie. Miał bowiem takimi przyjąć go słowami, gdy wstąpił do świątyni: „Namysłam się, czy mam przemówić do ciebie jako do boga, czy jako do człowieka”. Mnie zaś do boga wcale nie porównał, tylko osądził, że znacznie góruję ponad ludźmi. Ale nawet i temu nie wierzcie na ślepo, ale rozpatrzcie szczegółowo, co bóg powiedział. Kogóż wy znacie takiego, co by mniej niż ja był niewolnikiem swego ciała i jego pożądań? Jestże ktoś godniejszy zwać się wolnym niż ja, który nie przyjmuję od nikogo ani darów, ani zapłaty? Kogóż słusznie można by uważać za sprawiedliwszego od tego człowieka, który tak umie poprzestawać na swoim, że cudzego nie potrzebuje od nikogo?

Czyż nie słuszne nazwać mnie mądrym? Przecież ja od tej chwili, kiedy zacząłem rozumieć mowę, stale starałem się badać i wedle sił poznawać, co to jest dobro. A że na marne nie poszły moje trudy, chyba i to wam za dowód starczy, że wielu obywateli dążących do cnoty i wielu obcych moje właśnie towarzystwo obrało. Jakaż jest przyczyna tego, że wielu pragnie mi coś złożyć w darze, choć wszyscy wiedzą, że mienie moje nie pozwala na odwzajemnianie się? Że ja nikogo nie proszę o przysługę, a mnie wielu winno wdzięczność i sami to przyznają? Że w czasie oblężenia miasta wszyscy inni litowali się sami nad sobą, a ja w nie mniejszym żyłem dobrobycie niż wtedy, kiedy miasto opływało w największe dostatki? Że wszyscy inni za drogie pieniądze zaspakajają swe potrzeby na targu, a ja bez wydatków dobywam słodszych środków z zasobów swej duszy? Nikt nie może mi udowodnić kłamstwa w tym, co powiedziałem. Nie jestże zatem sprawiedliwa ta pochwała ze strony ludzi i bogów?

Ale może to chcesz powiedzieć, Meletosie, że ja właśnie takim postępowaniem psuję młodzież? Wymień mi więc (wiemy przecież wszyscy, jakie są wypadki zepsucia młodzieży), czy znasz kogoś, co by pod moim wpływem stał się z bogobojnego bezbożnikiem lub ze skromnego — butnym, z poprzestającego na małym — rozrzutnym, lub nawet ze wstrzemięźliwego — pijakiem, albo z wytrwałego pracownika — niewolnikiem zniewieściałości leniwej czy jakiejś innej podłej rozkoszy?

— Owszem — odpowiedział Meletos — Zeus mi świadkiem, znam takich, których skłoniłeś do okazywania większego posłuszeństwa tobie niż swym rodzicom.

— Przyznaję — miał rzec Sokrates — przynajmniej w sprawach dotyczących się wychowania; wiedzą bowiem, że tym się zajmuję. W sprawach zdrowia zaś słuchają ludzie lekarzy bardziej niż rodziców. A na zgromadzeniach ludowych wszyscy przecież Ateńczycy słuchają raczej najrozsądniejszych mówców niż swych krewnych. Czyż i na wodzów nie wybieracie najbieglejszych waszym zdaniem w sztuce wojennej zamiast siebie samych?

— To bowiem — tak ponoć odpowiedział Meletos — jest zgodne i z pożytkiem, i ze zwyczajem.

— Czyż nie wydaje ci się i ta sprawa dziwna: we wszystkich innych zawodach najtężsi dostępują nie tylko równości, lecz nawet wyższej czci; tymczasem ty w swym oskarżeniu żądasz na mnie kary śmierci za to, że niektórzy cenią we mnie najlepszego wychowawcę, a wychowanie to najdroższy skarb ludzki.

Rzecz jasna, że padło więcej słów niż te, tak z jego strony, jak i ze strony przyjaciół, którzy go w sądzie bronili. Ale ja nie wziąłem sobie za cel przedstawić cały przebieg procesu, lecz miałem zamiar poprzestać tylko na wykazaniu, że Sokrates największy kładł nacisk na to, aby nie okazać się wobec bogów bezbożnym, a wobec ludzi niesprawiedliwym. Natomiast nie uważał za konieczne błagać wszelkimi sposobami o to, aby nie umrzeć, przeciwnie, uważał nawet, że mu już pora kończyć życie. Że takie było jego zapatrywanie, pokazało się jeszcze jaśniej, kiedy sprawę rozstrzygnęło głosowanie. Po pierwsze bowiem, na wezwanie, aby sam podał wymiar kary, nie podał żadnego wniosku co do kary, ani nie pozwolił na to przyjaciołom, mówiąc, że wyznaczanie wymiaru kary na siebie jest równoznaczne z przyznawaniem się do winy. Następnie zaś, kiedy druhowie chcieli go wykraść, nie posłuchał ich, lecz jeszcze sobie żartował (tak im się zdawało). Spytał ich mianowicie, czy znają jakiś kraj poza granicami Attyki, dokąd wstęp śmierci wzbroniony.

Kiedy rozprawa dobiegła końca, tak ponoć przemówił:

— Ci, co wmówili w świadków, że powinni, łamiąc przysięgę, składać przeciw mnie fałszywe świadectwo, i ci, którzy tego słuchali, z największą pewnością muszą się poczuwać do grzechu i do winy. A ja czemuż bym miał popaść w większe przygnębienie niż przed potępiającym wyrokiem; nie wykazano mi przecież, żebym popełnił coś z tego, co mi skarga zarzuciła. Bo jak się pokazało, ani nie składałem ofiar żadnym nowym bóstwom, ani nie przysięgałem na inne imiona, jak Zeusa i Hery, i bogów z ich otoczenia. A dalej, jakżebym miał psuć młodzież, zaprawiając ją do wytrwałości i prostoty. Popełnienia zaś takich występków, za które jest wyznaczona kara śmierci, to znaczy świętokradztwa, włamania, handlu ludźmi, zdrady państwa, nawet sami moi oskarżyciele mi nie zarzucają. Toteż dziwne mi się wydaje, gdzieście się właściwie dopatryli tego śmiertelnego grzechu, którego następstwem dla mnie ma być kara śmierci. Ani też nie powinienem poddawać się przygnębieniu z tego powodu, że niesprawiedliwie mam umierać; nie mnie bowiem to hańbą obciąża, lecz tych, co wyrok wydali. Pociesza mnie jeszcze i Palamedes, który zginął w podobny sposób. Jeszcze bowiem i dziś zyskuje znacznie piękniejsze pieśni niż Odyseusz, który go niesprawiedliwie zabił. To samo i mnie — wiem o tym — zaświadczy przyszłość i przeszłość, że nie skrzywdził nigdy nikogo, ani nikogo nie spodliłem, a tych, którzy mieli zwyczaj rozprawiać ze mną, darmo uczyłem dobra, wedle mych sił.

Po tych słowach odszedł, a jego oczy, postawa, krok każdy, zgodnie z jego słowami wyrażały niezamąconą pogodę umysłu. Spostrzegłszy zaś towarzyszy we łzach, miał się odezwać:

— Cóż to takiego? Dopiero teraz na płacz wam się zbiera? Czyżście od dawna nie wiedzieli, że z chwilą mego przyjścia na świat już mnie natura na śmierć skazała? Gdybym ginął przedwcześnie, a życie miało opływać we wszelakie dobra, to, rzecz jasna, powinni by się smucić także i ci, co mi dobrze życzą. Ale jeżeli kończę żywot, w którym oczekuję tylko przykrości, to powinniście się cieszyć wy wszyscy — takie przynajmniej moje zdanie — że mi się tak szczęśliwie to składa.

A był tam obecny niejaki Apollodor, gorący jego wielbiciel, zresztą prostoduszny pocziwina. Ten wyrwał się tak:

— Ale to, Sokratesie, sprawia mi największą przykrość, że widzę, jak niewinnie musisz umierać.

On wtedy, pogłaskawszy go po głowie, miał odpowiedzieć:

— Więc ty, najdroższy Apollodorze, wolałbyś widzieć raczej, że sprawiedliwie ponoszę karę śmierci, niż że niesprawiedliwie.

Opowiadają też, że spostrzegłszy przechodzącego Anytosa, w te odezwał się słowa:

— Oto ten mąż, co w sławie chadza, jak gdyby dokonał jakiegoś wielkiego i sławnego czynu, zabijesz mnie za to, żem mu zwrócił uwagę — widząc, że państwo poczytuje go za godnego najwyższych dostojęństw — iż nie powinien syna wychowywać przy skórach bydlęcych. Jakże nędzny jest ten człowiek! Nie rozumie, widać, że z nas dwóch ten jest zwycięzcą, kto dokonał swymi siłami czynów, które wobec wieczności okażą się pożyteczniejsze i piękniejsze. Homer przecie — tak miał dodać — przypisuje niektórym bohaterom dar przewidywania przyszłości w chwili zgonu, więc i ja chcę coś przepowiedzieć. Przystawałem bowiem swego czasu niewiele z synem Anytosa i zdało mi się, że to wcale niesłabych zdolności chłopak. Toteż twierdzę, że nie wytrzyma tego niewolniczego trybu życia, jaki mu ojciec przeznaczył. Ponieważ nie ma nikogo, co by się poważnie nim zajął, wpadnie w sidła jakiejś haniebnej namiętności i nisko spadnie na drodze złego.

I nie pomylił się w tych słowach, gdyż młodzieniec, rozmiłowawszy się w winie, pił dniem i nocą bez ustanku, i w końcu zszedł na człowieka, który ani dla państwa, ani dla przyjaciół, ani dla siebie samego nie przedstawiał żadnej wartości.

Otóż Anytos z powodu złego wychowania syna i własnej tępoty jeszcze i po śmierci spotyka się z niesławą. Sokrates zaś swym dumnym wystąpieniem w sądzie wzbudził zazdrość i jeszcze więcej podburzył sędziów do skazania go. Moim więc zdaniem dostąpił losu bardzo dobrego, najuciążliwszą bowiem część żywota porzucił, a dostąpił najłatwiejszej z wszystkich rodzajów śmierci. Pokazał też moc swej duszy. Bo kiedy doszedł do przekonania, że byłoby dlań lepiej umrzeć, niż żyć jeszcze, jak nigdy nie był oporny wobec wszystkich innych dóbr, tak też i wobec śmierci nie okazywał zniewieściałości, lecz przyjął ją pogodnie, i tak się zachował aż do ostatniej chwili.

Ja zaprawdę, biorąc pod rozwagę i mądrość tego człowieka, i szlachetność, nie mogę ani nie pamiętać go, ani, pamiętając o nim, nie chwalić. A jeżeli ktoś z dążących do cnoty spotkał się z jakimś pożyteczniejszym w tym kierunku nauczycielem niż Sokrates, to uważam, że taki człowiek zasłużył w największej mierze na to, by go zwać szczęśliwym.

Hieron, czyli o tyranii

I. Poeta Symonides przybył swego czasu do tyrana Hierona. Raz, gdy obaj mieli wolną chwilę, rzekł Symonides:

— Czy nie byłbyś łaskaw, Hieronie, objaśnić mi czegoś, o czym z pewnością wiesz więcej niż ja?

— A cóż to takiego — Hieron na to — o czym wiedziałbym lepiej niż tak mądry człowiek, jak ty?

Symonides. Wiem ja, żeś był i zwyczajnym obywatelem i teraz jesteś tyranem. Oczywiście więc, kiedyś poznał jedno i drugie z doświadczenia, wiesz lepiej niż ja, czym różni się u ludzi życie tyrana i zwykłego obywatela, tak pod względem radości, jak i smutku.

Hieron. A może byś ty, wobec tego, że ciągle jesteś jeszcze zwyczajnym obywatelem, przypomniał mi stosunki prywatnego życia? Myślę, że w ten sposób najlepiej mógłbym ci objaśnić różnicę między jednym a drugim.

Symonides. Otóż ludzie prywatni, jak o tym (zdaniem moim) się przekonałem, doznają przyjemności lub nieprzyjemności za pośrednictwem oczu, dzięki zmysłowi wzroku; uszyna odbierają wrażenia słuchowe, za pomocą nosa odczuwają wonie, za pomocą ust smak potraw i napojów. Rozkoszy miłosnych doznają w sposób chyba nam wszystkim wiadomy. Wrażenia zimna, ciepła, twardości, miękkości, lekkości, ciężaru, rozpoznajemy, jak mi się zdaje, całym ciałem i doznajemy przy tym przyjemności lub przykrości. Ze zła lub dobra odczuwamy przyjemność czy przykrość za pośrednictwem samej duszy tylko, a czasem równocześnie odczuwamy duszą i ciałem. Sen też stanowi dla nas przyjemność, tyle przynajmniej, zdaje mi się, czuję, ale jak, czemu, kiedy, z tego jakimś dziwnym sposobem nie umiem, jak widzę, zdać sobie sprawy. Może to nawet nic dziwnego, gdyż wrażenia odbierane po zbudzeniu się wywołują jaśniejsze spostrzeżenia niż wrażenia senne.

Hieron. Ja więc, Symonidesie, poza tym, co wymieniałeś, nie umiem powiedzieć, jakich innych wrażeń doznaje tyran. Toteż nie wiem, czy istnieje, przynajmniej w tym względzie, różnica między życiem prywatnego człowieka i tyrana.

Symonides. Ależ istnieje różnica następująca: tyran doznaje wielorakich rozkoszy za pośrednictwem każdego z wymienionych sposobów, a znacznie mniej ma przykrości.

Hieron. Tak się sprawa nie przedstawia, Symonidesie. Zechciej przyjąć do wiadomości, że tyrani doznają znacznie mniej rozkoszy niż ludzie prywatni, żyjący w skromnych stosunkach, a są narażeni na znacznie więcej przykrości, i to większych.

Symonides. Nie do wiary to, co powiadasz. Bo i po cóż by w takim razie tylu, i to jeszcze według powszechnego zdania najtęższych ludzi pożałowało stanowiska tyrana? Czemuż by wszyscy patrzyli na tyranów z zazdrością?

Hieron. Bo, na Zeusa, nie znając z doświadczenia warunków jednego i drugiego życia, snują swe myśli o życiu tyrana. Postaram się więc objaśnić ci prawdę słów moich, zaczawszy od wzroku. Albowiem, jeśli mnie pamięć nie myli, od tego rozpocząłeś swą mowę. Mianowicie po namyśle dochodzę do przekonania, że w pierwszym rządzie tyrani doznają uszczerbku w doznawaniu przyjemności za pośrednictwem wzroku. Każdy przecież kraj ma jakąś inną osobiliwość godną widzenia. W celu oglądania tychże udają się ludzie prywatni do miast, do jakich im się podoba, lub też na wspólnie obchodzone uroczystości, na których gromadzi się wszystko, co jest najgodniejsze uwagi ludzkiego oka. Tyrani natomiast nie bardzo zajmują się oglądaniem. Bo i nie jest bezpieczne dla nich pójść tam, gdzie by nie mieli górować swą przewagą nad obecnymi, ani też ich posiadłości w domu nie są tak pewne, by mogli je komuś innemu powierzyć i wyjechać z kraju. Strach im bowiem, by równocześnie nie pozbawiono ich władzy i możliwości pomszczenia się na swych krzywdzicielach. Powiesz na to może: No, wszystkie te rzeczy przychodzą przecie do tyranów, choć siedzą w domu. — Na Zeusa, Symonidesie, niewielka tylko część tego wszystkiego, a mimo to sprzedaje się je tyranom za tak wygórowaną cenę, że ci, co to mają na pokaz, choćby rzecz najdrobniejszą, chcieliby

dwór tyrana opuścić po krótkim czasie z zyskiem wielokrotnie większym niż zarobek, jaki by mogli zebrać od wszystkich ludzi w świecie przez całe życie.

Symonides. W takim razie, jeżeli doznajecie uszczerbku co do wrażeń wzrokowych, to przynajmniej w zakresie zmysłu słuchu cieszyć się uprzywilejowanym stanowiskiem. Nigdy bowiem nie skąpi się wam największej przyjemności słuchowej, to jest pochwały. Całe wasze otoczenie chwali każde wasze słowo i każdy wasz czyn. Największej zaś przykrości słuchowej, to jest łajania, ucho wasze nie zna, bo nikt nie ma ochoty prawić tyranowi w oczy nagany.

Hieron. Cóż za radość, myślisz, sprawiają ci, co się złym słowem nie odezwą, kiedy się wie z całą pewnością, że ci wszyscy milczący ludzie żywią względem tyrana złe myśli? Czy ci się może wydaje, iż radość sprawiają głosiciele pochwał, jeśli się podejrzewa, że pochwały swe wypowiadają gwooli pochlebstwa?

Symonides. Oczywiście, Hieronie, w tym wszystkim przyznaję ci — Zeus mi świadkiem — najzupełniejszą słuszość. Najmilsza jest pochwała ludzi, których wolność nieskrępowana. Ale widzisz, tego już nie wytłumaczysz żadnemu człowiekowi, że wy nie cieszyć się znacznie większym bogactwem tego, czym się my, ludzie, żywimy.

Hieron. Większość ludzi, Symonidesie, sądzi, że więcej znajdujemy przyjemności w jedzeniu i piciu niż ludzie prywatni. Wiem o tym. A zdaje się im tak dlatego, ponieważ wyobrażają sobie, że uczta, jaką się przed nimi zastawia, przypadłaby im lepiej do smaku niż potrawy ich stołu; albowiem to, co przekracza miarę zwyczajności, to właśnie stanowi przyjemność. Dlatego też wszyscy ludzie przyjmują uroczystości z radosnym wyczekiwaniem, wszyscy oprócz tyranów. Stoły ich bowiem, zawsze nadzwyczaj bogato zaopatrzone, nie okazują w czasie uroczystych obchodów żadnego stopniowania. Skutkiem tego tyrani w porównaniu z ludźmi prywatnymi doznają upośledzenia, jeśli chodzi o odczuwanie tej radosnej nadziei. To po pierwsze. A po drugie — wiem dobrze, żeś i ty tego doświadczył — im więcej ktoś sobie zastawia potraw, niekoniecznych do zaspokojenia naturalnej potrzeby, tym prędzej odzywa się w nim przesyta i wstręt do jadła. Skutkiem tego także i co do czasu przyjemności doznaje upośledzenia ten, co sobie zastawia bogate uczyty, w porównaniu z tymi, którzy żyją skromnym trybem.

Symonides. Ależ, na Zeusa, przez cały ten czas, póki się odczuwa pożądanie, przyjemniej jest spożywać z bogatszej niż z uboższej zastawy.

Hieron. Nieprawdaż, Symonidesie, że kto najwięcej przyjemności z czegoś doznaje, ten najwięcej to lubi?

Symonides. Bez wątpienia.

Hieron. Czy widzisz większą radość u tyranów, kiedy idą do stołu, czy też u ludzi prywatnych?

Symonides. Nie, na Zeusa, naprawdę, że nie. Ale nawet, jakby się wielu ludziom zdawać mogło, idą z bardziej kwaśną miną.

Hieron. Cóż dalej? Nie zauważyłeś tych wielu wymyślnych potraw, jakie zastawia się tyranom, ostrych, gorzkich, kwaśnych i tym podobnych?

Symonides. Owszem, i zdawało mi się nawet, że są przeciwne naturze ludzkiej.

Hieron. Takie potrawy to z pewnością nic innego, jak tylko zachcianki rozpieszczonego i zepsutego zbyt dostatkami smaku. Czy nie jesteś tego samego zdania? Bo ja wiem dobrze, że ci, co jadają z przyjemnością — a i ty musisz pewnie o tym wiedzieć — wcale nie potrzebują takich wymysłów.

Symonides. Pewnie z drogich wonności, jakimi się nacieracie, więcej mają przyjemności ci, co się do was zbliżają niż wy sami. Podobnie i nieprzyjemnej woni nie czuje ten, kto się najadł, lecz raczej ci, co się doń zbliżają.

Hieron. Tak więc i z potrawami: ten, kto zawsze ma ich pod dostatkiem, bierze bez pożądania. Kto zaś ma jakiś niedostatek, ten właśnie opycha się z przyjemnością, jeśli mu się sposobność nadarzy.

Symonides. Zdaje się, że możność korzystania z rozkoszy miłosnych budzi u was pragnienie stanowiska tyrana. Zajmując je bowiem, możecie mieć przy sobie, co tylko zobaczycie najpiękniejszego.

Hieron. Teraz już powiedziałeś coś takiego, co — wierz mi — stanowi nasze największe upośledzenie w porównaniu ze zwykłymi obywatelami. Przede wszystkim małżeństwo zawarte z niewiastą z rodu wyższego, tak pod względem majątku, jak i znaczenia, uchodzi za najchlubniejsze, i podobno nie tylko przysparza *mężowi* przyjemności, ale także i dodaje powagi. Na drugim miejscu kładziemy małżeństwo z równą. Natomiast spowinowacenie się z rodziną podlejszego stanu uważa się za czyn całkiem hańbiący i niepołączony z żadną korzyścią. Tyran więc, o ile nie pojmie za żonę cudzoziemki, musi z konieczności zaślubić kobietę z niższego stanu, tak że nie ze wszystkim jego kochanie szczęśliwe. Względy okazywane przez najdostojniejsze niewiasty sprawiają największą przyjemność; jeśli je okazują niewolnice, nie lubi się tego wcale, jeżeli natomiast grzeszą jakimś brakiem w tym względzie, wywołują tym wybuchy strasznego gniewu i wielkie przykrości. W miłostkach z chłopakami znajduje tyran jeszcze mniej przyjemności niż w kochaniu, którego owocem są dzieci. Bo takie stosunki dopiero w związku z miłością nadzwyczajną sprawiają rozkosz, to chyba wszyscy wiemy. A miłość jest najrzadszym gościem u tyrana. Albowiem miłość nie żywi radosnej tęsknoty za tym, co gotowe pod ręką, lecz za przedmiotem swej nadziei. Podobnie jak nieświadomy tego, co to pragnienie, nie mógłby mieć przyjemności z napicia się, tak i ten, kto nieświadom miłości, nieświadom jest najsłodszych miłosnych rozkoszy.

Tak powiedział Hieron, a na to Symonides ze śmiechem odrzekł:

Symonides. Co mówisz, Hieronie? Więc miłość do chłopaków nie jest tyranowi wrodzona? Czemuż więc miłujesz Dajlochosa, obdarzanego przydomkiem „najpiękniejszy”?

Hieron. Bo klę się na Zeusa, Symonidesie, nie pożądam od niego tej łaski, której tak łatwo, zdaje się, można dostąpić, tylko pragnę uzyskać to, co najmniej przystoi tyranowi. Prawda, miłość moja pragnie takich objawów łaski ze strony Dajlochosa, jakich ludzie, ulegając może przymusowi natury, szukają u pięknych chłopców; ale jeśli pragnę ich dostąpić, to moim najgorętszym pożądaniem jest dostąpić ich skutkiem jego miłości i dobrej woli. Gwałtu zadawać jej nie chcę, raczej sam siebie, zdaje mi się, wolałbym skrzywdzić. U nieprzyjaciół brać gwałtem to moim zdaniem najsłodsza rozkosz, ale myślę, że u kochanków najsłodsze są

objawy łaski, które wypływają z dobrej woli. Albowiem ze strony tego, kto miłuje wzajemnie, słodki jest na przykład każdy rzut oka, słodkie każde pytanie, słodka każda odpowiedź, a już najśłodsze miłosne klótnie i sprzeczki. Dostępowanie zaś rozkoszy wbrew woli kochanków podobniejsze jest, zdaniem moim, do grabieży niż do miłosnej rozkoszy. Chociaż rozbójnikowi, przecież pewną przyjemność sprawia zysk i świadomość, że wróg się martwi. Tymczasem martwienie kochanej osoby, zdobywanie sobie swą miłością nienawiści, dotykane rozgniewanego — to przecież wszystko stanowi już położenie przykre i godne pożałowania. Nieprawdaż? Człowiek prywatny, wiadomo, kiedy mu kochanek czymś się przysłuży, ma wnet dowód na to, że ta łaska jest wynikiem kochania, gdyż wie, iż świadczy mu usługę bez żadnego przymusu; natomiast tyran nigdy nie może mieć zaufania, że jest kochany. Wiemy bowiem, że ci, co poddają się naszej woli z obawy, starają się przybrać pozory, jakby ich usługa wynikała z uczucia miłości. Toteż z niczyjej strony nie grozi tyranom tyle zasadzek, co ze strony jednostek, które udawały, że ich najwięcej kochają.

II. Symonides. Ale to wszystko, co powiadasz, to, zdaje mi się, same drobnostki. Wielu przecie z tych, co uchodzą za ludzi w całym tego słowa znaczeniu, dobrowolnie, jak widzę, skazuje się na upośledzenie pod względem pokarmów, napojów i przysmaków, a całkiem stronią od miłosnych rozkoszy. Tym jednakowoż różnicie się znacznie od ludzi prywatnych, że żywicie górne zamiary, wykonujecie je szybko, macie bardzo wiele rzeczy w zbytecznym aż dostatku, posiadacie konie wysokiej doskonałości, zbroje wyróżniające się pięknnością, wszelaką obfitością klejnotów i ozdób niewieścich, najwspanialsze domy, i to najdrogocenniejsze urządzone. Macie jeszcze mnóstwo jak najlepiej wyszkolonych sług, cieszycie się największą mocą szkodenia wrogom, a pomagania przyjaciółom.

Hieron. Nie, Symonidesie, że większość ludzi daje się zwodzić pozorami stanowiska tyrana, temu się bynajmniej nie dziwię. Bo tłum, jak mi się zdaje, wzrokiem głównie osądza jednych, że szczęśliwi, drugich, że nie. U tyrana to, co uchodzi za cenne dobro, bez żadnej osłony leży otwarte przed okiem wszystkich, przykrości zaś kryją się w tajnikach duszy jego, a tam, w duszy ludzkiej, złożone jest uczucie szczęścia i niedoli. Otóż, że większość taką pomyłkę popełnia, temu się, jak powiedziałem, nie dziwię. Ale że i wy tego nie wiecie, wy, którzy wedle powszechnego zdania na przeważającą ilość wypadków głębiej myślą patrzycie niż okiem, to mi się wydaje dziwne. Ja zaś, Symonidesie, powiadam ci — a wiem to dobrze z własnego doświadczenia — że tyrani z największych dóbr najmniejszej części dostępują, a w największych nieszczęściach posiadają udział największy. Ot przykład: pokój uchodzi wśród ludzi za największe dobro, a jak ogromnie mało mają tyrani z niego; wojna znowu wielkim jest nieszczęściem, a lwia jej część udziałem tyranów. Prywatnym ludziom na przykład wolno podróżować, dokąd chcą, o ile państwo ich nie jest na stopie wojennej, i nie obawiać się w drodze śmierci z ręki zabójcy. Tyrani natomiast wszyscy wszędzie depcą niejako nieprzyjacielski obszar. Sami bowiem koniecznie muszą się zbroić — takie przynajmniej ich przekonanie — i wiecznie włączyć ze sobą uzbrojonych. Dalej: ludzie prywatni, jeżeli nawet wyprawia się gdzieś do nieprzyjacielskiego kraju, to przynajmniej po powrocie do domu wolno im sądzić, że są w bezpiecznym miejscu. Tymczasem tyrani, kiedy do swych miast przybędą, wiedzą, że przebywają wśród najgęstszego roju nieprzyjaciół. Jeżeli wrogie a potężniejsze zastępy pod miasto podstąpią, to ludzie prywatni, zbyt słabi, swym zdaniem, do stawiania czoła niebezpieczeństwu na otwartym polu poza murami, przynajmniej po dostaniu się w obręb obwarowań uważają wszyscy, że zajęli bezpieczne stanowiska. Tyran i we wnętrzu domu swego nie jest poza obrębem niebezpieczeństwa, ale i tu nawet, wedle swego przekonania, strzec się musi jak najbaczniej. Dalej: prywatni doczekają się przerwy w wojnie, bądź to skutkiem zawieszenia broni, bądź to pokoju, a tyran nigdy nie doczeka się pokoju z

narodem, nad którym sprawuje władzę tyrańską, nigdy nie może zawierzyć zawieszeniu broni i czerpać otuchy z tej wiary.

Wcale też niepodobne sobie są wojny, które wiodą miasta, i wojny, jakie tyrani z ujarzmionymi przez siebie ludami prowadzą. Wszelkie możliwe wojenne trudności, na jakie się narażają miasta, ma także i tyran. Bo i one, i on muszą być w zbrojnym pogotowiu, mieć się na baczności, narażać na niebezpieczeństwa; tak samo smucą się, jeśli skutkiem klęski spotka ich nieszczęście. Do tego punktu są wojny jednakowe. Ale tyrani nie mają już takich przyjemności, jakie niosą z sobą wojny prowadzone przez społeczności miejskie z innymi miastami. Trudno wprost wypowiedzieć, jak wielką rozkosz sprawia miastu zmuszenie nieprzyjaciela do odwrotu, jaką rozkosz budzi pościg, a jaką rzeź wroga, jakim uczuciem dumy napawają się na myśl o tym dziele, jak świetną sławę sobie przypisują, co za radość z przekonania, że podnieśli potęgę państwa. Każdy podaje, że wziął udział w układaniu planu i że zabił moc wrogów; trudno by nawet było doszukać się szczegółu nieprzesadzonego kłamstwem, powiadają, że zabili więcej nieprzyjaciół, niż ich w ogóle rzeczywiście padło — czymś tak pięknym wydaje im się znaczne zwycięstwo. Jeżeli zaś tyran zacznie coś podejrzewać i przekona się, że istotnie niektórzy występują przeciw niemu czynnie, to wie, że ich zabiciem potęgi państwa nie pomnoży, i rozumie, że pomniejszy liczbę swych poddanych. Ani nie może się radować, ani nie szczyli się swym dziełem. Przeciwnie, nawet pomniejsza, o ile tylko może, znaczenie tego wypadku i równocześnie ze swą czynnością stara się usprawiedliwić, że prawa nie gwałci. Tak to nawet jemu samemu czyn ten pięknym się nie wydaje. A kiedy zginą ci, co w nim obawę wzbudzili, mimo to jego otucha i pewność siebie nie rosną, lecz ostrożność jego jest jeszcze czujniejsza niż przedtem. Przez całe swe życie prowadzi tyran bez ustanku tę wojnę, o której mówię.

III. Przypatrz się znowu tej miłości, jaka jest dostępna dla tyrana. Przede wszystkim zastanówmy się, czy miłość liczy się do wielkich dóbr ludzkich. Przecież ludzie, jeśli kogoś miłują, z przyjemnością widzą jego obecność, z przyjemnością świadczą mu przysługi, tęsknią za nim, gdy się czasem oddali, z największą radością witają jego powrót, wspólnie z nim cieszą się z jego szczęścia, ze wspólną śpieszą pomocą, gdy zobaczą, że mu grozi nieszczęście. Istotnie, i państwa nie przeoczyły tego, iż miłość to największy i najśodszy skarb ludzki. Przynajmniej wiele państw jedynie zabójstwo cudzołóży puszcza płazem, wychodząc rzecz jasna z założenia, że taki człowiek niszczy miłość między mężem a żoną. Bo kiedy kobieta ulegnie skutkiem jakiegoś nieszczęsnego wypadku, wcale nie traci z tego powodu szacunku męża, jeżeli tylko, jego zdaniem, miłość jej została nietknięta. Być kochanym uważam za tak wielkie dobro, iż wierzę, że w istocie siłą samej bezwładności spływa na kochanego łaska bogów i ludzi. Takiego to skarbu nie posiadają tyrani, pod tym względem są najwięcej między wszystkimi upośledzeni. A jeśli chcesz, Symonidesie, przekonać się o prawdzie słów moich, to zastanów się w następujący sposób. Przecież za najmocniejszą miłość uchodzi to uczucie, jakim rodzice kochają dzieci, dzieci rodziców, bracia braci, żony mężów, a druhowie druhow. Jeśli więc zechcesz rozważyć, to się przekonasz, że najwięcej darzy się takim uczuciem ludzi prywatnych, gdy tymczasem wielu tyranów kazało swe dzieci stracić, wielu zaś zginęło z rąk rodzonych dzieci; wielu braci na stanowisku tyrańskim wymordowało się wzajemnie, niejednego tyrana zgubiła własna żona, niejednego przyjaciele, i to rzekomo najszczerzy. Jakżeż więc można przypuszczać, że tyranów kocha ktoś inny, kiedy ich swą nienawiścią prześladują ci, których już sama natura najwięcej do kochania zniewala i prawo przymusza?

IV. A dalej: ten, kto cierpi brak tak cennego dobra, jakim jest zaufanie, nie jestże upośledzony? Jakiż związek może być miły bez wzajemnego zaufania? Gdzież ciepło w

stosunku męża do żony bez zaufania? Jakież sługa może być miły, gdy nie budzi zaufania? Tego to uczucia zaufania do kogoś tyran ma najmniej, gdyż nawet pokarmom i napojom przez całe życie nie dowierza, lecz zanim bogom z początku ofiarę złoży, naprzód każą sługom kosztować, obawiając się, skutkiem swego niedowierzania, by nie zjedli lub nie wypili czegoś szkodliwego. A dalej: dla wszystkich innych ludzi najcenniejszym skarbem jest ojczyzna. Albowiem obywatele bez żadnego żołądu stanowią dla siebie straż przyboczną przeciw niewolnikom, są też sobie wzajemnie ochroną przeciw złoczyńcom, by nikt spośród obywateli nie zginął gwałtowną śmiercią. A tak daleko posuwają swą ostrożność, że wielu ogłosiło prawo, iż nie tylko ten, kto splamił się zabójstwem, jest nieczysty, ale także każdy, co z nim przestaje. Toteż dzięki swej ojczyźnie pędzi bezpieczny żywot każdy z obywateli. U tyranów natomiast i ta sprawa przedstawia się wprost na odwrót. Zamiast bowiem pomsty za nich, oddają miasta wielką cześć zabójcy tyrana, zamiast wzbronienia im wstępu do świątyni jak zabójcom ludzi prywatnych, zamiast wzbronienia im wstępu — powtarzam — miasta stawiają w świątyniach posągi tych, którzy się takiego czynu dopuścili.

Myślisz może, że tyran, posiadając mienie większe niż ludzie prywatni, więcej też ma z niego pociechy, lecz i ta sprawa, Symonidesie, przedstawia się inaczej. Podobnie jak dla atletów nie stanowi to pociechy, że mają przewagę nad zwyczajnymi ludźmi, ale martwią się, jeśli nie mają przewagi nad współzawodnikami, tak i dla tyrana nie jest pociechą, kiedy się pokaże, iż posiada więcej niż ludzie zwyczajni, ale smuci się, jeżeli posiada mniej niż inni tyrani; w tych bowiem widzi swych współzawodników w igrzyskach majątkowych. Żadne też pragnienie nie spełnia się tyranowi prędzej niż człowiekowi prywatnemu. Człowiek prywatny bowiem pożąda domu czy pola, czy niewolnika, tyran zaś — miast lub wielkich obszarów ziemi, lub portów albo grodów warownych, a spełnienie tych życzeń jest połączone ze znacznie większymi trudnościami i niebezpieczeństwami niż urzeczywistnienie pragnień prywatnego człowieka. Nawet między zwyczajnymi obywatelami nie ujrzysz tylu biedaków, ilu między tyranami, gdyż o tym, co dużo, a co mało, rozstrzyga nie liczba, ale potrzeby. Toteż to, co przekracza ilość wystarczającą, to jest „dużo”, „mało” zaś jest, gdy nie starczy na zaspokojenie potrzeb. Otóż u tyrana dostatki mniej starczą na opędzenie koniecznych wydatków niż u zwyczajnego obywatela. Ci bowiem mogą swe wydatki na codzienne potrzeby dowolnie obcinać, a dla tyranów jest to niedopuszczalne. Albowiem największe i najkonieczniejsze wydatki łożą na ochronę swego życia, ich zaś ograniczenie równa się śmierci. A następnie, jeśli ktoś uczciwie zarobić może na swe potrzeby, to czemuż mielibyśmy się nad nim litować jako nad biedakiem? Czyż nie słuszne uważać za biedaków tych, których potrzeba zniewala do uciekania się do złych i niegodnych pomysłów celem ratowania życia? Otóż tyrani widzą się zmuszeni popełniać moc grabieży niesprawiedliwych na świątyniach i ludziach skutkiem tego, że wiecznie potrzebują pieniędzy na konieczne wydatki. Bo muszą albo, jakby podczas wojny, wiecznie utrzymywać wojsko, albo, w przeciwnym razie, zginąć.

V. Wymienię ci, Symonidesie, inną jeszcze przykrą tyranów. Mianowicie wcale nie gorzej niż zwyczajni obywatele poznają ludzi zacnych i mądrych, i sprawiedliwych. Tych, zamiast szanować, obawiają się: mężnych boją się, by się nie ważyli na jakiś śmiały krok w obronie wolności, mądrych zaś, by czegoś nie wymyślili, a sprawiedliwych, by tłum nie zapragnął ich na swoich kierowników. Jeśli więc takie jednostki ze strachu cichaczem usuną z drogi, to jakież im towarzystwo zostaje? Chyba tylko niesprawiedliwych, rozpustnych i niewolniczo uległych? Niesprawiedliwi cieszą się zaufaniem, gdyż podobnie jak tyrani lękają się, by miasta, odzyskawszy kiedyś swą wolność, nie położyły na nich swej ciężkiej ręki; rozpustni znowu zawdzięczają tyranom swą władzę w danej chwili, a niewolnicze dusze nawet nie

pragną wolności. Więc przykrością wydaje mi się i ta okoliczność, że innych uważa się za dobrych ludzi, a musi się przestawać z innymi.

Jeszcze jedno: Tyran także musi miłować swe państwo, bez niego bowiem nie mógłby ani utrzymać się, ani być szczęśliwy. Tymczasem stanowisko tyrana zmusza do wrogiego usposobienia nawet wobec własnej ojczyzny. Mianowicie nie miło im wyrabiać dzielność u współobywateli i starać się o dobre ich uzbrojenie, lecz z większą radością wywyższają w tym względzie obcych ponad rodaków, i z nich tworzą sobie przyboczne straże. Co więcej, jeśli w urodzajnych latach powstaje nadmiar wszelakich dóbr, nawet i wtedy tyran wspólnej radości nie dzieli. W uboższych bowiem miałby, swym zdaniem, uleglejszych poddanych.

VI. Chciałbym ci jeszcze, Symonidesie, opowiedzieć o przyjemnościach, jakich zażywałem za czasów, kiedy byłem zwyczajnym obywatelem, a których widzę się pozbawiony teraz, gdy zostałem tyranem. Bawiło mnie obcowanie z rówieśnikami, a ich bawiło obcowanie ze mną. Sam byłem dla siebie towarzystwem, ilekroć pragnąłem spokoju. Brałem udział w ucztach, częstokroć aż do zapomnienia wszystkich w życiu ludzkim możliwych dolegliwości, częstokroć aż do zatopienia swej duszy w śpiewie, wesołości i tańcu, częstokroć aż u mnie i wszystkich obecnych zbudziła się chętka do snu. Teraz zaś jestem pozbawiony takich, co by się mym towarzystwem bawili, gdyż niewolników mam za towarzyszy, zamiast przyjaciół — pozbawiony i sam przyjemności z obcowania z nimi, gdyż żadnej nie widzę u nich dla siebie życzliwości; a upijania się i snu wystrzegam się zarówno jak zasadzki. Obawiam się tłumu, obawiam się samotności, lękam się pozostać bez straży, a lękam się i samej straży, nie chciałbym mieć dookoła swej osoby niezbrotnych, a nie mogę z przyjemnością patrzeć na uzbrojonych — przecież to jest okropne położenie. A to, że się więcej ufa obcym niż obywatelom, barbarzyńcom niż Hellenom, że się pragnie z wolnych mieć niewolników, a musi niewolników zamieniać na wolnych — nie jestże to wszystko dowodem opętania duszy przez strach? Trzeba zaś wiedzieć, że strach gnieźdzący się w duszy nie tylko sam jest przykrym uczuciem, ale także, idąc w ślad za tobą, niszczy wszelkie przyjemne uczucia. Jeśli ty także znasz wojny z doświadczenia i stałeś kiedyś w szyku naprzeciw nieprzyjacielskiej falangi, to przypomnij sobie, jakie wówczas wybierałeś sobie potrawy i jakim snem zasypiałeś. Jak przykre było wtedy twoje położenie, takie jest i położenie tyrana, i jeszcze straszniejsze. Albowiem tyrani w myśli swej widzą wrogów nie tylko wprost przed sobą, ale i wszędzie dookoła siebie.

Symonides. Doskonałe moim zdaniem były niektóre twoje powiedzenia. Prawda, że wojna jest czymś okropnym, ale mimo to my, Hieronie, kiedy jesteśmy na wojnie, stawiamy przed sobą warty i za nimi śmiało spożywamy posiłek lub pokrzepiamy się snem.

Hieron. Na Zeusa, Symonidesie, przed nimi stoją na straży prawa, skutkiem czego obawiają się o siebie samych i o was. Tyrani natomiast mają straże najęte za zapłatę, niby żniwiarzy. Powinno się umieć wzbudzić w straży przede wszystkim wierność, raczej wierność niż coś innego. A znacznie trudniej znaleźć jednego wiernego niż wielu robotników do jakiego bądź dzieła, tym bardziej, że do straży zgłaszają się dla zarobku, a mogą w krótkim czasie na zabiciu tyrana zyskać znacznie więcej niż dostać od tyrana za długi czas straży. Mieniłeś nas szczęśliwymi, jakobyśmy najlepiej mogli popierać przyjaciół, a szkodzić wrogom, ale i ta sprawa przedstawia się inaczej. Jakże możesz kiedy uwierzyć, że wspierasz przyjaciela, kiedy wiesz, że ten, kto najwięcej bierze od ciebie, rad by jak najprędzej zejść ci z oczu? Bo jeśli kto dostanie coś od tyrana, nigdy nie uważa tego za swą własność, zanim się nie wydostanie poza obręb jego potęgi. Jakże też mógłbyś powiedzieć, że tyrani mają najwięcej możliwości szkodenia wrogom, kiedy dobrze o tym wiedzą, że ich wrogami są wszyscy, co podlegają ich

tyranii, a tych wszystkich pozabijać lub więzić niepodobna, bo nad kim będą sprawować rządy? Przeciwnie, mimo świadomości, że to są wrogowie, jest zmuszony przestawać z nimi, a równocześnie mieć się przed nimi na baczności. Ciężko tyranom — bądź tego pewny, Symonidesie — patrzeć na żyjących obywateli, których się obawiają, ale ciężko też ich zabijać. Podobnie to jak z koniem szlachetnym, a budzącym obawę, że może stać się powodem nieszczęścia; trudno go zabić ze względu na jego zalety i trudno korzystać z niego żywego, mając się na baczności, by w niebezpieczeństwie nie doprowadził do jakiegoś nieszczęścia. Tak też i z każdą inną rzeczą, która nastrocza trudności, a jest użyteczna: posiadanie jej sprawia kłopot właścicielowi, a tak samo boli utrata.

VII. Symonides. Cześć — najwyraźniej — to wielka rzecz, Hieronie. Ludzie chciwi czci podejmują się wszelkich trudów i wszelkim niebezpieczeństwom stawiają czoło. I wy, widząc, tak namiętnie dążycie do tyranii, mimo wszystkich przez ciebie wymienionych dolegliwości, aby dostąpić czci i aby wam wszyscy wszystkie wasze rozkazy spełniali z usługomością nieznającą wymówek, oglądali się na was, wstawali przed wami ze swych miejsc, ustępowali z drogi, by całe wasze otoczenie okazywało wam szacunek słowem i czynem. Tak bowiem zachowują się poddani wobec tyranów i w ogóle wobec każdego, kogo w danej chwili czcią otaczają. I moim zdaniem, Hieronie, tym różni się mąż od innych stworzeń, to jest pragnieniem czci. Bo pokarmem, napojem, snem, miłością prawdopodobnie rozkoszują się wszystkie stworzenia jednakowo, tymczasem pragnienie sławy nie jest wrodzone bezrozumnym zwierzętom ani też wszystkim ludziom. Najwięcej różnią się od bydła ci, którzy mają wrodzoną miłość czci i chwały; to już nie ludzie tylko, ale mężowie — takie o tym powszechne zdanie. Toteż słusznie, według mego zapatrywania, nie tchórzycie przed tym, co znosicie, skoro oddawana wam cześć wyróżnia was ponad resztę ludzi. Żadna bowiem, zdaje się, inna rozkosz ludzka nie zbliża się bardziej do boskości, jak radość wypływająca ze świadomości, że się jest przedmiotem czci.

Hieron. Ależ, Symonidesie, objawy czci okazywane tyranom wyglądają mi na podobne do tych ich rozkoszy miłosnych, których wartość ci wyjaśniłem. Mianowicie ani względów ze strony tych, co nie czuli wzajemnej miłości, nie uznaliśmy za objawy łaski, ani też gwałtem wymuszona rozkosz miłosna nie wydawała się nam rozkoszą. Tak samo i względy okazywane przez ludzi przejętych obawą nie są objawami czci. Bo jakżeż moglibyśmy utrzymywać, że ktoś gwałtem zmuszony do powstania ze swego siedzenia wstaje z chęci okazania swej czci dla swego gwałciciela albo że ten, kto ustępuje z drogi silniejszemu, ustępuje dla okazania czci swemu gwałcicielowi? Wielu nawet dary posyła ludziom przez siebie znienawidzonym, i to w takiej chwili, kiedy najwięcej obawiają się doznać z ich strony czegoś złego. Ale ja sądzę, że słusznie można by uważać te postęпки za objawy niewolniczego sposobu myślenia; moim zdaniem cześć wypływa z uczuć wręcz przeciwnych. Mianowicie, kiedy ludzie dojdą do przekonania, że jakiś mąż posiada możność świadczenia dobrodziejstw i spodziewają się po nim niejednego dobrego, to wtedy mają na ustach jego pochwały, patrzą na niego jak na jakiś skarb rodziwy, własny, dobrowolnie ustępują mu z drogi i wstają przed nim ze swych siedzeń, a czynią to z miłości, nie ze strachu, więczą go z powodu jego wobec wszystkich okazywanych zalet i powszechnej dobroczynności i obdarzają go chętnie. Ci właśnie, moim zdaniem, okazują prawdziwą cześć temu, do kogo się z takimi objawami odnoszą, a uznawany za godnego takich objawów doznaje czci istotnie. I ja tak czczonemu mienię szczęśliwym. Bo widzę, że otoczenie nań nie czyha, ale strzeże go przed złym przypadkiem, że szczęśliwie pędzi życie, bez strachu, zawiści i niebezpieczeństwa. Tyran zaś — wierz mi, Symonidesie — spędza noc i dzień jakby przez wszystkich ludzi za swe nieprawości na śmierć skazana jednostka.

Symonides. Czemuż to, Hieronie, kiedy tyrania jest tak uciążliwa i ty zdajesz sobie z tego sprawę, nie pozbywasz się takiego nieszczęścia ani ty, ani nikt inny, kto raz sobie zdobył tyranię, nie porzucił jej, jeżeli to od niego zależało?

Hieron. Albowiem, Symonidesie, i pod tym względem jest tyrania bardzo nieszczęśliwa. Bo któryż kiedyś tyran mógłby nastarczyć, mając zwrócić te skarby, jakie zabrał, jakżeby miał odpokutować więzieniem za tylu, których do więzienia wtrącił, jakże za pokutę tyle dusz straci, ilu ludzi sam stracić kazał? Jeśli dla kogokolwiek jest korzystne powiesić się, to wierz mi, dochodzę do przekonania, że najkorzystniejsze jest to dla tyrana, gdyż jemu jedynie nie przynosi korzyści ni posiadanie, ni pozbycie się kłopotów.

VIII. Symonides. Nie dziwię się, Hieronie, twej niechęci do tyranii; pragnąłeś miłości ludzkiej, a tyrania ci w tym, zdaniem twoim, stoi na przeszkodzie. Mnie wszakże wydaje się, iż potrafię ci wytłumaczyć, że władza w niczym nie przeszkadza temu, aby być miłowanym; przeciwnie nawet, jest pod tym względem bardziej uprzywilejowana niż stanowisko prywatnego człowieka. Rozważając, czy to prawda, zwracajmy uwagę nie na pytanie, czy władca dzięki większej potędze i więcej łask świadczyć może, lecz jeśli tyran i człowiek prywatny czynią to samo, zastanów się nad tym, kto z nich obu za ten sam czyn większą zbiera wdzięczność. Zacznę od najdrobniejszych przykładów. Dajmy na to, że władca i człowiek prywatny do spotkanej osoby pierwszy uprzejmie przemawia. Czyja przemowa, twym zdaniem, bardziej tę osobę ucieszy? Przypuśćmy dalej, że obaj tego samego pochwalą. Czyja pochwała wzbudzi większą radość? Niech jeden i drugi zaszczyci kogoś zaproszeniem na uroczystość składania ofiary. Czyje zaproszenie będzie wdzięczniej przyjęte? Niech jednakową obaj otoczą opieką chorego. Czyż nie jest jasnym, że pomocne usługi potężniejszych także i większą uciechę budzą? Obaj dadzą jednakowe dary. Nie jestże i w tym wypadku jasne, że połowa łaski najpotężniejszych ma większe znaczenie niż cały dar zwyczajnego obywatela? Mnie się nawet zdaje, że boska jakaś łaska i cześć towarzyszy władcy. Nie żeby czyniła go piękniejszym, ale z większą przyjemnością patrzymy na tego samego człowieka, kiedy jest obdarzony władzą, niż kiedy jest zwyczajnym obywatelem, i bardziej nas cieszy rozmowa z tymi, co większej od nas czci zażywają, niż z tymi, co stoją na równi z nami. A nawet kochankowie — mowa o miłostkach dała ci sposobność do zrobienia tylu gorzkich uwag o położeniu tyrana w tym względzie — bynajmniej nie odwracają się ze wstrętem od wieku władcy ani nie dbają o osławione stanowisko tego, z którym przypadkiem obcuja. Albowiem właśnie cześć, która go otacza, również i ich takim blaskiem opromienia, że wszystko niemiłe w cień przed nim znika, a wszystko miłe jeszcze jaśniej świeci. Kiedy więc jednakowe usługi z całą pewnością przynoszą wam większą wdzięczność, to przecież wypada, byście byli znacznie więcej kochani od ludzi prywatnych, wobec tego, że możecie więcej swą działalnością pomóc i macie z czego więcej dawać darów.

Hieron. Na Zeusa! Bo my, Symonidesie, jesteśmy bardziej niż ludzie prywatni w tym przymusowym położeniu, że działamy w sposób, który ściąga na ludzi nienawiść. Musimy ściągać pieniądze, ażebyśmy mieli z czego opędzać najpotrzebniejsze wydatki, musimy przymuszać ludzi do strzeżenia tego, co wymaga straży, karać złoczyńców, nie pozwalając swawolnikom na wybryki. A kiedy chwila wymaga szybkiej wyprawy pieszo czy drogą morską, trzeba bezwzględnej kary na opieszałych. Tyran też nie może obejść się bez najemnych żołdaków, a dla obywateli nie ma większego ciężaru do zniesienia niż ten, gdyż ich zdaniem tyran utrzymuje najemników nie dla ochrony obywatelskiej równości, ale dla wywyższenia swojej osoby.

IX. Symonides. Ależ Hieronie, żeby o to wszystko nie trzeba się starać, tego nie mówię. Wszak niektóre z tych czynności wiodą, zdaje mi się, prosto do nienawiści, inne zaś całkiem pewno do miłości. Na przykład tłumaczyć, co jest dobre, i chwalić, i czcić tego, kto najdoskonalej takie rzeczy spełnia, jest czynnością, która wiedzie do miłości, natomiast ostra nagana, przymus, kara, kaźń, muszą prowadzić raczej do nienawiści. Otóż ja twierdzę, że karanie tego, co się bez przymusu obejść nie może, powinien władca oddać w cudze ręce, a nagrody powinien rozdzielać osobiście. Że to byłoby dobre urządzenie, stwierdza doświadczenie. Na przykład jeśli chcemy sobie urządzić zawody chórów, to nagrody wyznacza najwyższa władza, ale zbieranie chórów powierza się przodownikom chóru, innych znowu zadaniem jest uczenie lub wywieranie przymusu na takich, którzy dopuszczają się jakiegoś uchybienia.

Otóż już na tym przykładzie widać: czynność z zakresu łaski wykonał władca, a coś wręcz przeciwnego załatwili inni. Cóż więc stoi na przeszkodzie temu, by także i w innych sprawach, w sprawach państwowych, w ten sposób postępować? Mianowicie wszystkie miasta dzielą się na fyle, inne na mory, inne znowu na lochy, a każda taka część ma swego przełożonego. Jeśliby więc im, tak samo jak chórom, wyznaczyć nagrody za dobre uzbrojenie, karność, umiejętność jazdy konnej, siłę na wojnie a sprawiedliwość w stosunkach prawnych między sobą, to prawdopodobnie na wyścigi przestrzegano by tego i ćwiczano by się w tym z wielkim natężeniem. I na Zeusa, pragnąc czci, prędzej by ruszali tam, dokąd by wołała potrzeba, i pieniądze prędzej by wpłacali, kiedy by chwila tego wymagała. Także rolnictwo — najpożyteczniejsze zajęcie, a przecież zwykle bez żadnego współzawodnictwa uprawiane — porobiłoby wielkie postępy, jeśliby ktoś wyznaczył, według ról czy wsi, nagrody dla tych, co najlepiej swą ziemię obrabiają, i niejedną korzyść odnieśli by obywatele, którzy by się całą siłą do tego zajęcia zwrócili. Albowiem i dochody wzrosłyby, i obyczajność jest częstszą towarzyszką pracowitości. Mianowicie u ludzi zajętych pracą mniej się przytrafia występków. Jeżeli także i handel przynosi państwu pożytek, to należałoby czcić takiego, co w tej dziedzinie najwięcej pracuje, a uczczenie nagrodą takiego człowieka gromadziłoby jeszcze więcej kupców. A jeśliby się pokazało, że cieszy się czią wynalazca jakiegoś nowego dochodu, który nie powoduje żadnej przykrości dla nikogo, to i przemyśliwanie nad takimi zagadnieniami nie leżałoby odłogiem. Krótko mówiąc, jeśliby we wszystkim bez żadnej wątpliwości było znane, że kto wprowadza coś dobrego, ten bez czci nie zostanie, zachęciłoby to wielu do wysilania swej myśli nad wynalezieniem czegoś dobrego. A kiedy wielu będzie się o to troszczyło, koniecznie musi się i więcej wynajdywać, i więcej doprowadzać do skutku. Boisz się może, Hieronie, że wyznaczając nagrody w tak wielu wypadkach, narazisz się na wiele wydatków; zastanów się więc nad tym, że nie ma tańszych towarów niż te, które ludzie kupują za nagrody. Widzisz, jak w zawodach konnych, gimnicznych i chóralnych małe nagrody powodują wielkie wydatki, wiele trudów i staranności.

X. Hieron. Trafne mi się wydają, Symonidesie, te twoje uwagi. A maszże coś do powiedzenia o tym, jakby urządzić się z najemnymi żołdakami, by ich utrzymywaniem nie budzić nienawiści? Twierdzisz może, iż władca, który sobie zaskarbił miłość, całkiem już nie będzie potrzebował przybocznej straży?

Symonides. Owszem, na Zeusa, będzie jej potrzebował. Wiem ja, że u wielu ludzi przytrafia się to samo co u koni: w im większej obfitości mają to, co jest niezbędne, tym są butniejsi. Takich to do opamiętania się może lepiej doprowadzić strach przed zbrojną siłą. Ludziom zaś pod każdym względem doskonałym niczym nie mógłbyś, zdaje mi się, przynieść tak wielkiej korzyści, jak właśnie trzymaniem najemnych żołdaków. Utrzymujesz ich oczywiście dla

straży koło swej osoby, bo wielu już panów zginęło gwałtowną śmiercią z rąk niewolników. Jeżeliby więc, po pierwsze, jednym z zadań nakazanych najemnikom z uzasadnieniem, że są przyboczną strażą obywateli, była obrona wszystkich na wypadek dostrzeżenia czegoś — są przecież, wiemy to wszyscy, złoczyńcy po miastach — jeżeli więc, powtarzam, otrzymaliby rozkaz strzeżenia obywateli, to ci zrozumieliby, że mają z nich w tym względzie korzyść. Prócz tego mogliby najemnicy doskonale zapewnić spokój i bezpieczeństwo robotnikom na polu i trzodom, zarówno twoim własnym, jak i w całym kraju. Potrafią także, strzegąc odpowiednich miejsc, umożliwić obywatelom zyskanie wolnego czasu, który mogą obrócić na własne zajęcia prywatne. A dalej: któż jest bardziej przygotowany do przewidywania i odpierania skrytych i nagłych napadów wroga niż ci, co zawsze są pod bronią i w szeregach? Ale nawet i na wyprawie wojennej nie ma dla obywateli nic pożyteczniejszego niż najemni żołdacy. Naturalnie bowiem są najbardziej przygotowani do podejmowania za nich trudów, niebezpieczeństw i wart. Nie muszą pograniczne miasta żywić najgorętszych dążeń pokojowych skutkiem takiej stałej siły zbrojnej? Stała siła zbrojna bowiem najlepiej potrafi strzec dobra przyjaciół i niszczyć potęgę nieprzyjaciół. A kiedy już obywatele rozumieją, że najemnicy nic złego nie czynią niewinnym, a trzymają w ryzach tych, co knują złośliwe zamiary, są obroną dla pokrzywdzonych, dbają o obywateli z narażeniem na szwank swego zdrowia, to przecież łżyliby i na nich z największą ochotą — nie może być inaczej. Bo i sami także dla blłhszych celów niż te utrzymują sobie straż.

XI. Należy też, Hieronie, bez wahania i z własnej szkatuły łożyć na wspólne dobro. Nawet, moim zdaniem, wydatki państwowe tyrana są bardziej celowe aniżeli wydatki na osobiste jego potrzeby. Rozważmy to szczegółowo. Jak myślisz, co byłoby dla ciebie zaszczytniejsze: czy dom niesłychanym wkładem ozdobiony, czy całe miasto zaopatrzone w mury, świątynie, krużganki i porty? Kiedy pokazałbyś się oczom nieprzyjaciół groźniejszy: czy sam ustroiwszy się w najstraszniejszą zbroję, czy mając za sobą całe miasto w dobry oręż zbrojny? W jaki sposób pomnożyłbyś swe dochody: czy tylko swoje własne powiększając mienie, czy też dbając o to, by powiększało się mienie wszystkich obywateli? Gdyby zaś za najpiękniejsze i najzaszczytniejsze zajęcie uważać chów koni wyścigowych, to jak ci się zdaje, co raczej przyniesie chlubę: czy jeśli ty sam z wszystkich Hellenów najwięcej wystawił zaprzęgów i posłał na zawody, czy też jeśli z twojego państwa największa ilość obywateli zajmowała się chowem koni i stanęła do zawodów? I jak sądzisz: czy piękniej jest zwyciężać dzielnością zaprzęgu, czy też szczęściem i dobrobytem państwa, nad którym włączasz? Ja bowiem twierdę, że tyranowi nie przystoi nawet iść w zawody z obywatelami. Albowiem zwycięstwo twe nie wzbudzi podziwu, tylko zawieść, że łożysz na wydatki z tego, coś zdarł z wielu gospodarstw, jeśli zaś ciebie zwyciężą, staniesz się przedmiotem powszechnego pośmiewiska. Nie, ja ci powiadam, Hieronie, godne ciebie zapasy to współzawodnictwo z innymi naczelnikami państw. Jeżeli państwo, któremu przewodniczysz, uczynisz wśród nich najszcześliwszym — wierz mi — wyszedłes zwycięsko z najpiękniejszych i najwspanialszych, jakie ludzie znają, zawodów. A przede wszystkim zyskałbyś stąd natychmiast miłość ludzi podległych twym rządóm, której właśnie tak bardzo pragniesz. Dalej, nie jednego herolda twego zwycięstwa znajdziesz, lecz wszyscy ludzie będą głosić cześć twej cnoty.

Wobec swej sławy będziesz przedmiotem miłości nie tylko ludzi prywatnych, ale i wielu państw, przedmiotem podziwu nie tylko jednostek, ale i wszystkich społeczeństw. Mógłbyś bez obawy o własne bezpieczeństwo udać się, dokąd byś chciał, celem zwiedzenia czegoś; mógłbyś tam gwoi oglądania zabawić. Zawsze bowiem otaczałby cię tłum ludzi chcących się popisać przed tobą tym, co ktoś ma mądrego, pięknego czy dobrego, a nawet pragnących ci służyć. Każdy obecny byłby twoim sprzymierzeńcem, każdy nieobecny pragnąłby cię

zobaczyć. Toteż byłbyś dla ludzi przedmiotem nie tylko kochania, ale także i pożądania; nie starałbyś się uwodzić pięknych, ale musiałbyś sam trzymać się mocno, by nie dać się uwieść; nie ty byś się obawiał, lecz innych doprowadzałbyś do obawy, żeby ci się coś złego nie stało. Miałbyś poddanych ożywionych dobrą wolą i widziałbyś ich życzliwą troskę o twoją osobę, a w razie niebezpieczeństwa oglądałbyś ich jako walczących nie tylko przy tobie, ale i przed tobą, i to z wielką gorliwością. Uznawano by cię godnym wielu darów, a ty nie byłbyś w kłopotcie, z jakim życzliwym przyjacielem mógłbyś się nimi podzielić, gdyż wszyscy podzielałiby twą radość z twego powodzenia, w twojej obronie walczyliby tak, jak w swojej własnej. Jak własne skarby służyłyby ci wszystkie majątki przyjaciół.

Bądź więc dobrej myśli, Hieronie. Wzbogacaj przyjaciół, siebie bowiem przez to wzbogacisz. Podnoś potęgę państwa, sam sobie bowiem potęgi przysporzysz. Staraj się o sprzymierzeńców dla państwa; ojczyznę uważaj za swój dom, obywateli za przyjaciół, przyjaciół za swoje dzieci, a dzieci swe ceń na równi ze swym życiem, a tych wszystkich staraj się przewyższyć dobrodziejstwami. Bo jeśli w świadczeniu dobrodziejstw przyjaciołom twoje będzie zwycięstwo, nie zdołają ci dotrzymać wrogowie. Jeśli to wszystko czynić będziesz, dostanie ci się, wierz mi, najpiękniejszy i najszcześniejszy skarb w udziale. Mianowicie szczęście twoje nie będzie budziło zawiści.

Agesilaos

I. Wiem o tym, że niełatwo napisać mowę pochwalną godną cnót Agesilaosa i sławy, a jednak trzeba się o to pokusić. Bo też niepięknie by się rzecz przedstawiała, gdyby z tego powodu, że był mężem dobrym aż do doskonałości, dlatego właśnie nawet mniej doskonałej nie dostąpił pochwały.

Otóż co do znakomitości jego rodu, czyż można by powiedzieć coś bardziej zaszczytnego i chwalebного niż to, że jeszcze dziś przez wymienianie przodków — i to nie zwyczajnych obywateli, lecz królów z królów — wspomina się ilość pokoleń, poczynawszy od Heraklesa. A nawet i z taką nie można by się o nich wyrażać przyganą, iż są wprawdzie królami, ale w łada jakim państwie. Przeciwnie, jak ród ich w ich ojczyźnie jest najbardziej szanowany, tak też i ich państwo w całej Helladzie najślawniejsze, toteż nie nad drugorzędnej wartości obywatelami władają, lecz nad przodownikami mają przodownictwo. A słusznie jest jeszcze i w ten sposób pochwalić jego ojczyznę i zarazem ród jego: mianowicie państwo nigdy nie patrzyło zawistnie na to najwyższą czią otoczone stanowisko ani nie usiłowało na skutek takiego uczucia położyć kresu ich władzy, a królowie nigdy nie dążyli do wyższych uprawnień niż te, z jakimi od początku objęli władzę królewską. Dlatego też, jak widzimy, jednakowo żadna inna władza nie zdołała się utrzymać bez przerwy, ani demokracja, ani oligarchia, ni tyrania, ni królestwo, tylko tam jedynie trwa jednym ciągiem królestwo.

Na to, że Agesilaos uchodził za godnego tronu, nim jeszcze rozpoczął rządy, są następujące dowody. Gdy po śmierci króla Agisa spierali się o władzę Leotychidas, jako syn Agisa, i Agesilaos, jako syn Archidamosa, powołało państwo na tron Agesilaosa, rozstrzygnawszy, że tak cnoty jego jak i ród mniej są dostępne zarzutom. Jeżeli więc sąd najlepszych w najdoskonalszym państwie uznał go godnym najpiękniejszego zaszczytu, to jakichże jeszcze potrzeba dowodów na jego cnoty z tego czasu, nim zaczął rządy?

Teraz już opowiem, jakich czynów dokazał na stanowisku króla. Z czynów bowiem można, moim zdaniem, najlepiej i najjaśniej poznać także jego charakter. Otóż Agesilaos jeszcze w młodym wieku dostąpił tronu królewskiego. Niedługo po objęciu rządów przysłała wiadomość, że król perski gromadzi silną flotę i liczne wojsko piesze, widocznie przeciw Hellenom. Na radzie Lacedemończyków i sprzymierzonych podjął się Agesilaos przeprowadzić się do Azji i starać się o doprowadzenie do pokoju lub, na wypadek że barbarzyńca będzie wolał wojnę, zając go tak, by nie mógł podejmować wyprawy na Hellenów. Obiecał zaś to pod warunkiem, że mu dadzą trzydziestu Spartan, dwa tysiące neodamodów i około sześciotysięczny kontyngent sprzymierzeńców. Ta jego ochota wzbudziła w tej chwili podziw prawie powszechny, gdyż przedtem Pers przeprowadził się do Hellady, a teraz z kolei miano się wyprawić na niego i z dwóch możliwości walki wybierano raczej natarcie niż oczekiwanie wroga, prowadząc wojnę kosztem raczej jego niż helleńskim; za najchlubniejsze jednak uważano to, iż bojowe zapasy miały się toczyć nie o Helladę, ale o Azję.

W jaki sposób sprawował naczelne dowództwo po przeprowie wojska, nie można objaśnić inaczej, jak tylko opowiadając, jakich czynów dokazał. Otóż w Azji na samym początku zdarzył się następujący wypadek: Tissafernes zobowiązał się, jeżeli Agesilaos zawrze zawieszenie broni aż do powrotu posłów, których wyprawił do króla, uzyskać dlań samorząd helleńskich miast w Azji. Agesilaos ze swej strony przysiągł, że będzie bez żadnego podstępów przestrzegał zawieszenia broni, ograniczywszy całą sprawę do trzech miesięcy. Tissafernes oczywiście zaraz swą przysięgę złamał, albowiem zamiast starać się o doprowadzenie do pokoju, domagał się za pośrednictwem gońców od króla, by mu posłał liczne wojsko jeszcze do tych sił, które już posiadał. Agesilaos natomiast, mimo iż to zauważył, wytrwał wiernie przy układzie. Moim więc zdaniem, pierwszym chlubnym jego czynem jest to, że ujawniwszy światu wiarołomstwo Tissafernesa, doprowadził do tego, iż nikt mu nie dawał wiary, podczas gdy on sam pokazał, że krępuje się przysięgą i nie zawiera kłamliwych układów. Toteż skutkiem tego i Hellenowie, i barbarzyńcy z pełnym zaufaniem układali się z nim, jeżeli o coś im chodziło.

Gdy Tissafernes, wielce pewny siebie dzięki wojsku, które nadeszło z głębi kraju, zapowiedział Agesilaosowi, by się wycofał z Azji, gdyż w przeciwnym razie wojna, sprzymierzeńcy i obecni tam Lacedemończycy nie kryli swego niepokoju, przekonani, że Agesilaos rozporządza siłą mniejszą niż przygotowania króla. Tymczasem Agesilaos z twarzą wielce rozjaśnioną kazał posłom odpowiedzieć Tissafernesowi, że żywi dlań gorące uczucie wdzięczności za to, iż swym krzywoprzysięstwem pozyskał sobie w bogach nieprzyjaciół, a Hellenom zjednał ich na sprzymierzeńców. Po czym natychmiast ogłosił wojsku rozkaz przygotowania się do wyprawy, a miastom, do których musiał z konieczności przybywać podczas pochodu na Karię, zapowiedział, by swe targi zaopatrzyli w zapasy żywności. Poleciał też Jończykom, Eolom i mieszkańcom miast znad Hellespontu, by mu posyłali do Efezu tych, co mieli razem z nim pójść na wyprawę.

Otóż Tissafernes w rzeczywistości doszedł do przekonania, że Agesilaos ruszy na jego rezydencję do Karii, gdyż nie miał konnicy, a Karia jest krainą dla jazdy niedostępną, prócz tego mniemał, że Agesilaos czuje doń urazę za jego oszustwo. Wszystkie więc swe siły piesze tam ściągnął, a jazdę oprowadził naokoło na równinę Meandru, sądząc, że zdoła strataować koniem Hellenów, zanim dojdą do okolic dla jazdy niedostępnych. Agesilaos zaś, zamiast iść na Karię, rozpoczął natychmiast marsz w kierunku wprost przeciwnym, na Frygię. Po drodze dołączał do swych sił napotykanne oddziały i wiodąc wojsko dalej, zajmował miasta jedno po drugim i zdobywał łup niemały skutkiem tego, iż wpadł niespodzianie. A i ten czyn, zdaje się, godnym jest wielkiego wodza, że po wypowiedzeniu wojny, to znaczy od chwili, kiedy

oszustwo stało się postępkem zbożnym i sprawiedliwym, pokazał, iż jeśli chodzi o oszustwo, to Tissafernes jest w porównaniu z nim naiwnym dzieckiem. Przy tej sposobności w rozsądny sposób, jak się zdaje, wzbogacił przyjaciół. Albowiem kiedy z powodu ujęcia wielkiej zdobyczy wprost za bezcen wszystko sprzedawano, nakazał przyjaciołom kupować, zapowiadawszy, że poprowadzi wojsko pośpiesznym marszem nad morze. Wyznaczonym znowu do sprzedaży zdobyczy rozkazał wpisywać w księgi cenę kupna tytułem długu i wyzbywać się sprzedanych przedmiotów. Skutkiem tego przyjaciele jego, nie uściwszy uprzednio żadnej zapłaty i nie naraziwszy skarbu publicznego na żadną szkodę, nabyli wszyscy mnóstwo wszelakiego dobytku. Ilekroć zaś zbiegowie chcieli mu zdradzić (jak to jest naturalne, że z tym się przychodzi do króla), gdzie są jakieś skarby, to jeszcze i o to się wtedy starał, by zajęcie ich oddać w ręce przyjaciół, chcąc im przysporzyć zarówno bogactwa, jak i sławy. Tym wnet sprawił, że wielu pragnęło jego przyjaźni.

W przekonaniu, że burzony i pustoszony kraj nie zdoła przez długi czas utrzymać wojska, a zaludniony i zasiewany jest niewysychającym źródłem żywności, starał się nie tylko gwałtem osłabiać przeciwnika, ale i zyskiwać go łaskawością. Często więc z całym naciskiem polecał żołnierzom, by nie mścili się nad pojmanymi, jakby nad złoczyńcami, lecz by ich strzegli jako ludzi. Często, zobaczywszy przy zwijaniu obozu dzieci porzucone przez kupców — których oni nie wystawiali na sprzedaż, sądząc, że nie można ich z sobą dźwigać i hodować — starał się i o nie, by je za wojskiem dokąś zabrać. Znowu na jeńców porzuconych z powodu starości nakazywał mieć baczenie, by nie stali się pastwą psów czy wilków. Toteż nie tylko ci, co się o tym dowiadawali, ale nawet i sami jeńcy odnosili się do niego z życzliwością.

Wszystkie miasta, które tylko sobie zyskał, zwalniał od posług, jakie niewolnicy panom świadczą, a jedynie polecał spełniać te obowiązki, jakie ludzie wolni z woli swych przełożonych spełniają. Niejedne mury, których siłą niepodobna było zdobyć, dostał pod swą rękę dzięki swej ludzkości.

Kiedy jednakowoż i we Frygii także nie mógł prowadzić wojny na równinie, z powodu konnicy Farnabazosa, postanowił wystarać się o jazdę, by nie wieść boju wśród ciągłego wycofywania się. Nakazał więc najbogatszym obywatelom tamtejszych miast hodować konie, a również ogłosił, że każdemu, kto dostarczy konia, oręża i odpowiedniego człowieka, wolno będzie nie służyć wojskowo. Tak skłonił wszystkich do zajęcia się tą sprawą z taką gorliwością, z jaką by ktoś szukał kogoś drugiego, by w zastępstwie za niego umarł. Wyzначył także miasta, które miały dostarczyć jazdy, w przekonaniu, że z miast sławnych z hodowli koni rychło przybędzie co najpewniejszy sobie jeździec. Czynem tym dlatego, zdaje się, zasługuje na podziw, że wystarał się dla siebie o jazdę od razu silną i do swej służby zdatną.

Z pierwszym brzaskiem wiosennego słońca sprowadził całe wojsko do Efezu. Chcąc je wyćwiczyć, wyznaczył nagrody, jakby na zapasach, dla pułków konnicy za najlepsze wykonywanie służby w jeździe, dla pułków hoplitów za najlepszą postawę i zahartowanie ciała, a także wyznaczył nagrody dla peltastów i łuczników, którzy okażą się najdzielniejsi w spełnianiu obowiązków przypadających na ten gatunek broni. Więc niezadługo potem można było widzieć gimnazja pełne ćwiczących się mężów, tor wyścigowy rojący się od jeźdźców hasających na koniach, godzących w cel łuczników i lekkozbrojnych, którzy rzucali oszczepami. W ogóle sprawił, że całe miasto, w którym przebywał, przedstawiało zajmujący widok. Bo i rynek był przepełniony różnymi gatunkami oręża i końmi wystawionymi na sprzedaż, a kotlarze, tokarze, kowale, rymarze, malarze, jednym słowem wszyscy pracowali

nad bronią wojenną. Toteż rzeczywiście można było pomyśleć, że całe miasto, to jeden warsztat bojowy. Na ten widok każdy by nabrał ducha, patrząc przede wszystkim na samego Agesilaosa, a następnie i resztę żołnierzy, uwieńczonych za każdym razem, gdy odchodzili z gimnazjów, i składających swe wieńce Artemidzie w ofierze. Albowiem tam, gdzie mężowie czczą bogów, a w sztuce wojennej się ćwiczą, a posłuszeństwa pilnie przestrzegają, jakżeby tam wszystko nie było naturalnie przepełnione radosną nadzieją.

Sądząc, że lekceważenie nieprzyjaciela dodaje w pewnej mierze otuchy do walki, nakazał heroldom sprzedawać nago barbarzyńców pojmanych w czasie wycieczek. Otóż żołnierze, widząc, że ciało ich było białe, jako że nigdy się nie rozdziewali, tłuste i niewytrzymałe na trudy, gdyż zawsze jeździli wozami, doszli do przekonania, że ta wojna będzie całkiem tak wyglądała, jakby mieli toczyć bój z niewiastami. Zapowiedział też żołnierzom, że natychmiast poprowadzi ich najkrótszą drogą do najbogatszej okolicy kraju, niech więc już teraz na ciele i duchu zaprawiają się do walki.

Jednakowoż Tissafernes był przekonany, że on tak mówi dlatego, iż chce go znowu oszukać, w rzeczywistości zaś wpadnie teraz do Karii. Znowu więc, jak przedtem, ściągnął piechotę do Karii, a jazdę ustawił w dolinie Meandru. Ale Agesilaos nie skłamał, lecz, jak zapowiedział, wprost pociągnął na Sardes i okolicę. Trzy dni maszerował przez kraj огоłocony z sił nieprzyjacielskich i miał pod dostatkiem żywności dla wojska. Czwartego dnia nadciągnęła nieprzyjacielska konnica. Dowódca jej kazał komendantowi taboru przejść rzekę Paktol i rozbić obóz, sami zaś, spostrzegłszy rozproszone za grabieżą tylne oddziały greckie, wielu ludzi z nich zabili. Zauważył to Agesilaos i kazał swej jeździe iść na pomoc. Na widok tej pomocy znowu Persowie zgromadzili się i ze swej strony uszykowała się perska konnica w gęstych szeregach. Wtedy Agesilaos, rozumując, że nieprzyjaciel nie ma jeszcze piechoty, a jemu samemu nie zbywa na niczym z tego, co przygotował, doszedł do przekonania, że byłaby to najodpowiedniejsza sposobność do stoczenia walnej bitwy, o ile by mógł nieprzyjaciela do tego doprowadzić. Złożywszy więc krwawą ofiarę, natychmiast poprowadził na uszykowaną naprzeciwko jazdę. Tym z hoplitów, którzy już dziesięć lat służby pod bronią mieli za sobą, kazał biec na spotkanie, dalej mieli nadążać za nimi peltaści. Kazał też wpaść swej konnicy, zapowiadając, że następuje za nimi z całą siłą. Konnicy jeszcze dzielniejsi z Persów dotrzymali placu, lecz kiedy wszystkie okropności zwały się na nich równocześnie, zachwiali się i jedni z nich zaraz padli w rzece, inni rzucili się do ucieczki. Hellenowie zaś w pościgu zajęli także ich obóz. Peltaści — jak to naturalne — zwrócili się do grabieży, Agesilaos zaś ze względu, że wkoło niego ciągnęły się nie tylko przyjacielskie, ale i nieprzyjacielskie obszary, rozbił obóz i kazał go obwarować. Gdy jednak dowiedział się, że wśród nieprzyjaciół wybuchły niesnaski, gdyż jeden drugiemu przypisywał winę tego, co się stało, natychmiast zaczął maszerować na Sardes. Paląc i niszcząc okolice otaczające miasto, równocześnie obwieszczaniami dawał znać, by kto pragnie wolności, przybywał do niego jako do swego sprzymierzeńca. Jeżeli zaś uważają niektórzy, że Azja dla Azjatów, niech staną do orężnej rozprawy z tymi, co przyszli w celu jej oswobodzenia. Kiedy jednakowoż nikt w pole nie wychodził, prowadził od tej chwili już wojnę bez obawy; widział, jak Hellenowie, dawniej zmuszani do padania na twarz przed królem perskim, doznawali teraz czci od tych, którzy nimi przedtem poniewierali, jak ci, co chcieli oznak czci bogom należnej, dzięki jego czynom nawet w oczy nie śmieli spojrzeć Hellenom. Mimo że ustrzegł ziemię przyjaciół od łupieży, kraj nieprzyjacielski tak wyzyskiwał, że za niecałe dwa lata złożył bogu w Delfach ponad sto talentów jako dziesięćcinę z łupów.

Więc król perski, przekonany, że Tissafernes jest winny jego niepowodzenia w wojnie, przez swego wysłannika, Titraustesa, rozkazał ściąć mu głowę. Po tym wszystkim położenie

barbarzyńców jeszcze się pogorszyło, a stanowisko Agesilaosa wzmocniło się znacznie. Wszystkie bowiem szczepy słały do niego poselstwa w sprawie przyjaźni, a wiele też plemion z pragnienia wolności przeszło na jego stronę, skutkiem czego Agesilaos był już wodzem nie samych tylko Hellenów, ale sprawował także dowództwo nad wielu barbarzyńcami.

A także i z tego powodu zasługuje na niepomiarne podziw, że choć władał nad tylu miastami na lądzie stałym i nad tylu wyspami (od czasu, kiedy państwo powierzyło mu także i komendę nad flotą), choć mógł korzystać do woli z rozlicznych dóbr, a co najważniejsze, żywił nawet myśli i nadzieje, iż obali ową potęgę, która się niegdyś na Helladę wyprawiała — że mimo to nic z tego nie zdołało opanować jego duszy, ale kiedy przyszło wezwanie od władz w ojczyźnie, by szedł na pomoc rodzinnej krainie, posłuchał nakazu państwa. Posłuchał tak samo, jakby właśnie wtedy sam jeden stał przed pięciu eforami w ich urzędowym budynku, dając przez to do poznania, że skarbów całej ziemi nie przyjąłby w zamian za ojczyznę ani nowo nabytych przyjaciół w zamian za starych, ani też haniebnego, choć bezpiecznego zysku zamiast chlubnego i sprawiedliwego, który wśród niebezpieczeństw zdobywać potrzeba.

Jakżeby można pominąć bez pochwały i ten prawdziwie królewski czyn, że przez cały czas trwania swej władzy także i następującego dzieła dokazał: Te mianowicie miasta, do których płynął z zamiarem objęcia tam władzy, objął w stanie ciągłych walk domowych i waśni, wynikających z przewrotu istniejącego ustroju państwowego po upadku hegemonii Aten, a doprowadził do tego, że przez cały czas jego obecności miasta te zgodnie i szczęśliwie rządziły się bez wyroków śmierci lub banicji. Toteż Hellenowie w Azji smucili się z powodu jego odejścia, jakby to oddalał się nie władca, ale ojciec i druh. A w końcu okazali, że nieudana była ta przyjaźń, jaką mu okazywali. Z własnej bowiem ochoty poszli za nim na pomoc Lacedemonowi, chociaż wiedzieli, że przyjdzie im walczyć nie z gorszymi od siebie. Otóż sprawy w Azji na tym się skończyły.

II. Przeprawiwszy się przez Hellespont, maszerował przez te same kraje, przez które swego czasu szedł Pers ze swą olbrzymią siłą. Drogę tę, na której przebycie barbarzyńca potrzebował całego roku, ukończył w niespełna jednym miesiącu. Pragnął bowiem przybyć do ojczyzny nie za późno. Gdy minawszy Macedonię, przybył z kolei do Tesalii, mieszkańcy miast Larysy, Krannon, Skotusa i Farsalos, jako sprzymierzeńcy Beotów, i w ogóle wszyscy Tesalowie, z wyjątkiem tych, którzy wtedy właśnie byli na wygnaniu, starali się wyrządzić mu szkodę, idąc w ślad za nim. On zaś przez jakiś czas wiodł wojsko w czworoboku, umieściwszy połowę jazdy z przodu, a połowę w tylnej straży. Aż kiedy Tesalczycy zaczęli stawiać przeszkody jego pochodowi przez napadanie na tylne oddziały, posłał do tylnej straży także jazdę z czołowej kolumny, prócz tych jeźdźców, których miał koło swej osoby. Kiedy jedni przy drugich ustawili się w bojową linię, nie uważali Tesalczycy za rzecz wskazaną doprowadzić do walki konnicy z hoplitami. Wykonawszy więc zwrot wstecz, cofali się stępa, a tamci z wolna, ostrożnie, szli za nimi. Agesilaos, dowiedziawszy się o błędach jednej i drugiej strony, posyła z przybocznej swej straży bardzo dzielnych jeźdźców z poleceniem, by wezwawszy i resztę konnicy, cwałem rzucili się do pościgu i nie dozwolili wrogom dokonać odwrotu. Gdy Tesalowie niespodzianie zobaczyli nadbiegającą w całym pędzie konnicę, usiłowali odwrócić front, ale to im się nie powiodło, gdyż wpadła na nich konnica od flank; niektórzy jednak nawet nie próbowali odwrócić się. Tylko dowódca jazdy Polycharmos z Farsalos dokonał zwrotu frontu, i zginął, walcząc na czele swych sił. Po tym wypadku nastaje niczym nieokiełznana ucieczka, skutkiem której jedni ginęli, inni znowu, schwytani żywcem, dostawali się do niewoli. W ucieczce oparli się dopiero przy górze Narthakion. Agesilaos postawił wtedy pomnik zwycięstwa między miastem Pras a górą Narthakion, i już tam został,

ogromnie rozradowany, że najdumniejszą i najpewniejszą siebie jazdę rozbił tą konnicą, którą sam sobie stworzył. Nazajutrz dopiero, przeszedłszy achajskie góry Ftyi, odbył resztę drogi, już przez kraj przyjacielski aż do granicy Beocji.

Tu natknąwszy się na bojową linię Teban, Ateńczyków, Argiwów, Koryntyjczyków, Ajnianów, Eubejczyków, jednych i drugich Lokrów, nie zwlekał ani chwili, lecz na ich oczach zaczął szykować swoich. Miał przy sobie półtorej mory, a ze sprzymierzeńców z owej okolicy jedynie Fokejczyków i Orchomeńczyków, prócz tego wojsko, które sam przywiódł. Nie chcę przez to powiedzieć, że przyjął bitwę, mimo że miał o wiele słabsze i gorsze siły, bo gdybym coś takiego mówił, tobym tylko publicznie odslaniał nierozum Agesilaosa i własną moją głupotę, jeślibym chwalił lekkomyślne wystawianie na szwank najwyższych interesów państwowych. Raczej chcę wyrazić swój podziw dla niego, że potrafił złożyć sobie siły nie mniejsze od nieprzyjacielskich i tak je uzbroić, że wszystko zdawało się spiżem i wszystko purpurą. Postarał się zaś o to, by żołnierze mogli podolać trudom wojennym, i natchnął ich takim duchem, iż byli gotowi komukolwiek stawić w boju czoło. Jeszcze nawet do współzawodnictwa pobudził tych, których miał przy sobie, by każdy pragnął okazać się najlepszym. Wszystkich napełnił nadzieją, że swym męstwem zdobędą rozliczne dobra, bo sądził, że ludzie, z takiego założenia wychodząc, idą na wroga z największą ochotą. I w rzeczy samej w tym się nie zawiódł.

A teraz opowiem o przebiegu walki, albowiem drugiej takiej nie było za naszej pamięci. Spotkały się z sobą oba wojska na równinie pod Koroneją; Agesilaos ciągnął od rzeki Kefizos, a Tebanie ze sprzymierzonymi od strony góry Helikonu. Obie strony widziały, że ich falangi równoważą się swą liczbą, a liczba jazdy z obu stron była także prawie równa. Agesilaos prowadził prawe skrzydło swych wojsk, kraniec zaś lewego skrzydła zajmowali Orchomeńczycy. Tebanie znowu byli sami na prawym skrzydle, lewe zaś ich skrzydło zajmowali Argejczycy. Gdy się tak spotkali, zachowywały obie strony głębokie milczenie, a kiedy byli oddaleni od siebie mniej więcej na jedną staję, podnieśli Tebanie okrzyk bojowy i biegiem puścili się na spotkanie. Odległość między obiema liniami wynosiła już tylko trzy pletry. Wtem z falangi Agesilaosa skoczyli naprzód żołnierze zaciężni, którymi dowodził Herippidas (niektórzy wyruszyli z nim jeszcze z domu, resztę stanowili byli żołnierze Cyrusa), dalej przyłączyli się Jończycy, Eolowie i pewna część mieszkańców miast nad Hellespontem. Ci wszyscy wybiegli w jednym szeregu i zbliżywszy się na długość włóczni, zmusili do ucieczki uszykowane przed sobą zastępy. Argiwowie zaś nie dotrzymali hufcom Agesilaosa, lecz uciekli na Helikon. I w tej chwili niektórzy z zaciężnych żołnierzy zabierali się do wieńczenia Agesilaosa, a tymczasem przychodzi ktoś z wieścią, że Tebanie, przełamawszy Orchomeńczyków, doszli do taboru. Agesilaos natychmiast kazał falandze zwrócić się frontem wstecz i prowadził na nich. Tebanie, ujrzawszy ucieczkę swych sprzymierzeńców na Helikon, ruszyli mocno ławą, chcąc przedrzeć się do swoich. I w tym wypadku można nazwać Agesilaosa dzielnym bez najmniejszego powątpiewania, ale to, co on wybrał, nie było rzeczą najbezpieczniejszą. Mógł mianowicie przepuścić tych, co się chcieli przebić, a potem wsiąść im na karki i przerzedzać ich szeregi. Jednakowoż nie uczynił tego, lecz czołowym atakiem runął na front tebański. Zderzywszy się tarczami, parli, bili, mordowali, ginęli. I nie było żadnego wrzasku, choć, co prawda, nie było i milczenia, tylko taki hałas, jaki powstaje wśród zawziętej walki. Wreszcie część Teban przedarła się do Helikonu, lecz wielu podczas tego odwrotu poległo.

Kiedy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Agesilaosa, przyniesiono go ранego przed falangę. Wtedy przybiegło na koniach kilku jeźdźnych, donosząc mu, że osiemdziesięciu nieprzyjaciół schroniło się w świątyni z bronią w ręku. Pytali, co z nimi zrobić. Mimo że

Agesilaos na całym ciele był pokryty ranami od różnej broni, nie zapomniał przecież należnego bogu szacunku, lecz kazał, by pozwolono im odejść w dowolnym kierunku, i nie tylko zabronił czynić im krzywdy, ale nawet polecił konnym ze swej przybocznej straży odprowadzić ich, aż staną w bezpiecznym miejscu.

Po skończeniu walki można było oglądać na miejscu starcia ziemię krwią spływającą, trupów swoich i wrogów, leżących pospołu, pogruchotane tarcze, połamane włócznie, obnażone z pochew sztylety, walające się po ziemi, tkwiące w ciele lub silnie jeszcze ściśnięte palcami martwych dłoni. Otóż wtedy, pozaciągawszy trupy do obozu — było bowiem już późno — ułożyli się do snu po spożyciu wieczornego posiłku. Rankiem rozkazał polemarchowi Gylisowi uszykować wojsko, postawić pomnik zwycięstwa; wszyscy mieli na cześć boga uwieńczyć się, a fletniści w całym wojsku mieli grać na flecie.

Ci zastosowali się do tego rozkazu, Tebanie zaś wysłali herolda z prośbą, by mogli pochować trupy pod osłoną zawieszenia broni. Otóż w ten sposób dochodzi do zawieszenia broni, a Agesilaos oddalił się do domu, Agesilaos, który wołał według praw rządzić w ojczyźnie i według praw słuchać rządu, zamiast być największym panem Azji.

Po pewnym czasie, zmiarkowawszy, że Argejczycy, którzy przyłączyli Korynt do swego obszaru, w spokoju zbierają plony u siebie w domu, zupełnie zadowoleni ze stanu wojennego, podejmuje na nich wyprawę. Spustoszywszy całą ich ziemię, zaraz stamtąd przez przełęcz przedostał się pod Korynt i zajął mury, ciągnące się do Lechajonu. Dopiero gdy rozwarł wrota Peloponezu, wrócił do domu na święto Hiakintia, podczas którego śpiewał na cześć boga pean razem z innymi, ustawiony w chórze według woli kierownika chóru.

Wnet zaczął rozważać tę okoliczność, że Koryntyjczycy sieją i zbierają na całym obszarze Pejrajonu i trzymają tam wszystkie swe trzody, nie narażając ani jednej sztuki bydła na stratę, a najwięcej kładł wagi na to, że Beotowie z przystani Kreusis mogą łatwo tamtędy mieć połączenie z Koryntyjczykami; wyprawia się więc na Pejrajon. Ale przekonawszy się, że strzeże go bardzo silna załoga, zaraz po rannym posiłku przeniósł się z obozem pod stolicę, jak gdyby główne miasto skłonne było do poddania się. Spostrzegłszy zaś pod noc, że cała siła zbrojna z Pejrajonu przysłała na pomoc miastu, zawrócił i równocześnie z nastaniem dnia zajął Pejrajon, który został opuszczony przez załogę, i wziął nie tylko wszystko, co tam zastał, ale także i warownię. Po dokonaniu tego powrócił do domu.

Po tym wszystkim poczęli Achajowie okazywać ochotę wstąpienia do symmachii i prosili, by się z nimi wspólnie wyprawić na Akarnanię. Gdy Akarnańczycy przedsięwzięli napad na ciasnej przełęczy, Agesilaos, zająwszy lekkozbrojnymi szczyty ponad ich głowami, stoczył walkę i zadał im ogromne straty, a w końcu postawił pomnik zwycięstwa. I nie zaniechał dalszego prowadzenia wojny, aż Akarnańczyków i Etolów doprowadził do przyjaznych stosunków z Achajami i do przymierza ze Spartą.

Kiedy nieprzyjaciele, tęskniąc za pokojem, wysyłali raz po raz poselstwa, sprzeciwiał się Agesilaos zaprzestaniu kroków wojennych, aż zmusił Koryntyjczyków i Teban, by przyjęli w ojczyźnie obywateli, których wygnano z powodu ich przywiązania do Lacedemończyków. Później też sprowadził z powrotem do domu także wygnańców z Flius, skazanych na banicję za swą życzliwość dla Lacedemończyków, a to w ten sposób, że sam osobiście wyprawił się na Flius. Można taki krok ganić, ale to jest istotnie jasne, iż postąpił tak jedynie z powodu miłowania przyjaciół. Albowiem i na Teby wyprawił się, pomoc niosąc przyjaciołom Lacedemonu, kiedy tam stronników lacedemońskich pomordowali przeciwnicy. Zastał tu

wszystko ubezpieczone rowem i częstokołem, przekroczył więc wzgórza Kynoskefalaj i pustoszył cały kraj aż pod samo miasto, dając Tebanom, jeśliby chcieli, sposobność do bitwy, tak na równinie, jak i na górach. Także i w następnym roku wyprawił się znowu na Teby i przekroczywszy częstokoły i rowy pod Skolos, spustoszył resztę obszaru Beocji.

Te dotychczasowe jego powodzenia były wspólnym powodzeniem jego i państwa. Żadnego zaś niepowodzenia, których potem tyle się zważyło, nikt nie może przypisać dowództwu Agesilaosa. Kiedy znowu po klęsce pod Leuktrami pozabijali w Tegei jego przyjaciół i druhów, złączonych z nim węzłami gościnności, ich przeciwnicy polityczni wraz z Mantinejczykami, w czasie, kiedy już istniał związek wszystkich Beotów, Arkadyjczyków i Elejczyków, wyprawia się na czele samej tylko lacedemońskiej siły zbrojnej, wbrew przekonaniu wielu, że Lacedemończycy przez długi czas nie będą śmieli krokiem ruszyć ze swego kraju. Dopiero spustoszywszy kraj zabójców swych przyjaciół, znowu do domu wrócił.

Otóż wtedy to podjęli wyprawę na Lacedemon wszyscy Arkadyjczycy, Argiowowie, Elejczycy i Beotowie, a razem z nimi Fokejczycy, jedni i drudzy Lokrowie, Tesalczycy, Ajnianowie, Akarnańczycy i Eubejczycy; prócz tego przeszli na ich stronę niewolnicy i wiele miast zamieszkałych przez periojków; z samych zaś Spartan nie mniej poległo w bitwie pod Leuktrami, niż zostało przy życiu. Mimo to wszystko przecież zdołał ustrzec miasto, i to w dodatku nieobwarowane; nie wiódł na bój tam, gdzie nieprzyjaciół miał pod każdym względem przewagę, mocno jednak stawiał się ze swymi szyskami tam, gdzie spodziewał się przewagi swych współobywateli. Sądził mianowicie, że jeśliby wyszedł na równinę, okrażą go z wszech stron, natomiast dając pole w wąwozach i na wyniosłościach, miałby bezwzględny wyższość nad nieprzyjacielem.

Jakżeby można nie przyznać, że mądre było jego postępowanie po odwołaniu wojsk nieprzyjacielskich. Kiedy bowiem — wiek nie pozwalał mu pełnić powinności wojennych, ani pieszo, ani konno — zwrócił całą swą myśl na to, by wystarać się o pieniądze dla państwa, gdyż widział, że państwo ich potrzebuje, jeśli w ogóle chce mieć jeszcze jakiegoś sprzymierzeńca. Jeżeli mógł coś wydostać, przebywając w domu, to starał się o to i przemyślał nad tym, a jeśli wypadło podróżować, nie wahał się ani też nie wstydził dla pożytku państwa wyruszać z domu w charakterze posła, nie wodza.

Jednakowoż i na stanowisku posła dokazał czynów wielkiego wodza. Mianowicie Autofradates, który oblegał w Assos sprzymierzonego z Lacedemończykami Ariobarzanesa, uciekł ze strachu przed Agesilaosem; Kotys znowu oblegał Sestos, należące jeszcze do Ariobarzanesa, ale i on poniechał oblężenia i oddalił się. Toteż nie byłoby niedorzeczne zdanie, że jego poselstwa postawiły mu pomnik zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi. A Mauzolos, który od strony morza stu okrętami oblegał te obie obwarowane miejscowości, także odstąpił i odpłynął do domu, choć już nie ze strachu, tylko pod wpływem namowy. Jednak podziwu godnych rzeczy dokazał dopiero w tym, co z powyższych wypadków wynikło. Albowiem ci, którzy widzieli w nim swego dobroczyńcę, i ci, którzy uciekli, to znaczy obie strony, dali mu pieniądze. Także i Tachos to uczynił, a również i Mauzolos dzięki związkowi gościnności, jaki go dawniej łączył z Agesilaosem, dołożył ze swego dla Lacedemonu, i odesłali go do domu, dodawszy mu do towarzystwa świetny orszak.

Wówczas już liczył lat około osiemdziesiąt. Znając egipskiego króla, który miał wiele piechoty, wiele jazdy i ogromne skarby, a gorąco pragnął wojny z Persami, z przyjemnością przyjął do wiadomości, że go wzywa i obiecuje nawet naczelne dowództwo. A dlatego miło mu było to słyszeć, bo miał nadzieję, że za jednym zachodem odwdzięczy się władcy

Egipcjan za wyświadczone Lacedemonowi przysługi, w Azji zaś mieszkających Hellenów znowu wyswobodzi, a Persowi wymierzy karę zarówno za dawne jego postęпки, jako też i za to, że teraz, choć się mienił sprzymierzeńcem, polecał wyrzeczenie się Mesenii. Kiedy jednak ten, który go wezwał, nie miał zamiaru oddawać mu naczelnego dowództwa, zaczął się Agesilaos, oszukany w tym, co stanowiło istotę całej sprawy, zastanawiać, co należy począć. Wtedy to ci Egipcjanie, którzy stanowili oddzielną siłę zbrojną, odpadli od króla, a następnie także i wszyscy inni go porzucili. On sam, przerażony, umknął do Sydonu w Fenicji, Egipcjanie zaś, poważnieni, wybierają dwóch królów. Otóż teraz Agesilaos wziął pod rozwagę, że jeżeli z nikim się nie połączy, to nikt Hellenom żołdu nie wypłaci ani nie dostarczy żywności na targ, a ten, kto zwycięży, będzie im wrogiem. Jeżeli się natomiast do jednego z tych dwóch przyłączy, to ten oczywiście, doznawszy dobrodziejstwa, będzie im przyjacielem. Tak więc rozstrzygnąwszy, wyprawia się na wojnę razem z tym, który uchodził za przyjaciela Hellenów i stoczywszy zwycięską walkę, zadaje klęskę wrogowi Greków, a tamtego osadza na tronie. Zyskawszy tak przyjaciela dla Lacedemonu i nabrawszy wiele skarbów, odpywa po tym wszystkim do domu, choć było to w połowie zimy, a śpieszył się tak, by na przyszłe lato nie było państwo zmuszone do bezczynności wobec nieprzyjaciół.

III. Tyle było do powiedzenia o wszystkich jego czynach, dokonanych przed oczyma niesłychanie wielkiej ilości świadków. Nie trzeba na nie dowodów, wystarczy tylko wspomnieć, a natychmiast znajdują wiarę. A teraz będę się starał oświetlić zalety skryte w duszy jego, dzięki którym dokonywał tych czynów, miłując chlubne obowiązki, a pleniąc wszelką szkaradę.

Agesilaos mianowicie żywił taką cześć dla bogów, że nawet nieprzyjaciele uważali jego przysięgi i układy z nim zawierane za pewniejsze niż przyjacielskie stosunki między sobą. Prowadząc układy między sobą, nieraz wahali się zjawić na miejscu wyznaczonym na spotkanie, a wydawali się sami w ręce Agesilaosa. By zaś to nie zdawało się komuś niewiarygodne, wymienię najślawniejszych z nich po nazwisku. Otóż Pers Spitridates, wiedząc, że Farnabazos czyni zabiegi o zaślubienie córki królewskiej, a jego córkę chce wziąć bez ślubu, uważał to za wybryk nieukróconej swawoli i oddał się w ręce Agesilaosa razem z żoną, dziećmi i swą siłą zbrojną. Władca zaś Paflagonii, Otys, nie usłuchał wezwania królewskiego mimo przesłanej poręki, w obawie, by go nie pojmano w celu uzyskania ogromnego okupu lub nawet zabicia go; natomiast ufając układom z Agesilaosem, przybył do jego obozu i zawarłszy z nim przymierze, postanowił z Agesilaosem iść na wyprawę na czele swej siły, liczącej tysiąc konnicy i dwa tysiące lekkiej piechoty, a noszącej małe tarcze. Nawet i Farnabazos przybył na rozmowę z Agesilaosem i umówił się, że odstąpi od króla, jeśli ten nie zamianuje go naczelnym wodzem wszystkich wojsk. „Jeżeli jednakowoż zostanę naczelnym wodzem — mówił — będę z tobą, Agesilaosie, wojował z największym wysiłkiem, na jaki mnie tylko stać”. A mówiąc te słowa, był pewny, że go nic wbrew układowi nie spotka. Tak to dla każdego człowieka, a zwłaszcza wodza, jest największym skarbem być pobożnym i wiarygodnym, i być z tego znanym. Tyle o bogobojności.

IV. A już na stwierdzenie jego sprawiedliwości w sprawach pieniężnych jakież pewniejsze można by mieć dowody niż następujące? Mianowicie nikt nigdy nie skarżył się na Agesilaosa, iżby go pozbawił czegokolwiek, a wielu zgodnie przyznawało, że w wielu względach doznało od niego dobrodziejstw. Komu więc miło własność swą oddawać na ludzki pożytek, jakżeby chciał cudze zabierać, by tym się zniesławić? Bo gdyby pożądał bogactw, to przecież mniejszym byłoby dlań kłopotem strzec swego, niż brać to, co mu się nie należało. Kto nie pragnie nie okazywać objawów swej wdzięczności nawet tam, gdzie nie ma drogi prawnej przeciw niewdzięcznemu, jakżeby chciał okazywać niewdzięczność tam,

gdzie prawo jej zabrania? Agesilaos mienił niesprawiedliwym nie tylko niewdzięcznego, ale nawet i tego, który nie odwzajemniał się w większej mierze, choć miał większe środki po temu.

A już o kradzież mienia państwowego jakżeby go można w prawdopodobny sposób oskarżać, kiedy on państwu odstępował plony wdzięczności, która się jemu osobiście należała? A czyż i ta okoliczność nie stanowi wyraźnego dowodu jego bezinteresowności, że ilekroć chciał przysłużyć się komuś pewną kwotą pieniężną, czy to państwu, czy przyjaciółom, mógł pomagać im tym, co dostawał od innych? Albowiem gdyby był objawy swej łaski sprzedawał lub za zapłatę świadczył dobrodziejstwa, nikt nie byłby się uważał za jego dłużnika. Tymczasem ci, którym bezinteresownie wyświadczono dobrodziejstwo, z rozkoszą zawsze oddają usługi swemu dobroczyńcy, dlatego że doznali dobrodziejstwa i dlatego że z góry uważano ich za ludzi tak pewnej prawości, iż można im powierzyć złożony u nich skarb wdzięczności. Czyż może nie żywić największego wstrętu do brudnej chęci zysku ten człowiek, który woli mieć mniej, byle trybem szlachebnym, niż bogacić się trybem niesprawiedliwym? Kiedy państwo swym wyrokiem orzekło, że ma posiadać cały majątek Agisa, on oddał połowę krewnym jego po matce, widząc, że cierpią ubóstwo, a prawdziwość tego może zaświadczyć całe lacedemońskie społeczeństwo. Kiedy Titraustes ofiarowywał mu wspaniałe dary za opuszczenie kraju, odpowiedział Agesilaos: „U nas, Titraustesie, większą stanowi chlubę dla wodza bogacić wojsko niż siebie samego, za większy też zaszczyt uchodzi starać się zdobyć łup na wrogu, niż brać od niego dary”.

V. Dalej, co się tyczy rozkoszy, które władają ludźmi, to czyż może widział ktoś Agesilaosa w mocy jakiejś namiętności? Zdaniem jego, od pijaństwa tak trzeba stronić, jak od szału, a obżarstwa tak się wystrzegać, jak próżniactwa. Dostając na biesiadach podwójną część, nie tylko sam jej nie spożywał, ale rozdzielał jedną i drugą, a sobie nie zostawiał żadnej, w mniemaniu, że król dostaje dwa razy tyle, co ktoś inny, nie w celu opychania się, lecz aby i tym mógł komukolwiek według swej woli cześć okazywać.

Ze snu też korzystał jakby ze swego sługi, nie miał zaś w nim swego pana; sen był zależny od jego zajęć, a kiedy nie miał najgorszego legowiska między towarzyszami, to niemożliwe było nie zauważyć, że się wstydzi. Był bowiem tego zdania, że władca ma przewyższać zwyczajnych obywateli nie zniewieściałością, ale zahartowaniem. Tej chciwości przynajmniej się nie wstydził: w lecie był chciwy słońca, a w zimie mrozu. A jeśli się kiedy przydarzyło, że wojsku wypadło pracować wśród mozołu, dobrowolnie trudził się obok innych, gdyż w tym wszystkim widział najgorętszą zachętę dla żołnierzy. Krótko mówiąc, Agesilaos radował się trudem, a wygody wcale nie pożywał.

A o jego wstrzemięźliwości w sprawach rozkoszy miłosnych warto chyba wspomnieć, jeżeli już nie z innego powodu, to przynajmniej ze względu na nadzwyczajność, zasługującą na najwyższy podziw. Bo wstrzymywanie się od tego, czego ktoś nie pożąda, można by nazwać rzeczą ludzką; ale tymczasem on zakochał się w Megabatesie, synu Spitridatesa, i to tak mocno, jak tylko największa namiętność może się rozkochać w największej piękności. Kiedy zwyczajem Persów, którzy całują tych ludzi, dla których żywią szacunek, także i Megabates usiłował pocałować Agesilaosa, ten oparł się całowaniu z największą stanowczością. Czyż takie pomiarkowanie się nie jest czymś boskim? Kiedy obrażony (bo poczytywał to za obrazę) Megabates już potem nie próbował go całować, zwrócił się Agesilaos z prośbą do jednego z towarzyszy, by skłonił Megabatesa do tego, aby mu znowu cześć okazywał. Na pytanie zaś tego towarzysza, czy pocałuje Megabatesa, jeżeli się da przeprosić, zamilkł na chwilę, a potem rzekł: „Na obu bogów, nie, choćbym miał za to stać się natychmiast

najpiękniejszym, najsilniejszym i najzwawszym z ludzi. I na wszystkich bogów przysięgam, iż wolę raczej jeszcze raz staczać tę samą walkę, niż żeby mi się wszystko, na co patrzę, zmieniło w złoto”.

Jak się na to niektórzy ludzie zapatrują, nie jest mi nieznane. Ja zaś, tak przynajmniej mi się zdaje, wiem, że znaczna większość ludzi łatwiej potrafi zapanować nad nieprzyjaciółmi niż nad takim pożądanym. Ale wielu może temu nie dawać wiary, gdyż tylko mało kto wie o tym. To jednak wszyscy wiemy, że tajemnica najmniej skrywa przed światem czyny ludzi stojących na najwidoczniejszym stanowisku. A nikt nigdy nie opowiadał o Agesilaosie, że coś takiego widział, a jeśli nawet ktoś mówił coś takiego na podstawie swoich domysłów, nie znajdował w ogóle wiary. Albowiem on sam jeden nigdy w czasie podróży nie zajeżdżał do żadnego domu, tylko zawsze przebywał albo w świątyni — a tam przecież nie można czegoś takiego czynić — albo na publicznym miejscu, mając za świadków swej obyczajności oczy wszystkich obecnych. Jeśli zaś w tym, co mówię, kłamię, a cała Hellada wie o tym coś wręcz przeciwnego, to zupełnie tym sposobem żadnej dla niego nie wyrażam pochwały, tylko naganę dla siebie.

VI. A dalej męstwa swego dał, zdaniem mym, całkiem widoczne dowody, podejmując się stale prowadzenia wojny z najpotężniejszymi wrogami swego państwa lub całej Hellady, a w zapasach z nimi sam pierwszy występował w szranki. Tam, gdzie nieprzyjaciele okazali ochotę do stoczenia bitwy, osiągał zwycięstwo nie przez wywołanie popłochu w szeregach nieprzyjacielskich, ale stawiał posągi zwycięstwa, zyskawszy przewagę wstępnym bojem, czoło w czoło. Pozostawił nieśmiertelne pamiątki swej osobistej dzielności, ale i sam na sobie odniósł wyraźne znaki świadczące o tym, że mężnie stawał. Toteż wartość jego ducha można było oceniać nie ze słyszenia, ale z tego, co się widziało na własne oczy. Pomnikami zwycięstw Agesilaosa można nazwać nie tylko te wszystkie pomniki, które postawił, ale całkiem słusznie można każdą jego wyprawę uważać za pomnik zwycięstwa. Zwycięstwo bowiem jego w niczym nie było mniejsze, kiedy nieprzyjaciele nie chcieli dać mu pola, a było osiągnięte i z mniejszym niebezpieczeństwem, i większą korzyścią dla państwa i sprzymierzonych. Przecież i w zapasach nie mniej uroczyście wieńczą tych zwycięzców, którzy nie nałykali się kurzu, jak tych, którzy z walki wyszli zwycięsko.

Czyż istnieje jakiś jego czyn, który by nie był dowodem jego mądrości? Postępował wobec ojczyzny tak, że przestrzegając najbezwzględniejszego posłuszeństwa, miał w państwie wpływ najsilniejszy, pełen ochoczej gotowości dla towarzyszy, zdobywał sobie przyjaciół, dla których nie istniały żadne wymówki. W żołnierzy zaś wpajał równocześnie posłuch i miłość dla siebie. Jakżeby zresztą inaczej można doprowadzić falangę do wyższej bojowej wartości, jak tylko tym, żeby dzięki posłuchowi była karna, a dzięki miłości do swego wodza wiernie przy nim stała. Z nieprzyjaciółmi natomiast postępował tak, że ganić go nie mogli, nienawidzić musieli. Wszelkimi bowiem środkami starał się zawsze o to, by sprzymierzeńcy nad nimi górowali, zwodził, ilekroć nadarzyła się po temu sposobność, uprzedzał, gdzie tylko sprawa wymagała pośpiechu, tonął w tajemniczości, jeśli to było korzystne, w ogóle zachowywał się wobec nieprzyjaciół wprost przeciwnie niż wobec przyjaciół. Albowiem noc stała zarówno na jego usługi, jak dzień, z dnia zaś korzystał tak jak z nocy, często było niejasne, gdzie właściwie przebywa, dokąd zmierza i co przedsięwzięmie. Toteż silne i całkiem pewne punkty oparcia nieprzyjacielskie zmieniał w niepewne, jedne omijał, drugie przekraczał, inne znowu obsadzał ukradkiem. Ilekroć podczas marszu wiedział, że nieprzyjaciół może każdej chwili dowolnie wszcząć walkę, wiodł wojsko w takim szyku, że mógł najlepiej sam sobie przychodzić z pomocą, maszerując tak spokojnie, jak kroczy dobrze wychowana panna. Uważał, że w ten sposób można się ustrzec jak najlepiej trwogi, popłochu,

zamętu, uniknąć błędów wystawiania się na czyhające zasadzki. Dlatego też dzięki takiemu postępowaniu budził postrach u nieprzyjaciół, a u swoich śmiałą pewność siebie. Skutkiem tego w ciągu całego swego życia nie ściągnął na siebie ze strony nieprzyjaciół lekceważenia, ze strony współobywateli kary, a od przyjaciół nagany, natomiast u wszystkich ludzi zdobył sobie największe uwielbienie i najwyższą chwałę.

VII. Za długo byłoby pisać szczegółowo o tym, że był gorącym patriotą; nie ma, jak sędzę, w jego postępowaniu żadnego takiego czynu, który by o tym nie świadczył. Krótko mówiąc, wszyscy wiemy, że Agesilaos, jeżeli tylko sądził, iż się przysłuży ojczyźnie, nie lękał się pracy, nie stronił od niebezpieczeństwa, nie szczędził pieniędzy, nie wymawiał się zdrowiem ni wiekiem, a ponadto uważał za obowiązek dobrego króla jak najwięcej dobrego czynić obywatelom, którymi się rządzi. A między największymi ojczyźnie oddanymi przysługami kładę i to, że choć był najpotężniejszy w państwie, zupełnie jawnie okazywał uległą służbę prawu. Bo któż by zechciał być nieposłuszny, widząc, iż sam król słucha? Któż by dążył do przewrotów politycznych i społecznych w przekonaniu, że zajmuje zbyt podrzędne stanowisko, wiedząc, że w myśl ustawy i król ma nałożony obowiązek posłuszeństwa i nie buntuje się przeciw niemu? Owszem, nawet do swoich przeciwników w państwie odnosił się z takim uczuciem jak ojciec do dzieci. Łajał bowiem za błędy, wyrażał cześć swą, ilekroć dokonali czego dobrego, śpieszył z pomocą, jeśli się zdarzał jakiś przypadek, nie widząc wroga w żadnym obywatelu; wszystkich pragnął chwalić, a za zysk uważał ocalenie każdego, za stratę zaś poczytywał, jeśli ktoś, choćby niewiele wart, zginął. Jasne dla wszystkich było jego przekonanie, że ojczyzna zawsze będzie szczęśliwa, jeśli obywatele spokojnie wytrwają przy prawach swoich, a potężna będzie wtedy, kiedy Hellenowie dojdą do opamiętania się.

A dalej znowu, jeśli piękną jest rzeczą, będąc Hellenem, miłość żywić dla Hellenów, to któż zna innego wodza, który by nie chciał zajmować miasta, kiedy się spodziewa, że się ono obróci w perzynę, albo uważał za klęskę zwycięstwo odniesione w wojnie z Hellenami? On właśnie, otrzymawszy wiadomość, iż w bitwie pod Koryntem poległo ośmiu Lacedemończyków, a nieprzyjaciół blisko dziesięć tysięcy, nie okazał żadnej uciechy, lecz zawołał tylko: „Biada ci, Hellado, gdyż ci, co teraz polegli, mogliby, żywi, pokonać w boju wszystkich barbarzyńców”. Gdy mu koryntyjscy wygnańcy opowiadali, że miasto chciałoby się poddać, i podsuwali mu sposoby, jakimi według ich nadziei mógł z całą pewnością wziąć mury, nie chciał szturmować, mówiąc, iż miasta helleńskie należy doprowadzać nie do upadku, ale do opamiętania się. „Jeżeli — mówił — tych z nas, co błądzą, zniszczymy, to trzeba się obawiać, że nie będziemy mieli z kim zwyciężać barbarzyńców”.

Prawda, że piękną jest rzeczą być wrogiem Persom, i za dawne wyprawy, podjęte na ujarzmienie Hellady, i za teraźniejsze przymierza, które zawierają z tą stroną, z którą spodziewają się bardziej zaszkodzić helleńskiej sprawie, i za obdarowywanie tych, którzy, ich zdaniem, po otrzymaniu darów najwięcej złego Hellenom wyrządzą, i za to, że przyczyniają się do zawierania takich pokojów, z których zapowiada się na przyszłość jak najwięcej wojen bratobójczych. To istotnie wszyscy widzą. Ale czy ktoś prócz Agesilaosa starał się kiedyś o to, by jakiś naród odpadł od Persa lub by ten naród, co odpadł, nie zginął, lub czy ktoś troszczył się w ogóle o to, by i król perski miał dosyć do czynienia u siebie i nie mógł sprawiać Hellenom kłopotów? A on, nawet mimo wojny między ojczystym miastem a Hellenami, nie spuścił z oka wspólnego dobra całej Hellady i wypłynął z flotą w tym celu, by wedle sił swych wyrządzać szkody barbarzyńcy.

VIII. Warto zaprawdę nie pominąć milczeniem także jego uprzejmości. Mimo że cieszył się czcią, odznaczał potęgą, a prócz tego piastował godność królewską, i to taką, na którą nie

czyhano, lecz którą miłowano, pychy u niego nikt nie widział, a pełne tkliwości i szacunku przywiązanie do przyjaciół mógł każdy zauważyć, choćby się nie bardzo natężał. Z największą przyjemnością brał udział w żartobliwych rozmowach, ale także i poważnie rozprawiał z przyjaciółmi o ich potrzebach. Dzięki temu, że był zawsze pełen nadziei, otuchy i pogody, wielu starało się zbliżyć do niego, nie w tym celu jedynie, aby coś uzyskać, lecz także, aby przyjemniej dzień przepędzić. Choć sam wcale nie był zdolny do przechwałek, nie sprawiało mu to przykrości słuchać takich, co się przechwalali, sądził bowiem, że oni żadnej szkody nie wyrządzają, a obiecują, że będą dzielnymi mężami.

Dalej, nie należałoby pomijać, jak w porę występowała jego szlachetna duma. Mianowicie kiedy Pers, w towarzystwie Lacedemończyka Kalliasa, przyniósł mu od króla perskiego list w sprawie nawiązania stosunku gościnności i osobistej przyjaźni, listu nie przyjął, a posłańcowi kazał, by oznajmił królowi, że nie ma potrzeby jemu osobiście posyłać listów. Jeśli się bowiem pokaże, że jest przyjacielem Lacedemonu i życzliwy Helladzie, to on także i co do swojej osoby będzie mu przyjacielem z całej duszy. „Jeśli zaś — mówił — przekonam się o jego podstępnych zamiarach, niech nie spodziewa się we mnie przyjaciela, choćbym moc listów otrzymywał”. Ja więc i to pochwalam u Agesilaosa, że zlekceważył przyjaźń króla gwoli przypodobania się Hellenom, a i to także podziwiam u niego, że zdaniem jego bardziej należałoby się troszczyć nie o tego, kto ma większe skarby i więcej poddanych, ale o tego, który i sam jest lepszy, i nad lepszymi panuje. A pochwalam i ową jego przezorność, że uważał za pożądane dla Hellady, by od króla odpadło jak najwięcej satrapów; nie wpłynęły więc na niego ani dary, ani potęga króla w tym stopniu, żeby miał zapragnąć wejścia z nim w stosunek przyjacielski. Przeciwnie, wystrzegał się, by nie stracić zaufania u tych, co chcieli odpaść od króla.

A któż by i takiemu jeszcze postępowaniu mógł odmówić podziwu. Mianowicie Pers, przekonany, że posiadłszy największe skarby, wszystko zniewoli w moc swoją, starał się dlatego gromadzić u siebie wszystko złoto z całego świata, wszystko srebro i wszelkie najdrogocenniejsze przedmioty. On tymczasem, przeciwnie, urządził swój dom w ten sposób, że niczego takiego nie potrzebował. Jeśli zaś ktoś temu nie dowierza, niech popatrzy, jaki dom mu starczył, niech zobaczy jego drzwi. Naprowadziłyby go bowiem swym wyglądem na myśl, że to są jeszcze te drzwi, które własnoręcznie wstawił Aristodemos, syn Heraklesa, kiedy przybył do tego kraju. Niech postara się zobaczyć wewnętrzne urządzenie domu, niech zważy, jak on biesiadował w czasie uroczystości, niech posłucha opowiadania, jak to córka jego jechała do Amyklaj na wozie zaopatrzonym w półkoszki, jak u zwykłego obywatela. Dlatego też, uzgodniwszy w ten sposób wydatki z dochodami, nigdy nie znalazł się w położeniu przynaglającym do niesprawiedliwego postępowania dla pieniędzy. Wprawdzie uchodzi za rzecz chlubną zyskiwać od nieprzyjaciół niezdobyte twierdze, ale ja za znacznie chlubniejsze uważam to, że sobie taką duszę ukształcił, niezdobytą i dla majątku, i dla rozkoszy, i dla strachu.

IX. Dalej opowiem, jak to on swoim trybem życia stanowił wprost przeciwieństwo do pychy Persa. Ten bowiem przede wszystkim uważał za odpowiednie dla swego majestatu rzadko pokazywać się na widok publiczny, Agesilaos natomiast nadzwyczaj chętnie ukazywał się oczom ludzi, przekonany, iż skrywanie się takie przystoi występкови, gdy tymczasem życiu szukającemu cnoty światło dnia chlubę tylko przynosi. Następnie, tamten uważał, że wzgląd na jego majestat każe utrudniać dostęp do niego, a ten z przyjemnością dozwalał każdemu dostępu do swej osoby. Tamten rozkoszował się przewlekaniem spraw czekających na załatwienie, ten znowu najwięcej się cieszył, ilekroć mógł kogoś bardzo prędko odesłać z tym, że sprawa już załatwiona.

Warto też zastanowić się i nad tym, o ile łatwiej i wygodniej mógł Agesilaos zaspakajać swe potrzeby. Dla Persa ziemię całą schodzą w poszukiwaniu przyjemnych napojów, niezliczeni ludzie wysilają się na sztuczne przyrządzanie smacznych potraw. A już co wyprawiają, aby mu umożliwić sen, tego wszystkiego nawet nie można by wymienić. Tymczasem Agesilaos dzięki swej pracowitości pił ochotnie, co było pod ręką, i jadł ze smakiem, co się nadarzyło, a każde miejsce wystarczało mu, by mógł zasnąć przyjemnie. I nie tylko cieszył się z tego, że żył tym trybem, ale już sama myśl, iż obraca się wśród tylu przyjemności, sprawiała mu radość, gdy tymczasem barbarzyńca musi ściągać z krańców świata przedmioty mające zadowolić jego potrzeby, jeżeli chce pędzić znośny żywot. Przyjemność też sprawiała mu świadomość, że potrafi zastosować się do każdej pory roku, jaką zsyłają bogowie, bez żadnej dla siebie uciążliwości, podczas gdy tamten ucieka przed skwarem, ucieka przed mrozem, naśladując, z braku hartu ducha, żywot nie mężów dzielnych, ale najsłabszych zwierząt.

A nie jestże to znowu objawem pięknego, szlachetnego sposobu myślenia, że on sam ozdobił swój dom męskimi czynami i nabytkami, żywiąc przy tym wielką sforę psów myśliwskich i stadninę koni bojowych, natomiast siostrę swą, Kyniskę, namówił do hodowania koni wyścigowych; gdy ona zwyciężyła na wyścigach rydwanami, wykazał w ten sposób, że wyhodowanie takiego zwierzęcia jest dowodem nie męskiej dzielności, ale bogactwa. Z pewnością wtedy doszedł do tego szlachetnego przekonania, że zwycięstwem na rydwanie w niczym nie wywyższyłby swego imienia ponad imiona zwykłych obywateli. Natomiast, posiadając największą między wszystkimi miłość całego swego społeczeństwa, zyskawszy sobie największą ilość najlepszych przyjaciół po całym świecie, górując nad ojczyzną i towarzyszami wielkością wyświadcanych dobrodziejstw, a nad wrogami wielkością zadawanych klęsk, istotnie mógłby odnieść zwycięstwo w zapasach najpiękniejszych i najwspanialszych i wznieść swe imię na najwyższy szczyt sławy za życia i po śmierci.

X. Otóż ja za to chwałę Agesilaosa. Bo sprawa wygląda tu całkiem inaczej, niż na przykład kiedy ktoś znajdzie skarb, gdyż wtedy jest bogatszym, ale nie lepszym gospodarzem, lub kiedy zwycięży nieprzyjaciół wskutek wybuchu wśród nich zarazy; wtedy ma on lepsze szczęście, ale nie jest lepszym wodzem. Tymczasem Agesilaos górował dzięki swej wytrwałości tam, gdzie była pora na trud, siłą tam, gdzie było współzawodnictwo dzielności, rozumem, gdy sprawa wymagała rady. Dlatego, zdaniem moim, można go słusznie uważać za człowieka skończenie doskonałego. Jeżeli pięknym wynalazkiem dla ludzi jest sznur ciesielski i liniał do wskazania prostej drogi czynu, to cnota Agesilaosa pięknym jest, jak sądzę, wzorem dla tych, co się chcą ćwiczyć w męskiej cnocie. Bo któż, naśladując pobożnego, mógłby się stać bezbożnym, sprawiedliwego — niesprawiedliwym, lub skromnego — swawolnikiem, lub umiarkowanego — nieumiarkowanym? Albowiem nie tak szczyił się tym, że był królem nad innymi, jak tym, że panował sam nad sobą, ani nie tym, że wiódł obywateli na wroga, lecz że prowadził ich na drogę wszelkiej cnoty.

Ale niech nikt nie myśli, iż to jest pieśń żałobna, dlatego że chwali się go po śmierci, jest to raczej mowa pochwalna. Po pierwsze bowiem opowiada się o nim teraz to, co i za życia o nim opowiadano, a po drugie cóż mniej nadaje się dla pieśni żałobnej, jak życie sławne i śmierć po pełni życia? Jestże natomiast coś godniejszego mowy pochwalnej jak najpiękniejsze zwycięstwa i najcenniejsze czyny? Słusznie można by go mienić szczęśliwym, gdyż od chłopięcego wieku płonął gorącą żądzą sławy, dostąpił jej w takiej mierze, jak nikt ze współczesnych jemu. Z natury bardzo ambitny, bez porażki przeszedł całe życie od czasu, kiedy został królem. Gdy doszedł do ostatniego kresu ludzkiego wieku, umarł, nie

zasłużywszy na zarzut ani ze względu na tych, którym przewodził, ani tych, z którymi wojował.

XI. Chciałbym teraz treściwie raz jeszcze przejść jego zalety, by pochwała tym łatwiejsza była do zapamiętania.

Agesilaos oddawał cześć bogom nawet u nieprzyjaciół, przekonany, że boskiej pomocy potrzeba nie mniej w kraju nieprzyjacielskim, jak w przyjacielskim. Nie dopuszczał się nigdy gwałtu na tych, którzy się uciekali pod opiekę bogów, nawet na wrogach, uważając za niedorzeczność zwać świętokradcami okradających świątynie, a pobożnymi mienić tych, co szukających łaski odrywają od ołtarzy. Stałą jego piosenką było, że bogowie nie mniej radują się zbożnymi czynami niż świętymi przybytkami. Nawet ilekroć spotykało go powodzenie, nie wynosił się myślą ponad ludzi, lecz poczuwał się do wdzięczności wobec bogów. Gdy był pełen otuchy, więcej składał ofiar, niż modłów zanosił w rozpaczliwym położeniu. Miał zwyczaj wyglądać pogodnie, gdy był w obawie, a pokornie, gdy mu towarzyszyło szczęście.

Z przyjaciół kochał najbardziej nie najpotężniejszych, ale najprzywiązanszych. Nie czuł nienawiści do takiego, który bronił się przed krzywdą, lecz nienawidził takiego, po którym się pokazało, że nie odwdzięcza się za dobrodziejstwa. Cieszył się na widok ubóstwa ludzi, co z brudnej chęci zysku gotowi byli do wszystkiego, a starał się wzbogacić sprawiedliwych; chciał bowiem doprowadzić do tego, by spełnianie nakazów cnoty dawało większe korzyści. Miał zwyczaj przestawać z różnymi ludźmi, ale zażyłe stosunki utrzymywał tylko z dobrymi. Słuchając nagany lub pochwały, za rzecz nie mniej ważną uważał poznanie charakteru osób mówiących, jak tych, o których mówiono. Nie ganił nigdy takich, co przyjaciółom dali się wywieść w pole, ale miał jedynie pogardę dla oszukanych przez nieprzyjaciół. Uważał też za dowód mądrości oszukiwać niedowierzających, ale mienił czynem bezbożnym zawiedzenie czyjegoś zaufania.

Cieszyła go pochwała z ust takich ludzi, którzy byli gotowi ganić to, co im się nie podobało, lecz obłudników wystrzegał się jak jakiejsz zasadzki. Dalej, oszczerców nienawidził bardziej niż złodziei, uważając stratę przyjaciół za większą szkodę niż ubytek mienia. Zwyczajnych obywateli przewinienia znosił pobłażliwie, lecz winy urzędników osądzał bardzo surowo, w przekonaniu, że tamci niewiele, a ci wiele złego przez to wyrządzają. Władzy zaś królewskiej przystoi, zdaniem jego, nie szukanie wygodnego trybu życia, lecz szlachetna dążność do cnoty.

Nie pozwolił na wystawienie swojego posągu, choć wielu chciało go nim obdarzyć, ale nigdy nie przestał pracować nad pomnikami swej duszy, mniemając, że tamto to dzieło rzeźbiarzy, a to jego własne, że na tamto zdobywają się ludzie bogaci, a na to dobrzy. Majątku używał w sposób nie tylko sprawiedliwy, ale i szlachetny; uważał, iż dla sprawiedliwego wystarczy nie ruszać cudzej własności, a szlachetny musi jeszcze dopomóc ze swego. Zawsze był bogobożny, wierząc, że ci, co szlachetnie żyją, jeszcze nie są błogosławieni, a ci, co zginęli sławną śmiercią, już są szczęśliwi. Za większe nieszczęście uważał świadome zaniedbywanie dobrych uczynków niż nieświadome. Żadnej sławy nie pożądał, o ile pracą swą usilną nie zdobył tego, co się składało na jej istotę. Należał do tych, moim zdaniem, niewielu ludzi, którzy cnotę uważają nie za uciążliwy obowiązek, ale za przyjemność, przynajmniej pochwała cieszyła go bardziej niż zgarnianie zysków. Dzielność swą okazywał raczej przezornością niż szukaniem niebezpieczeństw, przestrzeganie nakazów mądrości było u niego bardziej widoczne w czynach niż w słowach.

Najłagodniejszy wobec przyjaciół, był wobec wrogów najstraszniejszy, wobec trudów jak najmniej uступliwy, z największą ochotą uступował przyjaciołom, a zawsze zależało mu więcej na pięknych czynach niż na piękności ciała. W czasie powodzenia umiał być skromny, ale w niebezpieczeństwach potrafił być śmiały do zuchwalstwa. Uprzejmość towarzyską okazywał nie dowcipami, lecz swym zachowaniem się, a jego szlachetna duma łączyła się nie z butą, lecz z rozsądkiem — przynajmniej gardził pysznymi, a sam był skromniejszy niż ci, co zachowywali miarę we wszystkim. Szczycił się bowiem niepozornym swoim wyglądem, a wspaniałym wyglądem swego wojska, jako też tym, że sam miał bardzo małe potrzeby, a przyjaciołom bardzo wielkie świadczył usługi.

Prócz tego wszystkiego był przeciwnikiem bardzo ciężkim, ale po zwycięstwie bardzo łaskawym. Trudno go było wrogom oszukać, ale przyjaciołom przekonać bardzo łatwo. Zawsze starał się o zabezpieczenie stanowiska przyjaciół, a o osłabienie nieprzyjaciół.

Wielbili krewni jego tkliwe przywiązanie, znajomi jego gotowość do usług, nieznającą co to wymówka, wdzięczną jego pamięć ci, którzy mu oddali jakąś przysługę; krzywdzeni mienili go sprzymierzeńcem, a ci, co z nim razem narażali się na niebezpieczeństwa, swoim, po bogach, zbawcą.

On jedyny, zdaje mi się, z ludzi udowodnił swym przykładem, że starzeje się siła ciała, ale nie starzeje się siła ducha u szlachetnych mężów. Przynajmniej nie wyrzekł się dążenia do wielkiej i pięknej sławy, choć ciało nie mogło dotrzymać sile ducha. Czy dlatego nie wydawała się jego starość silniejsza od każdej młodości? Któż był w sile wieku takim postrachem dla wrogów jak Agesilaos u schyłku najdłuższego wieku? Z czyjego zgonu ucieszyli się nieprzyjaciele więcej niż ze zgonu Agesilaosa, choć umarł już w sędziwej starości? Któż potrafił wlać w sprzymierzeńców tyle otuchy, co Agesilaos, choć już stał u kresu żywota? Za jakim młodym tęsknili mocniej przyjaciele niż za zmarłym sędziwym Agesilaosem?

Bezustannie był pożyteczny ojczyźnie, i to tak doskonale pożyteczny, że i po śmierci wspaniałe jej oddawał usługi, kiedy zstąpił do przybytku niewidzialnego świata; po całym świecie zdobył sobie pomniki swej cnoty, a królewskiego pogrzebu dostąpił w ojczystej krainie.

Z Cyropedii*1. Pochodzenie Cyrusa i wychowanie u Persów*

(I 2)

Trudną jest rzeczą dla ludzi panować nad ludźmi. Dowodzą tego ciągle zmiany ustrojów państwowych, dowodzi niestałość tronów królewskich i niepewność władzy tyrańskiej. A przecież Pers Cyrus zjednoczył niezliczone, różnojęzyczne szczepy w jeden karny i trwałe organizm państwowy i potrafił rządzić tymi wszystkimi ludami. To budzi u Ksenofonta wielki podziw dla tego człowieka. Dlatego starał się poznać ród i pochodzenie Cyrusa, charakter jego i wychowanie, i podaje wyniki swych badań w takiej szacie literackiej, na jaką mógł się zdobyć.

Otóż ów Cyrus miał być synem Kambyzesa, króla Persów, ten zaś Kambyzes był z rodu Persejdów, a Persejdowie wywodzą swe imię od Perseusa; jako matkę jego zgodnie wymieniają Mandane, córkę Astyagesa, króla Medów. Jak jeszcze dziś wieść i pieśń u barbarzyńców głosi, był Cyrus bardzo pięknej postaci, co się zaś tyczy zalet duszy, bardzo ludzki, ochoczy do nauk i chciwy sławy tak, że dla pochwały znosił każdy trud i wszelakiemu niebezpieczeństwu stawiał czoło. Takimi więc, jak wspominają, zaletami ciała i duszy obdarzyła go natura; prócz tego wychował się według praw perskich. Te prawa, jak się zdaje, zaczynają staranie o wspólne dobro nie stąd, skąd w bardzo wielu państwach ustawa poczyną okazywać swą troskę. Bardzo wielka bowiem ilość państw, pozwoliwszy każdemu wychowywać swoje dzieci, jak kto chce, a samym dorosłym żyć takim trybem, jak chcą, mimo to rozkazuje im po tym wszystkim nie kraść i nie rabować, nie wdzierać się gwałtem do domu, nie bić niesprawiedliwie, nie łamać wiary małżeńskiej, słuchać przełożonego i tym podobne. Jeżeli zaś ktoś popełni którąś z tych zbrodni, nakłada się na takich karę. Natomiast perskie prawa już z góry troszczą się o to, aby obywatele zgoła nie byli takimi, żeby pożąдали jakiegoś nikczemnego lub hańbiącego czynu. Starają się zaś o to w następujący sposób:

Mają oni tak zwany wolny rynek, na którym wznosi się królewski zamek, jako też inne rządowe budynki. Stamtąd to usunięto przekupni z ich towarami, ich krzykiem i prostactwem na inne miejsce, aby ich wrzawa nie mieszała się z przyzwoitym zachowaniem się wykształconych. Jest zaś to miejsce dokoła budynków rządowych podzielone na cztery części. Z tych jedna jest przeznaczona dla chłopców, druga dla młodzieńców, inna znowu dla dorosłych, a inna dla tych, którzy przekroczyli lata służby wojskowej. Każdy z nich znajduje się na miejscu dla niego według prawa przeznaczonym, a to chłopcy i dorośli mężowie ze światem, starcy zaś — wyjąwszy oznaczone dni, w których muszą być obecni — kiedy komu się podoba. Młodzieńcy śpią nawet naokoło budynków rządowych, uzbrojeni na kształt gimnetów. Wyjątek stanowią żonaci; od tych nie wymaga się, o ile to nie było zapowiedziane, aby byli obecni na przeznaczonym dla siebie miejscu, ale też nie jest rzeczą stosowną często być nieobecnym. Nad każdą z tych części jest dwunastu przełożonych, na dwanaście bowiem szczepów są Persowie podzieleni. A mianowicie dla chłopców wybiera się przełożonych spośród starców, co do których panuje przekonanie, że potrafią jak najkorzystniej wpływać na ich rozwój, dla młodzieńców zaś wybiera się takich samych spośród dojrzałych mężów. Nad dojrzałymi znowu mężami są tacy, którzy dają swym charakterem rękomię, że wpływać na nich będą w tym kierunku, aby przede wszystkim wykonywali rozkazy i rozporządzenia

najwyższej władzy. Wybiera się także dla starców przełożonych, aby i ci wypełniali swe powinności.

Teraz opiszemy czynności każdemu wiekowi polecane, aby było bardziej widoczne, jakim sposobem starają się o to, żeby obywatele byli najlepsi.

Chłopcy więc, uczęszczający do szkół, uczą się ciągle sprawiedliwości i słyszymy, że do tego zabierają się jak u nas do nauki czytania i pisania. Przełożeni zaś ich spędzają większość dnia na rozstrzyganiu spraw między nimi. Bo zdarzają się także między chłopcami, podobnie jak między mężczyznami, wzajemne oskarżenia o kradzież, rabunek, gwałt, oszustwo, złorzeczenie, a oczywiście zapewne także i o jakieś inne wykroczenia. Jeśli przekonają się o czyjejś winie, karzą przestępcę. Chłostają także i tego, o którym przekonają się, że oskarżał niesłusznie. Osądzają też przewinienie, z powodu którego ludzie najwięcej jedni drugich nienawidzą, a najmniej się procesują, to jest niewdzięczność, i jeżeli przekonają się, że ktoś mógł się odwdziżyć, a nie odwdzińczył, to i takiego chłostają silnie. Sądzą bowiem, że niewdzięczni nie dbają przede wszystkim o bogów, potem o rodziców, ojczyznę i przyjaciół. Za niewdzięcznością właśnie w trop idzie, jak się zdaje, bezwstyd, bo i ten toruje drogę do każdego występku.

Poza tym kształcą chłopców w skromności, a tę cnotę przyswajają sobie tym łatwiej, że widzą całodzienne skromne życie starszych. Uczą ich też słuchać przełożonych, przy czym ogromnie korzystnie działa przykład starszych, którzy okazują ślepe posłuszeństwo swym przełożonym. Uczą także wstrzeźliwości w jedzeniu i piciu; i tu nawykają tym łatwiej, że widzą, jak starsi nie wcześniej odchodzą, by zaspokoić głód, aż ich puszcza przełożeni, i że chłopcy jedzą nie u matki, lecz u nauczyciela, ale dopiero na znak dany przez przełożonych. Przynoszą zaś ze sobą z domu jako pożywienie chleb, a jako przyprawę rzeżuchę, do picia natomiast, na wypadek gdyby ktoś miał pragnienie, dzban, aby czerpać z rzeki. Oprócz tego uczą się także strzelać z łuku i rzucać oszczepem. Czynią to chłopcy do szesnastego lub siedemnastego roku życia, potem przechodzą do oddziału młodzieńców.

Ci znowu młodzieńcy żyją w następujący sposób. Przez dziesięć lat, licząc od dnia, kiedy skończyli wiek chłopięcy, śpią naokoło rządowych budynków, jak to przedtem powiedzieliśmy, nie tylko celem strzeżenia miasta, lecz także dla obyczajności, zdaje się bowiem, iż ten wiek wymaga troskliwości największej. Również i w ciągu dnia oddają się przełożonym do usług, jeżeli potrzebują ich dla dobra państwa. W razie potrzeby pozostają wszyscy dokoła publicznych zabudowań. Jeżeli zaś król wychodzi na polowanie, zabiera połowę straży, a w ciągu miesiąca czyni to wielokrotnie. Wychodzący na obławę muszą mieć łuki i oprócz kołczanu, krótką, zakrzywioną szablę w pochwie albo berdysz, nadto małą plecioną tarczę i dwa oszczepy, tak iż jednym ciskają, drugim zaś, o ile zajdzie potrzeba, posługują się wręcz. Polowanie jest obowiązkowe, a król, podobnie jak na wojnie, jest ich dowódcą i nie tylko sam poluje, lecz także stara się, aby i inni polowali; czynią to dlatego, gdyż według ich przekonania to zajęcie jest jedynym prawdziwym ćwiczeniem się w rzemiośle wojennym. Przyzwyczają bowiem rano wstawać, znosić zimno i upał, i zaprawiać do marszu i biegu; jest także rzeczą konieczną strzelać z łuku do zwierzyny i rzucać oszczepem, gdziekolwiek się zdobycz nawinie. I hart ducha trzeba nieraz okazać, jeżeli jakaś gruba zwierzyna zajdzie drogę. Wtedy, oczywiście, musi się ugodzić zbliżającego się zwierza, mieć się zaś na baczności przed jego napadem. Toteż niełatwo znaleźć taki przypadek wojenny, który by się nie mógł przydarzyć na polowaniu.

Wyruszając na wyprawę, biorą ze sobą śniadanie, naturalnie obfitsze aniżeli chłopcy, zresztą podobnej jakości. W czasie polowania nie spożywają rannego posiłku, jeśliby zaś zaszła potrzeba zabawić jeszcze dłużej ze względu na zwierzynę, czy w ogóle chcieliby przedłużyć polowanie, wtedy spożywają ten posiłek jako obiad i polują następnego dnia aż do obiadu; oba te dni rachują za jeden, gdyż spożyli pokarm jednego dnia. Postępują zaś tak celem przyzwyczajenia się, aby i w wojennej potrzebie mogli to czynić. Za przyprawę mają młodzieńcy w tym wieku to, co upolują, w przeciwnym razie rzeżuchę. A jeżeli ktoś sądzi, że jedzą bez przyjemności, gdy tylko rzeżuchę mają do chleba, albo niechętnie piją, gdy tylko woda za napój służy, niech pamięta, jak łaknącemu smakuje jęczmienny placek i pszenny chleb i z jaką przyjemnością pije wodę ten, komu dokucza pragnienie.

Pozostałe oddziały ćwiczą się ustawicznie w tym, czego nauczyły się w wieku chłopięcym, a zwłaszcza w strzelaniu z łuku, jako też w rzucaniu pociskami, i ciągle idą ze sobą w zawody. Są także przez państwo ustanowione zapasy, na których wyznacza się nagrody. Oddział posiadający najwięcej zręcznych, walecznych i posłusznych cieszy się uznaniem obywateli; ci odnoszą się z tego powodu z szacunkiem nie tylko do ich teraźniejszego przełożonego, lecz także i do tego, który kierował ich wychowaniem, kiedy byli chłopcami. Urzędnicy państwowi posługują się tymi z młodzieńców, co zostali, jeżeli trzeba czegoś pilnować albo tropić złoczyńców lub chwytac rozbójników, w ogóle przy każdym zadaniu wymagającym siły lub szybkości.

To więc wykonują młodzieńcy. Skoro zaś przepędzą w ten sposób dziesięć lat, przechodzą do klasy dojrzałych mężów. Dwadzieścia pięć lat od czasu przejścia przepędzają ci znowu w następujący sposób. Z początku oddają się, podobnie jak młodzieńcy, do usług urzędnikom państwowym, o ile zajdzie potrzeba wymagająca roztropności i siły dojrzałych ludzi. Jeżeli wypadnie wyruszyć dokądś w pole, to już ci, co przeszli takie wychowanie, nie wyruszają z łukiem i pociskami, lecz z tak zwaną bronią do walki wręcz, w pancerzu naokoło piersi i z małą tarczą w lewej ręce (jak właśnie Persów malują), a z krótkim mieczem lub krzywą szablą w prawej. Spośród nich wybiera się także wszystkich urzędników, oprócz nauczycieli chłopców. Kiedy już przepędzili w ten sposób dwadzieścia pięć lat (mogliby wówczas liczyć więcej niż pięćdziesiąt lat życia), przechodzą do klasy tych, którzy są starcami, i tak się też nazywają.

Ci tedy starcy nie wyruszają już w pole poza granice swego kraju, lecz pozostając w domu, rozsądzają wszelkie sprawy publiczne i prywatne. Oni skazują też na karę śmierci i wybierają wszystkich urzędników. Jeżeli któryś, czy to z młodzieńców, czy z dojrzałych mężów, przekracza w czymś ustawy, donoszą o tym przełożeni danego oddziału albo ktokolwiek inny, jeśli chce, starcy zaś po przesłuchaniu wykluczają takiego. Pozbawiony czci, przepędza wykluczony resztę życia we wzgardzie.

Celem jaśniejszego przedstawienia państwowego ustroju Persów nieco dokładniej przejdę, co powiedziałem, albowiem dzięki poprzednim wywodom mogę się streścić w jednej chwili. Persów ma być ogółem blisko sto dwadzieścia tysięcy, ale nikt z nich ustawowo nie jest wykluczony od godności i urzędów; każdy Pers może posyłać swe dzieci do publicznej szkoły sprawiedliwości. Ci, którzy mogą obejść się bez pracy zarobkowej dzieci, gdyż stać ich samych na utrzymanie swych chłopców, posyłają ich do szkoły. Natomiast nie czynią tego ci, których na to nie stać. Tym, którzy przeszli wychowanie w szkołach publicznych, wolno spędzać młodość w oddziałach młodzieńczych, nie wolno zaś tym, którzy takiego wychowania nie odebrali. Ci znowu, którzy przepędzili wiek młodzieńczy na przepisanych prawem ćwiczeniach, mogą przyłączyć się do gromady dorosłych, jako też piastować

dostojeństwa i urzędy; nie wstępuje w grono dorosłych, kto nie spędził młodzięczego wieku w oddziałach młodzieży. Każdy znowu, kto bez zarzutu przepędził wiek męski, zalicza się potem do starców. Starcy więc dostępują swego stanowiska, przeszedłszy przez wszystkie zaszczytne stopnie praw i obowiązków. I takim jest ten ustrój, dzięki któremu ciągle się, według ich zdania, mogą doskonalić.

Także dziś jeszcze zostało wiele dowodów ich wstrzemięźliwości w jedzeniu, które przetrawiają. Albowiem jeszcze i teraz jest u Persów nieprzyzwoitością pluć, wycierać nos, mieć wzdęcie takie, by to zauważono; nieprzyzwoitością także jest dać się zobaczyć, jeśli się śpieszy gdzieś na stronę lub odchodzi w celu wypróżnienia pęcherza moczowego i temu podobne. Mogli do tego doprowadzić tylko wstrzemięźliwością w jedzeniu i mozolnym trudem, skutkiem którego ciało chłonęło w siebie wilgoć, nie wydzielając jej na zewnątrz. To mieliśmy do powiedzenia o wszystkich Persach w ogóle. A teraz opowiemy dzieje Cyrusa, o którym podjęliśmy naszą opowieść, a zaczniemy od wieku chłopięcego.

2. *Cyrus u swojego dziadka, Astyagesa*

(I 3; IV 1–2; 25)

Cyrus więc aż do dwunastu lat, albo nieco dłużej, wychowywał się w ten sposób, i wyróżniał się między wszystkimi rówieśnikami i prędkim wyuczaniem się obowiązkowych przedmiotów, i pięknym a męskim wykonaniem każdej rzeczy. Właśnie wtedy Astyages wezwał do siebie swoją córkę wraz z jej synem; chciał bowiem zobaczyć go, ponieważ słyszał, że jest piękny i dobry. Udała się więc Mandane sama do ojca i wzięła z sobą syna swego Cyrusa. Skoro tylko przybyła i Cyrus zrozumiał, że Astyages to ojciec jego matki, jako chłopak z natury uprzejmy, tkliwy i kochający, uściskał go, tak samo, jakby go witał dawny towarzysz lat dziecinnych i stary przyjaciel, i z podziwem patrzył na jego przystrojenie się: na podmalowane oczy, sztuczne włosy i szminkę wtartą w skórę, co właśnie było zwyczajem u Medów (wszystko to bowiem jest medyjskie, a także spodnie suknie z purpury i kaftany, łańcuchy na szyi i naramienniki naokoło rąk; u Persów zaś, w ich ojczyźnie, jeszcze i dzisiaj suknie są o wiele lichsze i skromniejszy sposób życia)); otóż widząc ozdoby dziadka, rzekł, spoglądając na niego:

— Mamo, jak pięknego mam dziadka!

Gdy go zaś matka zapytała, kto wydaje mu się ładniejszy: ojciec czy ten, Cyrus odpowiedział natychmiast:

— O matko, między Persami stanowczo najpiękniejszy jest mój ojciec, między Medami jednak, o ile poznałem ich podczas drogi i na dworze, jest bez wątpienia najpiękniejszy ten oto mój dziadek.

Dziadek tedy, uściskawszy go nawzajem, kazał włożyć na niego piękną szatę, obdarzył go i przyozdobił łańcuchami i bransoletami, i ilekroć dokądś wyjeżdżał, kazał mu jechać na koniu ze złotą uzdą, tak samo jak i on miał zwyczaj jeździć. Ponieważ zaś Cyrus był chłopcem lubiącym to, co piękne, i ambitnym, cieszył się szatą i z wyraźną radością uczył się jeździć konno; u Persów bowiem z powodu trudności nie tylko chowania koni, lecz także jeżdżenia w kraju górzystym, jest osobliwością nawet zobaczyć konia.

Pewnego razu jadł Astyages obiad razem z córką i Cyrusem. Chcąc, by chłopiec jadł jak najchętniej i mniej tęsknił za domem, kazał przed nim zastawić łakocie, różnego rodzaju polewki i potrawy. Cyrus, jak opowiadają, odezwał się wtedy:

— Dziadku, jakież ty kłopoty masz z obiadem, jeżeli musisz wyciągać ręce do tych wszystkich miseczek i kosztować tych różnorodnych potraw.

— Co? — miał powiedzieć Astyages — czyż nie wydaje ci się ten obiad o wiele piękniejszy aniżeli u Persów?

Cyrus miał mu na to odpowiedzieć:

— Nie, dziadku, lecz o wiele łatwiejsza i prostsza jest u nas droga do nasycenia się aniżeli u was, nas bowiem prowadzi do tego chleb i mięso, wy zaś śpieszycie wprawdzie do tego samego celu co i my, lecz kołując i po wielu manowcach nabłakawszy się w górę i na dół, z trudem przybywacie tam, dokąd myśmy dawno przyszli.

— Ależ, dziecko! — rzekł Astyages — bardzo chętnie błakamy się po nich. A i ty przy kosztowaniu poznasz, że są przyjemne.

— Lecz widzę — powiedział Cyrus — że i ty, dziadku, brzydzisz się tymi potrawami.

A Astyages, jak mówią, zapytał znowu:

— Z czegoż to wnioskujesz, dziecko, że tak mówisz?

— Ponieważ widzę, że ilekroć dotkniesz chleba, nie obcierasz sobie niczym rąk, jeżeli zaś dotkniesz czegoś z tych potraw, natychmiast obcierasz sobie ręce ręcznikiem, jak ten, co jest zły, że mu od tego zbrukały się ręce.

Na to Astyages:

— Jeżeli zatem tak myślisz, dziecko, to używaj do syta przynajmniej mięsa, abyś wrócił do domu jako silny młodzian.

Równocześnie z tymi słowami kazał postawić przed nim wiele mięsa z dzicyzny i ze swoich zwierząt. A Cyrus, gdy zobaczył tak wiele mięsiwa, miał powiedzieć:

— Czy istotnie, dziadku, dajesz mi wszystko to mięso, abym z nim zrobił, co chcę?

— Tak, dziecko, na Zeusa! — miał powiedzieć. — Daję je tobie.

Wtedy, jak mówią, Cyrus nabrał mięsiwa i rozdzielił między służących dziadka, mówiąc przy tym do każdego:

— Tobie to daję, ponieważ chętnie uczysz mnie jeździć konno; tobie zaś, ponieważ dałeś mi oszczep i teraz mam go nareszcie; tobie zaś, ponieważ dobrze obsługujesz dziadka; a tobie, ponieważ szanujesz moją matkę.

To czynił, dopóki nie rozdał wszystkiego mięsiwa, jakie wziął.

— A Sakasowi — miał powiedzieć Astyages — podczaszemu, którego najwięcej szanuję, nic nie dajesz?

Sakas mianowicie był pięknym mężem i miał zaszczytny urząd przedstawiania tych, którzy pragnęli z Astyagesem mówić, nie dopuszczać zaś takich, których przedstawić nie wydawało mu się stosowne. Cyrus śmiało, jako chłopak nielekliwy, zapytał:

— Dlaczegoż to, dziadku, tak go cenisz?

Na to Astyages odpowiedział żartem:

— Czyż nie widzisz, jak pięknie i przyzwoicie sprawuje on urząd podczaszego?

Podczaszowie tych królów sprawują swój urząd zgrabnie, nalewają czysto, podają czarę, trzymając ją trzema palcami, i przystępują z pucharem do chcącego pić z tej strony, z której by mu było najłatwiej wziąć.

— Rozkaż przecie, dziadku — miał on powiedzieć — niech Sakas i mnie da puchar, ażebym, o ile potrafię, zjednał sobie twą łaskę przez zgrabne nalanie i podanie.

Astyages kazał dać mu. Cyrus więc wziął i istotnie wypłukał czarę z taką starannością, jak to widział u Sakasa, a przybrawszy poważną minę, w pięknej postawie, ku wielkiemu rozweseleniu matki i Astyagesa, przyniósł puchar i podał go dziadkowi. A także sam Cyrus, roześmiewszy się, przyskoczył do dziadka i całując go, powiedział:

— Sakasie, przepadłeś, wyruguję cię z zaszczytnego urzędu; w ogóle bowiem nie tylko piękniej od ciebie będę nalewał, lecz także nie będę wypijał wina.

Podczaszowie królewscy mianowicie, dając czarę, czerpią z niej kubkiem i wylawszy na lewą rękę, wypijają, dlatego aby im się to na nic nie przydało, jeżeliby włali trucizny. Następnie rzekł Astyages żartobliwie:

— Dlaczegoż to, Cyrusie, pod innym względem naśladować Sakasa, nie chleptałeś wina?

— Ponieważ — odpowiedział — na Zeusa, bałem się, żeby w dzbanie nie była domieszana trucizna. Albowiem, gdy na swoje urodziny gościłeś przyjaciół, spostrzegłem wyraźnie, że on wam nalewał trucizny.

— A po czym — spytał — poznałeś to, dziecko?

— Bo, na Zeusa, widziałem, że byliście osłabieni na duchu i na ciele. Najpierw bowiem sami czyniliście to, co nam, chłopcom, zakazujecie czynić. Albowiem krzyceście wszyscy naraz i nie rozumieliście zupełnie jeden drugiego, śpiewaliście także bardzo śmiesznie, a nie słuchając nawet śpiewającego, przysięgaliście, że śpiewa bardzo dobrze; naprzód każdy z was chęłpił się swoją siłą, potem jednak, ilekroć wstawaliście, aby tańczyć, nie tylko nie mogliście tańczyć do taktu, lecz nawet utrzymać się na nogach. Zapomnieliście zupełnie, ty, że jesteś królem, inni, żeś władcą. Wtedy to istotnie po raz pierwszy poznałem, że to, coście wtenczas wykonywali, to była wolność słowa; przynajmniej ani chwili nie milczeliście.

Na to Astyages zapytał:

— A twój ojciec, moje dziecko, nie upija się, kiedy pije?

— Nie, na Zeusa — odrzekł.

— Ale jaki odczuwa skutek?

— Przestaje mieć pragnienie, zresztą nie doznaje niczego złego. Nie ma bowiem, myślę, dziadku, takiego Sakasa za podczaszego.

Wtedy rzekła matka:

— Ale dlaczegoż to, moje dziecko, prowadzisz taką wojnę z Sakasem?

Cyrus zaś miał odpowiedzieć:

— Ponieważ, na Zeusa, nienawidzę go. Często bowiem, gdy pragnę przybiec do dziadka, nie dopuszcza mnie ten niegodziwiec. Lecz błagam cię, dziadku, daj mi trzy dni władzy nad nim.

Astyages zaś pytał:

— Jakżebyś wykonywał władzę nad nim?

Cyrus odpowiedział:

— Stanąwszy, podobnie jak on, przy wejściu, rzekłbym, kiedy chciałby przyjść na śniadanie, że jeszcze nie można iść na śniadanie, gdyż król ma jeszcze z kilkoma ważne sprawy do załatwienia; następnie, kiedy by przyszedł na obiad, powiedziałbym, że się kąpie; jeżeliby zaś bardzo napierał się jeść, wtedy powiedziałbym, że jest u kobiet. Ażbym go tak przez wstrzymywanie nadręczył, jak on mnie dręczy, nie dopuszczając do ciebie.

Tak on ich zabawiał przy obiedzie; za dnia zaś, gdy spostrzegł, że czy to dziadek, czy brat matki czegoś potrzebuje, nie dał się żadnym sposobem nikomu innemu wyprzedzić w wykonaniu tego, gdyż z wielką radością spełniał każdą usługę, jaką tylko mógł.

Gdy Mandane gotowała się powrócić do swego męża, prosił ją Astyages, aby zostawiła Cyrusa. Ona zaś odpowiedziała, że wprawdzie we wszystkim chciałaby dogodzić ojcu, uważa jednak za rzecz trudną zostawić chłopca wbrew jego woli. Wtedy to zwrócił się Astyages do Cyrusa ze słowami:

— Moje dziecko, jeżeli zostaniesz u mnie, to przede wszystkim nie będzie ci Sakas rozporządzał co do przystępu do mnie, lecz ilekroć tylko zechcesz przyjść do mnie, będzie ci wolno; a ja nawet tym bardziej będę ci wdzięczny, im częściej będziesz do mnie przychodził. Następnie, będziesz mógł używać moich koni i innych, których tylko zechcesz, a kiedy będziesz odchodził, weźmiesz ze sobą, które będziesz chciał. Co się tyczy wstrzemięźliwości podczas obiadu, pójdziesz, jaką zechcesz, drogą. Dalej, daruję ci znajdujące się teraz w zwierzyńcu zwierzęta, a zgromadzę jeszcze inne różnego rodzaju, na które, skoro tylko

nauczysz się jeździć konno, będziesz polował, łukiem lub oszczepem, jak dorośli mężowie. Dostarczę ci też chłopców na towarzyszków zabawy i spełnię każde wyrażone mi życzenie.

Gdy Astyages to powiedział, zapytała matka Cyrusa, czy chce pozostać, czy odejść. On zaś nie namyślał się długo, lecz odpowiedział szybko, że chce pozostać. Na pytanie matki: „Dlaczego?”, miał powiedzieć:

— W domu, matko, jestem i uchodzę między rówieśnikami za najlepszego, tak w rzucaniu oszczepami, jako też w strzelaniu z łuku, tutaj zaś, wiem o tym, w jeździe konnej stoję niżej od rówieśników; i to, wiedz dobrze, matko, boli mnie bardzo. Jeżeli zostawisz mnie tutaj i nauczę się jeździć konno, myślę, że znalazłszy się między Persami, łatwo przewyższę owych dzielnych piechurów, kiedy zaś przybędę do Medów, będę tutaj próbował pomagać dziadkowi w walce jako najlepszy między dobrymi jeźdźcami.

Wtedy spytała matka:

— A jakże, synu, będziesz się tutaj uczył sprawiedliwości, skoro tam są twoi nauczyciele?

Cyrus zaś miał odpowiedzieć:

— Ależ, matko, umiem ją dokładnie.

— Jakże to ty posiadasz taką wiedzę? — rzekła Mandane.

— Gdyż — odpowiedział — nauczyciel ustanowił mnie sędzią nad innymi, w przekonaniu, że już dokładnie rozumiem, co to sprawiedliwość. A dalej, raz podczas jednej sprawy odebrałem chłostę za niesłuszny wyrok. Sprawa była taka: pewien rosły chłopiec, który miał krótki chiton, ściągnął z małego chłopca jego długi chiton, a ubrał go w swój; w tamtego zaś szatę ubrał się sam. Ja więc, sądząc ich, rozstrzygnąłem, że dla obu jest lepiej, iż każdy ma stosowną na wzrost swój suknię. Tymczasem nauczyciel wybił mnie, powiedziawszy, że gdybym był sędzią tego, co stosowne, musiałbym być tak postąpić, ponieważ jednak miałem rozsądzić, do którego z nich suknia należy, to trzeba było (powiedział) rozważyć, jakie posiadanie jest sprawiedliwe: czy ma ją mieć ten, który ją zabrał przemocą, czy też ma posiadać ten, który ją sobie kazał zrobić lub kupić. Ponieważ więc, rzekł, to co prawne, jest sprawiedliwe, nieprawne zaś jest gwałtem, kazał, aby sędzia zawsze zgodnie z prawem wydawał wyrok. Tak ci więc, matko, pojmuję już zupełnie, co jest sprawiedliwe; jeżelibym zaś miał jeszcze jakieś braki, douczy mnie tutaj dziadek.

— Ależ, moje dziecko — powiedziała — nie to samo bywa uznawane jako sprawiedliwe u dziadka i u Persów. Ów bowiem zrobił się u Medów panem wszystkiego, u Persów zaś równość uważa się za rzecz sprawiedliwą. Twój ojciec pierwszy, co nakazane, daje państwu, i co nakazane, bierze, miarą zaś dla niego nie jest własna wola, lecz prawo. Obyś więc nie zginął pod biczami, jeśli powrócisz do domu, nauczysz się tutaj zamiast królewskiego, tyrańskiego zwyczaju, którego podstawą jest mniemanie, że należy mieć więcej niż wszyscy.

— Ależ właśnie twój ojciec — rzekł Cyrus — jest zdolniejszym, o matko, nauczycielem posiadania raczej mniej niż więcej. Czy nie widzisz — rzekł — że także wszystkich Medów nauczył posiadać mniej od niego? Bądź dobrej myśli, gdyż twój ojciec ani nikogo innego, ani mnie nie wypuści ze swej szkoły, nauczysz go więcej posiadać.

Takich więc wiele rzeczy mówił Cyrus. Na koniec matka odjechała, a Cyrus tam pozostał na dalsze wychowanie. Prędko zżył się z rówieśnikami, tak że był z nimi w przyjaznych stosunkach, szybko też zjednał sobie ich ojców, odwiedzając ich i okazując jawnie swe przywiązanie do ich synów. Skutkiem tego ci, chcąc o coś prosić króla, kazali swym synom prosić Cyrusa, ażeby im to wyjednał. Cyrus natomiast, z życzliwości dla ludzi i z ambicji, uważał za swój święty obowiązek spełnić każdorazową prośbę chłopaków. Astyages zaś wobec żadnej prośby Cyrusa nie mógł zdobyć się na odmowę. Albowiem kiedy zachorował, nie opuszczał go Cyrus ani na chwilę i bezustannie zalewał się łzami, i jasne było dla każdego, iż się nadmiernie obawia, by mu dziadek nie umarł. I w nocy, ilekroć Astyages czegoś potrzebował, Cyrus pierwszy zawsze to zauważył i z gotowością, w jakiej mu nikt nie nadążył, zeskakiwał z łoża i starał mu się usłużyć tym, czym spodziewał się przynieść mu ulgę. Toteż zupełnie zjednał sobie Astyagesa.

Wreszcie ojciec Cyrusa, Kambyzes, wezwał go do powrotu, by dopełnił swych obowiązków zgodnie z perskimi zwyczajami krajowymi. Wtedy Cyrus miał oświadczyć, że chce wrócić, by ojciec nie miał powodu do gniewu, a społeczeństwo do nagany. I zdaniem Astyagesa koniecznie należało go odesłać.

3. *Cyrus dowódcą Persów*

(I 5; 6, 1)

Oddaliwszy się po tym wszystkim, miał w Persji jeszcze jeden rok przebywać w oddziale chłopców. Ci z początku żartowali sobie z niego, że przybywa z Medii, gdzie przywykł do wygodnego życia. Widząc jednak, że ze smakiem je i pije to samo, co i oni, a w czasie uczt na uroczystościach raczej dodaje komuś ze swej części, niż każe sobie dokładać, a prócz tego dostrzegając jego wyższość nad rówieśnikami pod każdym względem, zaczęli mu znowu ulegać i podporządkowywać się. Kiedy zaś, przeszedłszy przez to wychowanie, wstąpił do oddziału młodzieńców, znowu między nimi uchodził za takiego, co nie da się nikomu przewyższyć, tak w sumiennym spełnianiu obowiązków i wytrwałym znoszeniu trudów, jak i w poszanowaniu starszych i w posłuszeństwie przełożonym.

Z biegiem lat Astyages w Medii umarł, a Kyaksares, syn Astyagesa, wuj Cyrusowy, objął panowanie nad Medami. Król asyryjski, który podbiwszy wszystkich Syryjczyków, szczep bardzo wielki, i zhołdowawszy sobie króla Arabów, zmusił już do uległości Hyrkańczyków i okrążył Baktріę, niby oblężone miasto, sądził, że gdyby osłabił Medów, z łatwością zapanuje nad wszystkimi sąsiadami; z pobliskich bowiem ludów Medowie wydawali mu się najpotężniejsi.

Wysłał tedy do wszystkich swoich poddanych, a także do Krezusa, króla Lidyjczyków, do króla Kapadocji, do obu Frygii do Paflagończyków, Indów, Karów i mieszkańców Cylicji, już to oczerniając Medów i Persów, już to wskazując na wielkość tych silnych i połączonych w jedno narodów, wzmacniających swą jedność zawieraniem wzajemnych między sobą małżeństw; budzą wprost obawę, że o ile ich ktoś wcześniej nie osłabi, oni, idąc na każdy naród z osobna, podbiją wszystkich.

Jedni więc, przekonani tymi wywodami, zawarli z nim przymierze, drudzy znowu dali się namówić darami i pieniędzmi, bo i tego miał pod dostatkiem. Gdy zaś Kyaksares dowiedział

się o tym spisku i zbrojeniu się połączonych przeciw niemu wrogów, nie tylko sam natychmiast przygotował się, jak mógł, przeciw nim, lecz także wysłał do Persów, tak do władz, jako też do panującego nad Persami Kambyzesa, męża swej siostry. Wysłał także do Cyrusa z prośbą, by starał się przybyć jako dowódca, jeśliby rząd perski przysłał jakichś żołnierzy. Już bowiem i Cyrus, ukończywszy dziesięć lat między młodzieńcami, był między dorosłymi mężami.

Gdy więc Cyrus zgodził się na to, wybierają go starcy zasiadający w radzie na wodza wojska przeznaczonego na pomoc dla Medów. Pozwolili mu też dobrać sobie dwustu ze szlachty, każdemu zaś z tych dwustu pozwolili wybrać sobie czterech, i to również ze szlachty; było ich tedy tysiąc. Każdemu znowu z tego tysiąca polecili wybrać sobie z ludu perskiego dziesięciu peltastów, dziesięciu procarzy i dziesięciu łuczników. I tak było dziesięć tysięcy łuczników, dziesięć tysięcy peltastów, dziesięć tysięcy procarzy; oprócz tych znajdowało się jeszcze tysiąc. Tak wielkie więc wojsko dano Cyrusowi.

Skoro tylko został wybrany, zaczął swą czynność od bogów. Dopiero złożywszy z pomyślnym wynikiem ofiarę, wybrał owych dwustu, gdy zaś każdy z nich dobrał sobie czterech, zgromadził ich razem i wtedy po raz pierwszy przemówił do nich:

— Mili mężowie! Wybrałem sobie was nie dlatego, jakobym dzisiaj po raz pierwszy was poznał, lecz ponieważ widziałem, że wy od dzieciństwa chętnie ćwiczyście się w tym, co państwo uznaje za piękne, i wstrzymujecie się zupełnie od tego, co uważa za haniebnie. Teraz chcę wam wyjawić, dlaczego ja sam chętnie objąłem ten urząd i was zwołałem. Ja mianowicie zrobiłem spostrzeżenie, że nasi przodkowie w niczym nie byli od nas gorsi: przynajmniej i oni ćwiczyli się ustawicznie w tym, co uważa się za dzieło cnoty. Jaką jednak przy tych zaletach przysporzyli korzyść czy to społeczeństwu perskiemu, czy sobie samym, tego zupełnie nie mogę dostrzec. A przecież sędzę, że ludzie nie ćwiczą się w żadnej cnotie po to, aby ci, którzy stali się cnotliwi, niczego nie mieli więcej, niż mają ludzie źli. Przeciwnie: ci, co wstrzymują się od chwilowych przyjemności, nie czynią tego po to, aby nigdy nie zaznać radości, ale przygotowują się w ten sposób, aby właśnie wskutek tej wstrzemięźliwości daleko więcej cieszyć się w przyszłym czasie. I ci, którzy usiłują stać się biegłymi mówcami, nie ćwiczą się w tym po to, aby bez ustanku dobrze mówić, lecz spodziewają się przekonywać ludzi biegłością w mówieniu i przez to pozyskać wiele bogactw. Ci znowu, którzy ćwiczą się w rzemiośle wojennym, nie trudzą się w tym celu, aby walczyć bez przerwy, lecz sądzą, że stawszy się dzielnymi w sprawach wojennych, przysporzą tak państwu, jako też sobie wiele bogactw, wiele szczęścia i znacznych zaszczytów. Jeźliby zaś niektórzy, natrudziwszy się nad tym, dopuścili niebacznie do tego, że z powodu starości stali się słabi, zanim osiągnęli z tego jakąś korzyść, to zdaje mi się, że tacy doznali podobnego losu jak ten, co zapragnął stać się dobrym rolnikiem i dobrze sieje, i dobrze sadzi, kiedy zaś trzeba to zebrać, pozwala, żeby plon niezebrany znowu spadł na ziemię. I jeźliby taki szermierz, który się wiele natrudził i stał się godnym zwycięstwa, przepędził życie, nie puszczając się w zapasy, zdaje mi się, że i takiemu słusznie zarzucić można głupotę. Lecz my, mężowie, nie dopuścimy do tego. Kiedy wiemy, że od dzieciństwa począwszy, ćwiczyliśmy się w pięknych i dobrych dziełach, wyruszmy na nieprzyjaciół, o których wiem dokładnie, iż są zbyt niedoświadczeni, by walczyć z nami. Ci bowiem, którzy wprawdzie biegle strzelają z łuku, rzucają oszczepami i jeżdżą konno, ale tam, gdzie trzeba znosić trudy, pozostają daleko w tyle, ci nie są jeszcze dzielnymi wojownikami, lecz tylko niedoświadczonymi w znoszeniu trudów. Tacy są w odniesieniu do snu także i ci, którzy jeżeli trzeba czuwać, upadają pod brzemieniem bezsenności; także i ci nie zaliczają się do dzielnych wojowników, którzy są wprawdzie w tym wszystkim biegli, ale za to

niedoświadczeni, jak należy postępować ze sprzymierzeńcami i nieprzyjaciółmi; i tacy widocznie są nieobeznani z najważniejszymi przedmiotami wykształcenia wojennego. Wy zaś możecie przecież korzystać tak dobrze z nocy, jak inni z dnia, trudy uważacie za przewodników, wskazujących przyjemność życia, głodu używacie jako przyprawy, picie wody znosicie łatwiej niż lwy, a najpiękniejszy i do wojny najstosowniejszy skarb złożyliście w głębi duszy, albowiem gdy was chwałą, cieszyacie się tym bardziej niż wszystkim innym. Ci więc, którzy miłują pochwałę, muszą szukać do niej sposobności. Dlatego z ochotą podejmujecie wszelki trud i wszelkie niebezpieczeństwo. Jeżelibym to o was mówił tylko, a myślał inaczej, łudziłbym samego siebie. Albowiem wina każdego niepowodzenia waszego spadnie na mnie. Lecz zaprawdę, ufam memu doświadczeniu, waszej dla mnie przychylności i głupocie nieprzyjaciół, że mnie nie zawiodą te dobre nadzieje. Wyruszymy więc pełni otuchy, bo przecież daleki od nas jest nawet pozór, jakobyśmy niesprawiedliwie pożąдали cudzego dobra. Teraz bowiem przychodzą wrogowie i rozpoczynają nieprzyjacielskie kroki, przyjaciele zaś wołają nas na pomoc. Cóż więc sprawiedliwszego, jak bronić się, coś piękniejszego, jak pomagać przyjaciom? A zaprawdę i to, sędzę, doda wam także odwagi, że wyruszam w pochód, nie zaniedbawszy bogów: często bowiem obcując ze mną, wiecie, że nie tylko przy ważnych, lecz także przy nieznacznym przedsięwzięciach zawsze zaczynałem z bogami.

Na koniec rzekł:

— Cóż jeszcze trzeba powiedzieć? Wybierzcie sobie ludzi, weźcie z sobą, przygotujcie inne rzeczy i idźcie na Medów. Ja zaś powrócę jeszcze do ojca, a potem pójdę przodem, chcę bowiem jak najprędzej poznać położenie nieprzyjaciół i załatwić to, co jest potrzebne, ażebym, z łaską bogów, mógł jak najpomyślniej walczyć.

Gdy oni to wykonywali, Cyrus, przybywszy do domu, pomodlił się do ojczystej Hestii, ojczystego Zeusa i do innych bogów. Potem ruszył w pochód, a odprowadził go ojciec. Powiadają, że gdy byli poza domem, powstały błyskawice i grzmoty, głoszące dla niego pomyślnie wróżby. Po tych zjawiskach odjechał, nie zasięgając już wróżby z lotu i głosu ptaków, gdyż nikomu nie były tajne znaki największego bóstwa.

4. Pantheja rozstaje się z mężem

(VI 4, 1–11)

Nazajutrz rano Cyrus składał ofiary, podczas gdy reszta wojska, zjadłszy śniadanie i złożywszy płynne ofiary, zbroiła się w piękne chitony i pancerze i hełmy (a tego wszystkiego było wiele). Zbroili także konie w naczółki i napierśniki; wierzchowce w nabiodrki, a konie zaprzęgowe w pancerze na boki, tak że całe wojsko błyszczało od spiżu i świeciło purpurowymi szatami.

Także czterodyszłowy wóz Abradatas z ośmioma końmi był bardzo pięknie ozdobiony. Gdy zamierzał włożyć na siebie lniany pancerz, jaki u nich był w zwyczaju, przyniosła mu Pantheja złocisty pancerz, złocisty hełm, naramienniki i szerokie bransolety na przeguby u rąk, purpurowy, do nóg sięgający chiton, fałdzisty u dołu, wreszcie kitę hiacyntowego koloru. Kazała zrobić to bez wiedzy męża, wzięwszy miarę z jego zbroi. On, ujrzawszy to, zdziwił się i zapytał Pantheję:

— Chyba nie kazałaś, żono, zrobić mi zbroi za cenę swych klejnotów?

— Nie, na Zeusa — rzekła Pantheja — zaiste, przynajmniej został mi najkosztowniejszy. Ty bowiem, jeżeli także oczom innych ludzi ukazesz się taki, jaki mnie się wydajesz, będziesz dla mnie klejnotem najpiękniejszym.

Rzekłszy to, równocześnie włożyła na niego zbroję, a łzy, chociaż usiłowała je ukryć, spływały jej po policzkach.

Gdy Abradatas, już przedtem godny widzenia, przywdział na siebie tę zbroję, wydawał się najpiękniejszy i najszlachetniejszy, zwłaszcza że i natura była dlań hojna. Po czym, wziąwszy od woźnicy lejce, zamierzał wstąpić na wóz. Wtenczas Pantheja, rozkazawszy wszystkim obecnym oddalić się, rzekła:

— Jeżeli kiedyś, Abradatasie, któraś kobieta ceniła swego męża więcej niż życie, to sądzę, że poznajesz, iż ja również jestem taka. Lecz po co mam o wszystkich szczegółach mówić? Sądzę, że czyny moje są dla ciebie bardziej przekonującymi dowodami niż wypowiedziane teraz słowa. A jednak, chociaż tak jestem usposobiona względem ciebie, przysięgam ci na moją i twoją miłość, że zaprawdę, wołałabym z tobą za dzielność odznaczonym wspólnie zejść do grobu, aniżeli jako zhańbiona żyć ze zhańbionym. Tak bardzo bowiem zarówno ciebie uznaję za godnego najpiękniejszego losu, jak i siebie. A także i Cyrusowi, jak mniemam, jesteśmy winni wielką wdzięczność, że mnie, gdy zostałam pojmana i wybrana dla niego, nie pragnął posiadać ani jako niewolnicy, ani jako wolnej ze zhańbionym imieniem, lecz zachował mnie dla ciebie jakby żonę brata. Oprócz tego przyrzekłam mu, gdy Araspas, który mnie pilnował, przeszedł na stronę nieprzyjaciół, że jeśli mi pozwoli posłać do ciebie, przyjdiesz do niego i będziesz o wiele wierniejszy i lepszy, aniżeli Araspas.

To powiedziała. Abradatas zaś, ucieszony tymi słowami, dotknął jej głowy i spojrzał w niebo ze słowami modlitwy na ustach:

— Największy Zeusie, daj, abym się okazał mężem godnym Panthei i przyjacielem godnym Cyrusa, który nas uczył.

Powiedziawszy to, wstąpił na rydwan przez drzwiczki u wozu. Gdy wstąpił, a woźnica je zamknął, Pantheja, nie mając innego sposobu okazania mu czułości, pocałowała wóz. I już wóz potoczył się naprzód, a ona skrycie postępowała za nim, aż Abradatas, obróciwszy się i spostrzegłszy ją, rzekł:

— Bądź dobrej myśli, Panthejo, bądź zdrowa i odejdz już.

Następnie eunuchowie i służące odprowadzili ją pod ręce do karety, a położywszy ją, osłonili oponą. Ludzie zaś, chociaż piękny był widok Abradatas i jego rydwanu, nie mogli mu się przypatrywać wcześniej, aż gdy Pantheja odeszła.

5. *Cyrus i Krezus*

(VII 2)

Cyrus wraz ze swym otoczeniem, po spożyciu wieczornego posiłku i rozstawieniu potrzebnych wart, ułożyli się do snu, a Krezus natychmiast razem z wojskiem rozpoczął ucieczkę w kierunku na Sardes; inne zaś ludy tej nocy w powrotnej drodze do swej ojczyzny posunęły się, jak tylko mogły najdalej. Kiedy dzień nastał, wyruszył Cyrus niezwłocznie do Sardes. Przybywszy pod mury miasta, ustawił maszyny, jak gdyby miał zamiar uderzyć na mur, i przygotował drabiny. Podczas tej czynności kazał Chaldejczykom i Persom następnej nocy wdrzeć się do tej części zamku w Sardes, która wydawała mu się najbardziej stroma. Pokazał zaś im drogę pewien Pers, który był dawniej niewolnikiem u jednego z załogi zamkowej i dokładnie poznał był drogę z góry do rzeki, i znowu do góry.

Gdy się stało jawne, że zamek został wzięty, wszyscy Lidyjczycy uciekli z murów, dokąd kto w mieście mógł. Cyrus zaś wkroczył o świcie do miasta i wydał rozkaz, aby nikt nie ruszał się ze swego stanowiska. Krezus, zamknąwszy się w swym królewskim pałacu, głośno wzywał Cyrusa. Cyrus zostawił go pod osłoną straży, a sam udał się na zajęty zamek. Gdy spostrzegł, że Persowie strzegli zamku, jak należało, stanowiska zaś Chaldejczyków były opuszczone, gdyż zbiegli na dół, aby rabować po domach, zwołał natychmiast ich dowódców i kazał im jak najprędzej zabrać się z wojska.

— Nie mógłbym bowiem — rzekł — ścierpieć tego, żeby w moich oczach nieposłusznicy odnosili większe korzyści. I wiedźcie dobrze — mówił dalej — że zamierzałem was, co wyruszyliście ze mną w pole, uczynić najszczęśliwymi ze wszystkich Chaldejczyków; teraz zaś nie dziwcie się, jeżeli podczas waszego odejścia trafi się ktoś silniejszy od was.

Chaldejczycy, usłyszawszy to, nastraszyli się i błagali, aby przestał się gniewać, i powiedzieli, że oddadzą całe zrabowane mienie. On zaś odrzekł, że tego nie potrzebuje.

— Lecz jeżeli chcecie — rzekł — abym przestał się gniewać, oddajcie wszystko, coście wzięli tym, którzy pilnowali zamku. Kiedy bowiem inni żołnierze spostrzegą, że posłuszni mają korzyść, wszystko u mnie będzie dobrze.

Chaldejczycy więc uczynili tak, jak rozkazał Cyrus; i tak otrzymali posłuszni wiele różnorodnych skarbów. Cyrus zaś, rozłożywszy swoich obozem w tej części miasta, która wydawała mu się najdogodniejsza, kazał im zostać na swych stanowiskach i jeść śniadanie.

Uskuteczniwszy to, polecił przyprowadzić do siebie Krezusa. Gdy Krezus zobaczył Cyrusa, rzekł:

— Bądź pozdrowion, panie, los bowiem od tej chwili każe ci nosić to imię, a mnie tak cię nazywać.

— I ty — rzekł — Krezusie, bądź pozdrowion, albowiem obaj jesteśmy ludźmi. Ale — powiedział dalej — Krezusie, czybyś nie zechciał udzielić mi pewnej rady?

— Chciałbym — odpowiedział — Cyrusie, coś dobrego dla ciebie wynaleźć; sądzę bowiem, że i dla mnie byłoby to dobre.

— Słuchaj tedy, Krezusie. Ponieważ widzę, że moi żołnierze przebyli wiele trudów i niebezpieczeństw, a teraz są przekonani, iż mają najbogatsze po Babilonie miasto w Azji, przeto uważam za rzecz słuszną, by żołnierze odnieśli jakąś korzyść. Wiem bowiem, że jeżeli nie otrzymają żadnego plonu swoich trudów, nie będę mógł długo utrzymać ich w posłuszeństwie. Otóż nie chcę im miasta wydać na łup, gdyż sądzę z jednej strony, że miasto zostałoby zniszczone, z drugiej zaś, że (wiem to dobrze) z łupiestwa będą mieli korzyść najgorsi.

Krezus, usłyszawszy to, rzekł:

— Pozwól mi więc oznajmić Lidyjczykom, których sobie wybiorę, że wyjednałem u ciebie zakaz rabowania i że nie pozwolisz też uprowadzać dzieci i kobiet, a to na moje przyrzeczenie, iż Lidyjczycy dobrowolnie wydadzą wszystko, co tylko jest pięknego i cennego w Sardes. Wiem mianowicie, że kiedy to usłyszają, poznoszą ci wszystkie kosztowności, jakie tylko tutaj posiada mąż i niewiasta; a mimo to za rok będziesz miał to miasto pełne wszelkich dóbr, tak samo jak dziś. Jeżelibyś zaś wydał je na łup, to zostaną ci poniszczone dzieła sztuki, które, jak ludzie powiadają, są źródłem piękna. A wolno ci też będzie, gdy zobaczysz, co poznoszono, powziąć jeszcze zamiar co do rabunku. Najpierw zaś — dodał — poślij po moje skarby, a twoja straż otrzyma je od mojej straży.

Wszystko to zgodził się Cyrus tak uczynić, jak powiedział Krezus.

— To zaś mi dokładnie powiedz, Krezusie — rzekł — jak ci wypadło z wyrocznią w Delfach, bo przecież powiadają, że wielce czciłeś Apollina i we wszystkich czynnościach słuchałeś jego woli.

— Chciałbym, Cyrusie — odpowiedział — aby tak się było stało; udałem się jednak do Apollina, czyniąc zaraz z początku wszystko na opak.

— Jak to? — rzekł Cyrus. — Wy tłumacz mi to, mówisz bowiem bardzo zagadkowo.

— Najpierw — odpowiedział — nie dbałem o to, by pytać boga tylko w potrzebie, lecz wystawiłem go na próbę, czy potrafi powiedzieć prawdę. W tym zaś wypadku — mówił dalej — nie tylko bóg, lecz także zacni i dobrzy ludzie, skoro poznają, że im się nie dowierza, nie lubią niedowierzających. Gdy jednak powiedział, że czyniłem rzecz bardzo głupią, tedy chociaż byłem bardzo daleko od Delf, posłałem tam w sprawie męskich potomków. Z początku Apollo nawet mi nie odpowiedział. Gdy jednak, posyłając wiele złotych i srebrnych darów i składając bardzo wiele ofiar, przejednałem go, jak mi się wydawało, wówczas odpowiedział na moje pytanie, co powinienem czynić, aby mieć męskich potomków. Powiedział więc, że będę ich miał. I urodzili mi się wprawdzie, gdyż i pod tym względem nie zawiódł mnie, lecz ci, których otrzymałem, byli do niczego. Jeden bowiem pozostał przez całe życie niemy, drugi zaś, znakomity pod każdym względem, umarł w kwiecie wieku. Strapiony nieszczęściem z powodu synów, posyłam znowu i zapytuję boga, co mam czynić, aby resztę życia jak najszcześliwiej przepędzić. On zaś odpowiedział: „Sam siebie znając, Krezusie, w szczęściu dokonasz żywota”. Usłyszawszy taką wyrocznię, ucieszyłem się, sądziłem bowiem, że daje mi szczęście z najłatwiejszym poleceniem. Albowiem znać drugich jest częściowo możliwe, częściowo nie, siebie samego jednak, myślałem, zna każdy w ogóle człowiek. Więc przez jakiś czas potem, póki miałem spokój, nie czyniłem losom żadnych wyrzutów z powodu śmierci mego syna. Gdy zaś dałem się namówić Asyryjczykowi do walki z wami, popadłem w największe niebezpieczeństwo; uratowałem się jednak, nie poniosłszy

żadnego nieszczęścia. Ale i z tego powodu nie obwiniam boga. Albowiem kiedy poznałem, że nie jestem zdolny do walki z wami, odszedłem bezpiecznie z bogiem, ja sam i moi ludzie. Ostatnio znowu rozpieszczony bogactwem, jakie posiadam, i w dumę wzbity przez tych, którzy mnie prosili, abym został dowódcą, dałem się skusić darom i pochlebstwom ludzi, którzy mi mówili, że jeżelibym chciał panować, wszyscy będą mi posłuszni i stanę się największym mężem — dmąc się więc w górę wskutek takich mów, zwłaszcza że wszyscy królowie naokoło wybrali mnie na wodza tej wojny, przyjąłem dowództwo, jak gdybym był zdolny do tego, by stać się największym. Nie znałem zatem siebie, skoro sądziłem, że potrafię prowadzić wojnę z tobą, co przede wszystkim jesteś potomkiem bogów, a następnie całego szeregu królów, a wreszcie od dzieciństwa ćwiczyłeś się w waleczności; z moich zaś przodków, jak słyszę, pierwszy, który otrzymał władzę królewską, stał się równocześnie królem i wolnym. Skoro więc na to nie zważałem, słusznie ponoszę karę. Ale teraz dopiero — rzekł — Cyrusie, znam siebie. Czy sądzisz jeszcze — powiedział — że Apollo mówi prawdę, iż będę szczęśliwy, znając siebie samego? Pytam ciebie dlatego, ponieważ myślę, że obecnie ty najlepiej możesz się tego domyślić; albowiem możesz to zdziałać.

A Cyrus odpowiedział:

— Co do tego, daj mi czas do namysłu, Krezusie. Ja bowiem, rozmyślając nad twoim dawniejszym szczęściem, lituję się nad tobą i oddaję ci już teraz twoją małżonkę, którą miałeś, i córki (albowiem słyszę, że masz córki), przyjaciół, sługi i stół, przy jakim żyliście. Bitwy zaś i wojny odbieram.

— Na Zeusa — rzekł Krezus — więc nie namyślaj się dłużej nad odpowiedzią dotyczącą mego szczęścia; ja bowiem już teraz powiadam ci, że jeśli uczynisz dla mnie co mówisz, to i ja także będę miał takie życie, jakie inni, zgodnie zresztą z moim zapatrywaniem, uważali za najszcześniejsze.

A Cyrus powiedział:

— Któż to jest ten, co ma takie szczęśliwe życie?

— Moja żona, Cyrusie — odpowiedział. — Ona bowiem miała równy udział ze mną we wszystkich skarbach, przyjemnościach i uciechach, w troskach zaś, jak o to wszystko się starać, w wojnie i bitwie nie brała udziału. Tak właśnie i ty, zdaje się, urządzisz mi życie w ten sposób, jak ja urządziłem tej, którą ze wszystkich ludzi najbardziej kochałem; toteż sądzę, że dłużny będę Apollinowi nową ofiarę dziękczynną.

Cyrus, usłyszawszy te słowa, podziwiał jego pogodę umysłu i zabierał go odtąd z sobą, dokąd tylko sam się wyprawiał, czy to, że zdawał mu się potrzebny, czy dlatego, że sądził, iż tak jest bezpiecznie.

6. *Śmierć Panthei*

(VII 3)

Tak tedy ułożyli się do snu. Nazajutrz Cyrus, zwoławszy przyjaciół i dowódców wojska, polecił jednemu z nich, by odbierali skarby, a drugim, by z tych skarbów, które Krezus miał

wydać, wybrali przede wszystkim dary dla bogów według orzeczenia magów ; resztę skarbów mieli spakować do skrzyń i załadować na wozy; następnie, rozdzieliwszy wozy, mieli wieźć to wszystko tam, dokąd i wojsko będzie maszerowało, aby przy sposobności każdy dostawał, na co sobie zasłużył.

Ci tak zrobili. Cyrus zaś, zawoławszy kilku z obecnych adiutantów, rzekł:

— Powiedzcie mi, czy nie widział ktoś z was Abradatas? Dziwię się bowiem, że teraz wcale się nie pokazuje, chociaż dawniej często do nas przychodził.

Odpowiedział na to któryś z adiutantów:

— Bo on już, władco, nie żyje, lecz poległ w bitwie, uderzywszy na wozie na Egipcjan. Inni zaś, prócz najbliższych jego przyjaciół, zwrócili się na bok, gdy zobaczyli zwarty szyk egipski. I teraz — mówił dalej — powiadają, że jego żona, podniósłszy trupa i włożywszy go do karety, w której sama jeździła, przywiozła go gdzieś tutaj nad rzekę Paktolos. Powiadają, że eunuchowie i słudzy jego kopią na jakimś pagórku grób dla umarłego. Żona zaś jego siedzi na ziemi, przystroiwszy męża w to, co miała, i trzyma głowę jego na kolanach.

Cyrus usłyszawszy to, uderzył się po udzie, a dosiadłszy natychmiast konia i wzięwszy ze sobą tysiąc jeźdźców , pośpieszył na miejsce smutku. Gadatasowi i Gobryasowi rozkazał wziąć ile możności najpiękniejszy strój dla poległego bohatera, który był mu miły, i zdążyć wkrótce za nim; a kto miał idące za wojskiem trzody, temu rozkazał dowiadywać się, gdzie on będzie, i przypędzić tam woły, konie oraz wiele owiec, aby ofiarować je na cześć Abradatas.

Gdy zobaczył kobietę na ziemi siedzącą i leżącego trupa, zapłakał na widok tego nieszczęścia i rzekł:

— Ach, dobra i wierna duszo, a więc istotnie opuściłeś nas?!

I równocześnie wziął go za prawą rękę, a ręka trupa odpadła od ciała i została w jego dłoni, była bowiem mieczem przez Egipcjan odcięta. On zaś, ujrzawszy to, zasmucił się jeszcze bardziej, a żona uderzyła w lament i wzięwszy rękę od Cyrusa, pocałowała ją i znowu dokładnie, o ile było można, przyłożyła do ciała, mówiąc:

— Także na całym ciele, Cyrusie, jest tak pokaleczony, lecz po cóż ci patrzeć na to? Wiem, że nie najmniejszą przyczyną jego śmierci byłam ja, lecz może nie mniej i ty, Cyrusie. Ja bowiem, nierozumna, zachęcałam go bardzo do takich czynów, żeby stał ci się przyjacielem godnym ciebie; także on sam, wiem, nie dbał o to, co się z nim stać może, lecz o to, jakby ci się przypodobać. Tak więc — mówiła dalej — sam on zginął, wprawdzie chwalebnie, ja jednak, com go zachęcała, siedzę przy nim żywa.

Cyrus przez jakiś czas płakał w milczeniu, a następnie odezwał się:

— Zaprawdę, niewiasto, ma on najpiękniejszy koniec życia: umarł bowiem jako zwycięzca. Ty zaś weź to tutaj ode mnie i przystroj go. — Zjawili się już bowiem Gobryas i Gadatas, wioząc wiele pięknego stroju. — Wiedz — dodał jeszcze — że i pod innym względem nie będzie on pozbawiony czci, lecz wielu z nas godną mogiłę mu usypie i na cześć jego będzie złożona ofiara, jak się należy dzielnemu bohaterowi. Także ty — mówił — nie będziesz

opuszczona, lecz z powodu twojej skromności i wszelkiej cnoty uczczę cię pod każdym względem, jako też polecę komuś zaprowadzić cię tam, dokąd tylko sama zechcesz; oświadcz tylko wobec mnie, do kogo życzysz sobie odjechać.

A Pantheja odpowiedziała:

— Bądź spokojny, Cyrusie, nie zataję przed tobą, do kogo chcę pójść.

Otóż po tych słowach oddalił się Cyrus, ubolewając tak nad niewiastą, że straciła takiego męża, jako też nad mężem, że zostawił taką żonę i już nigdy nie miał jej widzieć. Niewiasta zaś rozkazała eunuchom oddalić się:

— Aż — rzekła — do woli tego oto opłaczę.

Piastunce zaś kazała pozostać i poleciła, na wypadek swej śmierci, okryć siebie i męża jednym pokrowcem. Piastunka zaczęła gorąco błagać, aby tego nie czyniła, ale kiedy nie mogła niczego dokazać i widziała, że się gniewa, usiadła, płacząc. Wtedy tamta, wyciągnąwszy sztylet przedtem przygotowany, przebiła się i położywszy głowę na pierś męża, umarła. Piastunka rozplakała się w głos i przykryła ich razem, jak rozkazała Pantheja. Cyrus na wieść o czynie tej niewiasty, przerażony śpieszy na pomoc. Trzej eunuchowie na widok tego, co się stało, wyciągnęli także swoje sztylety i przebili się na tym miejscu, gdzie im kazała była stanąć. Cyrus, zbliżywszy się do miejsca wypadku, podziwiał tę niewiastę i oddalił się z płaczem. O to zaś oczywiście postarał się, aby oboje dostąpili wszelkich zaszczytów pogrzebowych i aby im usypano ogromną mogiłę.

7. Jaki użytek robił Cyrus ze skarbów

(VIII 2, 7; 13–23)

Jeżeli Cyrus różnił się od innych ludzi bardzo wielkimi dochodami, to o wiele więcej jeszcze różnił się od nich hojnością w rozdzielaniu rozlicznych darów. Początek dał Cyrus, a jeszcze po dziś dzień utrzymuje się hojność jako główna cnota królów. W tym, że wielkością darów odznaczał się, nie ma nic osobliwego, gdyż był bardzo bogaty; lecz że chociaż król, wyróżniał się uczynnością i troskliwością o przyjaciół, to jest godniejsze uwagi. Wedle opowiadania nigdy tak wyraźnie nie okazywał wstydu z tego powodu, że został przewyższony, jak wtedy, kiedy go przewyższono w uczynności dla przyjaciół. Wspomina się też słowa, jakie wygłaszał, że zadania dobrego pasterza i dobrego króla są prawie równe. Pasterz bowiem, mówił, musi swoje bydło uczynić szczęśliwym, aby mieć z niego korzyść, oczywiście o ile owce mogą być szczęśliwe; również i król musi uczynić szczęśliwymi ludzi i miasta, jeżeli chce mieć z nich pożytek. Nic więc dziwnego, że przy takim sposobie myślenia ubiegał się o to, ażeby wszystkich ludzi przewyższyć w uczynności.

Piękny dowód słuszności swych zasad dał, jak powiadają, Cyrus Krezusowi, gdy ten zwracał mu uwagę, że zubożeje wskutek szczodrego rozdawania, mimo że może bardzo wielkie skarby złota, przynajmniej jak na jednostkę, w swoim domu nagromadzić. Cyrus mianowicie miał go zapytać:

— Jak myślisz, ile pieniędzy miałbym już, gdybym stosownie do twej rady zbierał był, odkąd panuję?

Krezus wymienił jakąś wielką sumę. A Cyrus miał na to powiedzieć:

— Poślij tedy, Krezusie, z tym oto Hystaspesem męża, któremu najwięcej ufasz. Ty zaś, Hystaspesie, obszedłszy kolejną przyjaciół moich, powiedz im, że potrzebuję pieniędzy na pewne przedsięwzięcie, istotnie bowiem potrzebuję nieco. I wezwij ich, niech każdy napisze, ile może mi dostarczyć pieniędzy, i list zapieczętowany odda służącemu Krezusa, aby mu zaniósł.

To, co powiedział, napisał i zapieczętował, dał Hystaspesowi, aby zaniósł do przyjaciół. Napisał też do wszystkich, aby przyjęli Hystaspesa jako jego przyjaciela. Gdy obszedł wszystkich i gdy służący Krezusa przyniósł listy, rzekł Hystaspes:

— Królu Cyrusie, powinienes także ze mnie korzystać jako z bogacza, wracam bowiem bogato obdarzony z powodu twego listu.

A Cyrus odpowiedział:

— Jeden więc skarb już mamy ten, Krezusie; co do innych zaś, to przypatrz się i policz, ile pieniędzy mam na pogotowiu, jeżeliby na co potrzebował.

Powiadają tedy, że Krezus, zliczając, znalazł o wiele więcej, aniżeli według jego powiedzenia Cyrus miałby już w skarbcu, gdyby był zbierał.

Gdy więc to się pokazało, rzekł Cyrus:

— Czy widzisz, Krezusie, że i ja mam skarby? Lecz radzisz mi, abym je gromadził u siebie i budził tym zazdrość i nienawiść, abym powierzył pieczę nad nimi najętym stróżom. Ja zaś sądzę, że wzbogacając przyjaciół, będę miał i skarby, i stróżów zarazem mojej osoby i moich dóbr, wierniejszych, niż gdybym postawił straż najemną. I co innego powiem ci jeszcze: ja mianowicie, Krezusie, nie mogę wznieść się ponad to, co bogowie ludziom w duszę wszczepili, czyniąc przez to ich wszystkich zarówno ubogimi; w pragnieniu pieniędzy i ja jestem nienasycony tak samo jak inni. Tym jednak, zdaje mi się, różnię się od innych ludzi, że ci, gdy nabyli więcej niż potrzeba, po części zakopują to, po części dają temu zbutwieć, częścią zaś mają wiele zachodu z liczeniem, mierzeniem, ważeniem, przewietrzaniem i strzeżeniem, a chociaż tak wiele mają w domu, mimo to nie jedzą więcej, niż mogą wytrzymać — gdyż inaczej popękaliby, ani nie wdziękają na siebie więcej, niż mogą znieść, gdyż w przeciwnym razie podusiliby się, lecz zbyteczny pieniądz sprawia im kłopot. Ja natomiast poddaję się bogom i pragnę zawsze więcej, gdy jednak nabędę więcej, aniżeli moim zdaniem dla mnie potrzeba, to zapobiegam z tego niedostatkom przyjaciół, a wzbogacając ludzi i czyniąc im dobrze, zyskuję sobie przez to życzliwość i przyjaźń i zbieram stąd bezpieczeństwo i chwałę, które ani nie butwieją, ani swym nadmiarem nie wyrządzają szkody; owszem, sława, im pełniejsza, tym staje się większa, piękniejsza i lżejsza do zniesienia; brzemień sławy często sprawia, że ci, co je dźwigają, mniejszym ciężarem ziemię gniotą. Ażebyś i to wiedział, Krezusie, nie uważam za najszcześniejszych tych, którzy najwięcej mają i najwięcej strzegą. W ten sposób bowiem byłiby ci, którzy pilnują murów, najszcześniejsi, gdyż pilnują wszystkiego, co jest w miastach. Ja uważam za

najszczęśliwszego tylko tego, kto nabywszy w sposób uczciwy, ile mógł, jak najwięcej z tego przyzwóicie używa.

I takim, jak mówił, okazywał się też w czynach.

8. Śmierć Cyrusa

(VIII 7)

Gdy mu więc tak upływało życie, Cyrus już w bardzo podeszłym wieku przybył do Persji, siódmy raz podczas swego panowania. Tak ojciec, jak i matka dawno już oczywiście, jak to rzecz naturalna, poumierali. Cyrus złożył zwyczajem przekazane ofiary, przewodził Persom w tańcu według ojczystych zwyczajów i rozdzielił między wszystkich dary, tak jak to zwykle czynił. Usnąwszy w pałacu, miał taki sen: śniło mu się, że jakaś postać nadludzkiej wielkości zbliża się ze słowami: „Przygotuj się, Cyrusie, już ci bowiem pora odejść do bogów”. Ujrzawszy tę marę, przebudził się i prawie na pewno uwierzył, że nadchodzi koniec jego życia. Natychmiast więc, wzięwszy bydłeta ofiarne, złożył ofiarę Zeusowi ojczystemu, Heliosowi i innym bogom na wierzchołkach gór, jak ofiarują Persowie, przy czym tak się modlił:

— Ojczysty Zeusie, Heliosie i wszyscy bogowie, przyjmijcie to jako ofiarę za pomyślne dokonanie tylu pięknych czynów i jako ofiarę dziękczynną za to, że objawialiście mi zawsze w ofiarach, niebieskich znakach, w lotach pataków i wróżbach z głosu ludzkiego, co należy czynić, a czego zaniechać. Gorące dzięki wam za to, że poznałem waszą troskliwość i nigdy w szczęściu nie byłem dumniejszy, niż człowiekowi przystoi. Proszę was, abyście także teraz dali szczęście moim dzieciom, żonie, przyjaciołom i ojczyźnie, mnie zaś, jakie daliście życie, taką dajcie śmierć.

Po tym wszystkim powrócił do domu i czując potrzebę miłego spoczynku, położył się do łóżka. Gdy zaś nadeszła oznaczona godzina, przyszedli wyznaczeni do tego ludzie i prosili go do kąpieli. On jednak powiedział, że mu miło odpoczywać. Znowu gdy nadeszła stosowna pora, ci, co byli przeznaczeni do tego, przynieśli obiad, on jednak nie miał ochoty do jedzenia, natomiast czuł pragnienie i pił chętnie. Gdy mu się tak wydarzyło to samo następnego i trzeciego dnia, kazał przywołać synów; ci przypadkiem towarzyszyli mu i byli w Persji; kazał też zawołać przyjaciół i urzędników perskich. Kiedy wszyscy zgromadzili się, zaczął w te słowa:

— Moi synowie i wy wszyscy obecni tutaj przyjaciele, już zbliża się koniec mego życia. Z wielu rzeczy poznaję to wyraźnie. Wam zaś należy, gdy umrę, zawsze mówić o mnie tylko jako o szczęśliwym i zgodnie z tymi słowami czynić. Ja bowiem w chłopięcym wieku korzystałem, jak mi się wydaje, z tych pięknych rzeczy, które są w zwyczaju między chłopcami; skoro dorosłem, korzystałem z tych, które są między młodzieńcami; stawszy się dojrzałym mężem, z tego korzystałem, co jest w zwyczaju u dorosłych. Z biegiem czasu zawsze wydawało mi się, że siła moja wzrastała, tak że nigdy nie zauważyłem, jakoby starość moja stała się słabsza, aniżeli była młodość, i nie wiem, czy kiedykolwiek nie osiągnąłem tego, co zamierzyłem lub czego pragnąłem. I dożyłem tego, że moi przyjaciele stali się szczęśliwi przeze mnie, nieprzyjaciół zaś ujarzmiłem; i ojczyznę, nie mającą przedtem znaczenia w Azji, zostawiam teraz jak najwięcej poważaną; wszystkie swoje nabytki

zdołałem utrzymać. Miniony czas przeżyłem tak, jak sobie życzyłem, towarzysząca mi jednak stale obawa, abym w przyszłości nie ujrzał, nie usłyszał albo nie ucierpiał czegoś złego, nigdy nie dozwalała mi być zupełnie dumnym i weselić się ponad miarę. Jeżeli zaś teraz umrę, zostawiam przy życiu was, synowie, których mi bogowie dali, zostawiam ojczyznę i przyjaciół w szczęściu. Czyż niesłusznie zatem uważać mnie za szczęśliwego, który zasłużył sobie na wieczną pamięć? Muszę także zostawić tron z wyznaczonym następcą, aby spory nie narobiły wam kłopotów.

Kocham was obu zarówno, moi synowie, pierwszeństwo jednak w radzie i naczelne kierownictwo we wszystkim, co się wydaje na czasie, poruczam pierworodnemu i, jak się spodziewać można, bardziej doświadczonemu. I mnie też ta moja i wasza ojczyzna tak wychowała, aby starszym, nie tylko braciom, lecz także obywatelom, ustępować w drodze, siedzeniu i słowach, a także was, synowie, wychowałem od początku tak, abyście starszych poważali, a u młodszych mieli poważanie. Przyjmijcie więc to, co powiadam, jako rzecz dawną, zwyczajem i prawem przepisaną. A więc ty, Kambyzesie, weź w posiadanie królestwo, gdyż dają ci je tak bogowie, jako też ja, o ile to leży w mej mocy. Ciebie zaś, Tanaoksaresie, ustanawiam satrapą Medów, Armeńczyków, a po trzecie Kaduzjów. Dawszy ci zaś to, sądzę, że chociaż większe panowanie i imię króla zostawiam starszemu, tobie jednak bardziej niezamącone szczęście. Nie wiem bowiem, jakiego szczęścia ludzkiego będziesz pozbawiony — wszystko raczej, co zdaje się cieszyć ludzi, będziesz posiadał. Tymczasem pragnienie czynów niezwykłych, rozliczne troski, niemożność zażywania spokoju, żądza sławy, opiekająca do żywego i nakazująca iść w zawody z mymi czynami, urządzenie zasadzek i narażanie się na nie — wszystko to z konieczności musi w większej mierze towarzyszyć panującemu niż tobie, i wiedz dobrze, iż to stawia wiele przeszkód radości.

Wiesz zapewne i ty, Kambyzesie, że nie to tutaj złote berło zachowuje tron, lecz że wierni przyjaciele są dla królów najprawdziwszym i najpewniejszym berłem. Nie sądz jednak, że ludzie z natury są wierni, bo w takim razie dla wszystkich okazywaliby się wierni, jak i inne zjawiska natury okazują się takie same dla wszystkich. Każdy musi sam sobie wyrobić wiernych przyjaciół, a pod żadnym warunkiem starać się o nich nie można za pomocą gwałtu, ale raczej przez dobrodziejstwa. Jeżeli więc także i kogoś drugiego będziesz się starał uczynić współstrażnikiem państwa, od nikogo innego najpierw nie zaczynaj, jak od tego, który pochodzi z tego samego co i ty rodu. Przecież już współobywatele większymi są ci przyjaciółmi od innych, a współstołownicy od tych, którzy mieszkają oddzielnie. Ci zaś, którzy z tego samego nasienia powstali, tej samej matki pierś ssali, w tym samym domu wyrosli, przez tych samych rodziców byli kochani i tę samą osobę matką i ojcem nazywają, jakżeby ci nie mieli być między sobą najpoufalszymi ze wszystkich? Nie obracajcie zatem nigdy wniwecz tych korzyści, które bogowie wskazali braciom gwoździem związku, lecz budujcie na nich zaraz inne dowody przyjaźni. I w ten sposób zawsze przyjaźń wasza będzie dla innych nie do pokonania. O siebie samego przecież troszczy się, kto się troszczy o brata. Bo i dla kogóż innego wielkość brata jest taką chlubą, jak dla brata? Któż inny z powodu potęgi jakiegoś męża dozna większego szacunku, jak jego brat? Komuż wreszcie będzie się ktoś tak obawiał wyrządzić krzywdę, jak temu, czyj brat jest wielkim mężem?

Niechaj więc nikt ani nie słucha go szybciej niż ty, ani niech nie pomaga chętniej; nikogo bowiem tak jak ciebie nie obchodzi ani dobro, ani szczęście brata. Rozważ także i to: czy możesz się spodziewać, że przez wyświadczenie dobrodziejstwa otrzymasz od kogoś więcej, jak od niego? W kim za twoją pomoc mógłbyś nawzajem otrzymać silniejszego sprzymierzeńca? Kogo nie kochać jest rzeczą brzydszą, jak swego brata? Kogo czcić przede

wszystkim jest rzeczą piękniejszą, jak brata? Tylko brata, Kambyzesie, jeśli przy bracie zajmuje wysokie stanowisko, nie dosięga zazdrość.

Lecz, na bogów ojczystych, synowie, szanujcie jeden drugiego, jeżeli wam zależy na tym, aby i mnie sprawić radość. Nie wiecie bowiem przecież tego z pewnością, że już niczym więcej nie będę, kiedy skończę ludzkie życie. I teraz nie widzieliście mojej duszy, lecz domyślaliście się jej obecności z tego, co działała. Czy jeszcze nie zauważyliście tego, jakimi strachami dusze skrzywdzonych nawiedzają tych, co się ich krzywdą splamili, jakich duchów-mścicieli nasyłają na bezbożnych? Czy myślicie, że zmarłym oddawano by jeszcze taką cześć, gdyby ich dusze nad niczym nie miały mocy?

I ja, synowie, nigdy nie mogłem uwierzyć w to, że dusza, póki jest w śmiertelnym ciele, żyje, a skoro tylko oddzieli się od niego, natychmiast umiera. Widzę bowiem, że dusza nawet śmiertelnym ciałom, póki w nich jest, udziela życia. Nie żywię także i tego przekonania, że dusza będzie nierozumna, gdy oddzieli się od nierozumnego ciała; lecz gdy duch niezmieszany i czysty odłączy się, wtedy naturalnie jest on także najrozumniejszy. Lecz kiedy człowiek umrze, to widocznie wszystko przechodzi do równego sobie rodzaju, z wyjątkiem duszy. Ona jedynie nie jest widoczna, ani gdy jest obecna, ani gdy odchodzi.

— Rozważcie — mówił dalej — że spomiędzy ludzkich stanów żaden nie jest bardziej zbliżony do śmierci jak sen. Wtedy bez wątpienia dusza człowieka okazuje się najbardziej boska i wtedy przewiduje niejedno z przyszłości, albowiem wówczas, jak się zdaje, jest ona szczególnie wolna od kajdan cielesnych. Jeżeli więc ta sprawa tak się ma, jak myślę, i dusza opuszcza ciało, to i moją duszę szanujcie i czyńcie to, o co was proszę. Jeżeli zaś jest inaczej, jeżeli dusza, pozostając w ciele, razem z nim umiera, to przynajmniej z obawy przed bogami wiecznymi, wszechwidzącymi i wszechmogącymi, którzy także ten porządek wszechświata niezniszczalny i niestarzejący się, bez wady i niewymownie piękny i wielki utrzymują, nigdy ani nie czyńcie, ani nie pożądamie niczego grzesznego i bezbożnego. Oprócz bogów jednak lękajcie się także całego rodu ludzkiego, który ciągle na nowo wzrasta. Nie w ciemności bowiem ukrywają was bogowie, lecz widoczne dla wszystkich muszą zawsze żyć wasze czyny. Jeżeli więc one okażą się czyste i wolne od krzywd, uczynią was potężnymi pośród wszystkich ludźmi. Jeżeli jednak jeden przeciwko drugiemu będzie coś złego zamyślać, utracicie zaufanie u wszystkich ludzi. Nikt bowiem nie mógłby wam jeszcze ufać, chociażby bardzo pragnął, widząc, że krzywdy doznaje ten, który ma najwięcej prawa do przyjaźni. Jeżeli więc należycie pouczyłem was, jacy powinniście być względem siebie, to dobrze. Jeżeli zaś nie, to uczcie się też od przodków, gdyż to jest najlepsza nauka. Najczęściej rodzice zawsze byli przyjaciółmi dzieciom, bracia zaś przyjaciółmi braciom. Niektórzy jednak z nich czynili także sobie wzajemnie na przekór. U których więc spostrzeżecie, że to, co uczynili, wyszło im na pożytek, tych wybierzcie sobie za wzór, a wtedy możecie powziąć postanowienie.

Lecz o tym może już dosyć. Ciała mego, gdy umrę, nie kładźcie, synowie, ani w złoto, ani w srebro, ani w coś innego, lecz oddajcie ziemi jak najprędzej. Cóż bowiem bardziej błędnego, jak być zmieszanym z ziemią, która wszystko piękne i wszystko dobre rodzi i żywi? Ja i tak kochałem ludzkość, a więc i teraz chętnie chciałbym mieć coś wspólnego z tym, co ludziom świadczy dobrodziejstwo. Ale już — mówił dalej — zdaje mi się, że dusza opuszczać mnie zaczyna stąd, skąd właśnie u wszystkich ludzi zaczyna, gdy ma wyjść z ciała. Jeżeli więc ktoś z was chce czy to uściskać moją prawicę, czy to spojrzeć mi w oczy, póki jeszcze żyję, niech przystąpi. Ale kiedy się zakryję, to proszę was, moje dzieci, niech nikt nie patrzy się na moje ciało, ani nawet wy nie. Zwołajcie jednak wszystkich Persów i sprzymierzeńców na moją

mogile, aby mi życzyli szczęścia ze względu na to, że już będę w bezpiecznym miejscu, że nigdy nie doznam żadnego nieszczęścia, ani jeżeli będę z bogiem, ani jeżeli już niczym więcej nie będę. Wszystkim im zaś, ilu ich przyjdzie, okażcie wdzięczność, jak to ku czci szczęśliwego męża jest w zwyczaju, a potem ich odprawcie.

— I to — mówił dalej — pamiętajcie jako moje ostatnie słowo: świadczeniem dobrodziejstw przyjaciołom będziecie mogli karać swych wrogów. Bądźcie mi teraz zdrowi, kochani synowie, i oświadczyć to także matce w moim imieniu. I wy wszyscy, tak obecni, jako też nieobecni przyjaciele, bądźcie mi zdrowi.

Powiedziawszy to i podawszy wszystkim prawą rękę, zasłonił się i tak skończył.

Ze Wspomnień o Sokratesie

1. Obrona Sokratesa

(I 1)

Często ze zdumieniem pytałem sam siebie, jakimi też wywodami oskarżyciele Sokratesa przekonali Ateńczyków, że wobec państwa zasługuje na karę śmierci. Skarga przeciw niemu brzmiała mniej więcej w następujący sposób: Sokrates przekracza prawo, nie uznając tych bogów, których uznaje państwo, a natomiast wprowadzając inne, nowe bóstwa; przekracza też prawo, psując młodzież.

Po pierwsze więc, jaki też na to mieli dowód, że nie uznawał państwowych bogów? Powszechnie bowiem widziano, że składał często ofiary w domu, często też na publicznych państwowych ołtarzach, a także nie było tajne, że posługiwał się wróżbiarstwem. Rozgłosiło się mianowicie, jakoby Sokrates mówił, iż „bóstwo” daje mu znaki; stąd właśnie, jak mi się zdaje, główny wzięli powód do oskarżenia go, że wprowadza nowe „bóstwa”. A on przecież nie wprowadzał nic nowszego niż inni ludzie, którzy wierząc w wróżbiarstwo, posługują się lotem ptaków, ludzkimi głosami, przypadkowymi znakami i ofiarami. Jak bowiem ci przyjmują, że ani ptaki, ani napotkani ludzie nie wiedzą, co jest dla pytających korzystne, ale że bogowie przez to dają znaki, tak samo też i ów sądził. Lecz przeważająca większość wyraża się, że ptaki lub spotykający się z nimi wstrzymują ich albo pobudzają do działania. Sokrates zaś tak mówił, jak myślał: „Bóstwo — powiadał — daje znaki”. I wielu przyjaciołom doradzał, co czynić lub czego zaniechać, opowiadając, że bóstwo przed działaniem zsyła mu znaki. I tym, którzy go słuchali, wyszło to na korzyść, ci zaś, którzy go nie słuchali, żałowali później tego.

Każdy chyba przyzna, że on nie chciał uchodzić w oczach swych przyjaciół za głupca lub łgarza. Byłby jednak wydawał się jednym i drugim, gdyby się był okazywał kłamcą po tym wszystkim, co głosił jako boskie objawienie. Oczywiście, że nie byłby przepowiadając, gdyby nie wierzył, iż powie prawdę. Któż zaś w takiej rzeczy wierzyłby komu innemu, jak nie bogu? Wierząc tedy bogom, jak mógł bogów nie uznawać?

A postępował jeszcze wobec swoich przyjaciół w następujący sposób. Mianowicie, w rzeczach nieodzwonnych doradzał takie wykonanie, jakie uważał za najlepsze. Co się zaś tyczy spraw, o których było niewiadome, jaki będzie wynik, odsyłał do wyroczni, aby zasięgnąć jej rady, czy to wolno uczynić. Także ci, powiadał, którzy chcą dobrze zarządzać sprawami domowymi lub państwowymi, potrzebują wróżbiarstwa. Zostać zaś budowniczym, kowalem, rolnikiem, rządcą nad ludźmi i w ogóle biegłym w podobnych sprawach, albo rachmistrzem, gospodarzem, wodzem i posiadać wszystkie tym podobne wiadomości, jest według jego mniemania możliwe dla ludzkiego rozumu. Najważniejsze jednak zagadnienia, powiadał, bogowie zachowują dla siebie i nic z tego ludziom nie jest wiadome. Albowiem ani uprawiającemu swoją rolę nie wiadomo, kto będzie plon zbierać, ani temu, który zbudował sobie dobrze dom, nie wiadomo, kto go będzie zamieszkiwał, ani wódz nie wie, czy jego dowództwo będzie pożyteczne, ani mężowi stanu kierującemu państwem, nie wiadomo, czy jego działalność przyniesie korzyść, ani wreszcie temu, który spokrewnił się z mężami potężnymi w państwie, nie jest wiadomo, czy z ich powodu nie będzie pozbawiony państwa.

Tych zaś, którzy sądzą, że wiele z owych rzeczy nie należy do bóstwa, lecz że wszystko jest dostępne dla ludzkiego rozumu, uważał za szalonych. Szaleni też są ci, którzy używają wróżbiarstwa do takich rzeczy, jakie bogowie pozwolili ludziom na podstawie nauki rozstrzygać, na przykład jeżeliby ktoś pytał wyroczni, czy lepiej jest brać do powożenia umiającego powozić niż nieumiającego albo czy na okręt lepiej brać umiającego sterować niż nieumiającego, lub jeśli ktoś się pyta o takie rzeczy, które można wiedzieć przez liczenie, mierzenie lub ważenie. Ci, którzy o takie rzeczy dowiadują się u bogów, postępują według jego mniemania bezbożnie. Powiadał, że tego, co bogowie pozwolili ludziom wykonywać na podstawie nauki, trzeba się nauczyć, jeśli zaś coś dla ludzi jest zakryte, należy próbować dowiedzieć się tego od bogów przez wieszczbę, a bogowie dają znaki tym, dla których są łaskawi.

Ale przecież był on zawsze na oczach wszystkich, albowiem rano chodził do portyków i gimnazjów; w czasie, kiedy rynek się zapełnia, można go było tam widzieć, a także przez resztę dnia był zawsze tam, gdzie spodziewał się zastać jak najwięcej ludzi. Najczęściej mówił, i kto chciał, mógł go słuchać. Nikt jednak nigdy nie widział, żeby on czynił kiedyś coś grzesznego lub bezbożnego, ani nikt nie słyszał, żeby coś podobnego mówił. Nie rozprawiał także, jak to bardzo wielu innych czyni, o istocie wszechświata i nie dochodził, jak tak zwany przez filozofów „kosmos” powstał i według jakich praw natury odbywają się wszelkie zjawiska niebieskie, lecz owszem wykazywał, że zastanawiający się nad podobnymi sprawami są głupcami.

I najpierw zwykł był pytać, czy sądzą, iż już należycie znają sprawy ludzkie, że zabierają się do badania takich rzeczy, albo czy, zostawiając na boku sprawy ludzkie, a badając boskie, myślą, że czynią roztropnie. Dziwne zaś wydawało mu się, że nie jest dla nich jasne, iż dla ludzi niemożliwe jest poznać takie rzeczy, gdyż nawet ci, którzy są najbardziej dumni z tego, iż mogą mówić na taki temat, między sobą nie są tego samego zdania, lecz pozostają do siebie w takim stosunku, jak szaleńcy. Mianowicie jedni szaleńcy nie lękają się nawet tego, czego trzeba się lękać, drudzy znowu obawiają się tego, co nie jest straszne; jednym nie wstyd nawet wśród gromady ludzi wszystko możliwe mówić lub czynić, drugim natomiast wydaje się, że nie wolno im nawet wyjść między ludzi; jedni nie szanują ani świątyni, ani ołtarza, ani niczego z boskich rzeczy, drudzy czczą kamienie, pierwsze lepsze kłocę i dzikie zwierzęta. Tak samo i spośród tych, którzy łamią sobie głowę nad istotą wszechświata, jedni przyjmują, że byt jest tylko jeden, drudzy zaś biorą go za coś, co jest co do liczby nieskończone; jedni wierzą, że wszystko jest zawsze w ruchu, drudzy, że nigdy nic się nie ruszało; jedni, iż

wszystko powstaje i ginie, drudzy, że nic nigdy nie powstało, ani nie zginęło. Zwykł był także o tych sprawach rozważać w następujący sposób. Uczący się spraw ludzkich sądzą, że to, czego się nauczyli, będą mogli czynić sobie i komukolwiek zechcą innemu. Czy tak samo i ci, którzy dociekają spraw boskich, myślą, że poznawszy, według jakich praw natury wszystko powstaje, będą sprawiali, ilekroć zechcą, wiatry, deszcze, pory roku i w ogóle tym podobne zjawiska w razie potrzeby, czy też się tego zupełnie nie spodziewają, lecz zadowolą się poznaniem, jak każda z tych rzeczy powstaje?

Tak więc wyrażał się o tych, którzy zajmują się podobnymi rzeczami. Sam zaś zawsze rozprawiał o sprawach ludzkich, zastanawiając się nad tym, co pobożne, co bezbożne, co piękne, co szpetne, co sprawiedliwe, co niesprawiedliwe, co to roztropność, co szaleństwo, co męstwo, co tchórzostwo, co to państwo, co mąż stanu, co panowanie nad ludźmi, co to panujący nad ludźmi i o innych rzeczach, o których wiedza, zdaniem jego, prowadziła do doskonałości człowieka, a niewiedza ściągałaby na taką niewykształconą w tym kierunku jednostkę poniżenie zasłużone i nazwę niewolnika.

Że sędziowie mylny wydali sąd o nim w sprawie tych rzeczy, o których jego zapatrywania nie były znane, to nic dziwnego. Ale czyż równie nic dziwnego, jeżeli nie uwzględnili tego, o czym wszyscy wiedzieli? Został mianowicie raz członkiem Rady i złożył radziecką przysięgę, że będzie sprawował swój urząd według praw. Gdy został przewodniczącym, to chociaż lud pragnął wbrew prawu jednym głosowaniem skazać na śmierć dziewięciu wodzów razem, a mianowicie Trasylosa i towarzyszy, tudzież Erasinidesa, nie chciał poddać tego pod głosowanie, mimo iż lud gniewał się na niego, a wpływowi mówcy grozili. Ale on więcej dbał o dochowanie przysięgi aniżeli o przypodobanie się ludowi wbrew sprawiedliwości i o liczenie się z pogrozkami. Albowiem był przekonany, że bogowie dbają o ludzi nie w ten sposób, jak ludzie sobie myślą. Ci bowiem sądzą, że bogowie jedno wiedzą, drugiego nie wiedzą. Sokrates zaś mniemał, że bogowie wiedzą wszystko, tak to, co się mówi i czyni, jako też to, czego się skrycie pożąda, że są wszędzie obecni i w sprawie wszelkich rzeczy ludzkich dają ludziom znaki.

Dziwię się więc, jak też sędziowie ateńscy dali się przekonać, że Sokrates nie miał o bogach należytego zdania, on, który nic bezbożnego ani nie mówił, ani nie czynił, lecz tak się wyrażał i działał, że każdy, kto by tak mówił i postępował, nie tylko byłby najpobożniejszy, lecz także uchodziłby za takiego.

2. Obrona Sokratesa

(ciąg dalszy; I 2, 1–20; 24–28, 48–64)

Dziwna też wydaje mi się i ta okoliczność, że niektórzy dali się przekonać, jakoby Sokrates psuł młodzież, on, który prócz tego, co wyżej powiedziałem, największą z wszystkich ludzi odznaczał się wstrzemięźliwością, największą wytrzymałością na mróz i skwar i tak był nawykł do poprzestawania na małym, że jego nieznaczny majątek najzupełniej mu wystarczał. Jakżeż taki człowiek mógł wieść innych do bezbożności, bezprawia, łakomstwa, rozpusty, zniewieściałego unikania trudów? Przeciwnie, u wielu ludzi położył kres tym wadom, obudziwszy w nich pragnienie cnoty i okazawszy nadzieję, że przy pracy nad sobą dojdą do wszechstronnej doskonałości. Chociaż nigdy nie podawał się za nauczyciela cnoty, przecież przykładem swoim budził w tych, co z nim obcowali, nadzieję, że staną się tacy

sami, jak on, jeśli będą go naśladowali. Także i ciała sam nie zaniedbywał i nie pochwałał tego u innych. Potępiał nadmierne trudy połączone z nadmiernym jedzeniem, bo uważał, że człowiek tyle trawi należycie, ile z apetytem spożywa. Taki tylko sposób życia jest dostatecznie zdrowy i nie przeszkadza trosce o duszę. Lecz z pewnością nie był pełen wychuchanej i chępliwej wytworności, ani pod względem odzieży, ani obuwia i w ogóle całego sposobu życia. Również nie podniecał u swych towarzyszy pragnienia majątku. Kładł kres innym pragnieniom, a na tych, którzy jego towarzystwa pragnęli, nie robił majątku, gdyż uważał, że obywając się bez brania pieniędzy od nich, postępuje w sposób godny wolnego człowieka. Tych zaś, co za naukę pobierali zapłatę, nazywał niewolnikami, którzy sami siebie w niewolę zaprzędali, bo muszą rozprawiać z tymi, od których wzięli wynagrodzenie. Dziwił się nawet, że nauczyciel obiecujący nauczyć cnoty, bierze pieniądze, a nie uważa za największą nagrodę w przyszłości pozyskania dobrego przyjaciela; co więcej, obawia się, że uczeń, stawszy się ze wszech miar doskonałym, nie będzie okazywał największej wdzięczności. Sokrates zaś nigdy nikomu niczego takiego nie zapowiadał, a wierzył, że ci z towarzyszy, którzy przyjmą jego zasady, będą przez całe życie dla niego i dla siebie wzajemnie dobrymi przyjaciółmi. Jakżeby więc taki człowiek mógł psuć młodzież. Chyba że troszczyć się o cnotę znaczy psuć.

„Lecz, na Zeusa — mówił oskarżyciel — on budził u obcujących z nim lekceważenie istniejących praw, mówił mianowicie, że głupią jest rzeczą wybierać naczelników państwa za pomocą bobu, bo przecież nikt nie chciałby wybranego za pomocą bobu sternika, cieśli, flecisty i tym podobnych, chociaż błędy w tych rzeczach przynoszą szkodę o wiele mniejszą niż błędy w zarządzaniu państwem. Takie mowy — mówił oskarżyciel — zachęcają młodzież do nieszanowania istniejącej konstytucji i pobudzają ją do gwałtów”.

Ja natomiast sędzę, że ci, którzy ćwiczą swój rozum i uważają się za zdolnych do pouczenia współobywateli o rzeczach dla nich pożytecznych, są najmniej skłonni do czynów gwałtownych, bo wiedzą, że za gwałtem następują nienawiść i niebezpieczeństwa, przez przekonywanie zaś da się to samo osiągnąć bezpiecznie, po dobremu. Ci bowiem, przeciwko którym użyto siły, nienawidzą, bo czują się niejako ofiarami rabunku, przekonani zaś czują miłość, jak gdyby chcieli odwdziżyć się za doznane dobrodziejstwa. Przeto gwałt czynić nie jest rzeczą tych, którzy ćwiczą rozum, lecz tych, którzy posiadają siłę bez rozumu. A przecież i niemało pomocników potrzebowałby ten, który chce użyć gwałtu; kto zaś może przekonać, nie potrzebuje żadnego, gdyż może sobie ufać, że sam potrafi namówić. Także takim przychodzi jak najmniej na myśl zabijanie. Któż bowiem wolałby kogoś pozbawić życia, aniżeli żyjącego przekonać i mieć go na swoje usługi?

„Ale w każdym razie — mówił oskarżyciel — dwóch mężów, którzy obcowali z Sokratesem, Kritias i Alkibiades, wyrządziło państwu wiele złego”. Kritias bowiem spośród wszystkich oligarchów był największym chciwcem, najgwałtowniejszym okrutnikiem, Alkibiades zaś spośród wszystkich demokratów był najpochopniejszym do gwałtu i nie znającym miary swawolnikiem. Nie będę brał w obronę tych mężów, jeżeli coś złego państwu wyrządzili, wyjaśnię tylko ich stosunek do Sokratesa. Byli mianowicie, jak wiadomo, obaj ci mężowie już z natury bardzo ambitni, chcieli, by wszystko przez nich dochodziło do skutku, i pragnęli mieć największe imię ze wszystkich. Wiedzieli zaś, że Sokrates z największym zadowoleniem żył z bardzo małego majątku, był bardzo wstrzemięźliwy we wszystkich przyjemnościach i ze wszystkimi, którzy zapuścili się z nim w rozmowę, w toku mowy kierował według swego upodobania. Czyż wobec tego mógłby ktoś twierdzić, że oni, wiedząc to, szukali sposobności obcowania z Sokratesem, by naśladować jego tryb życia, mimo iż byli takiego usposobienia, jak wyżej powiedziałem, czy raczej, że starali się z nim obcować, ponieważ byli przekonani,

że obcując z nim, staną się bardzo biegli w mówieniu i działaniu? Ja, zaprawdę, sędzę, że gdyby im bóg dał do wyboru: albo przepędzić całe życie tak, jak je Sokrates pędził, albo umrzeć, obaj woleliby umrzeć. To poznać można z ich postępowania. Albowiem skoro tylko poznali, że są sprytniejsi aniżeli współtowarzysze, opuścili natychmiast Sokratesa i zajęli się sprawami państwowymi, dla której to czynności pragnęli nauki u Sokratesa.

Może więc powiedziałby ktoś na to, że Sokrates powinien był tych, którzy z nim przestawali, uczyć raczej cnoty panowania nad sobą niż polityki. Nie mam temu nic do zarzucenia, widzę jednak, że wszyscy nauczyciele nie tylko pokazują swoim uczniom, w jaki sposób sami to czynią, czego uczą, ale i usiłują im to uprzystępnąć wykładem. I tak, wiem, Sokrates okazywał się dla tych, którzy z nim przestawali, szlachetny i dobry i rozprawiał z nimi jak najpiękniej o cnocie i innych ludzkich sprawach. Wiem zaś także, że obaj owi mężowie, dopóki obcowali z Sokratesem, prowadzili się rozumnie, nie ze strachu, aby ich Sokrates nie ukarał albo nie wybił, lecz ponieważ wówczas uważali za najlepsze tak się zachowywać. Może by wielu z tych, którzy twierdzą, że są filozofami, mogło utrzymywać, że sprawiedliwy nigdy nie może stać się niesprawiedliwym, ani rozumny zuchwałym, ani każdy inny w tym, czego się uczył, nieukiem. Ja zaś myślę o tym inaczej. Widzę bowiem, że podobnie jak ci, którzy nie ćwiczą ciała, nie mogą sprawować cielesnych robót, tak też ci, którzy nie ćwiczą ducha, nie mogą podobać duchowym pracom. Nie stać ich bowiem na wykonanie obowiązku ani na wstrzymanie się od rzeczy zakazanej. Dlatego ojcowie trzymają swych synów, nawet gdy ci są rozsądni, mimo to z dala od złych ludzi, gdyż obcowanie z dobrymi uważają za ćwiczenie w cnocie, obcowanie zaś ze złymi za jej podkopywanie. Potwierdza to także jeden z poetów, który mówi:

Z dobrym przestając, sam dobrym się staniesz, a jeśli ze złymi
złączysz się, spaczysz wnet ten nawet rozum, co masz.

Istotnie tedy Kritas i Alkibiades, póki przestawali z Sokratesem, mogli, korzystając z takiego sprzymierzeńca, panować nad nieszlachetnymi namiętnościami; skoro tylko zaś rozłączyli się z nim, Kritias udał się do Tesalii i przestawał tam z ludźmi, którzy więcej posługiwali się bezprawiem niż sprawiedliwością, Alkibiades znowu, na którego wiele kobiet z dostojnych rodów wprost polowało z powodu jego piękności, którego wielu możliwych obywateli rozpieściło, a lud czcił, łatwo zajął pierwsze miejsce w państwie. Podobnie jak atleci w gimnicznych zapasach, osiągnąwszy łatwo pierwsze miejsce, zaniedbują ćwiczeń, tak i ów zaniedbał sam siebie. Cóż więc dziwnego, że obaj stali się butni, kiedy u nich obu tak się okoliczności złożyły, że byli dumni ze swego rodu i rozpieszczeni przez wielu ludzi, pysznili się bogactwem, nadymali się potęgą, a nadto, tym wszystkim zepsuci, już od dawna byli z dala od Sokratesa. A więc, jeżeli w czymś zblądzili, czyż oskarżyciel ma obwiniać za to Sokratesa? A czyż nie wydaje się oskarżycielowi, iż zasłużył na pochwałę za to, że gdy jeszcze byli młodzi i z natury bardzo mało rozsądni i powściągliwi, Sokrates ich uczynił mądrymi. Zaprawdę, tak się nie sądzi nigdy. Jakież bowiem flecista, lutnista lub inny nauczyciel, który swoich uczniów wykształcił, jest odpowiedzialny za to, jeżeli ci pójdą do innych i pogorszą się? Jakież ojciec, którego syn, obcując z kimś, stał się rozumny, później zaś, przestając z innymi, stał się zły, będzie obwiniął dawnego, a nie chwalił raczej o tyle więcej dawniejszego towarzysza, o ile syn jego między późniejszymi okazał się gorszy? Nawet ojcowie, gdy żyją razem z dziećmi, a dzieci popełniają błędy, nie są za to odpowiedzialni, jeżeli one same mają rozum. Tak po sprawiedliwości należało sądzić i o Sokratesie. Gdyby on sam popełnił był coś zdrożnego, słusznie byłby uchodził za złego; jeżeli

zaś on sam był zawsze cnotliwy, z jaką słusnością można by było przypisywać winę za to zło, którego nie czynił?

Natomiast Kriton, Chajrefont, Chajrekrates, Hermogenes, Symiasz, Kebes, Fedonides i inni byli przyjaciółmi Sokratesa; którzy z nim obcowali nie na to, aby stać się mówcami i rzecznikami, lecz aby doskonalić się w cnocie i móc spełniać swe obowiązki wobec domowników, krewnych, przyjaciół, państwa i obywateli. I żaden z nich ani w młodości, ani w starości nie tylko nie uczynił nic złego, lecz nawet nie ściągnął na siebie żadnego obwinienia.

„Ale Sokrates — mówił oskarżyciel — uczył, aby ojców znieważać, wmawiając w tych, którzy z nim obcowali, że uczyni ich mądrzejszymi od ojców; i mówił, iż według prawa wolno jest nawet ojca trzymać w więzach, jeżeli mu się wykaże szaleństwo, a stąd wyprowadzał wniosek, że słuszne jest, aby niewykształcony był trzymany w więzach przez mądrzejszego”. Sokrates jednak sądził, że ten, który drugiego z powodu jego niewiedzy wiąże, słusznie powinien być wiązany przez tych, którzy wiedzą to, czego on nie wie. I właśnie dlatego rozpatrywał często, o ile niewiedza różni się od szaleństwa, a co do szalonych sądził, że trzymanie ich w więzach jest rzeczą korzystną tak dla nich, jako też dla ich przyjaciół. O tych zaś, którzy nie umieją potrzebnych rzeczy, był zdania, że słusznie powinni się dać pouczyć takim, którzy to wiedzą.

„Ale Sokrates — twierdził oskarżyciel — nie tylko ojców, lecz także innych krewnych narażał na znieważanie przez tych, którzy z nim obcowali, twierdząc, że tak chorym, jak i procesującym się przynoszą pomoc nie krewni, lecz owym lekarze, tym zaś rzecznicy. Także co do przyjaciół mówił, że na nic nie przyda się ich życzliwość, jeśli nie potrafią także i pomóc. Tylko ci, twierdził on, zasługują na cześć, którzy wiedzą to, czego potrzeba, i zdołają to objaśnić innym. Ponieważ zaś wmówił w młodych ludzi, że on jest najmądrzejszy i najlepiej potrafi innych czynić mądrymi, doprowadził tych, którzy z nim obcowali, do tego, że u nich wszyscy w porównaniu z nim nic nie znaczyli”.

Ja wiem, że mówił to o ojcach, o innych krewnych i o przyjaciółach; a oprócz tego wspominał, że po wyjściu duszy, w której jedynie rozum mieszka, ciało najbliższego krewniaka jak najprędzej wynoszą i usuwają z oczu. Mówił także, że nawet za życia każdy ze swej własnej osoby, którą przecież nade wszystko kocha, już to sam usuwa, już to każe innym usuwać to, co jest dla ciała niepotrzebne i nieprzydatne. Tak usuwają sobie ludzie paznokcie, włosy i nabrzmiałości, i każą sobie także lekarzom wśród męczarni i bólów wycinać i wypalać, i muszą im jeszcze za to płacić. Także ślinę wypluwają z ust jak najdalej, gdyż na nic im się nie przydaje, a raczej szkodzi, gdy zostaje w ustach. Istotnie, mówił tak, ale nie w tym celu, by uczyć, że trzeba ojca żywcem pogrzebać i siebie samego kaleczyć. Lecz pokazując, że niemądry nie bywa szanowany, polecał zarazem starać się być jak najrozumniejszym i najpożyteczniejszym, ażeby nikt, kto życzy sobie mieć szacunek ojca, brata lub kogoś innego, nie był niedbały, polegając tylko na pokrewieństwie, lecz usiłował być pożytecznym dla tych, u których życzy sobie mieć poważanie.

Mówił także oskarżyciel, że on wybierał najgorsze zdania z najślawniejszych poetów i powołując się na takie świadectwa, wychowywał tych, co z nim obcowali, na złoczyńców i tyranów. Na przykład owo powiedzenie Hezjoda: „Czynność nigdy nie hańbi, lenistwo hańbi nieroba”, tłumaczył, że poeta zaleca nie stronić od żadnej czynności, choćby niesprawiedliwej lub haniebniej, ale i takie czyny wykonywać dla zysku. Sokrates zaś, zgodziwszy się na to zapatrywanie, że czynność jest dla ludzi pożytkiem i dobrem, bezczynność zaś szkodą i złem,

określał mianem czynnych pracowników tych, którzy robią coś dobrego, natomiast tych, co grają w kości lub w ogóle trudnią się jakimś nikczemnym i karygodnym zajęciem, nazywał nierobami. Zatem zupełnie słuszne byłyby słowa: „Czynność nigdy nie hańbi, lenistwo hańbi nieroba”.

„Często — powiada oskarżyciel — przytaczał ów ustęp z Homera, że Odyseusz:

...czy wodza, czy kogoś z przedniejszych spotyka,
Ujmuje go wymową słodkiego języka:
«Zacny mężu, nie stąpaj ludzi podłych śladem,
Wstrzymaj się, drugich twoim zatrzymaj przykładem».
Gdy z ludu kogoś spostrzegł, że upornie staje,
Tego berłem okłada i słowami łąje:
«Niebaczny! Siedź spokojnie, ta dłoń ciebie skarci,
Słuchaj drugich, co więcej niżli ty są warci!
Bojaźń i gnuśność w rzędzie najniższym cię kładzie,
Ni tyś w boju ceniony, ni poważny w radzie».

Otóż to tak tłumaczył, że poeta pochwała bicie jednostek z ludu i ubogich”.

Ale Sokrates tego nie mówił, bo przecież sądziłby, że trzeba by bić jego samego. Przeciwnie, twierdził, że takich, co ani słowem, ani czynem nie przynoszą w razie potrzeby pożytku ni wojsku, ni państwu, ni samemu ludowi, należy, zwłaszcza jeśli są przy tym zuchwali, trzymać w ryzach wszelkimi sposobami, choćby byli najbogatsi. Sokrates sam przecież, wprost przeciwnie jak oni, był człowiekiem z ludu, pełnym uczuć miłości dla ludzi. Zyskawszy wielu gorliwych uczniów między rodakami i obcokrajowcami, nigdy nie wziął zapłaty za to, że z nimi przestawał, lecz hojnie udzielał im ze skarbów swej wiedzy. Niektórzy z nich, dostawszy od niego malutką jej część za darmo, sprzedawali tę krzywą wiedzę za wielkie pieniądze i wcale nie byli takimi prostymi jednostkami z ludu jak on, bo nie chcieli rozprawiać z tymi, których nie stać było na zapłatę. Sokrates też przysparzał swemu miastu sławy u innych ludzi, i to znacznie więcej niż Lichas, który z tego rozgłos zyskał, państwu lacedemońskiemu. Lichas mianowicie przyjmował gościnnie w Lacedemonie w czasie Gymnopediów przybyłych cudzoziemców, a Sokrates przez całe życiełożył z jak największą hojnością ze swych skarbów, wspierając każdego, kto chciał. Prowadził bowiem swych przyjaciół na drogę doskonałości i kiedy żegnali się z nim, odchodzili doskonalsi.

Według mego więc mniemania Sokrates za to, że był takim mężem, zasługiwał ze strony państwa raczej na odznaczenie aniżeli na śmierć. Także w ustawach można to znaleźć, jeżeli się ktoś nad tym zastanowi. Według ustaw bowiem śmierć jest karą dla tych, którym udowodniono kradzież, obdzieranie, rzezimieszkostwo, włamanie się, trudnienie się sprzedażą ludzi w niewolę i świętokradztwo, od których to zbrodni żaden człowiek na świecie nie był dalej jak on. A wreszcie, co się tyczy państwa, nie ponosił on nigdy winy ani nieszczęśliwej wojny, ani buntu, ani zdrady, ani żadnego innego nieszczęścia. A tak samo w życiu prywatnym nie tylko nie pozbawił nigdy żadnego człowieka mienia ani nie wtrącił w nieszczęście, lecz nawet nigdy nie spotkał się z żadnym z wymienionych zarzutów. Jakże więc mógł być narażony na oskarżenie — on, który daleki był od nieuznawania bogów (jak to zarzucono mu w oskarżeniu), a przeciwnie, najwięcej z wszystkich ludzi czcił bogów; on, który nie tylko nie prowadził na bezdroża młodych ludzi, jak go o to obwiniał oskarżyciel, lecz nawet tych, którzy z nim obcowali, a mieli jakieś złe namiętności, od nich odwodził, a za

to zachęcał do postępowania drogą najpiękniejszej i najwspanialszej cnoty, jaka uszczęśliwia państwa i rodziny? A za takie postępowanie czyż nie był godny wielkiego zaszczytu ze strony państwa?

3. *O pobożności Sokratesa i umiarkowanym trybie jego życia*

(I 3, 1–8)

A teraz chcę opisać, o ile mi pamięć pozwoli, jak on korzystnie działał na swych towarzyszy, bądź to przykładem, jaki dawały jego czyny, bądź to nauką, jaką dawały jego rozmowy.

Otóż co się tyczy stosunku do bogów, wyznawał i wprowadzał w czyn takie zasady, które właśnie Pytia zaleca na pytania odnoszące się do składania ofiar, czci przodków i innych podobnych rzeczy. Pytia mianowicie głosi, że kto postępuje w tych wypadkach wedle praw obowiązujących w danym państwie, ten postępuje słusznie, a Sokrates właśnie sam tak czynił i drugich do tego zachęcał, uważając inne postępowanie za opaczne i głupie. W modłach swoich prosił bogów po prostu tylko o to, co jest „dobre”, w przekonaniu, że bogowie najlepiej wiedzą, co wychodzi na dobre. Uważał, że nie ma najmniejszej różnicy między prośbą o złoto, srebro, jedynowładztwo, a prośbą o walkę lub grę w kości; przecież przy tym wszystkim nie wiadomo, jaki będzie wynik.

Mimo że składał małe ofiary z małego mienia, nie sądził, że pozostaje w tyle poza tymi, co składają bogate ofiary z wielkiego majątku. „Byłoby to nie bardzo ładnie — mawiał — gdyby bogowie więcej się radowali wielkimi ofiarami niż małymi. W takim razie bowiem milsza by im była nieraz ofiara podłego człeka niż uczciwego. Nie warto by też było żyć, gdyby dary podłych ludzi były bogom milsze niż ofiary ludzi uczciwych”. Jego zdaniem, najmilsza bogom ofiara najpobożniejszych, toteż bardzo chwalił owo zdanie poety:

Wedle swojej możliwości czyn bogom odwiecznym ofiary.

Także w stosunkach z przyjaciółmi i cudzoziemcami, z którymi nas łączy związek gościnności, i w ogóle w życiu uważał za piękną ową wskazówkę: „wedle swych sił czynić”. Jeśli uważał, że mu bogowie objawili jakiś znak, to już łatwiej można by go było namówić, by wziął ze sobą w drogę ślepego i nieobeznanego z okolicą przewodnika, niż skłonić do postępowania wbrew objawionym znakom. Głupotę zarzucał wszystkim tym, którzy w obawie, by nie zepsuć u ludzi dobrego mniemania o sobie, postępują wbrew objawionym boskim wskazówkom. On sam wobec boskiej porady patrzył z góry na wszelkie ludzkie zdania.

Duszę i ciało przyzwyczaił do takiego trybu życia, że każdy człowiek, o ile by nie zaszły jakieś nadzwyczajne okoliczności, mógłby odważnie i z pewnością siebie wieść tym trybem żywot, a wydatki nie stanowiłyby dla niego kłopotu. Miał bowiem tak skromne potrzeby, że nie wiem, czy ktoś mógł zarobić tak mało, by jego dochody nie wystarczały na Sokratesowe utrzymanie. Pokarmu mianowicie spożywał tyle, ile go mógł jeść z przyjemnością, a do jadła przygotowywał się w ten sposób, że głód służył mu za przyprawę. Każdy napój był dlań przyjemny, skutkiem tego, że nie pił, jeżeli nie czuł pragnienia. Ilekroć na zaproszenie przychodził na ucztę, z największą łatwością mógł się ustrzec tego, co dla większości ludzi

jest tak trudne, to jest opychania się aż do przesyty. Tym, co nie mogli do tego doprowadzić, doradzał wystrzegać się rzeczy podniecających do jedzenia bez głodu i do picia bez pragnienia, gdyż to, mawiał, działa ujemnie na żołądek, na głowę i na duszę. Zdaniem jego, mówił żartem, i Kirke zmieniała ludzi w wieprze, goszcząc ich obficie takimi przysmakami. A Odyseusz tylko dlatego nie zmienił się w wieprza, ponieważ wstrzymał się i nie tknął, nie czując głodu, tych przysmaków, dzięki wskazówkom Hermesa i swej własnej wstrzeźliwości. Tak to rozprawiał o tym, na wpół żartem, na wpół serio.

4. *O przestawianiu na małym*

(I 6, 1–10)

Nie należałoby też pominąć jego rozmowy z sofistą Antyfontem. Antyfont mianowicie, chcąc przeciągnąć na swoją stronę jego towarzyszy, przystąpił pewnego razu do Sokratesa w ich obecności i tak się odezwał:

— Ja myślałem, Sokratesie, że zajmujący się filozofią powinni się stawać szczęśliwsi, ale jak widzę, twój zysk z filozofii to coś wręcz przeciwnego. Przynajmniej żyjesz tak, że w takim trybie życia ani jeden niewolnik nie wytrzymałby u swego pana. Spożywasz najpodlejsze jadła i napoje, odziewasz się płaszczem nie tylko lichym, ale i tym samym w lecie i w zimie, wiesznieś bosy i bez wierzchniej szaty. Pieniądzy nawet nie bierzesz, których nabywanie sprawia radość, a nabycie pozwala żyć swobodniej i wygodniej. Jeśli więc kształcisz swych towarzyszy swym wzorem, podobnie jak i inni nauczyciele wskazują siebie jako wzór do naśladowania, to przyjmij do wiadomości, że jesteś nauczycielem nędzy.

Sokrates odpowiedział na to:

— Jak widzę, jesteś, Antyfonie, tak przekonany o nędznym trybie mego życia, że wolałbyś, jestem pewny, umrzeć niż żyć tak, jak ja. Pozwól więc, zastanówmy się, coś ty takiego uciążliwego zauważył w moim sposobie życia. Może to, że nie biorąc zapłaty, nie widzę się zmuszony rozprawiać z kimś wbrew mojej woli, gdy tymczasem ci, co biorą pieniądze, muszą odrabiać to, za co wzięli zapłatę? A może pożywienie moje dlatego uważasz za nędzne, że jem potrawy mniej zdrowe i mniej pożywne niż ty? A może dlatego, że moje potrawy trudniej nabyć niż twoje, gdyż są rzadsze i droższe? Może to, co ty przygotujesz, smakuje ci lepiej niż mnie moje zapasy? Wiesz przecie, że najmniej przysmaków potrzebuje ten, który je z największą przyjemnością, a najmniej pożąda rzadkich napojów ten, kto pije z największą przyjemnością. Kto zmienia szaty, czyni to, jak ci wiadomo, ze względu na chłód lub skwar; obuwie wdziewają ludzie, nie chcąc razić lub kaleczyć stóp, gdyż to przeszkadzałoby im w chodzeniu. Czy widziałeś kiedyś, bym z powodu zimna więcej musiał przebywać w domu niż ktoś inny, czy z powodu skwaru biłem się z kimś o cień, czy może skutkiem bólu stóp nie chodzę, dokąd mi się podoba? Czy nie wiesz tego, że słabsi z natury, ale zahartowani nad najmocniejszymi, którzy zaniedbali hartowania się, górują w tym właśnie, w czym się ćwiczyli, i łatwiej to znoszą? Czy myślisz, że ja, który zawsze hartowałem ciało na wszystkie dolegliwości, nie znoszę wszystkiego łatwiej niż ty, który nigdy o to nie dbałeś? Czemu nie jestem niewolnikiem brzucha, snu lub rozpusty? Powód w tym tylko, że mam inne większe przyjemności, sprawiające rozkosz nie tylko wtedy, kiedy się z nich korzysta, ale także obiecujące korzyść na zawsze. I to przecie wiesz, że nie odczuwa radości człowiek przekonany, że mu się w niczym nie powodzi, ludzie zaś mniemający, że im się dobrze

wiedzie, czy to w rolnictwie, czy w żeglarsztwie, czy w innym jakimś zajęciu, któremu się właśnie oddają, doznają radości w poczuciu swego powodzenia. Czy sądzisz, że to wszystko tak samo wielką radość przynosi jak świadomość stawania się coraz doskonalszym i zyskiwania sobie coraz droższych druhów w swych przyjaciółach przez to, że i ich także się doskonalili? Ja bo ciągle żyję w tej świadomości. A już jeśli wypadnie pomagać przyjaciołom lub państwu, to kto ma więcej do tego sposobności: ten, który żyje jak ja, czy ten, co żyje trybem przez ciebie zachwalanym? Kto z większą łatwością weźmie udział w wyprawie wojennej: ten, który nie może żyć bez drogocennych potraw, czy ten, któremu starczy to, co pod ręką? Kto łatwiej przetrzyma oblężenie: ten, kto nie może się obejść bez rzeczy, o które niesłychanie trudno się wystarać, czy człowiek zadowolony tym, co się trafi? Mnie się wydaje, Antyfoncie, iż ty mienisz szczęściem zbytek i wystawne życie. Ja natomiast mniemam, że czymś boskim jest nieodczuwanie żadnej potrzeby, odczuwanie zaś potrzeb jak najmniejsze jest najbliższe boskiej doskonałości. To, co jest boskie, jest najwyższą doskonałością, to, co najbliższe boskości, najbliższe najwyższej doskonałości.

5. *Herakles na rozstajnej drodze*

(II 1, 21–34)

Mędrzec Prodikos w swej rozprawie o Heraklesie, której wygłaszaniem popisuje się przed bardzo wieloma słuchaczami, powiada, że Herakles, dorastając do wieku, w którym młodzieńcy stają się już samodzielni i okazują, czy w dalszym życiu wstąpią na drogę cnoty, czy też na drogę nieprawości, wyszedł w ustronne miejsce i usiadł w niepewności, którą z obu dróg ma obrać? Wtem wydało mu się, że zbliżają się do niego dwie niewiasty wysokiej postaci. Jedna była pięknej powierzchowności i szlachetnej natury, ciało jej zdobiła czystość, oczy wstydlivość, a postawę skromność i biała szata. Druga zaś była dobrze odżywiona, aż prawie tłusta i bujnych kształtów, uszminkowana tak, że wydawała się bielsza i bardziej rumiana, niż rzeczywiście była, postawy zaś takiej, że wydawała się więcej niż naturalnie wyprostowana. Oczy miała szeroko otwarte, a suknię taką, że przez nią przebijała się jak najwięcej jej uroda. Przyglądała się sama sobie raz po raz i patrzyła, czy ktoś drugi przypatruje się jej, często też spoglądała na swój własny cień.

Gdy się zbliżały do Heraklesa, pierwsza szła, nie zmieniając spokojnego kroku, dalej, druga zaś, chcąc ją wyprzedzić, przybiegła do Heraklesa i rzekła:

— Widzę, Heraklesie, że wahasz się, jaką drogę masz obrać na przyszłe życie. Jeżeli więc mnie uczynisz przyjaciółką, poprowadzę cię najprzyjemniejszą i najwygodniejszą drogą, zakosztujesz wszelkich przyjemności i przez całe życie nie zaznasz kłopotów. Przede wszystkim nie będziesz się troszczył o wojny ani o inne czynności, lecz ustawicznie jedyną twą troską będzie rozważać, jaka potrawa lub napój smakować ci będzie, co masz widzieć lub słyszeć, żeby cię to zachwycało, albo co masz wachać i czego dotykać, aby cię to cieszyło, i jakbyś się najmięcej wyspał, i jak zupełnie bez trudu wszystko to możesz osiągnąć. Jeżeliby zaś kiedyś nastąpiła obawa niedostatku i myśl, skąd to wszystko będzie, nie lękaj się, iżbym cię tam zaprowadziła, skąd byś czerpał na to środki wśród trudów i biedzenia się ciała i duszy, lecz będziesz korzystał z cudzej pracy, nie pomijając żadnej sposobności, z której by można wyciągnąć jakiś zysk. Zewsząd bowiem ciągnąć korzyści pozwalam tym, którzy ze mną przestają.

A Herakles, usłyszawszy to, rzekł:

— O niewiasto, jakże ci na imię?

Ona zaś odpowiedziała:

— Moi przyjaciele nazywają mnie Szczęśliwością, a oszczercy, którzy mnie nienawidzą, szkalując mnie, nazywają Nieprawością.

W tej chwili druga niewiasta, zbliżywszy się, rzekła:

— Ja też przychodzę do ciebie, Heraklesie, gdyż znam twoich rodziców i poznałam twoją naturę podczas twego wychowania. To budzi we mnie nadzieję, że, jeśli zwrócisz się na moją drogę, na pewno dokonasz pięknych i wspaniałych czynów, a ja okażę się jeszcze o wiele więcej poważana i wspanialsza z powodu mych darów. Nie będę cię jednak łudziła przynętami rozkoszy, lecz, jak właśnie z woli bogów wygląda rzeczywistość, po prawdzie ci skreślę. Mianowicie nic z tych rzeczy, które są istotnie dobre i piękne, nie dają bogowie ludziom bez trudu i starania, lecz czy to chcesz, aby bogowie byli dla ciebie łaskawi, musisz bogów czcić, czy to życzysz sobie być przez przyjaciół kochany, musisz dobrze czynić przyjaciołom, czy to pragniesz być szanowany przez jakieś państwo, trzeba państwu być użytecznym, czy to pragniesz z powodu cnoty być podziwiany w całej Helladzie, musisz starać się zasłużyć się około Hellady, czy to chcesz, aby ci ziemia wydała obfite plony, musisz ziemię uprawiać, a jeżeli sądzisz, że trzody cię wzbogacą, trzeba otaczać troską trzody. Jeśli zamierzasz stać się wielki za pośrednictwem wojny, chcesz być potężny, uwalniać przyjaciół, a wrogów zwyciężać, to musisz nie tylko nauczyć się prawideł sztuki wojennej u znawców, lecz także ćwiczyć się, jak je trzeba zastosować; jeżeli wreszcie chcesz być silny na ciele, musisz przyzwyczaić ciało do posłuszeństwa i wzmacniać je wśród trudów i potu.

Tutaj Nieprawość — opowiada Prodikos — przerwawszy jej mowę, rzekła:

— Pojmujesz, Heraklesie, jak trudną i daleką drogę do uciech wskazuje ci ta niewiasta? Ja zaś zaprowadzę cię do szczęśliwości drogą łatwą i krótką.

Wtedy rzekła Cnota:

— O nieszczęsna! Co ty masz dobrego? Jakąż znasz przyjemność? Ty, co nawet nie wyczekujesz żądzy czegoś przyjemnego, lecz zanim masz żądzę, już się wszystkim opychasz, jesz, zanim masz głód, pijesz, nim czujesz pragnienie; abyś jadła z ochotą, starasz się dla siebie o kucharzy, abyś zaś przyjemnie piła, sprowadzasz drogie wina, i w lecie uganasz za śniegiem; byś przyjemnie spała, sporządzasz sobie nie tylko miękkie posłanie, lecz także łoża i kołyszące się podstawy pod łoża, albowiem nie z powodu trudów, lecz dlatego, że nie masz nic do czynienia, pragniesz snu. Chociaż jesteś nieśmiertelna, mimo to wykluczyli cię bogowie ze swego grona, ludzie zaś dobrzy pogardzają tobą. Co najwyższą jest dla ucha rozkoszą, tego nie słyszysz, to jest pochwały swojej osoby, co zaś najprzyjemniejszym jest nade wszystko widokiem, tego nie widzisz: nigdy bowiem nie oglądałaś swego pięknego dzieła. Któż by ci wierzył, jeżeli coś mówisz? Któż by ci pomógł w razie potrzeby? Kto rozumny odważyłby się należeć do twego grona? Twoi wielbiciel, choć młodzi, są już na ciele słabi, zostawszy zaś starcami, głupieją na duchu. Bez pracy, połyskując od wonnych olejków, pędzą przez młodość, zbrukani zaś z trudnością tylko wloką się przez starość,

wstydząc się tego, co uczynili, a dręcząc się tym, co muszą czynić, gdyż przebiegłszy szybko przez rozkosze w młodości, zachowali sobie na starość kłopoty. Ja natomiast obcuję z bogami, obcuję z dobrymi ludźmi; żadne piękne dzieło, ani boskie, ani ludzkie, nie dochodzi beze mnie do skutku. Jestem nade wszystko szanowana nie tylko u bogów, lecz także u ludzi, których szacunek chlubę przynosi, jestem pożądaną współpracowniczką dla artysty, wierną stróżką dla pana domu, życzliwą orędowniczką niewolników, dobrą pomocnicą trudów podczas pokoju, pewną współtowarzyszką czynów w wojnie i najlepszą towarzyszką przyjaźni. Doznają zaś moi przyjaciele przyjemności z używania potraw i napojów, i to bez żadnego zachodu: czekają bowiem tak długo, aż będą ich łaknąć. Sen jest dla nich słodszy, aniżeli dla tych, którzy się nie trują, i ani nie gniewają się, porzucając go, ani dla niego nie zaniedbują obowiązków. I młodzi cieszą się pochwałami starszych, starcy zaś szczycą się oznakami czci młodzieńców i z przyjemnością przypominają sobie nie tylko dawne czyny, lecz także cieszą się teraźniejszymi. Zażywają przy tym szczęścia, gdyż dzięki mnie są mili bogom, drodzy przyjacielom, przeze mnie zażywają szacunku w swych ojczyznach. Gdy zaś nadejdzie przeznaczony kres życia, nie leżą w zapomnieniu i bez czci, lecz wiecznie kwitnie ich pamięć w pieśni. Jeżeli więc, Heraklesie, synu szlachetnych rodziców, będziesz usilnie pracował przez całe życie, zasłużysz sobie na najbardziej błogą szczęśliwość.

Tak mniej więcej opowiada Prodikos o wychowaniu Heraklesa przez Cnotę, ale ozdobił swe zdania piękniejszymi zwrotami niż ja. Weź to sobie do serca, Arystypie, gdyż wypadałoby ci próbować myśleć, jaka cię przyszłość w życiu czeka.

6. *O miłości braterskiej*

(II 3)

Zauważył raz Sokrates, że dwaj bracia, a jego znajomi, Chajrefont i Chajrekrates, żyją w niezgodzie. Spotkawszy przypadkiem Chajrekratesa, rzekł:

— Powiedz mi, Chajrekratesie, ty chyba nie należysz do tych ludzi, którzy uważają majątek za coś pożyteczniejszego niż braci? Przecież majątek jest rzeczą bezrozumną, a brat jest istotą rozumną, majątek wymaga opieki, a brat potrafi dać opiekę, a do tego wszystkiego na majątek składa się wiele rzeczy, a brat jest tylko jeden. I to jest dziwne, jeśli ktoś uważa, że ponosi stratę przez braci, bo nie posiada własności brata, a nie uważa, że traci przez innych obywateli, których własność mógłby posiadać. W tym drugim wypadku potrafi rozumować, że mieszkać wśród większej ilości ludzi i bezpiecznie posiadać tyle, ile wystarczy do życia, jest lepiej, niż wśród niebezpieczeństw posiadać całą własność obywateli. Kiedy zaś idzie o braci, to tego samego nie rozumie. Ci, których stać na to, kupują sobie niewolników, aby mieć pomoc w pracy, starają się o przyjaciół, bo potrzebują podpory, a o braci nie dbają, tak jakby ze współobywateli można było mieć przyjaciół, a z braci nie. A przecież dla przyjaźni wiele znaczy to, że się pochodzi z tych samych rodziców, wiele znaczy to, że się odbierało wspólne wychowanie, bo i u dzikich zwierząt wytwarza się u współwychowanków pewne przywiązanie i jedno tęskni za drugim. Dodajmy do tego, że i reszta ludzi więcej szanuje takich, co mają braci niż osamotnionych, i mniej na nich nastaje.

Chajrekrates odpowiedział:

— Ależ, Sokratesie, jeśli powód niezgody był niewielki, to może by powinno się znosić brata i nie unikać go z powodu drobnych nieporozumień. Albowiem brat taki, jak się należy, jest czymś dobrym, jak i ty to mówisz. Kiedy jednakowoż brak mu wszystkiego, by być takim bratem, i kiedy jest wprost najzupełniejszym jego przeciwieństwem, to cóż poczniesz wobec niemożliwości?

— Czy Chajrefont nie może się nikomu przypodobać, Chajrekratesie, tak samo jak i tobie, czy też są tacy, którym się bardzo podoba?

— Dlatego właśnie, Sokratesie, zasłużył sobie na nienawiść z mojej strony, że innym potrafi się podobać, a mnie na każdym miejscu, gdzie by tylko był, i słowem, i czynem przynosi raczej szkodę niż pomoc.

— Czy może to nie tak jak z koniem? Jeśli ktoś nie zna się na koniach, a usiłuje się koniem posługiwać, to dozna szkody. Tak i brat przynosi szkodę, jeśli z nim żyje ktoś, kto się na pożyciu braterskim nie rozumie.

— Jakżebym ja miał się nie rozumieć na pożyciu braterskim, skoro właśnie umiem dobrym słowem odpłacić się za dobre słowo i dobrym czynem za dobry czyn? Kto jednakowoż usiłuje mnie martwić słowem lub czynem, takiemu nie potrafiłbym dać dobrego słowa lub coś dobrego zrobić, a nawet nie będę tego próbował.

— Dziwne rzeczy opowiadasz, Chajrekratesie. Jeślibyś miał dobrego psa owczarskiego, który by się pasterzom łasił, a na twoje nadejście okazywał rozdrażnienie, to nie dbałbyś o swój gniew, lecz starałbyś się go po dobremu obłaskawić. A wobec brata nie usiłujesz nic wymyślić, żeby był dla ciebie jak najlepszy, choć twierdzisz, że brat taki, jak należy, byłby dla ciebie wielkim dobrem, i przyznajesz, że umiesz się zdobyć na dobry czyn i na dobre słowo.

— Boję się, Sokratesie, że może nie mam tak wielkiej mądrości, żebym mógł z Chajrefonta zrobić takiego, jaki być powinien.

— Ależ nie trzeba na niego żadnych zawitych lub nadzwyczajnych sposobów, jak mi się zdaje. Sądzę, że i ty sam potrafiłbyś ująć go tym, co umiesz, i ceniłby cię wysoko.

— Może mi lepiej zaraz powiesz, czyś zauważył, że ja znam jakiś lubczyk i sam nie jestem świadom tego, co wiem.

— Powiedzże mi: co byś zrobił, jeślibyś chciał, by ktoś ze znajomych zapraszał cię na uczty ofiarne?

— Sam bym go pierwszy naprzód zaprosił na ucztę podczas składania ofiar; to jasne.

— A jeślibyś chciał skłonić jakiegoś przyjaciela, by zaopiekował się twoim majątkiem na czas twego wyjazdu — co byś zrobił?

— Usiłowałbym wprzód zaopiekować się jego majątkiem, ilekroć by się udawał w podróż; to jasne.

— A jeślibyś chciał, by cudzoziemiec przyjął cię jako gościa, ilekroć przybyłbyś do jego kraju — co byś zrobił?

— I tego bym pierwszy zawsze przyjmował, ilekroć przybyłby do Aten; to jasne. I jeślibym chciał, żeby gorliwie załatwiał sprawy, dla których przybyłem, to jest jasne, że musiałbym sam naprzód robić to dla niego.

— To ty kryłeś się z tym, że od dawna znasz wszelkie lubczyki w ludzkich stosunkach. A może wahasz się zacząć, abyś sobie w oczach innych ujmy nie zrobił, jeżeli pierwszy wyświadczysz bratu coś dobrego. A przecież ten mąż uchodzi za godnego najwyższej pochwały, który uprzedzi nieprzyjaciół w wyrządzaniu szkody, a przyjaciół w świadczeniu dobrodziejstw. Gdyby mi się zdawało, że Chajrefont jest odpowiedniejszy od ciebie do nabrania takiego usposobienia, jego starałbym się nakłonić, by pierwszy usiłował zyskać w tobie przyjaciela. Tymczasem mnie się zdaje, że to ty, jeślibyś zaczął, prędzej byś dopiął swego.

— Co za dziwactwa prawisz, Sokratesie, i całkiem ci z tym nie do twarzy! To ty mi każesz, bym ja zaczynał, ja, młodszy? Przecież ogólne ludzkie zapatrywanie głosi coś wręcz przeciwnego: starszy brat ma zaczynać we wszystkim, i w czynie, i w słowie.

— Jak to? Czy wszędzie nie panuje zapatrywanie, że młodszy starszemu ma ustąpić z drogi, kiedy się spotkają, i wstać przed nim ze stołka, oddać mu cześć odstąpieniem miękkiego łóża, ustąpić mu w mowie. Nie wahaj się, mój kochany, ale staraj się go ułagodzić, a on cię bardzo skoro posłucha. Czyż nie widzisz, jak jest ambitny i szlachetny? Bo lichego człowieczyny nie potrafisz bardziej ująć w inny sposób, jak tylko dawszy mu coś, u ludzi zaś pięknych i dobrych najprędzej dopniesz swego, jeśli się będziesz do nich odnosił po przyjacielsku.

— A jeśli mimo takiego postępowania z mojej strony on w niczym się nie zmieni na lepsze?

— To cóż na tym stracisz? Udowodnisz tylko, żeś pełen szlachetności i miłości dla brata, a tamten jest lichą jednostką, niewartą dobroci. Ale niczego takiego się nie spodziewam. Bo mniemam, że skoro zauważy twe wyzwanie do tego wyścigu, będzie współzawodniczył z tobą, by pobić cię na polu dobrego słowa i czynu. Teraźniejszy wasz wzajemny stosunek to tak, jak gdyby obie ręce, które bóg stworzył, by sobie wzajemnie pomagały, zaniechawszy tego, zabrały się do przeszkadzania sobie wzajemnie, albo jak gdyby nogi, przeznaczone do pomagania sobie wzajemnie, zaniechały tego i zawadzały jedna drugiej. Nie byłoby to ogromną głupotą i szaleństwem używać na szkodę tego, co zostało stworzone na pożytek? A przecież braci, jak mi się zdaje, stworzył bóg na większy wzajemny pożytek niż obie ręce, i nogi, i oczy, i tak dalej, jeśli jeszcze stworzył coś u ludzi po parze. Bo ręce, jeśliby miały wykonać coś razem, nie mogłyby tego oddalone od siebie więcej niż na sążeń, a nogi nawet na rozwartości sążnia nie mogłyby razem stanąć, a oczy, nawet one, które rzekomo najdalej sięgają, nie mogą i na najbliższą przestrzeń równocześnie widzieć z przodu i z tyłu; a dwaj kochający się bracia nawet w wielkim oddaleniu od siebie działają razem i na wzajemny pożytek.

7. *O wartości przyjaciół*

114

(II 4; 5; 8; 9; 10)

Słyszałem pewnego razu jego rozprawę o przyjaciółach, z której, jak mi się zdaje, mógłby niejeden wielką mieć pomoc w nabywaniu umiejętności pozyskania przyjaciół, jako też obchodzenia się z nimi.

— Wprawdzie — mówił on — można słyszeć od wielu, że prawdziwy i dobry przyjaciel jest bez wątpienia najcenniejszym ze wszystkich dobytkiem, widzi się jednak, jak bardzo wielu troszczy się więcej o wszystko inne niż o pozyskanie przyjaciół. O domy bowiem, role, niewolników i sprzęty stara się każdy (można się o tym przekonać na własne oczy) bardzo skrzętnie, jak również o zachowanie swego mienia. Przyjaciela jednak, którego przecież nazywają największym skarbem, bardzo wielu ani się nie stara pozyskać, ani pozyskawszy, dla siebie zatrzymać. A nawet gdy równocześnie chorują przyjaciele i niewolnicy, widzi się, jak wielu woła do niewolników lekarzy na pomoc i wszystko, co tylko do ich wyzdrowienia potrzebne, troskliwie sprowadza, o przyjaciół zaś mało się troszczy. W razie śmierci obu smućą się z powodu zgonu niewolnika, gdyż uważają to za stratę, co się zaś tyczy przyjaciół, sądzą, że nic nie stracili. Także z innych przedmiotów, jakie posiadają, niczego nie pozostawiają bez pilnej troski i uwagi, ale o przyjaciół, gdy ci jej potrzebują, nie dbają. Także widzi się oprócz tego, że bardzo wielu wie, ile posiada, chociażby tego dobytku było bardzo dużo, ilości zaś swych przyjaciół, choćby ich było mało, nie tylko nie znają, ale nawet kiedy, zapytani o to, chcą ich wyliczyć, odejmują na powrót tych, których dopiero co do przyjaciół zaliczyli. Tak to troszczą się o swych przyjaciół. A jednak czy istnieje jakieś mienie, w porównaniu z którym nie okaże się dobry przyjaciel o wiele droższy? Jakież bowiem koń, jakież bydlę pociągowe jest tak pożyteczne, jak uczciwy przyjaciel? Jaki niewolnik tak życzliwy i wierny? Jaki inny dobytek tak nade wszystko cenny? Dobry bowiem przyjaciel oddaje się dobrowolnie przyjacielowi na usługi wszędzie tam, gdzie brak jakiś dokucza, tak w załatwieniu spraw domowych, jako też państwowych, i jeżeli gdzie trzeba komuś uczynić dobrze, dołącza swe siły. Jeżeli kogoś niepokoi obawa, śpieszy z pomocą w wydatkach lub w pracy, pomaga to prośbą, to siłą, w szczęściu zaś najbardziej rozwesela, a w nieszczęściu najczęściej wspiera. W czym tylko ręce komuś pomagają, co oczy widzą, uszy słyszą i nogi skuteczniają, w żadnej z tych rzeczy przyjaciel nie ociąga się z pomocą. Często jeżeli ktoś czegoś dla siebie nie wykonał, nie dopatrywał, nie usłyszał lub nie uskutecznił, zrobił to przyjaciel za przyjaciela. Lecz mimo to niektórzy usiłują pielęgnować drzewa dla owoców, o najcenniejszy jednak dobytek, który nazywa się przyjacielem, bardzo wielu troszczy się leniwie i opieszale.

Słyszałem raz także inną jego rozmowę, która, jak mi się zdawało, pobudziła wszystkich słuchaczy do badania siebie, ile też każdy wart jest dla przyjaciół. Zauważywszy bowiem u jednego ze swych zwolenników zupełny brak troski o przyjaciela trapionego ubóstwem, zapytał Antystenesa w obecności tego, który nie troszczył się, i wielu innych:

— Czy są, Antystenesie, na przyjaciół pewne ceny, podobnie jak na niewolników? Między niewolnikami bowiem jeden wart jest dwie miny, drugi nawet połowy nie, trzeci pięć, niejeden nawet dziesięć. Co więcej, Nikiasz, syn Nikerata, miał aż cały talent zapłacić za dozorcę swych kopalni srebra. Pytam więc, czy może, jak na niewolników, są także na przyjaciół ustanowione ceny?

— Tak, na Zeusa — rzekł Antystenes — ja przynajmniej wolałbym mieć niejednego przyjacielem, niż posiadać dwie miny, innego znowu nie oceniłbym nawet na pół miny, trzeciego wolałbym mieć raczej niż dziesięć min, a czwartego kupiłbym sobie na przyjaciela za wszystkie skarby świata.

— A więc — rzekł Sokrates — jeżeli tak jest, byłoby dobrze, żeby każdy siebie wybadał, ile jest wart dla przyjaciół, i aby starał się być dla nich bardzo cennym, by go przyjaciele tak łatwo nie porzucali. Słyszę bowiem często o niejednym, że go przyjaciel opuścił, o innym znowu, iż człowiek, którego on uważał za przyjaciela, poświęcił go dla jednej miny. Rozważając to wszystko, zastanawiam się, czy nie jest pożyteczne pozbyć się złego przyjaciela, jeżeli można za niego dostać więcej aniżeli wart, podobnie jak ktoś wystawia na sprzedaż złego niewolnika i za wszelką cenę chce go się pozbyć. Nie widzę jednak, żeby się sprzedawało zacnych niewolników lub porzucano dobrych przyjaciół.

Raz znowu, spotkawszy innego starego przyjaciela po długim niewidzeniu, spytał:

— Skąd się zjawiasz, Euterocie?

— Pod koniec wojny wróciłem, Sokratesie, z obczyzny, a teraz już tu przebywam. Od kiedy bowiem straciłem swe zagraniczne posiadłości, a ojciec w Attyce nic mi nie zostawił, jestem teraz po moim powrocie zmuszony pracą rąk swoich zarabiać na życie. Widzi mi się to lepsze, niż prosić kogokolwiek, tym bardziej, że i tak nic nie posiadam, na co mógłbym dostać pożyczkę.

— A na jak długo, myślisz, starczy ci siły do utrzymania się z pracy rąk swoich, którymi zarabiasz na życie?

— Zeus mi świadkiem, że nie na długo.

— W takim razie, gdy się zestarzejesz, nikt ci nie zechce płacić ni korzystać z twojej pracy, a przecież będzie ci trzeba grosza na wydatki. To chyba jasne.

— Prawdę mówisz.

— A czy nie byłoby to lepiej próbować tu w kraju takiej pracy, do której by i w starszym wieku sił nie brakło? Mógłbyś przyjąć obowiązki u takiego, co ma bardzo duży majątek i poszukuje pomocnika skutkiem zbyt wielu kłopotów. Miałbyś dopilnowywać roboty, pomagać panu przy zwożeniu plonów i razem z nim doglądać dobytku. Tak i przysłużyłbyś się drugiemu, i sam miałbyś z tego korzyść.

— Ciężko by mi było, Sokratesie, wytrzymać na stanowisku niewolnika.

— A przecież ci, co kierują pracami w państwach i doglądają mienia publicznego, nie zniżają się do stanu niewolniczego, tylko uchodzą za ludzi cieszących się doskonalszą wolnością.

— W ogóle, Sokratesie, nie bardzo lubię podlegać komuś i mieć obowiązek zdawania przed nim rachuby, czy nawet konieczność usprawiedliwiania się czasem.

— A przecież niełatwo, Euterocie, znaleźć zajęcie, przy którym nigdy nie zaszłaby potrzeba usprawiedliwiania się. Trudno bowiem coś tak zrobić, żeby w niczym nie zbłądzić, lub

choćby się nawet nie zbłądziło, niełatwo natrafić na niegłupiego człowieka, który by to ocenił. Dziwię się też bardzo, jeżeli przy swojej dzisiejszej pracy potrafisz przez cały czas uniknąć zarzutów. Trzeba więc starać się unikać ludzi ganiących z zamiłowania, a szukać takich, u których się można spotkać z wdzięcznym uznaniem. Podejmuj się takiej pracy, jaką zdołasz wykonać, a wystrzegaj się takiej, do jakiej się nie nadajesz; co zaś robisz, staraj się robić jak najlepiej i najgorliwiej. W ten sposób jak najrzadziej zobaczysz się w konieczności usprawiedliwiania się, jak najszybszą znajdziesz pomoc w potrzebie, a nawet łatwo i bez niebezpieczeństwa będziesz mógł doczekać starości, nie skarżąc się na brak środków do życia.

Pewnego razu słyszał, jak mi wiadomo, skargę Kritona, że ciężkie jest w Atenach życie człowieka pragnącego się poświęcić spokojnie swym zajęciom.

— Teraz mianowicie — mówił Kriton — ciągną mnie niektórzy po sądach, nie żeby doznawali krzywdy ode mnie, lecz dlatego, iż przypuszczają, że wolę zapłacić, niż narażać się na kłopoty z procesem.

Na to Sokrates odezwał się:

— Powiedz no mi, Kritonie, prawda, że trzymasz psy, by ci płoszyły wilki od trzody?

— Pewnie. Lepiej bowiem opłaci mi się trzymać psy, niż nie trzymać.

— A czemu byś nie miał trzymać człowieka, który by chciał i potrafił płoszyć od ciebie takich, co by cię chcieli krzywdzić?

— Z przyjemnością, ale obawiam się, aby się nie zwrócił przeciwko mnie samemu.

— Co? Czyż nie widzisz, że jest znacznie przyjemniej, jeśli chodzi o takiego człowieka jak ty, zapewnić sobie korzyść przysługą niż narażaniem się tobie. Wiedz o tym, że jest tu wielu takich ludzi, którzy by to sobie poczytali za wielki zaszczyt mieć w tobie przyjaciela.

Po tej rozmowie znajdują tęgiego i energicznego mówcę, ale ubogiego, mianowicie Archedemosa. Nie potrafił on ciągnąć zysków z wszystkiego, był bowiem bardzo uczciwy, ale uważał za rzecz dozwoloną odbierać sykofantom ich zarobek. Otóż Kriton przy każdym zbiorze plonów posyłał mu pewną ilość zboża, oliwy, wina, wełny lub innych płodów gospodarstwa wiejskiego; zapraszał go na każdą ofiarę i tym podobne świadczył mu grzeczności. Archedemos zaś z wielkim szacunkiem odnosił się do Kritona, przekonany, że ma w jego domu gościnną przystań. I wnet wynalazł niejedno przestępstwo i wielu wrogów tych sykofantów, którzy prześladowali Kritona, a jednego z nich nawet pozwał o sprawę karną, która groziła grzywną lub inną ciężką karą. Ten, poczuwając się do wielu win, dokładał wszelkich starań, aby uwolnić się od Archedemosa, on jednak nic nie popuszczał, aż tamten odstąpił od prześladowania Kritona skargami sądowymi, a jemu samemu się opłacił.

Po tym postępku Archedemosa i po kilku podobnych przyjaciele Kritona prosili go, ażeby i im pozwolił korzystać z pomocy Archedemosa, tak samo, kiedy pasterz jakiś ma dobrego psa, sąsiedzi chętnie rozkładają się koło niego ze swymi trzodami, ażeby także mieć korzyść z tego psa. Archedemos zaś z chęcią ofiarował swe usługi Kritonowi i nie tylko Kriton był w spokoju, ale także i jego przyjaciele. Jeżeli ktoś z tych, którzy mieli do niego o to urazę,

zarzucał mu, że przypochlebia się Kritonowi w zamian za korzyści, jakich od niego doznaje, odpowiadał:

— Czy jest hańbą za usługi wyświadczone przez szlachetnych ludzi wzajemnie wywdzięczać się usługami i tym trybem zjednać sobie w nich przyjaciół, a poróżnić się z nikczemnikami, czy może raczej hańbą jest starać się krzywdzić ludzi ze wszech miar szlachetnych i zmieniać ich w swoich wrogów, i zamiast takich przyjaciół korzystać z przyjaźni ludzi podłych, starając się z nimi współpracować?

Od tego czasu był Archedemos jednym z przyjaciół Kritona i cieszył się szacunkiem innych jego przyjaciół.

Wiem też, że ze swym przyjacielem Diodorem miał następującą rozmowę:

— Powiedz mi, Diodorze, jeżeli ci ucieknie któryś z twych niewolników, czy troszczysz się o to, aby go odzyskać?

— Na Zeusa — odpowiedział — wołam także innych do pomocy i przeznaczam za dostawienie go nagrodę.

— A dalej — zapytał Sokrates — jeżeli który twój niewolnik zachoruje, czy troszczysz się o niego i wołasz na pomoc lekarzy, ażeby nie umarł?

— Tak jest.

— A jeżeli komu z twoich przyjaciół — przyjaciel przecież jest o wiele pożyteczniejszy aniżeli niewolnicy — grozi utrata życia z niedostatku, czy nie sądzisz, że jest twoim obowiązkiem starać się, aby go utrzymać przy życiu? A przecież wiesz, że Hermogenes nie jest niewdzięczny i wstydziłby się, jeżeliby otrzymał od ciebie dobrodziejstwo, a nie odwdzieczył się za to. A mieć pomocnika, który jest chętny, życzliwy i wierny, i który nie tylko potrafi załatwić to, co mu się poruczy, lecz także może z własnego popędu być pożyteczny, niejedno mądrze przewidzieć i postanowić, to jest przecie, jak sądzę, tyleż warte, co wielu niewolników. Dobrzy gospodarze powiadają, że kiedy coś bardzo wartościowego można tanio kupić, to wtedy trzeba kupić. Teraz zaś są takie stosunki, że można bardzo tanio nabyć dzielnych przyjaciół.

— Masz słuszość, Sokratesie — Diodor na to. — Powiedz tylko Hermogenesowi, aby przyszedł do mnie.

— Nie, na Zeusa — odpowiedział Sokrates — ja nie. Gdyż sądzę, że to nie jest i dla ciebie zaszczytniejsze wołać go do siebie, zamiast pójść samemu. Nie myślę też, żeby dojdzie do skutku tej przyjaźni było korzystniejsze dla niego niż dla ciebie.

Tak więc Diodor udał się do Hermogenesa i pozyskał sobie bez wielkich kosztów przyjaciela, który poczytywał sobie za obowiązek myśleć o tym, jak mógłby słowem i czynem przyczynić się do pożytku i radości Diodora.

8. *O potrzebie sumiennego przygotowania się do urzędów publicznych*

118

(III 6)

Glaukona, syna Arystonowego, który nie mając jeszcze lat dwudziestu, pragnął zająć wybitne stanowisko w państwie i zamierzał występować jako mówca przed narodem, nikt z krewnych i przyjaciół nie mógł odwieść od tego, by nie narażał się na zepchnięcie z mównicy i na wyśmianie. Dopiero Sokrates, który był dlań życzliwie usposobiony ze względu na Charmidesa, Glaukonowego syna, i ze względu na Platona odwiódł go od tego zamiaru. Spotkawszy się mianowicie z Glaukonem, zatrzymał go i by zachęcić go do rozmowy, odezwał się naprzód w ten sposób:

— Postanowiłeś podobno, Glaukonie, zająć u nas kierownicze stanowisko w państwie?

— Tak jest, Sokratesie.

— Wybornie, Glaukonie, gdyż ze wszystkiego, co może być udziałem ludzi, to jest najpiękniejsze. Oczywiście jest bowiem rzeczą, że jeżeli tego dopniesz, będziesz mógł nie tylko sam osiągnąć wszystko, czego pragniesz, ale będziesz miał możliwość wspomagania przyjaciół, podniesiesz znaczenie domu rodzinnego, powiększysz potęgę ojczyzny, staniesz się sławny najpierw we własnym kraju, a potem w całej Helladzie, a może nawet i poza jej granicami, podobnie jak Temistokles, i gdziekolwiek się znajdziesz, będziesz zwracał na siebie oczy wszystkich.

Wielce był dumny Glaukon, słysząc te słowa, i chętnie się zatrzymał. Wtedy Sokrates tak rzekł:

— Czy nie jest to rzecz jasna, że aby być szanowanym, musisz przynosić pożytek swemu krajowi?

— Tak jest, w rzeczy samej.

— Więc, na bogów, Glaukonie, nie taj nic przede mną, lecz powiedz, od czego zaczniesz świadczenie usług krajowi?

Kiedy zaś Glaukon uporczywie milczał, jak gdyby rozważając, od czego ma zacząć, odezwał się znów Sokrates:

— Wszak chcąc podnieść znaczenie domu przyjaciela, usiłowałeś zrobić go bogatszym. Czy więc podobnie i kraju swego nie postarasz się bogatszym uczynić?

— Oczywiście.

— A czy nie wzbogaca się kraj, gdy dochody jego się zwiększają?

— Naturalnie.

— Powiedz mi zatem, Glaukonie, z czego teraz kraj nasz czerpie dochody i jak one mniej więcej są wielkie? Rzecz jasna bowiem, że zastanowiłeś się nad tym, aby na wypadek gdy

niektóre ze źródeł dochodów okażą się niedostateczne, uzupełnić niedobór, lub gdy ich w ogóle braknie, dostarczyć nowych.

— Nie, na Zeusa, wcale się nad tym nie zastanawiałem.

— Więc jeżeli, Glaukonie, uszło to twej uwagi, powiedz nam przynajmniej o wydatkach państwowych; oczywiście bowiem zamierzasz usunąć z nich te, które są zbyteczne.

— Ależ, na boga, ja i o tym nie miałem czasu pomyśleć.

— Odłożymy zatem zamiar wzbogacenia kraju naszego, bo jakże można dojść do tego, skoro się nie ma pojęcia o wydatkach i dochodach państwowych.

— Można przecież, Sokratesie, wzbogacić kraj mieniem jego wrogów.

— Na Zeusa, i to bardzo, lecz jeśli się jest słabszym, to można jeszcze stracić i swoje własne mienie.

— Prawdę mówisz.

— Każdy więc, Glaukonie, kto chce wziąć dobrze pod rozwagę, z kim należy prowadzić wojnę, powinien znać siły zarówno swego kraju, jak i wrogów, aby mógł radzić podjęcie wojny, gdy kraj jego jest silniejszy, a nakłaniać do unikania jej, gdy jest słabszy od kraju nieprzyjacielskiego.

— Słusznie mówisz.

— Wylicz więc nam, Glaukonie, siły lądowe i morskie naprzód naszego kraju, a potem nieprzyjacielskiego.

— Na Zeusa, nie potrafiłbym, przynajmniej tak na poczekaniu, wyliczyć ci ich z pamięci.

— Więc przynieś, jeśli je masz gdzieś spisane, bo bardzo chętnie posłuchałbym.

— Ależ nawet spisu jeszcze nie mam.

— Czy więc na początek, Glaukonie, nie wstrzymamy się także z doradzaniem wojny, gdyż może z powodu trudności spraw wojennych jeszcze ich nie zbadałeś, zabierając się dopiero do rządzenia państwem? Lecz przynajmniej obrona kraju, o ile mi wiadomo, leży ci na sercu i wiesz, jaka ilość posterunków odpowiada celowi, a jaka nie. Wiesz także, ile załóg wystarcza, a ile nie. Niewątpliwie zatem będziesz doradzał wzmocnienie potrzebnych, a usunięcie zbytecznych posterunków.

— Zeus mi świadkiem — odrzekł Glaukon — że co do mnie będę doradzał usunięcie wszystkich, ponieważ tak niedbale spełniają swe obowiązki, że nic w kraju nie jest zabezpieczone.

— Lecz czy nie sądzisz, że w razie usunięcia straży każdy, kto zechce, będzie mógł jawnie rabować? Skąd jednak wiesz, że strażę źle pilnują? Czy byłeś sam na miejscu i dobrze to zbadałeś?

— Tak przypuszczam.

— A czy i w tych rzeczach nie lepiej wtedy rady udzielić, kiedy się już dokładnie dowiemy, a nie opierając się na samym tylko przypuszczeniu?

— Może i tak będzie lepiej — powiedział Glaukon.

— O ile wiem, nie zwiedziłeś naszych kopalń srebra, więc nie możesz powiedzieć, dlaczego teraz jest mniej dochodów, jak dawniej.

— Rzeczywiście, nie byłem tam — odpowiedział.

— Ma to być istotnie miejsce niezdrowe — rzekł Sokrates — to więc starczy ci za wymówkę, gdy wypadnie radzić w tej materii.

— Żartujesz sobie ze mnie.

— Ale tego przynajmniej, Glaukonie, z pewnością nie zaniechałeś: rozważyć, na jaki czas żywność z naszego kraju starczy na wyżywienie naszego miasta i jakiego dowozu prócz tego potrzebuje w ciągu roku, żebyś pod tym przynajmniej względem nie był w nieświadomości, jeżeli miasto nasze znajdzie się w potrzebie, lecz przeciwnie, żebyś dzięki swym wiadomościom mógł dać miastu radę co do jego potrzeb, pomagać mu i przyczyniać się do jego ratunku.

— Mówisz — rzecze Glaukon — o bardzo trudnej sprawie, skoro i o takie rzeczy trzeba się troszczyć.

— A jednak nikt nigdy nie będzie mógł zarządzać dobrze swym własnym domem, jeśli nie będzie wiedział o wszystkim, na czym mu jeszcze zbywa, i nie postara się troskliwie uzupełnić tych braków. Skoro zaś miasto nasze składa się z przeszło dziesięciu tysięcy domostw, a trudno mieć naraz pieczę o tak znaczną ich liczbę, to czemu nie spróbowałeś, Glaukonie, podnieść naprzód znaczenia jednego tylko domu, należącego do twego wuja. A to by się bardzo przydało. I jeżeli potrafisz to uczynić z tym jednym domostwem, wtedy przedsięwzięmiesz to samo z większą liczbą. Tymczasem jaki mógłbyś przynieść pożytek znacznej liczbie, jeżeli nie potrafisz być użyteczny jednemu? Podobnie jak ten, kto nie może udźwignąć jednego talentu, nie powinien oczywiście nawet próbować podnosić większych ciężarów.

— Co do mnie, Sokratesie, mógłbym przynieść pożytek domowi mego wuja, gdyby tylko chciał mnie słuchać.

— Nie potrafisz więc, Glaukonie, wuja swego przekonać, a mimo to sądzisz, że zdołasz wpłynąć na wszystkich Ateńczyków razem z twoim wujem, by ci byli posłuszni. Strzeż się, abyś dążąc do sławy, nie dostał wprost przeciwnego losu. Czy nie widzisz, jak niebezpiecznie mówić lub robić to, na czym się ktoś nie zna? Pomyśl tylko o innych podobnych ludziach, znanych ci, którzy, jak wiadomo, mówią i robią, na czym się sami nie znają. Czy sądzisz, że takim postępowaniem osiągają oni więcej chwały niż nagany. Czy więcej budzą podziwu, czy lekceważenia? Pomyśl zaś znowu o ludziach, którzy znają się na tym, co mówią i robią, a przekonasz się, sądzę, że we wszystkich sprawach ludzie cieszący się

dobrą sławą i zasługujący na podziw należą do rzędu najoświecieńszych, natomiast zażywający złej sławy i spotykający się z lekceważeniem — do rzędu największych nieuków. Jeżeli więc pragniesz pozyskać dobre imię w kraju i budzić podziw, to staraj się jak najbardziej o zdobycie znajomości tego, co chcesz robić. Bo jeżeli w tym względzie odznaczysz się przed innymi i wtedy zaczniesz zajmować się sprawami państwa, to nie będę się dziwił, gdy z zupełną łatwością dopniesz celu twych dążeń.

9. *O opiece bożej*

(IV 3)

Sokrates nie starał się tak skwapliwie o wyrobienie u swych przyjaciół sprytu, biegłości w wymowie i zaradności w działaniu, lecz sądził, że przed tym wszystkim powinien się u nich rozwinąć zdrowy rozsądek. Takich bowiem, co to wszystko posiadają, a nie mają rozsądku, uważał za ludzi niesprawiedliwszych i zdolniejszych do wyrządzania krzywdy. A już przede wszystkim usiłował krzewić u przyjaciół zdrowy rozsądek w poglądach na bogów. O takich jego rozmowach z drugimi pisali inni naoczni świadkowie, ja zaś byłem świadkiem następującej rozmowy z Eutydemem:

— Powiedz mi, Eutydemie — rzekł Sokrates — czy ci kiedyś przyszło na myśl zastanowić się nad tym, jak troskliwie urządzili bogowie to, co dla ludzi jest potrzebne?

— Mnie? Na Zeusa, nie.

— Ale wiesz przynajmniej, że przede wszystkim potrzeba nam światła, a bogowie nam go dostarczają?

— Na Zeusa, gdybyśmy go nie mieli, tobyśmy, mimo naszych oczu, podobni byli do ślepców.

— Ale przecież i spoczynku nam trzeba, a bogowie dają nam noc jako najpiękniejszą sposobność do wypoczynku.

— Istotnie; i to rzecz warta wdzięczności.

— Ponieważ słońce jest jasne i oznacza nam pory dnia i wszystko oświeśla, a w nocy skutkiem ciemności mniej wyraźnie widać, bogowie jeszcze coś zrobili. Zaświecili w nocy gwiazdy, które nam wskazują pory nocne i dzięki którym można dokonywać wielu koniecznych rzeczy. Nieprawdaż?

— Tak jest.

— A księżyc nawet nie tylko porę nocy, ale także i części miesiąca nam wskazuje.

— Istotnie.

— A że z ziemi dają nam pokarm, kiedy go potrzebujemy, i zsyłają odpowiednie dlań pory roku, które nie tylko dostarczają nam wielu wszelakich rzeczy dla naszych potrzeb, ale także i dla naszej przyjemności?

— Istotnie, i to jest objawem umiłowania ludzi.

— A jakże to cenić, że dostarczają nam wody? Dzięki jej współpracy z ziemią i z porami roku wszystkie nam pożyteczne rośliny kielkują i rozrastają się. I nas samych woda także żywi, bo domieszana do każdego pokarmu czyni go strawniejszym i smaczniejszym. Bogowie dostarczają nam jej ogromnie obficie, bo też trzeba nam jej bardzo wiele.

— I to jest objawem ich troskliwości.

— A co się tyczy tego, że użyczyli nam ognia, sprzymierzeńca w walce z zimnem i w walce z ciemnością, współpracownika w każdej sztuce i w każdej czynności podejmowanej dla ludzkiego pożytku? Bo, krótko mówiąc, dla użytku w życiu nie robią ludzie bez ognia niczego, co by było godne uwagi.

— I to jest nadzwyczajną oznaką umiłowania ludzkości.

— A słońce? Kiedy w zimie zawróci, zbliża się, powodując bądź to dojrzewanie, bądź to wyschnięcie, gdy okres dojrzewania minął, a dokonawszy tego, nie przybliży się już więcej, lecz znowu zawraca i wystrzega się, by nie wyrządzić nam jakiejś szkody, przygrzewając więcej niż trzeba. A kiedy odejdzie od nas tak daleko, że i nam jest jasne, iż skostniejemy na śmierć z mrozu, gdyby odeszło dalej, nawraca znowu nazad i przybliża się, i krąży na niebie w tym miejscu, w którym pobyt jego może nam przynieść najwięcej pożytku.

— Na Zeusa, to wszystko wygląda na to, że dzieje się to dla dobra ludzi.

— A wobec tego, że oczywiście nie wytrzymałybyśmy nagłej spieki ni nagłego mrozu, słońce przybliży się tak nieznacznie i tak nieznacznie się oddala, że niespostrzeżenie dla nas dostajemy się w najwyższe stopnie upałów i mrozów. Cóż na to powiesz?

— Zastanawiam się właśnie teraz, czy nie co innego mają bogowie na celu, jak właśnie dobro ludzi. Zawadza mi jedynie to, że i inne stworzenia również z tego wszystkiego korzystają.

— Czyż nie jest to jasne, że i one dla ludzi rodzą się i chowają? Któż bowiem inna istota ma tyle pożytku z kóz, owiec, koni, krów, osłów i innych zwierząt, ile ludzie? Mnie bo zdaje się, że mają z nich więcej pożytku niż z roślin. Mają przynajmniej żywność i dochód ze zwierząt nie mniejsze niż z roślin. Wielu ludzi nie używa do wyżywienia się tego, co rodzi ziemia, a żywi się mlekiem, serem i mięsem bydła domowego, wszyscy zaś obłaskawiają i poskramiają pożyteczne zwierzęta, i posługują się nimi na wojnie i w wielu innych wypadkach.

— I w tym się z tobą zgadzam. Widzę bowiem, iż o wiele od nas silniejsze zwierzęta stają się tak uległe, że ludzie mogą się nimi posługiwać wedle swej woli.

— A co powiedzieć na to, że wobec istnienia tylu rzeczy pięknych i pożytecznych, a wielce różnorodnych, dali bogowie ludziom stosowne dla każdej rzeczy zmysły, dzięki którym korzystamy z wszelkich dóbr? A co na to, że tchnęli w nas rozum? Rozumując nad tym, co spostrzegamy, i opierając się na pamięci, poznajemy pożyteczność poszczególnych rzeczy lub wymyślamy sposoby korzystania z dobrego i obrony przed złym. A co powiemy na to, że bogowie dali nam dar porozumiewania się słowem, dzięki czemu i dzielimy się ze sobą każdą korzyścią, pouczając się wzajemnie, i żyjemy społecznie, i ogłaszamy prawa, i rządymy się?

— Zupełnie, Sokratesie, wygląda to, jakby bogowie ogromnie się o ludzi troszczyli.

— A jeśli nie potrafimy przewidzieć przyszłej korzyści, pomagają nam bogowie i w tym względzie, wskazując przy pomocy wróżby szukającym porady, co się stanie, i pouczając, jakim sposobem mogłoby to wypaść jak najlepiej.

— Z tobą, Sokratesie, obchodzą się, jak się zdaje, bardziej po przyjacielsku niż z kimś innym, jeśli nawet bez pytania dają ci znaki, co trzeba robić, a co nie.

— Że prawdę mówię, będziesz mógł się przekonać i ty, jeśli nie będziesz czekał, aż ci się bóstwa objawią w widzialnej swej postaci, lecz zadowolisz się oglądaniem dzieł ich i będziesz uwielbiał i czcił bogów. Zważ, że i sami bogowie to wskazują. Bo i inni bogowie, którzy nam dóbr użyczają, nigdy nie objawiają się widomie przy dawaniu, ani ta istota najwyższa, która wszechświat dzierży i nim rządzi, ten wszechświat, który jest szczytem piękna i dobra i mimo ciągłego użytku przedstawia się jako niezniszczalny, zdrow i niestarzejący się, a zadania swoje spełnia z szybkością lotniejszą niż myśl; istota ta jest widoczna w swych największych czynach, ale nie możemy jej widzieć, jak gospodarzy tymi dobrami. Zważ, że i słońce, pozornie wszystkim widoczne, nie pozwala, by ludzie dokładnie mu się przyglądali, lecz jeśli ktoś beczelnie usiłuje na nie patrzeć, odbiera mu wzrok. Przekonasz się, że i słudzy boscy są niewidzialni. Że piorun jest rzucony z góry, to jasne, i to, że przemoże wszystko, co napotka, ale nie widać go ani kiedy się zbliża, ani kiedy uderza, ani kiedy się oddala. I wiatry same nie są widoczne, tylko ich skutki, i odczuwamy ich zbliżanie się. A przecież i dusza ludzka, która z pewnością ma w sobie coś boskiego — jeśli tylko ludzkość ma w sobie coś boskiego — sama nie jest dostrzegalna, choć jest widoczne, że to ona w nas rządzi. Mając to wszystko na uwadze, nie należy lekceważyć sobie tego, co niewidzialne, ale czcić bóstwo, ucząc się, poznawać jego moc z tego, co się dzieje.

— Ja, Sokratesie, dobrze świadom jestem tego, że nawet w drobnej mierze nie będę zaniedbywał bóstwa, ale inna myśl mnie martwi. Zdaje mi się, że ani jeden człowiek nie odpłaca się bogom wdzięcznością, jaka się im należy.

— Ależ niech cię to nie martwi, Eutydemie, widzisz bowiem, że bóg delficki, jeśli go się ktoś pyta, jak się bogom przypodobać, odpowiada: „Zgodnie z prawem państwowym”. A przecież chyba wszędzie jest prawem składać bogom ofiary wedle swej możliwości. Jakże można więc piękniej i zbożniej czcić bogów, niż czyniąc tak, jak oni sami wymagają. Ale nie trzeba ani odrobinę schodzić niżej możliwości. Bo jeśli ktoś to czyni, to już zupełne widoczne, iż nie czci bogów. Trzeba więc czcić bogów, nic a nic się nie opuszczając, być dobrej myśli i spodziewać się największego dobra. Tak sam rozum dyktuje: bo od kogóż można się spodziewać więcej, jak od tych, co najwięcej mają mocy, by pomóc, i za co innego, jak za przypodobanie się im? A jakimże sposobem można się przypodobać lepiej niż najbezwzględniejszym posłuszeństwem?

Takimi to słowami i własnym przykładem czynił swych przyjaciół pobożniejszymi i mądrzejszymi.

10. *Przykłady dialektyki Sokratesowej*

124

(IV 6, 1–8; 12–15)

A teraz postaram się także przedstawić, jak swych towarzyszy ćwiczył w dialektyce, prowadząc ich do coraz znacniejszego postępu. Sokrates mianowicie uważał, że ten, kto wie, na czym polega istota każdego pojęcia, potrafi to i innym wytłumaczyć. Jeżeli zaś kto tego nie wie, to nic dziwnego, że zwodzi nie tylko innych, ale i siebie. Dlatego bezustannie zastanawiał się ze swymi towarzyszami, czym jest każde pojęcie w swej istocie. Za wiele byłoby trudu przejść szczegółowo, jak on określał wszystkie pojęcia, więc powiem tylko tyle, ile moim zdaniem starczy za przykład wyjaśniający jego sposób postępowania przy takim badaniu. Przede wszystkim nad pobożnością zastanawiał się w taki mniej więcej sposób:

— Powiedz mi, Eutydemie, za jaką ty rzecz uważasz pobożność.

— Na Zeusa, za bardzo piękną.

— Potrafiłbyś więc powiedzieć, kto to taki, człowiek pobożny?

— Mnie się wydaje, że jest to taki człowiek, który czci bogów.

— Czy wolno czcić bogów wedle dowolnego sposobu?

— Nie, ale są prawa i wedle ich przepisów należy to czynić.

— Niezawodnie ten, kto wie, jakie są przepisy tych praw, wie, jak należy czcić bogów?

— Myślę.

— A czy ten, kto wie, jak należy czcić bogów, jest tego przekonania, że czci tej nie wolno wykonywać inaczej, jak tylko zgodnie ze swą wiedzą?

— Pewnie, że nie wolno.

— A czy czci ktoś bogów inaczej niż się to, jego zdaniem, czynić powinno?

— Myślę, że nie.

— Zatem ten, kto zna przepisy prawa w odniesieniu do bogów, ten czci bogów w myśl przepisów prawa?

— Naturalnie.

— Nieprawdaż, kto czci w myśl przepisów prawa, ten czci tak jak należy?

— Jakżeby nie?

— A taki, co czci jak należy, jest pobożny?

— Tak jest, w samej rzeczy.

— Więc ten, kto wie, jakie są przepisy prawa w odniesieniu do bogów, jest pobożny. Czy to nasze określenie jest słuszne?

— Mnie się przynajmniej wydaje.

— A z ludźmi wolno postępować, jak się komu podoba?

— Nie, gdyż także i w odniesieniu do ludzi istnieją prawne zasady, według których trzeba postępować. Kto je zna, ten jest człowiekiem trzymającym się zasad prawnych.

— Więc ci, którzy wedle tych zasad postępują ze sobą wzajemnie, postępują tak jak trzeba. Nieprawdaż?

— Jakżeby nie?

— Więc ci, którzy postępują jak trzeba, postępują chwalebnie?

— Z całą pewnością.

— Nieprawdaż, że ci, co chwalebnie z ludźmi postępują, spełniają chwalebnie swe obowiązki wobec ludzi?

— Naturalnie.

— Nieprawdaż, że ci, co słuchają praw, postępują sprawiedliwie?

— Oczywiście.

— A wiesz, jakie czyny nazywamy sprawiedliwymi?

— Te czyny, które nakazuje prawo.

— Spełniający nakazy prawa postępują zatem sprawiedliwie i tak jak trzeba?

— Pewnie.

— Czyż więc nie są sprawiedliwymi ci, którzy postępują sprawiedliwie?

— Przynajmniej ja tak myślę.

— Czy sądzisz, że ktoś słucha nakazu prawa, choć go nie zna?

— Ja, nigdy w świecie.

— A jeżeli ktoś wie, co trzeba czynić, czy taki — sądzisz — jest przekonania, że nie należy tego czynić?

— Nie sądzę.

- Czy znasz takich, co postępują inaczej, niżby ich zdaniem należało?
- Nie, ja przynajmniej takich nie znam.
- Więc ci, którzy znają zasady prawne, odnoszące się do ludzi, postępują sprawiedliwie?
- Tak jest.
- Więc ci, co postępują sprawiedliwie, są sprawiedliwymi?
- A któż by inny?
- Słuszne zatem byłoby nasze określenie, do któregośmy w końcu doszli, że sprawiedliwymi są ci, którzy wiedzą, jakie są zasady prawa w odniesieniu do ludzi?
- Mnie przynajmniej tak się wydaje.
- A jakbyśmy określili mądrość? Cóż to takiego? Powiedz mi, czy twoim zdaniem ludzie mądrzy są mądrzy w odniesieniu do tego, co wiedzą, czy też są tacy, co są mądrzy w tym, czego nie wiedzą?
- Jasne jest, że mądrość ludzi odnosi się do tego, co wiedzą, bo jakżeby ktoś mógł być mądry w odniesieniu do tego, czego nie wie.
- Czyż więc mądrzy są mądrymi dzięki wiedzy?
- A dzięki czemuż innemu mógłby ktoś być mądry, jeśli nie dzięki wiedzy?
- A cóż to jest mądrość? Pewnie jest to ten przymiot, dzięki któremu jest się mądrym, czy może co innego? Jak ci się zdaje?
- Właśnie tak mi się zdaje.
- Wiedza zatem jest mądrością?
- Takie moje zdanie.
- Czy sądzisz, że jest możliwe dla człowieka wiedzieć o wszystkim na świecie?
- Na Zeusa, nawet drobnego ułamka z wszystkich rzeczy na świecie nie znamy.
- Więc człowiek nie może być mądry we wszystkim?
- Klnę się Zeusem, że nie.
- Każdy zatem jest mądry w odniesieniu do tej rzeczy, którą zna?
- Pewnie.

— A powiedz, Eutydemie, czy i nad pytaniem, co to takiego jest dobro, nie należy się w podobny sposób zastanawiać?

— To znaczy jak?

— Czy twoim zdaniem jedna i ta sama rzecz jest dla wszystkich pożyteczna?

— Bynajmniej.

— Cóż z tego? Więc myślisz, że czasami może być coś dla jednego pożyteczne, a dla drugiego szkodliwe?

— O, i bardzo nawet.

— A dobre i pożyteczne, to wszystko jedno czy nie?

— Pewnie, że to wszystko jedno.

— A zatem rzecz pożyteczna jest dobra dla tego, komu przynosi korzyść?

— Tak mi się zdaje.

Królestwo i tyranie uważał za dwie formy rządu, ale różniące się między sobą. Królestwem mienił rząd sprawowany nad ludźmi z ich woli i zgodnie z prawami danego państwa, za tyranie zaś uważał rząd narzucony ludziom wbrew ich woli, kierujący się nie nakazem prawa, lecz dowolnością władcy. Taki ustrój, gdzie władze ustanawia się spośród tych, co spełniają nakazy prawa, uważał za arystokratyczny; za plutokratyczny taki znowu, gdzie do władzy otwiera drogę bogactwo; gdzie zaś wybiera się na urzędy spośród wszystkich, tam jest, jak twierdził, demokracja.

Jeśli mu się ktoś sprzeciwiał, prawiąc bałamutnie i bez dowodzenia, utrzymując na przykład, że ktoś jest mądrzejszy lub lepszym mężem stanu, lub dzielniejszy i tym podobne niż osoba wymieniona przez Sokratesa, sprowadzał całe rozumowanie do zasadniczego punktu wyjścia, mniej więcej w taki sposób:

— Ty twierdzisz, że obywatel, o którym się teraz tak z pochwałami wyrażasz, jest lepszym patriotą niż ten, o którym ja mówię?

— Tak jest.

— Czemuż więc nie zastanowimy się naprzód, co jest obowiązkiem patrioty?

— Owszem, proszę bardzo.

— Jeśli więc chodzi o zarządzanie majątkiem, pierwszeństwo przyznamy temu, kto swym mieniem podnosi zamożność państwa.

— Istotnie.

— Co się tyczy wojny, to temu należy się pierwszeństwo, kto się bardziej przyczynia do górowania nad przeciwnikami.

— Oczywiście.

— W urzędzie poselskim lepszy taki, który wrogów zmienia w przyjaciół.

— Słusznie.

— Ten mówcą lepszym na zgromadzeniu, kto tłumy buntów swymi słowami, a wpaja zamięłowanie do zgody.

— Tak mi się zdaje.

Gdy tak w dowodzie wracał do samych podstaw, nawet ci, co się sprzeciwiali, zaczęli dostrzegać, gdzie prawda. Jeżeli zaś sam przeprowadzał jakieś rozumowanie, szedł drogą prawd najpowszechniej uznanych, bo taki sposób dowodzenia uważał za najpewniejszy. Dlatego też z wszystkich ludzi, jakich znam, nikt nie spotykał się u słuchaczy z taką zgodą na swe słowa, jak on. Mówił, że i Homer przypisuje Odyseuszowi przymiot pewnego mówcy, gdyż umie przeprowadzać swoje wywody zgodnie z najpowszechniejszymi ludzkimi przekonaniami.

Z Dziejów Hellady

1. Powrót Alkibiadesa do Aten

(I 4, 8–15; 17–23)

Alkibiades, chcąc razem z żołnierzami odpłynąć do domu, pożeglował natychmiast do Samos; stamtąd, wzięwszy dwadzieścia okrętów, popłynął do Keramejskiej Zatoki w Karii. Zebrawszy tu sto talentów, wrócił na Samos. Trazybul natomiast ruszył na czele trzydziestu okrętów na Trację i podbił tam grody, które przeszły były na stronę Lacedemończyków, a między innymi miejscowościami i Tazos, wyczerpaną wojnami, buntami i głodem. Trazyllos z resztą wojska popłynął do Aten; przed jego jeszcze przybyciem wybrali Ateńczycy wodzami Alkibiadesa, mimo iż był na wygnaniu, Trazybula, mimo iż był nieobecny, a trzeciego spośród tych, co byli w domu, Konona.

Alkibiades na czele dwudziestu okrętów popłynął z Samos do Paros, wioząc ze sobą pieniądze, a stąd pożeglował natychmiast do Gyteion, celem podpatrzenia trzydziestu trójrzędowców, które według wieści mieli tam Lacedemończycy uzbrajać, a równocześnie celem zasięgnięcia wiadomości, jak zapatruje się miasto na jego powrót. Kiedy widział, że mu jest życzliwe, bo i wodzem go wybrali, i krewni na własną rękę wzywali go do powrotu, wpłynął do Pireusu w dniu, w którym miasto obchodziło święto Plynteriów, kiedy to osłania się tron Ateny, co wielu wykładało jako wróżbę na jego niekorzyść i miasta. Żaden bowiem Ateńczyk nie śmiałby w tym dniu tknąć się żadnego poważnego dzieła.

Kiedy wpływał do przystani, zgromadził się przy okrętach tłum z Pireusu i miasta, pełen podziwu i chęci zobaczenia Alkibiadesa. Jedni mówili, że to najlepszy obywatel i jedyny niewinnie cierpiący wygnanie, jako ofiara tych, co mniejsze mając od niego znaczenie, wygłaszali oszczerstwa i prowadzili politykę obliczoną na zysk własny, podczas gdy on zawsze starał się mnożyć dobytek społeczeństwa w miarę możliwości własnej i państwa. Kiedy wówczas chciał na siebie sądu natychmiast, zaraz po podniesieniu przeciw niemu obwinienia o bluźnierstwo przeciw misteriom, wrogowie jego odwlekli to, co było tylko słusznym żądaniem, a potem nieobecnego pozbawili ojczyzny. Wtedy, w tym położeniu bez wyjścia, znalazł się pod twardym przymusem służenia największym wrogom, wiecznie, dzień w dzień, w niebezpieczeństwie życia, a swym współobywatelom, związanym z nim węzłami najzażyłszej przyjaźni lub pokrewieństwa, ba nawet całemu państwu — mimo iż widział ich błędy — nie miał jak przyjść z pomocą, bo dzieliło go od nich wygnanie. Inni zaś utrzymywali, że on jeden ponosi winę dawnych klęsk i prawdopodobnie on jeden stanie się sprawcą tych nieszczęść, jakie na przyszłość grożą.

Gdy Alkibiades zawinął do portu, nie lądował zaraz, bo strach mu było nieprzyjaciół, lecz stanął na pomoście okrętowym i śledził okiem, czy są obecni jego krewniacy. Dopiero dojrzawszy swego kuzyna, Euryptolema, Peisianastowego syna, i przyjaciół razem z resztą krewniaków, zszedł z okrętu i poszedł w górę ku miastu w otoczeniu towarzyszy, gotowych, jeśliby się ktoś nań targnął, odeprzeć zamach. Przed Radą i Zgromadzeniem Ludowym obronił się przeciw zarzutowi bluźnierstwa i stwierdził, że go skrzywdzono, a kiedy ogłoszono więcej mów podobnej treści przy zupełnym braku sprzeciwu — bo zgromadzenie nie byłoby go ścierpiało — obwołano go naczelnym wodzem z nieograniczoną władzą, w przeświadczeniu, że zdoła uratować dawniejszą potęgę państwa.

Pierwszym jego czynem było urządzenie procesji misteriów lądem, podczas gdy dotychczas z powodu wojny odbywali ją Ateńczycy morzem; celem ochrony wyprowadził z miasta wszystkich żołnierzy. Następnie zebrał nowe wojsko: tysiąc pięciuset hoplitów, sto pięćdziesiąt jazdy, sto okrętów. W czwartym miesiącu po powrocie udał się okrętami na Andros, która odpadła od Aten, razem z Aristokratesem i Adejmantem, synem Leukolofida, ich bowiem wybrano wodzami na lądzie. Wojsko wysadził na Andros w Gaurion, i Andrejczyków, nadeszłych z pomocą, zmusili do odwrotu i zamknęli w mieście, położywszy trupem niewielu, między nimi Lakończyków, tych, co tam byli. Alkibiades postawił pomnik zwycięstwa i zabawiwszy tam dni niewiele, popłynął na Samos i stamtąd rozpoczął wyprawy wojenne.

2. Bitwa u wysp Arginuz

(I 6)

Następnego roku posłali Lacedemończycy Lizandrowi, jako że już jego czas upłynął, Kallikratidasa celem objęcia dowództwa nad flotą. Podczas zdawania floty rzekł mu Lizander, że zdaje komendę jako władca morza i pogromca floty nieprzyjacielskiej. Kallikratidas na to kazał Lizandrowi z Efezu opłynąć lewą stroną wyspę Samos i zdać mu flotę w Milecie, po tym wszystkim dopiero przyzna mu, że jest panem morza. Ten jednak oświadczył, że nie myśli się wtrącać do działania za cudzego dowództwa. Kallikratidas więc sam dołączył pięćdziesiąt okrętów do otrzymanych od Lizandra, mianowicie z Chios, Rodos i od innych

sprzymierzeńców, i zgromadziwszy razem sto czterdzieści okrętów, gotował się do rozprawy z wrogiem. Ale doszło do jego wiadomości, że przyjaciele Lizandra kopią pod nim dołki i nie tylko nieochotnie mu służą, lecz także rozsiewają po miastach uwagi, jakoby ustawiczna zmiana admirałów była bardzo ciężkim błędem ze strony Lacedemończyków, gdyż często otrzymują to stanowisko nieodpowiednie jednostki, od niedawna dopiero obznajomione z marynarką i nieumiejące postępować z ludźmi. Wobec tego Kallikratidas zwołał obecnych tam Lacedemończyków i tak do nich przemówił:

„Ja jestem zadowolony, jeżeli mogę pozostawać w domu, i jeśli Lizander czy ktoś tam inny, chce być bardziej doświadczony w marynarce, to nie mam nic przeciwko temu, o ile chodzi o moją osobę. Ale ja, z woli państwa na flotę wysłany, nie mogę nic innego robić, jak tylko wedle sił najskuteczniej spełniać rozkazy. Lecz wy weźcie pod rozwagę i to, co stanowi dla mnie punkt honoru, i jakie zarzuty spadają na nasze państwo — znacie je bowiem tak dobrze jak i ja — i radźcie wedle swej świadomości najlepiej, czy mam tu zostać, czy do domu odpłynąć i opowiedzieć, jakie tu stosunki”.

Nikt nie śmiał rzec innego zdania jak tylko, że musi słuchać władz w ojczyźnie i spełniać zadanie, gwoli którego przybył. Kallikratidas więc udał się do Cyrusa z żądaniem żołdu dla marynarzy, a ten kazał mu czekać dwa dni. Rozgniewany takim odwlekaniem Kallikratidas i oburzony z powodu wystawiania w przedpokojach pałacowych, oświadczył, iż Hellenowie są bardzo nieszczęśliwi, skoro przypochlebiają się barbarzyńcom dla pieniędzy, dodając, że jeśli zdrowo wróci do domu, wszystkich ze swej strony dołoży starań celem doprowadzenia do zgody Ateńczyków z Lacedemończykami, po czym odpłynął do Miletu. Wysławszy stąd trójrzędowce do Lacedemonu po pieniądze, zwołał zgromadzenie Milezyjczyków i z taką wystąpił przemową:

„Ja, Milezyjczycy, muszę władz w ojczyźnie słuchać, ale wy, moim zdaniem, powinniście najgorętszą pałać ochotą do wojny, bo, mieszkając wśród barbarzyńców, bardzoście wiele złego już od nich ucierpieli. Powinniście wszystkim innym sprzymierzeńcom świecić przykładem, jakbyśmy jak najszybciej i najdotkliwiej mogli szkodzić wrogom, nim wrócą z Lacedemonu ci, których wysłałem po pieniądze. Albowiem Lizander tutejsze pieniądze, jako pozostałą nadwyżkę, zwrócił Cyrusowi przed swym odjazdem. Cyrus, gdy do niego przybył, ciągle odwlekał rozmowę ze mną, a ja nie mogłem przekonać się do tego, by wystawać w przedpokojach jego pałacu. Przrzekam wam, że godnie się odwzięczę za wszelkie powodzenia, jakie nam się zdarzą do czasu otrzymania owej przesyłki. Ależ, na bogów, pokażmy raz barbarzyńcom, że i bez uwielbiania ich potrafimy mścić się na wrogach!”

Po tym przemówieniu powstało wielu, a zwłaszcza obwiniani o stawianie mu oporu, którzy byli w strachu, stawiając wnioski w sprawie opodatkowania się w tym celu, zgłaszając także sumy z prywatnej swej szkatuły. Ów wziął te pieniądze i dawszy każdemu marynarzowi po pięć drachm jako stawne na drogę, licząc od Chios, popłynął na Lesbos przeciw Metymnie, która należała do nieprzyjaciół. Kiedy Metymnejczycy nie chcieli się poddać, jako że mieli załogę ateńską w mieście i ci, co sprawowali rządy, stali po stronie Aten, przypuścił szturm i wziął miasto siłą. Dobytek więc wszelki rozgrabili żołnierze, a jeńców wszystkich kazał Kallikratidas zgromadzić na rynku; kiedy sprzymierzeńcy wzywali, by sprzedać także Metymnejczyków, powiedział, że nikogo z Hellenów nie sprzeda się w niewolę, przynajmniej póki on sprawuje naczelne dowództwo.

Nazajutrz puścił wszystkich wolnych obywateli, a żołnierzy z ateńskiej załogi i ujętych niewolników sprzedął. Kononowi natomiast kazał powiedzieć, że nie pozwoli mu dłużej gwałcić morza. Spostrzegłszy zaś z brzaskiem dnia na morzu Konona, puścił się za nim w pościg, starając się odciąć mu drogę do Samos. Konon uciekał na szybko płynących okrętach, gdyż z załogi całej floty wybrał dla tych niewielu statków najlepszych wioślarzy, i schronił się do Mityleny na Lesbos, a z nim z liczby dziesięciu wodzów jeszcze Leon i Erasinides. Kallikratidas w pościgu wpłynął za nim do przystani, prowadząc sto siedemdziesiąt okrętów. Konon więc, kiedy go nieprzyjaciół tak uprzedził, widział się wobec tej przeszkody zmuszony do stoczenia bitwy morskiej przy samej przystani, i stracił trzydzieści okrętów. Ich załoga uciekła na ląd. Resztę okrętów w liczbie czterdziestu kazał wyciągnąć na ląd pod murem miasta. Kallikratidas, zarzucając kotwice w przystani, rozpoczął oblężenie z tej strony, dzierżąc w swych rękach wyjście z portu na pełne morze. Od strony lądowej wezwał Metymnejczyków z całym pospolitym ruszeniem i przeprawił wojsko z Chios, i pieniądze od Cyrusa nadeszły.

Konon więc był zamknięty oblężeniem od strony lądu i morza; i znikąd nie można się było wystarać o żywność; ludzi w mieście było mnóstwo, a Ateńczycy nie nadciągali z pomocą, gdyż o niczym nie wiedzieli. Wobec tego Konon, ściągawszy na morze dwa najszybsze okręty, obsadził je przed świtem najzręczniejszymi wioślarzami, jakich wybrał z załogi wszystkich okrętów; wewnątrz okrętu, w kadłubie, umieścił żołnierzy z marynarki i kazał po obu bokach statków rozciągnąć płócienne zasłony. Tak więc czekali cały dzień, a pod wieczór, kiedy ciemność nastawała, wysadzał ich tak, że nieprzyjaciół dostrzec nie mogli, co się dzieje. Piątego dnia załadowano niewielkie zapasy żywności i kiedy koło południa straż przystani odbywała swą służbę niedbale, a niektórzy nawet ułożyli się na spoczynek, wypłynęły oba okręty z portu i jeden ruszył ku Hellespontowi, a drugi na pełne morze. Oblęgający, jak kto mógł, nadbiegli w popłochu — właśnie spożywali na lądzie posiłek — pośpiesznie zaczęli przecinać kotwice i wsiadłszy na okręty, ścigali ten statek, który puścił się na pełne morze. Z zachodem słońca dogonili go i po zwycięskiej walce przywlekli na linie do obozu z całą załogą. Drugi okręt, co uciekł w stronę Hellespontu, wymknął się i przybywszy do Aten, doniósł o oblężeniu. Tymczasem Diomedon, śpiesząc na pomoc obleganemu Kononowi z dwunastu okrętami, wpłynął do cieśniny pod Mityleną, ale Kallikratidas, nagle najechawszy na niego, zabrał mu dziesięć okrętów. Diomedon zdołał uciec na swoim okręcie, a z nim jeszcze jeden statek.

Skoro Ateńczycy dowiedzieli się o oblężeniu i w ogóle o wszystkim, co zaszło, uchwalili pomoc ze stu dziesięciu okrętów, które postanowili obsadzić wszystkimi zdolnymi do broni, bez względu czy to wolni, czy niewolnicy; i obsadziwszy załogą owych stu dziesięć okrętów, odpłynęli po trzydziestu dniach. Wielu z rycerzy nawet wsiadło na okręty. Z kolei pożeglowali na Samos i wzięli stamtąd dziesięć samijskich okrętów. Zgromadzili też jeszcze i od innych sprzymierzeńców więcej jak trzydzieści, zmuszając wszystkich do wsiadania, a również dołączali okręty napotkane na morzu. Było tego razem więcej niż sto pięćdziesiąt. Kallikratidas, słysząc, że pomoc jest już w Samos, zostawił na miejscu pięćdziesiąt okrętów pod wodzą Eteonika, a wypłynawszy ze stu dwudziestoma, zatrzymał się przy wzgórzach Malea na Lesbos celem spożycia wieczornego posiłku.

Przypadkiem tego samego dnia i Ateńczycy spożywali wieczorny posiłek na wyspach Arginuzach, które leżą naprzeciw Mityleny. Spostrzegłszy w nocy ogniska i odebrawszy od kogoś doniesienie, że to Ateńczycy, ruszył o północy, chcąc napaść znienacka, lecz nagła ulewa z grzmotami przeszkodziła odjazdowi. Skoro ustała, pożeglował z brzaskiem dnia ku Arginuzom. Ateńczycy ze swej strony ruszyli lewym skrzydłem na morze, uszykowani jak

następuje: Arystokrates, dzierżąc lewe skrzydło, prowadził piętnaście okrętów, potem Diomedon drugich piętnaście; za Arystokratesem stanął Perykles, za Diomedontem Erasimides w drugim szeregu, obok Diomedonta stanęło jednym szeregiem dziesięć samijskich okrętów, nad którymi sprawował dowództwo Samijczyk imieniem Hippeus. Przytykało dalej dziesięć okrętów taksjarchów, również w jednej linii, w drugiej za nimi trzy okręty nauarchów i w ogóle co było statków sprzymierzonych. Prawe skrzydło zajmował Protomachos z piętnastoma okrętami, obok niego Trazyllos i drugich piętnaście; za Protomachem w drugiej linii Lizjasz z równą liczbą okrętów, za Trazyllem Arystogenes. Ustawili się tak, by nie dać przełamać linii, bo szybkość ich żeglugi była mniejsza. Przeciwnie, okręty lacedemońskie ustawiły się wszystkie w jednej linii, gotowe przełamywać lub okrążyć, dzięki temu, że szybkość ich ruchów była większa.

Kallikratidas dzierżył prawe skrzydło. Hermon z Megary pełniący u Kallikratidasza służbę sternika rzekł mu, że nie byłoby to przeciw honorowi odpłynąć, gdyż trójrzędowców ateńskich było znacznie więcej. Na to rzekł Kallikratidas, że stan Sparty skutkiem jego śmierci się nie pogorszy, o to strachu nie ma, ucieczka jednakowoż jest hańbą. Po czym stoczyli bitwę morską, która trwała długi czas; z początku walczono kupą, potem w rozsypce. A kiedy skutkiem zderzenia się okrętów Kallikratidas wpadł w morze i zniknął, a Protomachos na prawym skrzydle ze swoimi zwyciężył lewe skrzydło wrogów, wtedy rozpoczęła się ucieczka Peloponezyjczyków, większości w kierunku Chios, ale także i do Fokai. Ateńczycy zaś odpłynęli z powrotem do Arginuz.

Ateńczycy stracili dwadzieścia pięć okrętów razem z ludźmi, z wyjątkiem niewielu, których fale przypędziły do lądu; natomiast po stronie Peloponezyjczyków straty wynosiły dziewięć lakońskich okrętów z ogólnej liczby dziesięciu i więcej niż dziewięćdziesiąt okrętów sprzymierzeńców. Ateńscy wodzowie postanowili wysłać na poszukiwanie zatopionych statków i ratunek ich załóg czterdzieści siedem okrętów pod kierownictwem trierarchów Teramenesa i Trazybula, do których mieli się jeszcze przyłączyć niektórzy taksjarchowie, a z resztą popłynąć na flotę Eteonika blokującą Mitylenę. Ale zerwała się wielka burza z wichrem, która przeszkodziła wykonaniu tego zamiaru. Postawiwszy więc pomnik zwycięstwa, rozłożyli się tam na nocny spoczynek.

Służbowy szybkożaglowiec doniósł Eteonikowi o tej bitwie morskiej ze wszystkimi szczegółami. Ten kazał mu milczkiem odpłynąć (zabronił załodze z kimkolwiek rozmawiać) i wnet wrócić, umaiwszy się wieńcami, z krzykiem, że Kallikratidas odniósł zwycięstwo w bitwie morskiej i że wszystkie okręty ateńskie przepadły. Ci zastosowali się do tego rozkazu, a on, kiedy nadpłynęli, złożył ofiarę w podzięcie za wieść radosną, a wojsku rozkazał spożyć posiłek wieczorny; przekupnie otrzymali polecenie załadować cichaczem swe towary na statki przewozowe i odpłynąć na Chios — właśnie wiał pomyślny wiatr w tę stronę; to samo jak najszybciej miały uczynić trójrzędowce. Piechotę sam odprowadził do Metymny, spaliwszy uprzednio obóz. Konon natomiast, skoro nieprzyjaciele uciekli, a wiatr stał się już dogodniejszy dla żeglugi, ściągnawszy okręty na morze, popłynął na spotkanie Ateńczyków, którzy już ruszyli z Arginuz, i doniósł im, co się stało z Eteonikiem. Ateńczycy wpłynęli naprzód do Mityleny, stąd na Chios, ale niczego tu nie dokazawszy, pożeglowali z powrotem na Samos.

3. *Proces wodzów*

133

(I 7)

Tymczasem ci, co byli w domu, złożyli wodzów z urzędu, wszystkich, z wyjątkiem Konona. Temu dodali Adejmantosa, a jako trzeciego obrali Filoklesa. Z tych wodzów, którzy brali udział w bitwie morskiej, nie wrócili do Aten Protoinachos i Arystogenes, a kiedy pozostałych sześciu wróciło, mianowicie Perykles, Diomedon, Lizjasz, Arystokrates, Trazyllos i Erasinides, ówczesny przywódca ludowy Archedemos, a zarazem zarządca „dwuobolówki”, wymierzył Erasinidesowi karę administracyjną i oskarżył go przed sądem o posiadanie pieniędzy z Hellespontu, które są własnością państwową. Oskarżenie odnosiło się także i do jego działalności jako wodza. Sąd uznał, że Erasinidesa należy uwięzić. Następnie zdawali wodzowie przed Radą sprawę z przebiegu bitwy i gwałtowności burzy. Na wniosek Timokratesa, że i resztę wodzów należałoby na razie uwięzić i następnie przedstawić Zgromadzeniu Ludowemu, kazała Rada wtrącić ich do więzienia.

Po czym odbyło się Zgromadzenie Ludowe, na którym wodzów oskarżali różni, a zwłaszcza Teramenes, że sprawiedliwość wymaga, by odpowiadali za to, iż nie ratowali rozbitków. Na dowód, że tej odpowiedzialności nie mogli na nikogo innego zwalić, pokazywał list, który wodzowie wysłali do Rady i ludu, składający winę tego, co się stało, wyłącznie na burzę, a nie na coś innego. Z kolei wodzowie, każdy w krótkich słowach, gdyż nie dano im mówić przez pewien czas określony, jak tego wymaga prawo, bronili się i odpowiadali, jak to było: mianowicie oni sami mieli płynąć na nieprzyjaciela, a ratowanie rozbitków zlecieli tym z trierarchów, którzy byli do takiego zadania zdolni i piastowali już dawniej urząd stratega, Teramenesowi, Trazybulowi i innym tym podobnym. I jeśliby należało na kogoś złożyć winę zaniedbania tego ratunku, to nie mają na kogo innego, jak na tych, którzy otrzymali to zlecenie. Ale mimo że nas oskarżają — mówili — nie dopuścimy się kłamstwa i nie będziemy twierdzili, że są winni; przeszkodą w ratunku była gwałtowność burzy. Stawiali na to świadków, swych sterników i wielu z tych, co byli razem z nimi na okrętach.

Na skutek takich mów byli na najlepszej drodze do przekonania ludu; wielu zwyczajnych obywateli wstawalo z oświadczeniem, że chcą za nich ręczyć. Ale postanowiono odłożyć sprawę do drugiego zgromadzenia — wtedy bowiem było już późno i nie byłoby można widzieć podniesionych rąk — a Rada miała po uprzednim zastanowieniu się przedstawić wniosek, jakim sposobem miałyby się tych ludzi sądzić.

Potem wypadało święto Apaturiów, podczas którego schodzą się ojcowie i krewni. Teramenes więc i jego stronnicy zgromadzili ludzi czarno ubranych, ostrzyżonych aż do skóry, jakich wielu było podczas tej uroczystości, i skłonili ich do zjawienia się tak na Zgromadzeniu Ludowym — byli przecież krewnymi zaginionych — a Kalliksejnosa namówili, by wodzów oskarżał przed Radą.

Następnie odbywało się Zgromadzenie Ludowe, na którym Rada przedstawiła swój wniosek, a przemawiał w jej imieniu Kalliksejnos: „Po wysłuchaniu podczas poprzedniego zgromadzenia oskarżeń przeciwko wodzom i obrony tychże, mają głosować wszyscy Ateńczycy według fyl. Ustawi się przy każdej fyli dwie urny i przy każdej fyli herold ogłosi, iż kto uważa, że wodzowie dopuścili się zbrodni, nie ratując z morza zwycięzców, ma rzucić głos do pierwszej urny, a kto, że nie, do drugiej. Jeśli uzna się ich winnymi zbrodni, ma się ich ukarać śmiercią i wydać w ręce „jedenastki”, a majątki skonfiskować, z czego bogini otrzyma dziesięcinę”. Wystąpił także ktoś na zgromadzeniu, twierdzący o sobie, że wyratował

się na beczce z maki: ginący mieli mu polecać, by o ile się ocali, doniósł ludowi, że wodzowie nie ratowali bohaterów, którzy w walce za ojczyznę dawali wspaniałe dowody męstwa. Jednakowoż Euryptolemos, syn Peisianaksa, i kilku innych pozwali przed sąd Kalliksejnosa, twierdząc, że to, co podał na piśmie, jest sprzeczne z prawem. Ten krok znalazł uznanie niewielu, ale większość krzyczała, że to niesłychane, by ktoś wzbraniał ludowi działać wedle swej woli. Na to Lykiskos podał wniosek, by i nad nimi głosować tak samo, jak i nad wodzami, jeżeli nie cofną skargi, a tłum znowu zahuczał, tym razem okrzykiem zgody; wobec tego widzieli się zmuszeni cofnąć oskarżenia. A kiedy niektórzy z prytanów oświadczyli, że nie dopuszczą do głosowania nad wnioskiem sprzecznym z ustawą, wystąpił znowu Kalliksejnos przeciw nim z taką samą skargą. Lud krzyczał, by sądzić tych, co nie zgadzają się na głosowanie. Prytanowie w strachu zgodzili się wszyscy na poddanie wniosku pod głosowanie, wyjąwszy Sokratesa, syna Sofroniska. Ten oświadczył, że w każdej czynności będzie postępował nie inaczej, jak tylko w myśl przepisów prawa. Potem wystąpił Euryptolemos i przemówił w obronie wodzów jak następuje:

„Wystąpiłem tu, Ateńczycy, częściowo z oskarżeniem, mimo iż Perykles jest bliskim mi krewnym, a Diomedon przyjacielem, częściowo z usprawiedliwieniem, a częściowo z radą, jaka mi się najlepsza wydaje dla całego państwa. Otóż oskarżam ich o to, że namowami swymi wpłynęli na zmianę postanowienia wodzów, którzy chcieli posłać do Rady i do was pismo tej treści, że polecili Teramenesowi i Trazybulowi przy pomocy czterdziestu siedmiu okrętów ratować rozbitków, a oni tego nie wykonali. Skutkiem tego za błąd dwóch jednostek wszyscy wspólnie teraz odpowiadają; za to, że wtedy okazali uczucie ludzkości, czyhają dziś na nich tamci i inni jeszcze, i grozi im śmierć. Nie, nic z tego, jeśli mnie posłuchacie i postąpicie zgodnie z prawem ludzkim i boskim; to najwięcej umożliwi wam na przyszłość znalezienie prawdy, to uchroni was przed tym, żebyście kiedyś później nie przekonali się ze skruchą, iż popełniliście grzech największy wobec bogów i wobec siebie samych.

Otóż daję wam radę, w której żadne oszustwo, ni z mojej strony, ni z niczyjej innej, mieścić się nie może, która pozwala wam winowajców ukarać z pełną świadomością, karą dowolną, wszystkich razem i każdego z osobna: przyznajcie im dzień przynajmniej jeden, jeżeli nie więcej, na ich obronę, i nikomu nie wierzcie więcej, jak swoim własnym uszom. Wiecie, Ateńczycy, iż bardzo surowa jest uchwała Kannona, a która brzmi, że jeżeli ktoś skrzywdzi lud ateński, ma z więzienia stanąć przed sądem ludu, a uznany winnym, ma ponieść śmierć przez strącenie go w przepaść, majątek przepada na rzecz państwa, a bogini ma otrzymać z niego dziesięcinę. Domagam się, by na podstawie tej uchwały sądzono wodzów i, na Zeusa, pierwszego mego krewniaka, Peryklesa, jeśli taka wola wasza; wstyd mi bowiem dbać więcej o niego niż o całe państwo. A jeśli tego nie chcecie, to sądzcie według ustawy odnoszącej się do świętokradców i zdrajców: kto państwo zdradza lub własność świętą kradnie, podpada pod sąd, a jeśli będzie uznany winnym, nie ma być pogrzebany w Attyce, a mienie jego przepada na rzecz państwa. Jedno z tych dwóch praw wybierzcie, panowie, i na podstawie tego prawa niech się sędzi tych mężów, każdego z osobna; podzieliwszy dzień na trzy części, w pierwszej części musicie zebrać się i głosować nad tym, czy wydaje się wam, że istnieje tu wina, czy nie, drugą część dnia poświęci się oskarżeniu, na trzecią wypadnie obrona. W takim razie winni otrzymają najsurowszą karę, a niewinnych uwolnicie, panowie, i nie będą wbrew sprawiedliwości ponosili kary śmierci. A wy stanowiąc będziecie sąd zgodny z ustawą, zbożny, nie krzywoprzysiężny, i nie będziecie prowadzić wojny po stronie Lacedemończyków, bez sądu i wbrew prawu zabijając tych, co ich zwyciężyli i odebrali im siedemdziesiąt okrętów.

I czegoż wam strach, że się tak bardzo śpieszycie? Czy obawiacie się, że nie będziecie skazywać na śmierć czy uwalniać wedle swojej woli, jeżeli sądzić będziecie w sposób zgodny z prawem — a zgoła nie ma tej obawy, jeśli będziecie sądzić wbrew prawu, zgodnie z wnioskiem, który Rada za poduszczeniem Kalliksejnosa ludowi przedstawiła, mianowicie jednym głosowaniem nad wszystkimi? Ale może i kogoś niewinnego skazecie na śmierć. Pamiętajcie, jak bolesna jest późniejsza skrucha i jak już bezużyteczna, tym bardziej jeszcze, jeśli tym dawnym błędem jest spowodowanie śmierci człowieka. Taki postępek z waszej strony byłby przecież niesłychany, jeżeli Arystarchowi, który naprzód pracował nad obaleniem demokracji, a potem Ojnoe w zdradziecki sposób wydał Tebanom, wrogom państwa, daliście dzień, by się bronił, jak zechce, i w ogóle wyznaczyliście wszystko wedle prawa, a pozbawicie dobrodziejstwa prawa wodzów, którzy wam wszystko wedle waszego życzenia przeprowadzili, którzy nieprzyjaciół waszych pokonali. Nie, Ateńczycy! Bądźcie sami swoimi panami, przestrzegajcie praw, którym swą znaczną wielkość zawdzięczacie, bez nich nie starajcie się czynić niczego.

Przenieście się myślą do tych właśnie wypadków, z których powstały owe rzekome przewinienia wodzów. Kiedy po odniesieniu zwycięstwa na morzu dopłynęli do lądu, podał Diomedon wniosek, by wszystkie okręty wypłynęły długą linią, jeden za drugim, w celu zbierania rozbitych okrętów i rozbitek okrętowych, Erasinides zaś chciał, by wszyscy jak najszybciej ruszyli na nieprzyjaciół pod Mityleną. Trazyllos natomiast rzekł, że może się stać jedno i drugie, jeżeli jedne okręty tu się zostawi, a z drugimi popłynie się na nieprzyjaciół. Skoro to postanowiono, polecił każdemu zostawić po trzy okręty ze swego oddziału; wodzów było ośmiu, prócz tego miało zostać dziesięć okrętów taksjarchów, dziesięć samijskich i trzy nauarchów, wszystkiego razem czterdzieści siedem, a więc wypadało po cztery okręty na każdy zaginiony, bo zaginęło okrętów dwanaście. Do pozostawionych należeli i Trazybul, i Teramenes, który na poprzednim zgromadzeniu oskarżał wodzów. Z resztą okrętów płynęli na nieprzyjacielską flotę. Cóż z tych zarządzeń nie jest odpowiednie i celowe? Zatem sprawiedliwość wymaga, by za niepowodzenia wobec nieprzyjaciela byli odpowiedzialni ci, których na walkę odkomenderowano, a sądzić w sprawie ratowania tych, co nie wykonali rozkazu wodzów, sądzić za to, że nie ratowali. Ale tyle mam do powiedzenia: burza nie dopuściła do wykonania żadnego rozkazu wodzów. Świadcami tego ci, co się przypadkiem wyratowali; do nich należy i jeden z wodzów, który uratował się na zanurzonej okręcie, i tego każą sądzić tym samym głosowaniem, co tych, którzy nie spełnili rozkazów, choć on sam wtedy potrzebował ratunku.

Zatem, panowie, w zwycięstwie i szczęściu nie postępujcie wzorem tych, których spotkała klęska i nieszczęście, nie dopatrujcie się złej woli tam, gdzie działała wyższa konieczność z woli bożej, nie uznajcie zdrady, gdzie była tylko bezsilność. Przecież o wiele sprawiedliwsze byłoby wiencami uczcić zwycięzców, aniżeli śmiercią ich karać, dając posłuch podszeptom złych ludzi”.

Po tym przemówieniu podał Euryptolemos na piśmie wniosek, by sądzić tych mężów według uchwały Kannona, każdego z osobna. Wniosek zaś Rady brzmiał, by jednym głosowaniem sądzić wszystkich razem. Przy głosowaniu uchwalili naprzód wniosek Euryptolema. A kiedy Menekles pod przysięgą podniósł zarzut przeciwko wynikowi głosowania, uchwalili przy powtórnym głosowaniu wniosek Rady. Następnie skazali na śmierć ośmiu wodzów, którzy brali udział w bitwie morskiej. Śmierć poniosło obecnych sześciu. Niedługo potem pożałowali Ateńczycy tego kroku i uchwalili, by tych, co lud oszukali, postawić w stan przedwstępny oskarżenia i zażądać od nich poręczycieli aż do czasu, kiedy sąd się odbędzie; Kalliksejnos ma także należeć do oskarżonych. Rozciągnięto przedwstępne

oskarżenie jeszcze na czterech innych, i poręczyciele uwięzili ich. Jednakowoż później, wskutek jakichś rozruchów, podczas których zginął Kleofon, uciekli, zanim sąd się odbył. Kalliksejnos zaś wrócił, kiedy i ci wrócili do miasta, którzy byli w Pireusie, i tu, będąc przedmiotem powszechnej nienawiści, umarł z głodu.

4. *Oblężenie i zajęcie Aten*

(II 1, 30–2, 3)

Lizander sprowadził okręty, jeńców i w ogóle wszelką zdobycz do Lampsaku; pojmał do niewoli, prócz innych wodzów, także Filoklesa i Adejmanta. W tymże dniu, w którym to zrobił, posłał do Lacedemonu korsarza, Teopompa z Miletu, z wieścią o tym, co się stało; zdążył on z wieścią w trzy dni. Następnie zwołał Lizander sprzymierzeńców na zgromadzenie, by naradzić się nad losem jeńców. Wiele skarg podnoszono na tej naradzie przeciw Ateńczykom, wypominano bezprawia już popełnione i gwałty, jakie wykonywać uchwalili, mianowicie uchwalili na wypadek zwycięstwa w bitwie morskiej u wziętych żywcem obcinać prawą rękę; przytoczono, że ujawszy dwa okręty, jeden z Koryntu i jeden z Andros, całą załogę wrzucili w morze. Filokles był tym wodzem ateńskim, który kazał ich stracić. Wiele jeszcze mówiono innych rzeczy i powzięto uchwałę, by wszystkich pojmanych Ateńczyków zabić, z wyjątkiem Adejmanta, gdyż on jedyny na zgromadzeniu podniósł był sprzeciw przeciwko uchwale o obcinaniu rąk. Niektórzy wszakże obwiniali go o zdradę floty. Filoklesa zaś Lizander spytał naprzód, na jaką karę zasłużył, jako ten, który zapoczątkował łamanie praw wobec Hellenów, a potem kazał go ściąć.

Kiedy uporządkował stosunki w Lampsaku, popłynął do Bizancjum i Kalchedonu. Przyjęli go tam, zawarłszy poprzednio z ateńską załogą układ, mocą którego mogli żołnierze opuścić miasto. Ci zaś, co swego czasu wydali Bizancjum w ręce Alkibiadesa, uciekli wtedy do Pontu, a później do Aten, i zostali Ateńczykami. Lizander żołnierzy z załóg ateńskich i w ogóle wszystkich Ateńczyków, jakich tylko zauważył, wysyłał do Aten, poręczając bezpieczeństwo w drodze jedynie tym, co tam chcieli płynąć, a w innym kierunku nie; wiedział, że im więcej ludzi nagromadzi się w mieście i w Pireusie, tym prędzej nastąpi brak żywności. Pozostawiwszy Lakończyka Stenelaosa jako harmosę Bizancjum i Kalchedonu, wrócił do Lampsaku i starał się doprowadzić do porządku swe okręty.

W Atenach zaś, kiedy „Paralos” przybył w nocy, zaczęto mówić o tym nieszczęściu i jęk z Pireusu płynął wzdłuż długich murów aż do miasta, bo jeden drugiemu wieść podawał. Tej nocy nikt nie zasnął; nie tylko poległych opłakiwali, ale raczej siebie samych, w przekonaniu, że doznają tego samego losu, jaki zgotowali Melijczykom, kolonistom lacedemońskim, zmógłszy ich oblężeniem, Histiajczykom, Skionajczykom, Toronajczykom, Ajginetom i wielu innym Hellenom. Dnia następnego zwołali Zgromadzenie Ludowe, na którym postanowili wjazdy wszystkich portów, z wyjątkiem jednego, zasypać u wejścia, mury odnowić i rozstawić strażę, i w ogóle przygotować miasto na oblężenie, którego należało się spodziewać.

Tym się więc oni zajmowali. Tymczasem Lizander, przybywszy na czele dwustu okrętów z Hellespontu na Lesbos, wprowadził swój ustrój we wszystkich tamtejszych miastach, między innymi także w Mitylenie; do trackich zaś grodów posłał dziesięć trier pod wodzą Eteonika, który wszystko tam przeciągnął na stronę lacedemońską. I reszta Hellady odpadła wnet po tej

bitwie morskiej od Ateńczyków, z wyjątkiem Samijczyków; ci, urządziwszy rzeź szlachty, dzierżyli miasto w swej mocy. Następnie posłał Lizander do Agisa w Dekelei i do Lacedemonu wieść, iż nadpływa z dwustu okrętami. Lacedemończycy wyruszyli z pospolitym ruszeniem, a także i reszta Peloponezyjczyków, z wyjątkiem Argiwów, na wezwanie drugiego króla, Pauzanasza. Gdy w pełnej liczbie stanęli, powiadł ich pod miasto i rozłożył się obozem w Akademii. Tymczasem Lizander przybył do Ajginy i zebrawszy tak wielką liczbę Ajginetów, jak tylko zdołał, oddał im miasto, tak samo Melijczykom i wszystkim innym, których pozbawiono ojczyzny. Po czym, spustoszywszy Salaminę, w sto pięćdziesiąt okrętów stanął na kotwicy przed Pireusem i odciął statkom dojazd do portu.

Ateńczycy, oblegani od strony lądu i morza, nie wiedzieli w swej bezradności, co począć: brak było okrętów, brak sprzymierzeńców, brak żywności. Muszą — myśleli — nie ma na to rady, wycierpieć to samo, co wyrządzali innym, kiedy to nie za karę, lecz z buty znęcali się nad małymi państwami, nie mając ku temu żadnej innej przyczyny jak tę, że walczyły po tamtej stronie. Dlatego przywróciwszy prawa tym, którzy byli skazani na pozbawienie praw obywatelskich, trzymali się mocno i choć w mieście wielu umierało z głodu, nie próbowano układów. A kiedy już żywność zupełnie się wyczerpała, wyprawili posłów do Agisa, chcąc zostać sprzymierzeńcami Lacedemończyków, zatrzymując mury warowne i Pireus, i prowadzić rokowania na takiej podstawie. Ale ten kazał im udać się do Lacedemonu, jako że sam nie jest uprawniony do prowadzenia układów. Gdy posłowie powtórzyli to Ateńczykom, wysłano ich do Lacedemonu. Kiedy byli już w Sellazji i eforowie dowiedzieli się o nich, z czym przybywają, mianowicie z tym samym, z czym i do Agisa, kazali im stamtąd zawrócić; jeśli chcą pokoju, to niech się lepiej namyślą, nim przyjdą. Skoro posłowie wrócili i dali tę odpowiedź rządowi, zwątpienie opanowało wszystkich: przypuszczali bowiem, że pójdą w niewolę, a zanim wyśle się drugie poselstwo, wielu wymrze z głodu. Jednakowoż zburzenia murów nie chciał doradzać nikt, gdyż Archestratos, który w Radzie wyraził się, że najlepiej by było z Lacedemończykami zawrzeć pokój na warunkach, jakie proponowali, poszedł do więzienia. Mianowicie proponowali zburzyć długie mury na dziesięć staj z jednej i drugiej strony; powzięto wtedy uchwałę, że nie wolno nad tym radzić.

W takim stanie rzeczy Teramenes oświadczył na zgromadzeniu, że jeśli go chcą wysłać do Lizandra, wróci z dokładną wiadomością, czy Lacedemończycy obstają przy swym żądaniu co do murów z tego powodu, że chcą całe miasto zaprzedać w niewolę, czy tylko dla pewności. Posłany do Lizandra bawił u niego trzy miesiące i więcej, czatując na tę chwilę, kiedy Ateńczycy z powodu zupełnego braku żywności zgodzą się na wszystko, co tylko kto powie. Wróciwszy w czwartym miesiącu, opowiedział, że go Lizander zatrzymał do tej pory, a potem kazał mu pójść do Lacedemonu, bo nie on jest upoważniony w tej sprawie, o którą go pytał, lecz eforowie. Po czym wybrano go pełnomocnym posłem do Lacedemonu wraz z dziewięciu innymi. Lizander posłał eforom przez kilku Lacedemończyków i wygnańca ateńskiego, Arystotelesa, wiadomość, iż odpowiedział Teramenesowi, że oni są upoważnieni do rozstrzygnięcia o wojnie i pokoju.

Skoro Teramenes z resztą posłów doszedł do Sellazji, pytano ich, z jakim słowem przybywają; powiedzieli, że jako pełnomocni w sprawie pokoju. Wtedy eforowie kazali ich wezwać. Po ich przybyciu zwołali zgromadzenie, na którym przeciwko Ateńczykom przemawiali najwięcej Koryntyjczycy i Tebanie, a i z innych Hellenów wielu żądało, by nie zawierać pokoju z Atenami, lecz zniszczyć je doszczętnie. Lacedemończycy jednak oświadczyli, że nie zgodzą się na zaprzecanie w niewolę miasta helleńskiego, które podczas największych niebezpieczeństw okazało się pewną ostoją dla Hellady, i byli gotowi zawrzeć pokój na następujących warunkach: Ateńczycy zburzą długie mury i Pireus, wydadzą

wszystkie okręty prócz dwunastu, wygnańców przyjmą z powrotem, na lądzie i morzu pójdą za przewodem Lacedemończyków, wspólnych z nimi mając wrogów i wspólnych przyjaciół.

Z takimi warunkami wracali do Aten posłowie i Teramenes. Gdy weszli do miasta, płynęły ku nim tłumy ludu i otaczały ich w strachu, że może przychodzą z kwitkiem. Dłużej bowiem czekać już nie uchodziło z powodu wielkiej liczby umierających z głodu. Nazajutrz zdawali posłowie sprawę z warunków, pod jakimi Lacedemończycy byli gotowi do pokoju, a przemawiał za nich Teramenes, stwierdzając konieczność poddania się woli Lacedemończyków i burzenia murów. Wobec sprzeciwu niektórych, a zgody znacznej większości, uchwalono pokój przyjąć. Na skutek tego wpłynął Lizander do Pireusu, powrócili wygnańcy, a mury przez podkopanie obalono wśród głośniejszej radości, przy dźwiękach muzyki fletnistek, w przekonaniu, że ten dzień jest początkiem wolności dla Hellady.

5. *Panowanie trzydziestu tyranów w Atenach*

(II 3–4, 1)

Następnego roku uchwalił lud wybrać trzydziestu mężów celem spisania konstytucji, wedle której mieli się rządzić na przyszłość. Z wyborów wyszli następujący: Polichares, Kritias, Melobios, Hippolochos, Eukleides, Hieron, Mnesilochos, Chremon, Teramenes, Aresias, Diokles, Fajdrias, Chaireleos, Anaitios, Pejson, Sofokles, Eratostenes, Charikles, Onomakles, Teognis, Ajschines, Teogenes, Kleomedes, Erasistratos, Fejdon, Drakontides, Eumates, Arystoteles, Hippomachos, Mnesiteides. Po dokonaniu tego odpłynął Lizander na Samos, a Agis odprowadził piesze wojsko z Dekelei i rozpuścił sprzymierzeńców, każdego do swego miasta.

Około tego czasu, mniej więcej równocześnie z zaćmieniem słońca, Likofron z Feraj, dążący do opanowania całej Tesalii, pobił w otwartej walce tych Tesalczyków, co mu opór stawiali, Larysejczyków i innych, i wielu z nich zabił.

Samijczycy, ze wszech stron ściśnięci przez Lizandra oblężeniem, nie chcieli zrazu przystać na jego warunki, ale kiedy Lizander gotował się do szturmów, przystali na to, by każdy z wolnych wyszedł w jednej szacie, wszystko inne mieli oddać; i tak wyszli. Lizander zaś oddał miasto z tym wszystkim, co tam było, dawniejszym jego mieszkańcom i ustanowiwszy rządy dziesięciu, odesłał flotę sprzymierzeńców do ich miast, a sam z lakońskimi okrętami odpłynął do Lacedemonu, zabierając ze sobą dzioby ujętych okrętów i triery z Pireusu, wieńce otrzymane jako dary osobiste od miast i czterysta siedemdziesiąt talentów srebra, jako resztę z podatków, jakie mu Cyrus wyznaczył na prowadzenie wojny, i w ogóle co tylko zdobył na wojnie. To wszystko oddał Lacedemończykom z końcem lata.

Tych trzydziestu wybrano bezpośrednio po zburzeniu długich murów i zniszczeniu obwarowań Pireusu. Wybrano ich celem spisania konstytucji, wedle której mieli się Ateńczykowie rządzić na przyszłość, ale oni ze spisywaniem praw i przedstawieniem ich ciągle zwlekali, a tymczasem obsadzili Radę i urzędy według własnego widzimisię. Naprzód pojmali tych, o których powszechnie wiedziano, że za czasów demokracji żyli z donosicielstwa i byli ciężarem dla wielu porządných ludzi; tych oskarżali o sprawy gardłowe, a Rada z ochotą ich skazywała na śmierć, podczas gdy wszyscy inni, którzy nie poczuwali się do żadnej wspólnoty z nimi, wcale na to nie sarkali. A kiedy zaczęli naradzać się nad tym,

jakby to można postępować z państwem wedle swego widzimisię, wtedy przede wszystkim posłali do Lacedemonu Ajschinesa i Arystotelesa i namówili Lizandra, by wpływem swym pomógł im do uzyskania stamtąd załogi aż do czasu, kiedy usunąwszy z drogi złych obywateli, ustanowią konstytucję. Żywić załogę obiecywali sami. Ten, na skutek ich namowy, wpływem swym pomógł do tego, że wysłano im załogę z harmostą Kallibiosem. Kiedy ci dostali załogę, Kallibiosowi dogadzali na wszelakie sposoby, aby pochwalał wszelkie ich kroki. Ten dawał im pomoc z załogi, a oni więzili teraz, kogo chcieli, nie tylko podłych i nic wartych, ale już takich, o których myśleli, że najmniej będą znosili spychanie siebie na drugi plan, a najwięcej znaleźliby ochotnych pomocników, w razie gdyby usiłowali stawić w czymś opór.

Z początku był Kritias jednego zdania z Teramenesem, i byli przyjaciółmi. Gdy Kritias sam był pochopny do częstych wyroków śmierci, także i z tego powodu, że lud skazał go dawniej na wygnanie, stawał mu na zawadzie Teramenes, tłumacząc, że nie godzi się skazywać na śmierć, jeśli lud szanuje kogoś, co nic złego nie wyrządził ludziom wytwornym i szlachetnym: „Bo i ja, i ty niejedno już powiedzieliśmy dla przypodobania się obywatelom”. Na to tamten — bo był jeszcze w zażyłych stosunkach z Teramenesem — upierając się przy swoim, podnosił, że dążącym do zdobycia władzy nie wolno nie usuwać takich, co najskuteczniej mogliby stawiać przeszkody. „Jeśli zaś myślisz, że mniej trzeba troszczyć się o tę władzę niż o tyranie, bo nas jest trzydziestu, a nie jeden, toś bardzo naiwny”. A kiedy wielu ginęło niesprawiedliwą śmiercią i widoczne było, że ludzie gromadzą się i dziwują, co to będzie z państwem, znowu mówił Teramenes, że nie będzie można utrzymać oligarchii, o ile się nie przybierze odpowiednich współników do prowadzenia spraw państwowych.

Otóż wtedy Kritias i reszta z trzydziestu, już w strachu, zwłaszcza o to, by się obywatele nie skupili około Teramenesa, wybierają trzy tysiące takich, co już mają mieć udział w prowadzeniu spraw państwowych. A Teramenes znowu na to mówił, że nedoręczne się to wydaje, przynajmniej jemu; po pierwsze to, że chcąc dopuścić do udziału w rządach najlepszych z obywateli, wybrali trzy tysiące, jakby ta liczba z jakiejś konieczności przedstawiała wytwornych i dobrych i jakby było niemożliwe znaleźć porządných poza nimi, a między nimi złych. „A po drugie, widzę, że dążymy do dwóch celów najzupełniej z sobą sprzecznych: chcemy doprowadzić do panowania siły i do tego, by panujący byli siłą słabsi od opanowanych”.

Tak to on mówił. Ci zaś, urządziwszy przegląd owych trzech tysięcy na rynku, a innych obywateli spoza listy gdzie indziej, wezwali swoich pod broń, a podczas gdy tamci odeszli, posłali żołnierzy z załogi i tych z obywateli, co byli jednej z nimi myśli, i odebrali broń wszystkim, prócz owych trzech tysięcy; zniósłszy ten oręż na akropolis, złożyli go w świątyni. Kiedy się to stało, w przekonaniu, że już im wszystko wolno, co by im się tylko żywnie podobało, zabili wielu z nienawiści, a wielu dla majątku. Postanowili, celem zyskania pieniędzy na żołd dla załogi, także i metojków ująć, po jednemu na każdego, ich samych zabić, a majątek skonfiskować. Kazali też i Teramenesowi wziąć, kogo zechce, ale on odpowiedział: „Nie wydaje mi się chlubne mówić o sobie, że się jest najlepszym, a postępować gorzej niż sykofanci. Oni bowiem tym, od których brali pieniądze, pozwalali żyć, my zaś będziemy zabijali niewinnych, aby zabierać pieniądze? Czyż nie jest to pod każdym względem gorsze od ich postępowania?”

Ci więc, rozumiejąc, że stanowi dla nich przeszkodę w wykonywaniu tego, co by się im podobało, kopią pod nim dołki i z osobna oczerniają go przed członkami Rady, każdy przed innym, że zniesławia istniejący ustroj państwowy. I zapowiedziawszy młodzieniaszkom,

którzy im się wydawali najzuchwalsi, by się jawili ze sztyletami pod pachą, zwołali Radę. Skoro nadszedł Teramenes, powstał Kritias i przemówił w następujący sposób: „Wysoka Rado! Jeśli ktoś z was sądzi, że umiera więcej ludzi, niżby tego okoliczności wymagały, niech zważy, iż dzieje się to wszędzie tam, gdzie zmienia się forma rządu. Z konieczności musi tu być najwięcej wrogów zmieniania formy rządu w oligarchię, gdyż miasto to jest najludniejsze w Helladzie, a lud przez najdłuższy czas wychowywał się w wolności. A my, w rozumieniu, że dla takich jak my i wy demokracja jest uciążliwą formą rządu, a dalej w rozumieniu, że Lacedemończykom, którzy nas wybawili, nigdy lud nie mógłby zostać przyjacielem, natomiast najlepsi zawsze by im dochowywali wierności, wprowadzamy dlatego w porozumieniu z Lacedemończykami taką formę rządu. I jeżeli zauważymy, że ktoś jest przeciwny oligarchii, staramy się go wedle sił naszych usunąć z drogi. Zaś w znacznie większej mierze uważamy za sprawiedliwe, że jeśli ktoś spomiędzy nas samych podkopuje ustanowione w kraju stosunki, to taki powinien ponieść karę.

Teraz więc widzimy, że ten oto tu obecny Teramenes wedle sił swoich pracuje na zgubę naszą i waszą. Że to prawda, na to, jeśli się zastanowimy, znajdziecie dowód w tym, iż nikt więcej od tego oto tu obecnego Teramenesa nie gani istniejących stosunków ani nie sprzeciwia się, jeśli chcemy usunąć z drogi któregoś z demagogów. Otóż gdyby od początku był takiego zapatrywania, byłby nieprzyjacielem, to prawda, wszelako za podłego nie można by go było ze słuszością uważać. Tymczasem on sam zapoczątkował sojusz i przyjaźń z Lacedemończykami, on sam obalenie demokracji, on najwięcej zachęcał was do wymierzania kary tym, których tu z początku wprowadzano jako oskarżonych, a teraz, kiedy i wy, i my staliśmy się jawnymi wrogami ludu, już mu się to, co się dzieje, nie podoba, znowu chce stanąć na bezpiecznym miejscu, a nas zostawić, byśmy pokutowali za to, co się stało. Toteż wypada, by nie tylko jako wróg jedynie ponosił karę, ale i jako zdrajca, zdrajca nas i was. Wszakże o tyle zdrada jest straszniejsza od wojny, o ile trudniej jest ustrzec się przed czymś nieznanym niż przed znanym, i o tyle nienawistniejsza, że jest możliwe, by ludzie z wrogami zawierali układy i znowu stawali się wiernymi przyjaciółmi, ale kogo na zdradzie przyłapią, to z tym nikt nigdy ani układów nie zawiera, ani nie ufa mu na przyszłość.

Abyście zaś wiedzieli, że to nic nowego w tym, co on teraz czyni, lecz że z natury jest zdrajcą, przypomnę wam jego dotychczasowe postęпки. Otóż on, zażywając powagi u ludu, tak jak ojciec jego Hagnon, był najpochopniejszy do zmiany demokracji w rządy czterystu i był pierwszym między nimi. Ale skoro zauważył, że rośnie opór przeciw oligarchii, pierwszy stanął na czele ludu przeciwko nim. Stąd to bez wątpienia otrzymał przezwisko: koturn. Nie, Teramenesie, człowiek, co wart żyć, powinien umieć nie doprowadzać towarzyszy do kłopotów i nie przerzucać się zaraz na drugą stronę, skoro tylko coś stanie na przeszkodzie, ale jakby na okręcie pracować z mozołem, aż okręt pod wiatr pomyślny doprowadzą. Bo w przeciwnym razie jakżeby kiedyś do celu przybyli, gdyby za lada przeszkodą natychmiast płynęli w kierunku przeciwnym? I niewątpliwie wszystkie przewroty w formie rządów przynoszą ze sobą śmierć, więc ty, dzięki swej łatwości przerzucania się z jednej strony na drugą, wobec bardzo wielu ponosisz, wspólnie z innymi, winę za to, że zginęli z woli ludu przy przemianie oligarchii, i wobec bardzo wielu, że zginęli przy przemianie demokracji z woli lepszych. On ci to jest tym, co, otrzymawszy od wodzów rozkaz ratowania z morza ateńskich rozbitków z bitwy u wyspy Lesbos, sam nie ratował, a przecież wodzów o to skarżył i skargą swą ich zabił, ażeby sam ocalał. Zaiste, jeśli ktoś tak widocznie zawsze o swoją dba korzyść wyłącznie, bez oglądania się na honor i przyjaciół, to jakżeby takiego kiedykolwiek należało oszczędzać? Jakżeby nie należało się przed nim ustrzec, znając te jego przerzucania się, by i nam tego samego nie potrafił urządzić?

My więc oskarżamy go tu o zdradzieckie knowania przeciwko nam i wam. A że słusznie postępujemy, niech wam starczy za dowód następujące rozumowanie. Za najlepszą mianowicie formę rządu uchodzi bez wątpienia konstytucja Lacedemończyków. Jeśliby tam któryś z eforów zamiast słuchać większości usiłował ganić władzę i stawiać opór zarządzeniom, czyż nie uznaliby go — jak myślicie? — i sami eforowie, i w ogóle całe państwo za godnego najwyższej kary? Więc i wy, jeśli zechcecie mieć rozum, nie jego, lecz siebie samych szczerzyć będziecie, rozumiejąc, że gdyby on uszedł cało, dodałby tym otuchy wielu takim, co żywią wprost przeciwne przekonania jak my, a zguba jego podetnie nadzieje wszystkich, i tych, co w mieście, i tych, co za granicą.

To powiedziawszy, usiadł. Teramenes zaś powstał i przemówił: „Ale ja, panowie, zacznę od tego, co on na końcu przeciwko mnie powiedział. Powiada mianowicie, że ja wodzów zabiłem swoim oskarżeniem. A ja nie rozpocząłem przecież przeciwko nim występować, lecz oni mówili, że mimo rozkazu z ich strony nie ratowałem nieszczęśników z bitwy morskiej pod Lesbos. Ja swoją obroną, że skutkiem burzy nie można było nawet puścić się na morze, a tym mniej ratować tych ludzi, znalazłem u państwa wiarę, a kiedy moje usprawiedliwianie się wydało się państwu uzasadnione, wyglądało na to, jakby się wodzowie sami oskarżyli. Albowiem mimo że możliwym było, wedle ich twierdzenia, ocalić tych ludzi, poniechali ich i dali im zginąć, odpływając precz z flotą. Jednakowoż nie dziwię się, że się Kritias myli: bo kiedy się to działo, właśnie wtedy go tu nie było, ale w Tesalii razem z Prometeuszem przygotowywał grunt pod demokrację i penestów zbroił przeciwko ich panom. Broń boże, by się tu stało coś z tego, co on tam gotował. Przecież zgadzam się z nim przynajmniej w tym, że jeśli ktoś chce kres położyć waszej władzy, a dodaje sił tym, co na was godzą, to taki zasługuje na najwyższą karę. Wszakże kto jest tym, co to robi, sami, jak myślę, najlepiej poznać możecie, jeżeli zastanowicie się nad tym, co się uczyniło i co teraz każdy z nas czyni.

Nieprawdaż, że do czasu ustanowienia was członkami Rady, obsadzenia urzędów i oskarżenia sykofantów, powszechnie jako takich uznanych, wszyscy byliśmy tego samego zdania? Kiedy jednak ci zaczęli brać ludzi cnotliwych, wtedy i ja zacząłem mieć odmienne zdanie niż oni. Wiedziałem bowiem, że wobec skazania Leona z Salaminy, który i był tęgim człowiekiem, i wydawał się taki, i nic a nic nie zawinił, podobni jemu będą się obawiali, i z obawy będą przeciwnikami tej formy rządu. Rozumiałem także, że wobec aresztowania Nikerata, Nikiaszowego syna — choć to był bogacz i nigdy nic nie zrobił dla przypodobania się ludowi, ani on sam, ani ojciec jego — wszyscy jemu podobni staną się dla nas nieżyczliwi.

Ale i wtedy zaiste, gdy ginął z naszego wyroku Antyfon, który podczas wojny wystawił dwie chyże triery, wiedziałem, że i ci, co okazali swój gorliwy patriotyzm, będą się do nas odnosili podejrzliwie. Sprzeciwiłem się także i wtedy, gdy mówili, że każdy musi wybrać sobie jednego z metojków: jasne bowiem było, że po ich śmierci i metojkowie wszyscy wrogami będą dla tego rządu. Sprzeciwiłem się i wtedy, kiedy odbierano broń ludowi, uważając, że nie powinno się osłabiać miasta. Miarkowałem bowiem, że i Lacedemończycy nie chcieli nas ocalić w zamiarze doprowadzenia nas do tak skromnej liczby, byśmy im w niczym pomagać nie mogli. Mogli bowiem, gdyby im tego było potrzeba, ni jednego nawet nie zostawić, krótki jeszcze czas przycisnąwszy głodem. I branie straży na żołd nie podobało mi się, kiedy można było pomiędzy samych obywateli tyłuż sobie przybrać, do czasu, aż my, rządzący, moglibyśmy rządzonymi kierować bez trudności. A kiedy widziałem, że w mieście wielu jest nieżyczliwych dla naszej władzy i wielu idzie na wygnanie, znowu nie wydawało mi się wskazane skazywać na wygnanie ani Trazybula, ani Anytosa, ani Alkibiadesa. Wiedziałem bowiem, że tym sposobem wzmocni się stanowisko przeciwników, jeżeli do tłumu dołączą się zdolni przewodnicy, a tym, co pragną przewodzić, ukażą się liczni sprzymierzeńcy. Czy ten,

kto otwarcie daje takie przestrogi, zasługuje na miano życzliwego przyjaciela czy zdrajcy? Nie, Kritiasie, ci, którzy starają się nie dopuścić do pomnożenia wrogów, i ci, którzy uczą zyskiwać jak najwięcej sprzymierzeńców, ci nie wzmagają sił nieprzyjaciół, lecz raczej ci, co niesprawiedliwie zabierają majątki i zabijają takich, którzy w niczym nie zawinili, ci są tymi, co mnożą przeciwników i zdradzają nie tylko przyjaciół, ale i siebie samych, z brudnej chęci zysku.

Jeśli zaś inaczej nie można poznać, że mówię prawdę, to zastanówcie się w następujący sposób. Czy myślicie, że Trazybul i Anytos i reszta wygnańców woleliby, by tu się działo tak, jak ja mówię, czy tak, jak oni robią? Bo ja myślę, że teraz oni są tego zdania, iż wszystko tu przepełnione ich sprzymierzeńcami. Gdyby zaś główna siła społeczeństwa odnosiła się do nas z życzliwością, to uważaliby za rzecz niewykonalną nawet stopą dotknąć gdzieś piędy naszej ziemi. A co się tyczy jego powiedzenia, że ja zawsze jakoś potrafię się przerzucać z jednej strony na drugą, to pomyślcie i nad tym. Mianowicie ową formę rządu z Radą Czterystu sam lud przecież także uchwalił, kiedy mu tłumaczono, że Lacedemończycy raczej do każdego innego rządu będą mieli zaufanie aniżeli do demokracji. Ale kiedy oni nic nie folgowali, a wodzowie z otoczenia Arystotelesa, Melantiosa i Arystarcha jawnie na grobli obwarowywali zameczysko, by wpuszciliśmy tam nieprzyjaciół, wziąć pod swe stopy miasto — otóż jeśli ja, spostrzegłszy to, przeszkodziłem temu, to czyż znaczy to zdradzać przyjaciół?

Przeżywa mnie koturnem, bo niby staram się być wygodny dla obu stron. A kto żadnej stronie się nie podoba, to, na bogów, jakże nareszcie i nazwać takiego? Ty przecież podczas ludowładztwa uchodziłeś za najnienawistniejszego wroga ludu, a podczas panowania najlepszych stałeś się najnienawistniejszym wrogiem najszlachetniejszych. Tymczasem ja, Kritiasie, zawsze stoję na stopie wojennej z tymi, którzy są tego przekonania, że mielibyśmy doskonałą demokrację dopiero wtedy, kiedy by i niewolnicy, i tacy, co z ubóstwa za jedną drachmę państwo by sprzedali, mieli udział w rządzie, i znowu zawsze jestem przeciwnikiem tych, których zdaniem nie można mieć doskonalej oligarchii, aż państwo pod jarzmo tyranii kilku jednostek wtłoczą. Natomiast, że najlepiej prowadzić rządy przy pomocy tych, co zdołają czy konno, czy z tarczą stawać na pożytek państwa, tego zdania byłem dawniej i teraz się nie przerzucam. A jeżeli możesz, Kritiasie, wymienić, przy jakiej to ja sposobności usiłowałem wydrzeć rządy wytwornym i dobrym, stając po stronie demokratów, czy tyranów, to mów. Albowiem, jeśli mi się wykaże, iż teraz to czynię lub kiedyś przedtem robiłem coś podobnego, zgadzam się w takim razie, że zasługuje na najostateczniejszy wymiar kary, na śmierć”.

Gdy skończył tymi słowami, z wyraźnych okrzyków przychylności ze strony Rady poznał Kritias, iż jeśli dopuści do głosowania w Radzie, ujdzie Teramenes cało. Przejęty myślą, że nie przeżyłby takiego obrotu sprawy, przystąpił do „trzydziestu” i porozmawiawszy z nimi chwilę, wyszedł i kazał tym, co mieli sztylety, przystąpić do bariery w sposób dla Rady widoczny. Wróciwszy, rzekł: „Ja, Rado, uważam, że kierownik państwa, jeśli jest taki, jakim być powinien, widząc, jak się przyjaciel wywodzi w pole, ma obowiązek nie dopuścić do tego. A więc i ja tak zrobię. I trzeba wiedzieć, iż ci, co tu stoją, oświadczają, że nie zniosą tego, byśmy wolno puścili człowieka podkopującego tak otwarcie oligarchię. W myśl nowych praw nikogo z liczby owych trzech tysięcy nie można skazywać na śmierć bez waszego głosowania, co zaś do tych spoza obrębu listy, »trzydziestka« jest uprawniona do wydawania wyroków śmierci. Niniejszym tego tu obecnego Teramenesa wymazuję z katalogu na mocy jednomyślnego naszego postanowienia. I jego — mówił dalej — my skazujemy na śmierć”.

Usłyszawszy to, Teramenes skoczył do ołtarza i rzekł: „Błagam was, panowie, o rzecz najśluszniejszą w świecie, niech nie będzie w mocy Kritiasa wymazywać ni mnie, ni was, według swego widzimisie, ale jakie prawo oni spisali odnośnie do tych, których umieszczono w liście, niech według takiego nad wami i nade mną sąd się odbywa. I co do tego, na bogów — mówił dalej — nie ludzę się, że mi żadną obroną nie będzie ten ołtarz, ale chcę i tym pokazać, że oni nie tylko wobec ludzi dopuszczają się największej niesprawiedliwości, ale i największej bezbożności wobec bogów. Wszakże wam — mówił dalej — moi wytworni i dobrzy ludzie, dziwuję się, że nie chcecie śpieszyć z pomocą sobie samym; rozumiecie chyba, że moje imię wcale nie jest łatwiejsze do wymazania niż każdego z was”.

Tymczasem herold „trzydziestu” wezwał „jedenastkę” przeciw Teramenesowi. Gdy ci weszli z pachołkami pod wodzą Satyrosa, najzuchwalszego z nich i najbezcenniejszego, przemówił Kritias: „Oddajemy w wasze ręce tego tutaj Teramenesa, osądzonego według prawa. Weźcie go i zaprowadźcie dokąd należy i czyńcie to, co dalej czynić wypada”. Kiedy to powiedział, zaczął go Satyros odrywać od ołtarza, a pomagali mu odrywać pachołkowie. A Teramenes, jak to naturalne, bogów i ludzi wzywał na świadków tego, co się dzieje. Rada zaś zachowywała się spokojnie, widząc przy barierze podobnych do Satyrosa, a plac przed ratuszem pełny zbrojnej straży, i nie było im tajne, że przyszli ze sztyletami. Odprowadzili więc przez rynek tego człowieka, obwieszczającego wielkim głosem, jaką krzywdę cierpi. Przytaczają także takie jedno jego powiedzenie. Gdy mu Satyros powiedział, że jeśli nie zamilknie, to będzie źle, spytał: „A jeżeli zamilknę, to nie będzie źle?” A kiedy musząc umierać, napił się szaleju, miał ostatkiem na dnie prysnąć, jak przy zabawie w kottabos, ze słowami: „To dla pięknego Kritiasa”. Nie jest to mi nieznane, że takie zdania nie zasługują na umyślną wzmiankę, ale uważam za rzecz godną podziwu u tego męża to właśnie, że dusza jego mimo stojącej nad nią śmierci nie straciła przytomności umysłu i żartobliwej weny.

Tak więc zginął Teramenes. „Trzydziestu” zaś, w myśli, jakoby mogli już bez obawy sprawować tyranję, zakazało nieumieszczonym w katalogu wstępu do miasta, a z pozamiejskich okolic uprowadzali ich do więzienia, chcąc pojąć ich dobra ziemskie lub oddać je przyjaciołom. A kiedy ci uciekli do Pireusu, to i stąd wielu uprowadzali, i napełnili Megarę i Teby zbiegami.

6. *Bitwa pod Mantineją*

(VII 5, 4 i n.)

Podczas gdy to się działo, Epaminondas wyruszył na czele wszystkich Beotów i Eubejczyków i wielu wojsk tesalskich, bądź to Aleksandra, bądź to jego przeciwników.

Fokejczycy natomiast nie szli z nim razem, podając, iż umowa ich brzmi, że mają śpieszyć z pomocą, jeśliby ktoś szedł na Teby; iść zaś z Tebami przeciw innym nie są obowiązani, bo o tym nie ma nic w układach. Epaminondas liczył na to, że i w Peloponezie mają Tebanie sprzymierzeńców, mianowicie Argos, Mesenię i te państwa arkadyjskie, które sprzyjają Tebom. Były to: Tegea, Megalopolis, Asea i Pallantion i te miasta, które jako małe i leżące między tamtymi, były zmuszone do tego samego. Otóż Epaminondas ruszył z miejsca szybkim marszem, a kiedy znalazł się w Nemei, zatrzymał się tam przez czas dłuższy, w nadziei, że zaskoczy Ateńczyków w przemarszu. Rozumował, że to sojuszników bardzo podniesie na duchu, a u przeciwników wywoła zwątpienie, czyli krótko mówiąc, każda strata

Aten wyjdzie Tebom bezwzględnie na dobre. Podczas tego wyczekiwania zebrali się wszyscy jednakowo myślący sprzymierzeńcy w Mantinei. Skoro jednak Epaminondas dowiedział się, że Ateńczycy odstąpili od zamiaru maszerowania lądem i przygotowują się do przewozu wojsk morzem, aby przez Lacedemon przyjść Arkadii z pomocą, wtedy dopiero ruszywszy z Nemei, przybył do Tegei. Że się mu w dowództwie na tej wojnie szczęściło, tego nie powiem, ale pod względem przewidywania i śmiałości mąż ten, moim zdaniem, niczego nie zaniedbał. Po pierwsze, uważam za chwalebne u niego to, że stanął obozem w murach Tegei, gdzie miał stanowisko bezpieczniejsze, niż gdyby był obozował na zewnątrz, poza murami, a wróg pozostawał w większej nieświadomości co do jego kroków. A także, ponieważ był w mieście, było mu zawsze łatwiej postarać się o coś, jeśli czego było trzeba. U tamtych zaś, którzy trzymali wojsko poza murami, można było widzieć każdy krok, roztropny lub błędny. Mimo że górował nad przeciwnikami liczbą, przecież nigdy nie dał porwać się do napadu, ilekroć widział, że teren daje im przewagę.

Widząc, że żadne miasto nie przechodzi na jego stronę, a czas upływa, uznał, że trzeba działać, w przeciwnym razie zamiast dawniejszej sławy okryje się wielką hańbą. Skoro więc z wolna zdał sobie sprawę z tego, że przeciwnicy zajmują pod Mantineją mocno obronne stanowiska i wzywają do siebie Agesilaosa z wszystkimi Lacedemończykami, i zauważył, że Agesilaos wyprawił się i jest już w Pellenie, rozkazał wojsku jeść obiad i natychmiast zaczął je prowadzić na Spartę. I gdyby z zrządzenia boskiego nie był przybył do Agesilaosa jakiś Kreteńczyk z wieścią o posuwającym się naprzód wojsku, byłby wziął miasto, огоłocone z obrońców, niczym gniazdo z pisklętami. Gdy jednak Agesilaos, w porę przedtem dowiedziawszy się o wszystkim, uprzedził go w przyjsciu do miasta, Spartanie rozstawili się i strzegli grodu. Było ich bardzo mało, bo i cała konnica była daleko w Arkadii, i całe wojsko zaciężne, i z batalionów piechoty — których ogółem było dwanaście — aż trzy. A skoro Epaminondas dostał się do miasta Spartan, nie wtargnął tamtędy, gdzie byłoby mu przyszło walczyć na równinie i być narażonym na pociski z dachów domów, ani też tędy, gdzie by mimo swej większej liczby nie mogli rozwinąć swej liczebnej przewagi nad słabszymi liczbą. Zajął to miejsce, z którego spodziewał się mieć przewagę, i szedł do miasta na dół, nie do góry. Następny rozwój wypadków można przypisać woli bożej, a można też powiedzieć, że zrozpaczonym nikt się nie oprze. Bo kiedy wódz Archidamos na czele nawet nie stu ludzi, przekroczywszy jakąś tam przeszkodę, ruszył pod stromą górę na przeciwników, to wtedy właśnie te smoki ogniem ziejące, ci pogromcy Lacedemończyków, mający pod każdym względem przewagę, a w dodatku zajmujący nader dogodny teren, nie dotrzymali placu żołnierzom Archidama, lecz podają tył. I pierwsze szeregi Epaminondasa ścielą się trupem. Upojeni zwycięstwem puścili się w pościg z miasta, zapędzając się dalej, niż to było dopuszczalne. Teraz znowu ci ścielą się trupem. Albowiem pisane było, jak się zdaje, woła bożą, jak daleko ma sięgać ich zwycięstwo. Otóż więc Archidamos postawił pomnik zwycięstwa na tym miejscu, na którym je osiągnął, i tych wrogów, co tam padli, wydał na podstawie układu. Epaminondas, rozumiejąc, że Arkadyjczycy pośpieszą na pomoc Lacedemonowi, nie chciał walczyć z połączonymi siłami ich i wszystkich Lacedemończyków, tym bardziej, że im się poszczęściło, a on nie miał szczęścia. Wróciwszy do Tegei, jak mógł najszybciej, kazał hoplitom spocząć, a konnicę posłał do Mantinei, prosząc, by i tu jeszcze okazali wytrzymałość, i pouczając, że wszystko bydlę Mantinejczyków jest poza miastem i wszyscy ludzie także, tym bardziej, że to żniwa. I ci poszli.

A ateńska konnica, ruszywszy z Eleusis, spożyła obiad na Istmie i przemaszerowawszy przez Kleonaj, właśnie wtedy przysłała do Mantinei i stanęła kwaterą wewnątrz murów po domach. Kiedy było widać, że nieprzyjaciele nadciągają, prosili Mantinejczycy jazdę ateńską o pomoc,

jeśli to w ich mocy, wskazując na to, że poza murami jest wszystko bydło i robotnicy, a także wielu wolnych, niedorostłych i starców. Ateńczycy, wysłuchawszy tego, ruszają z miasta z pomocą, choć byli bez rannego posiłku i oni sami, i konie. I tutaj, czyż można odmówić podziwu ich dzielności? Mimo że widzieli znacznie większą liczbę nieprzyjaciół i mimo niepowodzenia, które spotkało jazdę pod Koryntem, nie dbali o to, ani też nie zważali na to, iż mieli walczyć z Tebańczykami i Tesalczykami, znanymi z posiadania najstarszej konnicy, lecz w tym poczuciu, że byłby to wstyd, gdyby, choć obecni, nie pomogli, na pierwszy widok nieprzyjaciół starli się z nimi, gorąco pragnąc zachować bez uszczerbku ojczystą sławę. Dzięki tej walce uratowali Mantinejczycy wszystko, co było poza miastem, ale z Ateńczyków padło dość dzielnych mężów, a jest jasne, że i oni niemało równych sobie położyli trupem. Nikt bowiem po obu stronach nie miał tak krótkiej broni, żeby nią nie można było osiągnąć wroga. I trupów swoich nie zostawili, a i dość nieprzyjacielskich wydali na mocy układów.

Epaminondas znowu zaczął brać pod rozwagę, że w ciągu kilku dni będzie musiał wrócić, ponieważ czas przeznaczony na wyprawę już ubiegał, że jeśli pozostawi osamotnionych tych, do których przybył jako sprzymierzeniec, przeciwnicy będą ich oblegali, że sam rzuci najczarniejszą plamę na swą sławę, albowiem na czele licznej ciężkozbrojnej piechoty doznał w Lacedemonie porażki od małej garstki, doznał porażki w bitwie konnicy pod Mantineją, a swoją wyprawą na Peloponez spowodował połączenie się Arkadii, Achai, Elidy i Aten z Lacedemończykami. Toteż mniemał, że niemożliwe jest wracać bez walki, rozumując, że w razie wygranej zwycięstwo naprawi wszystko, a jeśli padnie, to śmierć będzie pięknym zakończeniem życia dla tego, który starał się ojczyźnie zostawić panowanie nad Peloponezem. Że snuł takie myśli, to mi się zupełnie nie wydaje dziwne, ludzie ambitni bowiem żywią takie myśli. To wszakże, iż sobie wojsko tak urobił, że nigdy nie poddawało się uczuciu zmęczenia przy żadnym trudzie, ni w dzień, ni w nocy, nie cofało się przed żadnym niebezpieczeństwem i choć z żywnością było skąpo, przecież słuchało ochotnie — to mi się wydaje znacznie więcej godne podziwu. Kiedy mianowicie dał w końcu rozkaz przygotowywania się do przyszłej bitwy, malowała jazda z ochotą na jego rozkaz hełmy na biało, a nawet arkadyjscy hoplici malowali sobie maczugi, tak jakby byli Tebanami, a wszyscy ostrzyli groty i miecze i czyścili tarcze aż do połysku. Kiedy ich po takim przygotowaniu wyprowadził, znowu warto zwrócić uwagę na to, co zrobił. Przede wszystkim, jak to jest naturalne, ustawił się w szyku. Tym dawał, jak się zdawało, do poznania, że się gotuje do walki. A kiedy już miał wojsko uszykowane wedle swej woli, nie prowadził go najkrótszą drogą na nieprzyjaciół, lecz wiódł na zachód, do gór ciągnących się naprzeciw Tegei. Skutkiem tego wzbudził u nieprzyjaciół przekonanie, że tego dnia nie stoczy walki. Kiedy już był pod górą, kazał pod wzgórzami — po poprzednim rozwinięciu falangi — stanąć tak, że to wyglądało, jakby miał obozować. Takim postępowaniem osłabił u większości nieprzyjaciół duchowe pogotowie do walki i rozluźnił gotowy szyk bojowy. Następnie kazał kompaniom zachodzić na front, jedna za drugą, i utworzywszy koło siebie silny klin, dał rozkaz podnieść broń i prowadził naprzód. A oni szli za nim. Skoro nieprzyjaciele wbrew swemu oczekiwaniu zobaczyli nadchodzących, to już nikt z nich nie mógł zachować spokoju: jedni biegli na swe stanowiska, drudzy szykowali się, inni kielzali konie, inni znowu wdziewali pancerze, a wszyscy wyglądali na takich, co raczej biernie coś wycierpią, niż czynnie czegoś dokonają. On zaś prowadził wojsko coraz bliżej, jakby okręt bojowy dziobem zwrócony na nieprzyjaciela, sądząc, że zniszczy całe wojsko przeciwników, jeśli je gdziekolwiek swym uderzeniem przełamie. Jakoż gotował się uderzyć najsilniejszą częścią swego wojska, a najsłabszą odstawił daleko, wiedząc, że jej klęska wywoła u swoich zwątpienie, a doda odwagi nieprzyjaciołom.

Nieprzyjaciele ustawili konnicę jakby hoplitów, jednego za drugim na głębokość falangi, bez domieszanych pieszych. Epaminondas natomiast i z konnicy utworzył mocny klin, i pieszych domieszał między ich szeregi, uważając, że jeśli przełamie konnicę, to zostanie zwycięzcą nad całą stroną przeciwną. Bardzo trudno bowiem jest znaleźć takich, co by chcieli stawić czoło, skoro będą widzieli między sobą uciekających. A żeby Ateńczycy z lewego skrzydła nie śpieszyli z pomocą przytykającym do nich oddziałom, ustawił na jakichś pagórkach, wprost im naprzeciw, konnicę i ciężkozbrojną piechotę, chcąc i ich przerazić pewnością, że o ile pośpieszą na pomoc, ci na nich napadną z tyłu. W ten sposób urządził starcie i nie zawiódł się w swej nadziei. Zwyciężywszy bowiem tam, gdzie uderzył, całą przeciwną stronę doprowadził do ucieczki. Ale kiedy padł, to reszta już nawet nie potrafiła zwycięstwa należycie wykorzystać, lecz hoplici z uciekającej falangi przeciwników nikogo nie zabili ani nie posunęli się naprzód z tego miejsca, gdzie nastąpiło starcie. A skoro i konnica rzuciła się przed nimi do ucieczki, to nawet i ścigająca jazda nie zabiła nikogo, ni z konnicy, ni z ciężkozbrojnej piechoty, lecz jakby pobici przemykali w popłochu wśród uciekających. Domieszani zaś do konnicy piesi i peltaści, którzy pomogli jeździe do zwycięstwa, dotarli do lewego skrzydła jako zwycięzcy, ale tam Ateńczycy większość ich wycięli.

Po tych wypadkach stało się coś wręcz przeciwnego, niż sobie wszyscy ludzie przedstawiali. Albowiem kiedy cała prawie Hellada tam się zeszła i stanęli przeciw sobie w szyku bojowym, każdy bez wyjątku był przekonany, że o ile dojdzie do walki, to zwycięzcy będą panowali, a zwyciężeni będą poddanymi. A bóg tak zarządził, że obydwie strony postawiły pomnik zwycięstwa i żadna strona drugiej w tym nie przeszkadzała, obie strony, jakby zwycięskie, wydały poległych na podstawie układu i obie strony starały się na mocy układu odebrać poległych, jakby były pobite. A choć obie twierdziły, że odniosły zwycięstwo, pokazało się, że ani jedna strona, ani druga nie zyskała ani żadnego obszaru, ani miasta, ani większej władzy, niż przed stoczeniem tej bitwy. A zamęt i niepokój był w Helladzie jeszcze większy po tej bitwie niż przedtem.

Na tym kończę; późniejszymi czasami zajmie się może ktoś inny.

Z mniejszych pism

A. Ustrój lacedemoński

1. O wychowaniu młodzieży spartańskiej

(I 1–2 i II 1–11)

Przyszło mi raz na myśl, że Sparta należy do najsłabiej zaludnionych państw, a przecież zajaśniała jako najpotężniejsze i najsławniejsze państwo w Helladzie. Ze zdziwieniem zadałem sobie pytanie, jakim sposobem to się stało. Kiedy jednakowoż poznałem sposób życia Spartan, nie dziwiłem już się więcej. A prawodawcę ich Likurga, którego ustawy, posłusznie wykonywane, zapewniły im szczęście, i podziwiam, i uważam za mędrca wprost nadzwyczajnego. On bowiem nie naśladował żadnego innego państwa, lecz świadomie

poszedł wprost przeciwną drogą niż większość z nich i uczynił ojczyznę bardzo szczęśliwą. Albowiem inni Hellenowie, którzy twierdzą, że doskonale wychowują swych synów, skoro tylko dzieci rozumieją, co się do nich mówi, zaraz oddają je pod nadzór niewolników zwanych pedagogami, zaraz posyłają do szkół na naukę pisania i muzyki, i gimnastyki. A do tego stopy chłopaków wydelikacają obuwem, a ciało wypieszczają ciągłą zmianą odzieży. W jedzeniu zaś za miarę uważają pojemność brzucha. Likurg tymczasem zamiast by każdy z osobna wyznaczał sobie niewolnika na pedagoga dla chłopców, ustanowił dla kierowania nimi obywatela spośród tych, z których wybiera się na najwyższe urzędy, a który też zwie się chłopięcym opiekunem. Ten ma nadane prawo gromadzenia chłopców, nadzorowania, a jeżeli ktoś coś zbroi, ma prawo dotkliwie go ukarać. Spomiędzy dorosłych młodzieńców dodał mu biczowników, by karali w razie potrzeby. Toteż jest tam wielki rygor i wielkie posłuszeństwo. Zamiast wydelikacania stóp obuwem polecił hartować je chodzeniem boso, w przekonaniu, że po takim ćwiczeniu się łatwiej można wspinać się po stromym stoku i bezpieczniej po spadzistości schodzić. Bosy, o ile ma wyćwiczone nogi, także i skoczy w dal lub w górę lub pobiegnie prędzej niż obuty. A zamiast wypieszczać różną odzieżą uważał za stosowne przyzwyczajać do jednego okrycia wierzchniego przez cały rok, w tej myśli, że tak można się lepiej przyuczyć i do mrozów, i do skwarów. Młodzieniec zaś ma przychodzić — wedle jego zlecenia — na zebranie z takim zapasem jadła, żeby nigdy nie czuł się ociążały z powodu nasycenia się i żeby z doświadczenia wiedział, co znaczy skąpe odżywianie się. Był bowiem przekonany, że dzięki takiemu wychowaniu nawet przy braku żywności zdolniejsi będą do wysiłku i prędzej potrafią na dany rozkaz tą samą ilością żywności obchodzić się przez czas dłuższy, łatwiej poprzestaną na samym chlebie i zadowolą się wszelkim jadłem, i wyjdzie im to bardziej na zdrowie. Uważał, że na wysoki wzrost skuteczniej działa sposób żywienia dający ciału smukłość niż taki, który pokarmami doprowadza do otyłości. Ażeby zaś głód ich zanedo nie przyciskał, pozwolił im brać, jeśli im do tego, co mają, jeszcze czego będzie trzeba, choć, co prawda, nie bez trudu: mianowicie dopuścił kradzież tego i owego dla zaspokojenia głodu. Zdaje mi się, że chyba każdy zrozumie, iż dopuścił do starania się własnym sprytem o wyżywienie nie dlatego, jakoby nie miał co dać. To jasne, że ten, kto zamierza kraść, musi i w nocy nie spać, a w dzień zwodzić i w zasadzce się skrywać, i szpiegów mieć gotowych, jeśli ma coś pochwycić. Z tego wszystkiego już jest widoczne, że przepisał takie wychowanie, by wykształcić w chłopcach większy spryt w staraniu się o żywność i większą zdolność do wojny. Powie tu ktoś może: „Dlaczegoż w takim razie, jeśli uważał kradzież za coś wskazanego, polecił przyłapanego na niej karać potężną chłostą?”. Bo — powiadam — czegokolwiek tylko ludzie uczą, to zawsze karzą tego, który nie wywiązuje się dobrze ze swego zadania. Więc i oni przyłapanych karzą za to, że źle kradną. Określiwszy jako coś chlubnego skradzenie jak największej ilości serów z świątyni bogini Ortii, polecił innym ich smagać. Przez to chciał wskazać także i to, że po krótkotrwałym bólu można mieć przez długi czas sławę i radość. A pokazuje się tu także i to, że leniwy tam, gdzie trzeba pośpiechu, odnosi najmniej korzyści, a naraża się na największe kłopoty. Ażeby na wypadek nieobecności chłopięcego opiekuna nie zostali chłopcy bez kierownika, zarządził, by każdy obywatel, który w danej chwili jest obecny, miał prawo wydawać im rozkazy wedle swego uznania i karać za przewinienia. Dzięki temu wzmógł u chłopców poczucie respektu, bo przed niczym ani chłopcy, ani mężowie nie mają takiego respektu, jak przed władzą. By zaś chłopcy nie byli sami bez władzy, jeśliby przypadkiem nie było żadnego mężczyzny, ustanowił, by nad każdym oddziałem władzę sprawował najzwinniejszy z młodzieńców. W ten sposób nigdy tam chłopcy nie są pozostawieni sami, bez kierownictwa.

2. *O poszanowaniu władzy w Sparcie*

(VIII)

Że w Sparcie istnieje największy posłuch dla władzy i dla praw, to o tym wiemy wszyscy. Ale ja sądzę, że Likurg nawet nie próbował wprowadzić tego ładu, zanim nie zyskał sobie zgody najmożniejszych obywateli w państwie. A wnioskuje to z tego, że we wszystkich innych państwach wpływowisi nawet nie chcą zachowywać pozorów, jakoby się bali władzy, lecz uważają, że to nie jest godne wolnego człowieka, w Sparcie natomiast najmożniejsi okazują władzy najwięcej pokornego uszanowania i szcycą się swą uległością, a na wezwanie słuchają w cwał, nie stępa, w tym przekonaniu, że jeżeli oni pierwsi dadzą przykład natychmiastowego bezwzględnego posłuszeństwa, to za nimi pójdzie i reszta. Jakoż i tak się stało. Prawdopodobne też jest, że to oni właśnie ustanowili władzę eforów, zrozumiałwszy, że posłuszeństwo jest największym dobrem dla państwa i dla wojska, i dla domu; albowiem im większą moc ma władza, tym bardziej siłą strachu zmusi obywateli do posłuszeństwa. Eforowie więc mają możność karania wedle swej woli i mają prawo dokonywać kary natychmiast, a nawet mają prawo urzędników usunąć od urzędowania i zamknąć do więzienia, i wytoczyć im proces gardłowy. Posiadając tak wielką władzę, nie pozwalają każdorazowym wybrańcom rok cały samowolnie rządzić, jak to się w innych państwach dzieje, lecz na wzór absolutnych panujących lub kierowników igrzysk gimnicznych natychmiast karzą każde dostrzeżone bezprawie. Likurg wymyślił i wiele innych środków skutecznych do budzenia u obywateli ochotnego posłuszeństwa wobec praw, ale najskuteczniejszy wydaje mi się ten, że nie oddał swych praw gminowi, zanim z najmożniejszymi nie przybył do Delf i nie spytał boga, czy wyjdzie Sparcie na większą korzyść i lepsze dobro słuchać praw, które on właśnie ustanowił. A kiedy otrzymał odpowiedź, że pod każdym względem wyjdzie to na lepsze, wtedy nadał prawa, ustaliwszy, że brak posłuszeństwa dla praw przez Pytię wywrózonych jest nie tylko bezprawiem, ale i bezbożnością.

B. *Ekonomik*

1. *Rolnictwo i wojsko podstawą państwa*

(IV 4–15)

— Czyż — rzekł Sokrates — mamy się wstydzić naśladować króla perskiego? Jego zdaniem ponoć do najpiękniejszych i najkonieczniejszych zajęć należy rolnictwo i rzemiosło wojenne i o te obie rzeczy mocno się troszczy.

A Kritobulos, usłyszawszy to, powiedział:

— I ty wierzysz w to, Sokratesie, że perski król osobiście także troszczy się coś o rolnictwo?

— Może przekonamy się, Kritobulu, czy się także osobiście coś o nie troszczy, jeśli zastanowimy się w następujący sposób. Że się o rzemiosło wojenne troszczy mocno, to przyznajemy, bo z jakich tylko narodów pobiera podatki, wyznaczył każdemu władcy, ile trzeba z nich łożyć na utrzymanie jazdy, łuczników, procarzy i lekkobrojdnych,

zaopatrzonych w plecione tarcze, tak by ta siła zdolna była utrzymywać w ryzach poddanych i bronić kraju na wypadek wkroczenia nieprzyjaciół. Prócz tego mają utrzymywać w zamkach straż. Załogom tym daje utrzymanie urzędnik wyznaczony do tego celu, a król co roku odbywa przegląd wojsk zaciężnych i obowiązanych do służby, którym nakazuje się uzbroić. Kiedy król zbiera ich wszystkich razem, prócz załóg zamkowych, to nazywa się to wtedy zbiórka. Blisko swojej rezydencji sam udaje się na przegląd, a do odległych krajów posyła swych powierników celem dokonania przeglądu. Kto z komendantów załóg, generałów, satrapów wykaże przepisaną pełną liczbę i do tego zaopatrzoną w doskonałe konie i w oręż, to takich dowódców podnosi zaszczytami i bogaci wielkimi podarunkami; a jeśli znajdzie między dowódcami takich, którzy się w służbie zaniedbują albo z niej ciągną zyski, takich ciężko karze, usuwa z urzędu i ustanawia innych w ich miejsce. Chyba już bezsprzecznie uznamy, że o rzemiosło wojskowe się troszczy.

Do tego jeszcze cały kraj, przez jaki tylko podczas swego przeglądu przejeżdża, sam bada, a każdy kraj, gdzie sam przeglądu nie odbywa, bada za pośrednictwem wysyłanych powierników. Jeżeli zauważy, że namiestnik ma kraj gęsto zaludniony, ziemię dobrze uprawną i pełną drzew i plonów, jakie tam ziemia wydaje, to takiemu dodaje jeszcze inny kraj, wyposaża darami i wyróżnia zaszczytnym miejscem do siedzenia. Jeśli zaś widzi u kogoś kraj nieuprawny i słabo zaludniony z powodu okrucieństwa, butnych wybryków czy niedbalstwa, to takiego karze i odbierając mu urząd, ustanawia innego. Czy ci się zdaje, że tak czyniąc, mniej się stara o to, by ziemia była uprawiona przez mieszkańców, niż żeby była dobrze strzeżona przez załogi wojskowe? A dla obu zadań ma wyznaczonych urzędników nie tych samych, lecz jedni sprawują władzę nad mieszkańcami i robotnikami rolnymi i pobierają od nich podatki, a inni władają zbrojnymi załogami. Jeżeli dowódca sił zbrojnych nie strzeże kraju w dostateczny sposób, to ten, który sprawuje władzę nad mieszkańcami i troszczy się o roboty, skarży na dowódcę, że z powodu niedbalstwa strażującej załogi ludzie nie mogą wykonywać swej roboty. Jeżeli zaś dowódca zapewnia spokój robotom, a mimo to namiestnik ma kraj słabo zaludniony i nieuprawny, to znowu na niego skarży dowódca. Bo mniej więcej tak bywa, że ci, co źle obrabiają ziemię, nie dają utrzymania dla załogi ani nie mogą płacić podatków. A tam, gdzie jest ustanowiony satrapa, ten troszczy się o jedno i drugie.

— Zatem — rzekł na to Kritobulos — jeśli rzeczywiście król tak postępuje, to, moim zdaniem, nie mniej troszczy się o rolnictwo niż o rzemiosło wojenne.

— A jeszcze także — dodał Sokrates — w której krainie mieszka i do której tylko przybywa, wszędzie stara się o założenie ogrodów, zwanych po persku *paradeisoi*, pełnych wszelakich dóbr i wszelakich piękności, jakie tylko ziemia chce rodzić, i w nich przepędza najwięcej czasu, kiedy mu pora roku tego nie wzbrania.

— Na Zeusa — rzecze Kritobulos — w takim razie, jeśli sam tam przebywa, musi się starać o to, by ogrody były jak najpiękniej urządzone, żeby były pełne drzew i wszelakich piękności, jakie tylko ziemia rodzi.

— Niektórzy powiadają — rzekł Sokrates — Kritobulu, że król, kiedy rozdaje dary, wzywa naprzód tych, co się odznaczyli na wojnie, bo nie masz pożytku z najstaranniejszej orki, jeśli nie stanie obrońców. Następnie wzywa tych, którzy najlepiej uprawiają i użyźniają ziemię, mówiąc, że nawet wojownicy nie mogliby żyć, gdyby nie było robotników rolnych.

2. *Pochwała rolnictwa*

150

(V 1–17)

Bez rolnictwa nie mogą się obejść nawet bardzo szczęśliwi ludzie. Albowiem zajmowanie się nim wygląda i na przyjemność, i pomnażanie dobytku domowego, i ćwiczenie cielesne prowadzące do wszelakich uzdolnień odpowiednich dla wolnego człowieka. Przede wszystkim ziemia przynosi pracującym to, z czego ludzie żyją, a w dodatku przynosi i to, z czego mają przyjemność, a w dalszym ciągu i to, czym ołtarze stroją i posągi, a nawet i siebie samych przystrajają ozdobą pełną woni i krasy. Następnie ziemia wiele przysmaków, które spożywamy do chleba, bądź to rodzi, bądź hoduje: mianowicie i hodowla bydła jest związana z rolnictwem, i dzięki niemu mają ludzie z czego i ofiarami się przypodobać bogom, i sami odnosić pożytek. Mimo że rolnictwo dostarcza dóbr bardzo hojnie, nie pozwala brać ich w gnuśnej wygodzie, lecz przyzwyczaja do wytrzymałości na mrozy zimowe i skwary letnie. Tym, którzy sami własnymi rękoma wykonują pracę, dodaje sił dzięki ćwiczeniu, a tych, którzy nadzór sprawują, hartuje na mężów przez to, że budzi ich rano i przymusza szparko udawać się do swego zajęcia. Albowiem i na wsi, i w mieście najistotniejsze zajęcia mają swoją porę. Dalej, jeśli ktoś chce służyć państwu swemu na koniu, to rolnictwo najbardziej może przyczynić się do wyżywienia konia, jeśli zaś chce służyć jako piechur, rolnictwo użycza krzepkości jego ciała. I zamiłowanie do polowania budzi ziemia, dostarczając ogarom obficie pożywienia i hodując zarazem dzikie zwierzęta. Konie i psy, które mają korzyści z rolnictwa, odwdzięczają się polu korzyściami: koń rankiem niesie nadzorującego do jego zajęcia i daje mu możliwość późnego powrotu, a psy nie pozwalają dzikim zwierzętom na niszczenie plonów i porywanie bydła, a także zapewniają bezpieczeństwo w samotności.

Ziemia zachęca również rolników do niesienia orężnej pomocy swemu krajowi, bo rodzi plony na widocznym miejscu, tak że może je brać, kto ma przewagę. A bieć i ciskać, i skakać zręcznie, jakaż inna sztuka potrafi lepiej nauczyć niż rolnictwo? A jakaż sztuka jest wdzięczniejsza dla pracownika? Jakaż uprzejmiej przyjmuje tego, co się jej poświęca, wyciągając dłoń ku zbliżającemu się, by brał, czego mu trzeba? Jakaż hojniej przyjmuje gości? Gdzie łatwiej zimować przy ogniu, któremu nie żałuje się drzewa, i gorących kąpielach niż gdzieś na wsi? Gdzie milej przepędzić lato przy wodzie, wietrzyku i cieniu niż na roli? Kto dostarcza bogom odpowiedniejszych pierwocin na ofiarę, kto pełniejsze uroczystości urządza? Kto jest dla służby miłszy, dla pani przyjemniejszy, dla dzieci bardziej utęskniony, dla przyjaciół bardziej pożądany? Mnie wydaje się dziwne, jeśli jakiś wolny człowiek posiada coś miłszego na własność niż to lub znalazł jakieś zajęcie miłsze nad to i pożyteczniejsze dla życia.

Ziemia także jeszcze — jako bogini — uczy sprawiedliwości tych, którzy potrafią się czegoś nauczyć. Albowiem tym, którzy ją najwięcej pielęgnują, odpłaca się największą ilością dóbr. A jeżeli nawet ci, co się oddają rolnictwu, a są wychowani mocno i po męsku, skutkiem przemocy wrogich wojsk zostaną pozbawieni plonów swej pracy, to mogą, jako dobrze przygotowani i na duchu, i ciele, jeśli jakiś bóg nie przeszkodzi, wkroczyć w krainę tych, co im przeszkodzili w zbieraniu plonów pracy, i brać, co im do wyżywienia jest potrzebne. Na wojnie często bezpieczniej szukać żywności z bronią w ręku niż z narzędziami rolniczymi.

Rolnictwo uczy także władać innymi. Bo i przeciw nieprzyjaciołom trzeba iść z ludźmi, i na roli pracuje się z ludźmi. Kto chce być dobrym gospodarzem, musi urobić w robotnikach gorliwość i ochotne posłuszeństwo. Ten, co prowadzi na nieprzyjaciół, musi starać się to samo skutecznie obdarowywaniem pełniących służbę tak, jak powinien ją pełnić dobry

żołnierz, i karaniem niesfornych. I często musi gospodarz robotników zachęcać wcale nie gorzej niż wódz żołnierzy. A dobrej nadziei potrzebują niewolnicy nie mniej niż wolni, ale raczej więcej niż oni, ażeby chętnie pozostawali. Pięknie wyraził się ów, który powiedział, że rolnictwo jest matką i żywicielką wszystkich innych sztuk. Bo jeśli dobrze rozwija się rolnictwo, to wzmacnia się także rozwój wszystkich innych sztuk; gdzie zaś ziemia musi leżeć odłogiem, tam prawie całkiem gasną wszystkie inne sztuki na lądzie i na morzu.

C. Kynegetyk

Ogólne znaczenie myślistwa

(XII 1–17)

Wiele korzyści odniosą ci, co będą mieli ochotę do polowania. Zyskają zdrowie dla ciała, bystrzejszy wzrok i słuch, i mniej się będą starzeli, a najbardziej kształci polowanie w rzeczach koniecznych na wojnie. Przede wszystkim kiedy będą odbywali uciążliwe marsze po trudnych do przebycia drogach, nie ustaną z wyczerpania, bo zniosą trudy skutkiem tego, że wśród nich przywykli łowić zwierzęta dzikie. Dalej, będą mogli sypiać na twardym legowisku i dobrze strzec rzeczy, której nakazano pilnować. Przy maszerowaniu na wroga potrafią równocześnie iść i spełniać rozkazy dzięki temu, że tak także oni właśnie łowią zwierza. Ustawieni w pierwszych szeregach, nie opuszczą swych stanowisk, skutkiem tego, że umieją wytrwać na miejscu. Podczas ucieczki nieprzyjaciół będą ścigali należycie i pewnie przeciwników na każdym terenie dzięki przyzwyczajeniu. A kiedy własne wojsko spotka nieszczęście, to w miejscach zalesionych i spadzistych zdołają się i sami bez hańby ratować, i dawać ratunek drugim. Bo przyzwyczajenie do łowieckiego dzieła doda im więcej zaradności. Już się zdarzyło nieraz, że niektórzy z takich ludzi, mimo że większość współwalczących tłumnie rzuciła się do ucieczki, wzorową swą postawą i odwagą zmusili do ucieczki zwycięskich już nieprzyjaciół, podejmując walkę na nowo, kiedy wróg popełnił jakiś błąd na trudnym terenie. Zawsze bowiem ci, co mają zdrowe ciało i zdrową duszę, są bliscy powodzenia. I przodkowie nasi wiedzieli, że dzięki temu szczęściło im się przeciw wrogom, i dlatego dbali o młodzież. Mianowicie, choć początkowo skąpo było u nich plonów rolnych, to przecież uznali za zwyczaj nigdzie nie wzbraniać myśliwym polowania wśród zbóż i warzyw, jakie ziemia rodzi. Na przestrzeni wielu staján nie pozwolili polować w nocy, ażeby ci, co się tym zawodowo zajmują, nie pozbawiali ich dzikiego zwierza. Widzieli bowiem, że sama owa zabawa młodszych przynosi wiele dobrych skutków. Stają się oni skromni i sprawiedliwi, bo wychowuje ich prawda. A jeśli chcą się oddać jakiemuś innemu zaszczytnemu zajęciu, łowiectwo żadnemu nie przeszkadza, nie tak jak inne, nikczemne zabawy, z którymi nie trzeba się zaznajamiać. Z takich młodzieńców wyrastają dzielni żołnierze i wodzowie. Albowiem ci są najlepsi, u których trudy wypędziły z duszy i ciała nikczemność i swawolę, a wzmogły pragnienie cnoty; tacy bowiem nie będą obojętnie patrzyli na krzywdę swego państwa i cierpienia swego kraju.

Powiadają niektórzy, że nie należy rozmiłowywać się namiętnie w polowaniu, by nie zaniedbywać własnego gospodarstwa. Nie wiedzą, że wszyscy ci, co państwom i przyjaciołom wyświadczają dobre usługi, więcej okazują starania o własne gospodarstwa niż oni sami. Jeśli więc zamiłowani myśliwi starają się przynieść ojczyźnie pożytek w najpoważniejszych sprawach, przez to nie zaniedbują chyba własnego gospodarstwa;

albowiem razem z państwem dźwiga się lub przepada gospodarstwo każdego. Toteż tacy ludzie prócz swoich gospodarstw podnoszą jeszcze i własność innych, zwyczajnych jednostek. Wielu zaś z tych, co tak mówią, zaślepionych zazdrością, woli zginąć skutkiem własnej nikczemności, niż cudzej dzielności zawdzięczać ocalenie. Przyjemności bowiem w większości są złe; ulegając im, dają się oni porwać do słów lub czynów gorszych. Wobec tego głupią gadaniną robią sobie wrogów, a złe postępowanie ściąga na nich choroby, szkody, śmierć ich samych, ich dzieci i przyjaciół. Niestety tych nie dostrzegają, a tylko widzą przyjemności, które przesłaniają im widok wszelkich innych rzeczy. Któż by użył takich ludzi do zbawiania państwa? Natomiast wszystkie te nieszczęścia omijać będą człowieka rozmiłowanego namiętnie w tym, co ja zalecam. Albowiem dobre wychowanie uczy stosować się do praw i rozmawiać o sprawiedliwości, i słuchać takich rozmów. Więc ci, którzy zawsze są gotowi trudzić się i uczyć się, dla siebie będą mieli mozolną i wymagającą ćwiczeń naukę, a dla swych państw zbawienie. A ci, co nie chcą uczyć się wśród trudu, lecz chcą wieść życie w nieodpowiedniej przyjemności, ci są z natury najgorsi. Bo nie słuchają ani praw, ani dobrego rozumowania. Skutkiem tego, że się nie trują, nie umieją dojść do tego, jaki powinien być człowiek dobry; toteż nie potrafią być ni bogobojni, ni mądrzy, a w braku odpowiedniego wykształcenia podnoszą rozliczne zarzuty przeciw wykształconym. Oni nie mogą niczego dokonać jak należy, natomiast dobrym zawdzięcza ludzkość wszelkie pożyteczne wynalazki. Lepsi zatem są ci, co chcą się trudzić.

D. O dochodach

O bogactwie Attyki

(I)

Od dawna mam to przekonanie, że jacy są kierownicy, takie są i państwa. O naczelnym kierowniku ateńskim mówiono, że wyznają się na sprawiedliwości nie gorzej niż wszyscy inni ludzie, oni zaś utrzymywali, że z powodu nędzy ludu widzieli się zmuszeni do niesprawiedliwszego postępowania wobec państw sprzymierzonych. Wobec tego spróbowałem zastanowić się, czyby obywatele nie mogli wyżywić się ze swych własnych dochodów, co by też było najzgodniejsze ze sprawiedliwością. Jestem przekonany, że jeśli się tak stało, to i zapobiegłoby się nędzy, i równocześnie położyłoby się kres podejrzeniom budzącym się u Hellenów. Kiedym tak zgodnie z swym zamierzeniem zastanawiał się, to zaraz z początku było mi jasne, że kraj ten dzięki swej przyrodzie jest w stanie dawać z siebie jak największe dochody. Że tu pory roku są najłagodniejsze, na to wskazują już same płody: rośliny, które gdzie indziej i kielkować nie mogą, tutaj wydają owoce. I podobnie jak ziemia, tak i morze otaczające kraj jest bardzo płodne. I co tylko dobrego bogowie w różnych porach roku dają, to wszystko zaczyna się tu bardzo wcześnie, a kończy się bardzo późno. Ale nie tylko góruje ten kraj tym, co w przeciągu roku rozkwita i więdnie, ale posiada także skarby trwałe. Mianowicie rośnie tam w wielkiej ilości kamień, z którego buduje się najpiękniejsze świątynie, najpiękniejsze ołtarze i rzeźbi się najwspanialsze posągi bogów. I u Hellenów, i u barbarzyńców jest wielki nań popyt. A jest także i ziemia, która jeśli ją zasiano, nie dałaby plonu, a jeśli się w niej kopie, to żywi znacznie więcej ludzi, niżby to mogła uczynić, rodząc zboże. A srebro kryje w głębi wyraźnie z bożego zrządzenia, bo choć wiele państw sąsiaduje z Attyką i od strony lądu, i morza, to przecież do żadnego z nich nawet malutka żyłka srebronośna nie dochodzi. Nie bez uzasadnienia można by mniemać, że Ateny założono

blisko środka Hellady i całej ziemi. Bo im ktoś więcej od nich oddalony, to natrafia na tym uciążliwsze mrozy lub upały. Wszyscy zaś, którzy chcą się dostać z jednego krańca Hellady na drugi, muszą — niby przez środek koła — przepływać lub przechodzić mimo Aten. A chociaż Attyka nie jest morzem oblana, to przecież, niby wyspa, z wszystkimi wiatrami sprowadza sobie wszelkie towary, jakich jej trzeba, i wysyła wszelkie, jakie chce. Jest bowiem otoczona morzem z dwu stron. Ale i drogą lądową otrzymuje wiele towaru, gdyż jest lądem. Dodajmy jeszcze, że większości miast dają się we znaki sąsiadujący z nimi barbarzyńcy, Ateńczycy zaś mają sąsiadów, którym samym bardzo daleko do barbarzyńców.

Tekst opracowany na podstawie: Xenofont, Sympozjon oraz wybór z pism, Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska